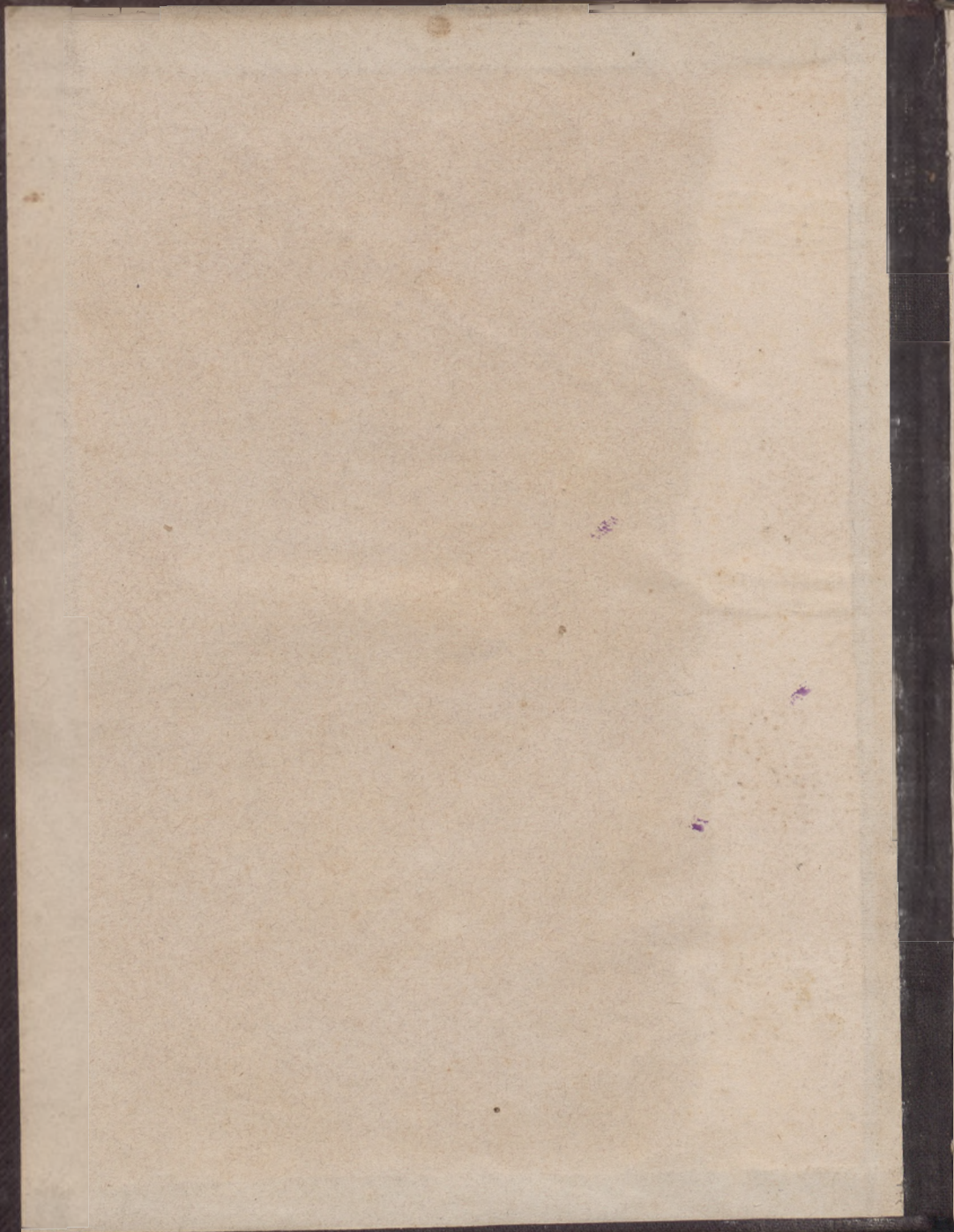
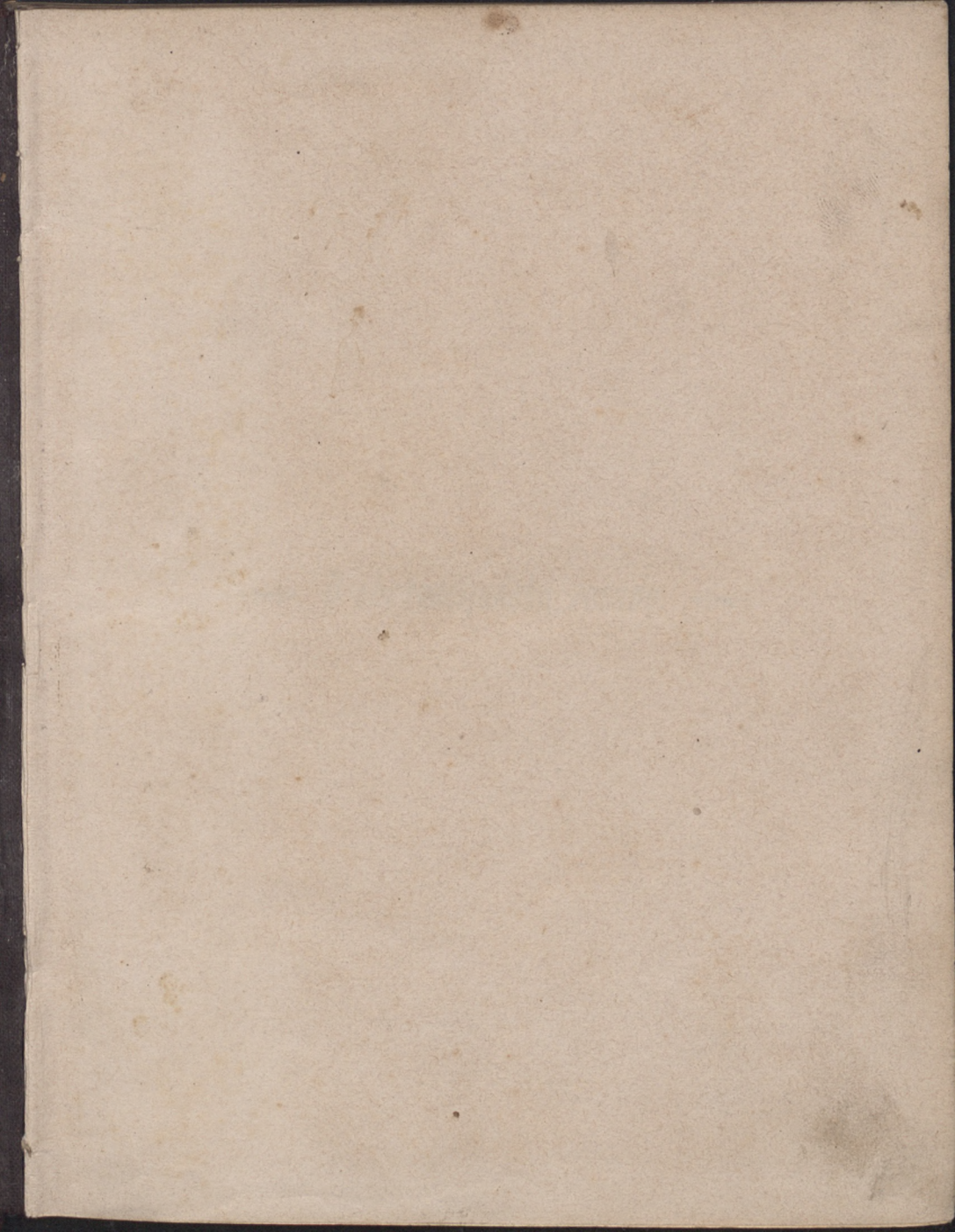
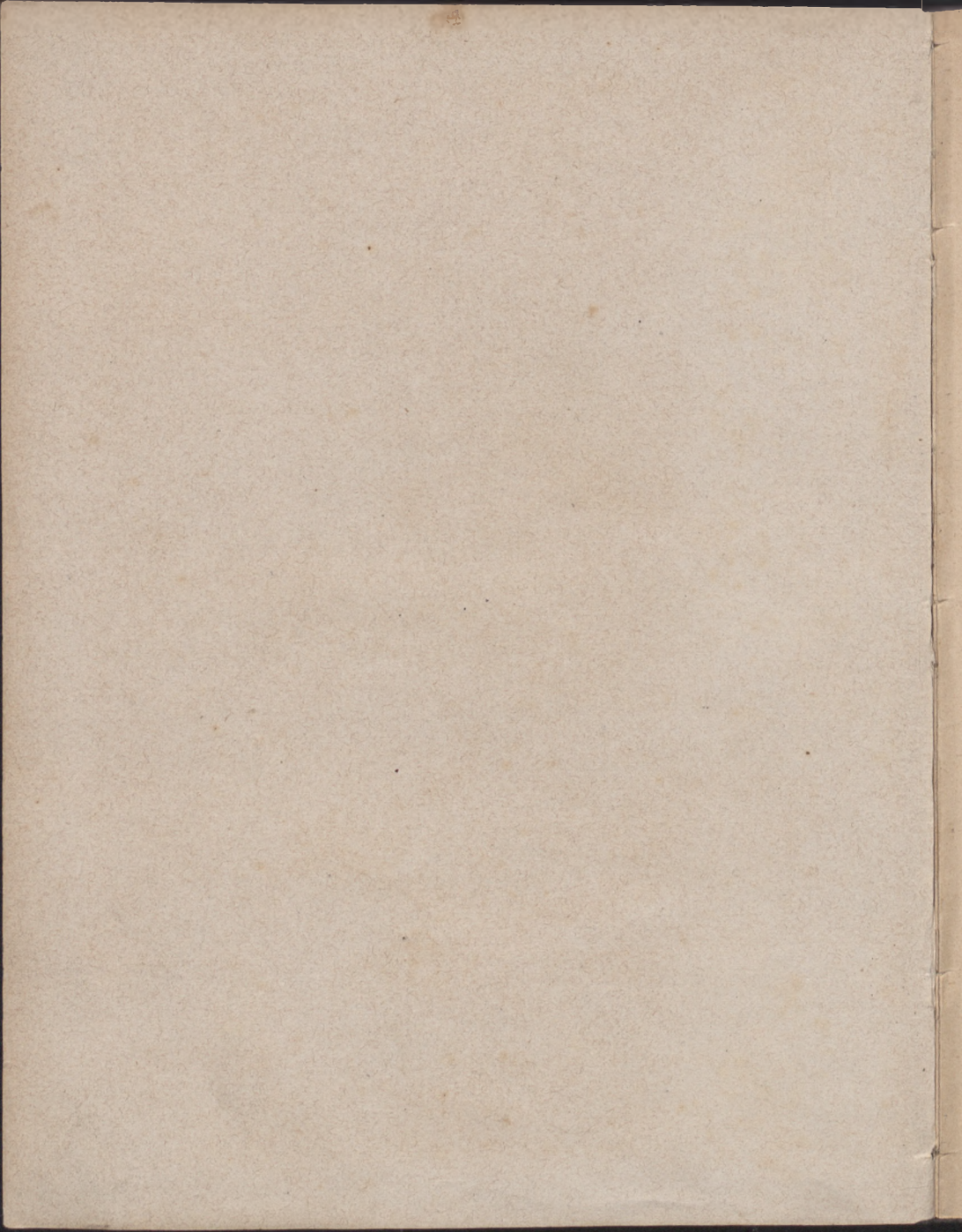


UNIVERSITY OF
TORONTO
LIBRARY
324

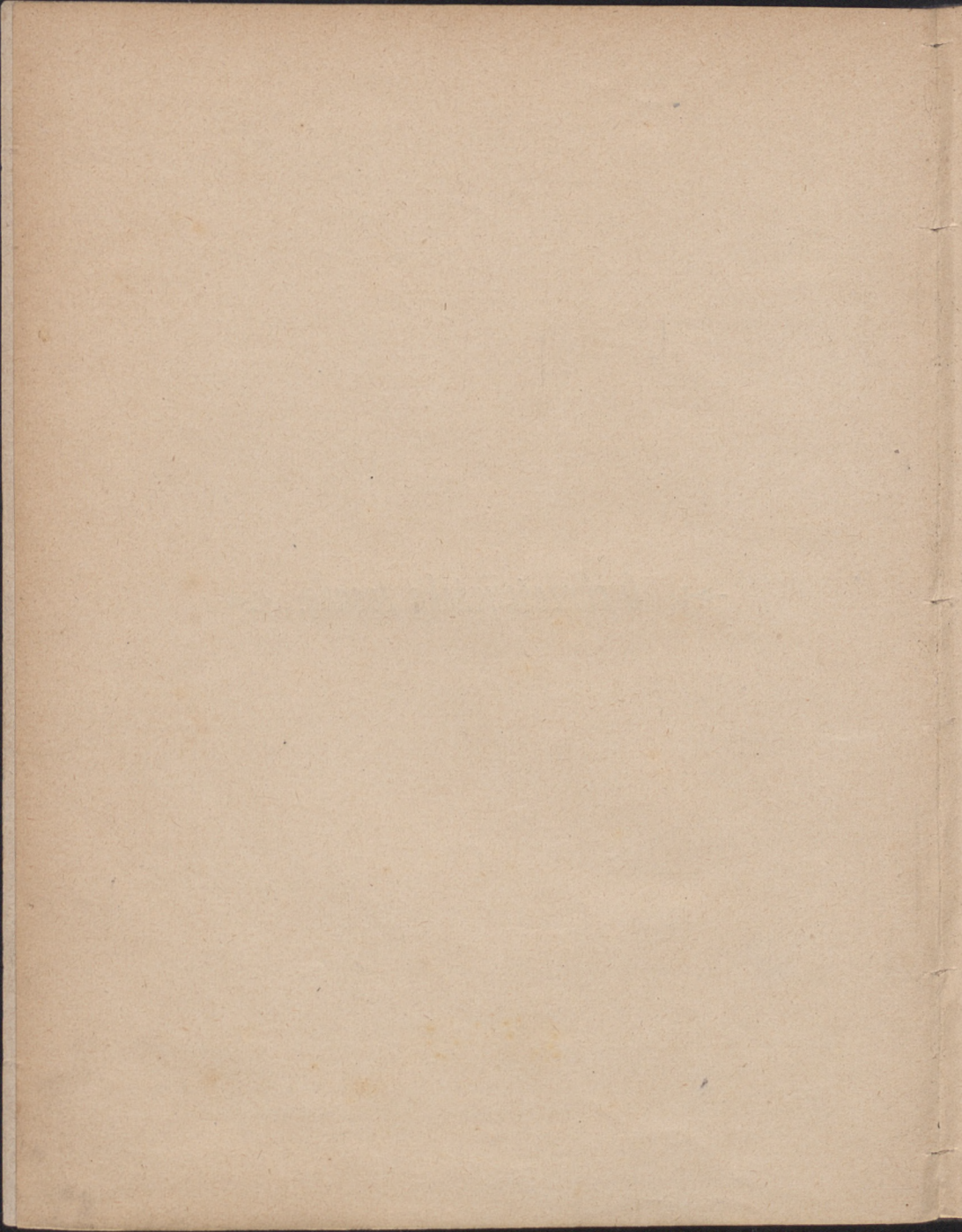
324







→ ❦ ← *O chrześcijańską zasadę.* ❦ →



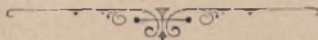
2402134

 Ks. Karol Niedziałkowski. 


O CHRZEŚCIJAŃSKĄ ZASADĘ.

TOM II.

Krytycyzm naszej epoki i wiara prostaczków. —
Naleciałości renesansowe w sztuce religijnej.



WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna Saturnina Sikorskiego.

Nowy-Świat Nr. 47, w domu własnym.

1895.

Дозволено цензурою,
Варшава, 16 Августа 1894 года.

APPROBATUR
Varsoviae die 16 (28) Julii 1894 a.
Assessor Consistorii Generalis Archidioecesis
Varsaviensis Leopoldus Łyszkowski.

Nr. 3183.

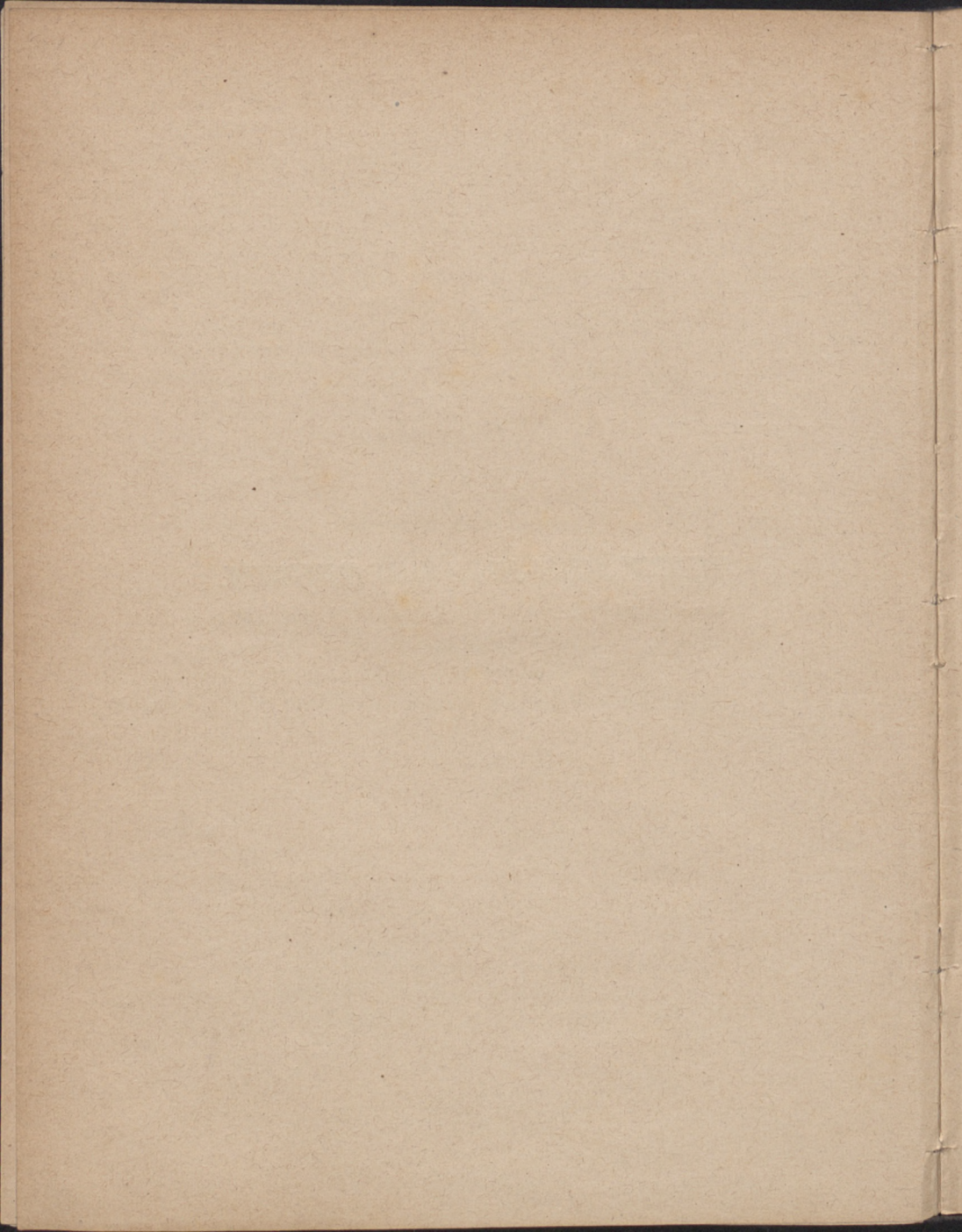
ОДОБРЕНО
Варшава, 16 (28) Июля 1894 г.
Ассессоръ Варшавской р. к. Духовный Консисторіи Кс. Л. Лышковскій.



1263831

D 200/16

KRYTYCYZM NASZEJ EPOKI I WIARA PROSTACZKÓW.



Krytycyzm naszej epoki i wiara prostaczków.

Najpewniejszą przeto jest rzeczą i doświadczeniem stwierdzoną, że powierzchowne kształtowanie filozofii może do bezbożności pobudzać, głębsze zaś z niej czerpanie do religii napowrót przyprowadza. (Bakon Werulamski).

I.

Boski" Plato twierdził, że „ludy dopiero wtenczas będą szczęśliwymi, gdy filozofowie zostaną królami, a królowie filozofami". Marzenie greckiego mędrca spełniło się o tyle, że filozof został już nie królem jednego kraju, lecz panem całego świata.

Po śmierci Antonina, przybrany syn jego, uczeń filozofów i sam filozof, zasiadł na tronie imperatorów. W jego osobie zjednoczyły się: największa władza, najlepsza natura i najwyższa mądrość ludzka—i panowały światu przez lat dwadzieścia prawie. I oto, pod koniec już życia cesarza-filozofa, widzimy niezmierny tłok na placu Marsowym i przygotowania do wielkiej

uroczystości. Tłumy ludu, błyszczące szeregi wojskowe, kapłani w wieńcach laurowych, filozofowie i mędracy w swych płaszczach szerokich—czekają... Ukazuje się uroczysta procesja: najznakomitsi senatorowie i urzędnicy niosą, na marach złotymi oponami i kobiercami okrytych, postać kobiecą z wosku urobioną i wnoszą do olbrzymiej a ozdobnej piramidy, na środku placu stojącej. Kollegia kapłańskie intonują hymny, wojska wykonywują taniec wojenny, a rozrzewniony imperator rzuca do piramidy palącą się wonną pochodnię. Wybuchą ogień olbrzymi, a ze szczytu wznosi się ku niebu orzeł, poważny zaś siwowłosy senator przysięga, jako widział duszę „boskiej” Faustyny przez bogi do swego grona przyjąć. Radość z tego powodu niezmierna, okrzyki idą w błękity, bo niebo rzymskie wzbogaciło się nową boginią. Oczywiście potem nastąpiły uczty i igrzyska, później stanęła na Forum wspaniała świątynia, czci nowej bogini poświęcona; miała ona swoich kapłanów, a mędracy i filozofowie przychodzili bić czołem przed ołtarzem rozpustnicy, cudzołożnicy i samobójczyni. Wkrótce potem znowu uroczystość wielka odbywała się, na północ od morza Tyrreńskiego, w bogatym Lugdunum; było to święto boga-cesarza Augusta. Nad cyrkiem powiewała purpurowa zasłona, a wszystkie miejsca szczelnie zajęte przez lud, do najwyższego stopnia podniecony, bo to

już ostatni dzień nadzwyczaj zajmujących zabaw z ludźmi dziwnego rodzaju, którzy się chrześcijanami zowią. Już poprzednio z ich łaski ludgduńczycy doznali niemało silnych wrażeń. Na Forum, wobec niezliczonego tłumu, legat cały dzień sądził, oprawcy do wieczora pracowali, a widzowie patrzyli, jak ciało młodych kobiet odpadało kawałkami pod uderzeniami wciąż odnawianych różeg; potem tłum miał uciechę, zabijając niesionego do więzienia 90-letniego biskupa Potyna, co już chodzić sam nie mógł. W dniu 2-m sierpnia igrzyska były jeszcze bardziej zajmujące: wśród dwóch szeregów posługaczy, podcinających biczem przechodzących skazańców, weszli na arenę: Maturus, Attalus, Sanctus i Blandyna. Gdy ta ostatnia, zawieszona na niskim krzyżu, czekała aż ją rozerwą dzikie zwierzęta, (które jej jednak nie ruszyły), tamci, po ubiczowaniu, szarpani byli przez bestye, a potem posadzeni na rozpalonych krzesłach żelaznych. Maturus ciągle milczał, a Attalus, gdy woń jego spieczonego ciała rozeszła się po amfiteatrze, odezwał się z oburzeniem do tłumu: „otóż to jest pożeranie ludzi, jak wy to czynicie, my zaś ani nie zjadamy ludzi, ani nic innego złego im nie czynimy”. Ten fanatyzm (jakby to dziś powiedziano) do najwyższego stopnia podbudzał nerwy widzów, więc drżeli rozkosznie, gdy, w ostatnim dniu igrzysk weszli na arenę: 15 letni chłopiec Pon-

ticus i niewolnica Blandyna, niezmiernie wątłej budowy ciała, a osłabiona poprzedzającymi mękami i długim pobytem w niskim i cuchnącem więzieniu. „Przysięgnijcie na bogi!” wołano ze wsząd; nie chcieli; więc rozpoczęły się męki, i chłosta, i bestye, i ogień. Gdy Ponticus skończył, cała nienawiść katów i widzów wysiliła się na wpół żywą Blandynę. Ubiczowaną i rozciągniętą na torturze, posadzono na rozpalonym krześle, a potem, uwiniętą w sieć, oddano dzikiej krowie na pastwę. Krowa podrzuciła ją wysoko rogami, gdy spadła, deptała i znowu podrzucała... z motłoch i panowie, kapłani i kapłanki, mędrzy i filozofowie klaskali w dłonie i wrzeszczeli z zachwytem. Widowisko skończyło się dość monotennie, bo na sąsiednim placu ścięto poprostu głowy 24-m chrześcijanom, mającym obywatelstwo rzymskie. Lud uraczony, rozszedł się do domów, chwając łaskawego cezara, „kochanka ludu”, jak mówi poeta, że za jego pozwoleniem tak dobrze się ubawił, i tylko mędrzy i filozofowie rozprawiali potem dość długo o szczególnej naiwności i głupocie tych ludzi, którzy, bez żadnych powodów, wbrew zdrowemu rozumowi, woleli ginąć w mękach, niż żyć spokojnie, złożywszy ofiary bogom: Faustynie, Poppei, Verusowi ¹⁾ i innym. Nie

¹⁾ Wszystkie troje ubóstwieni, a słynni z rozpusty.

oni jedni zresztą byli tego przekonania; podzielali je ludzie, których pełno było w owym czasie, a którzy skromnie nazywali siebie gnostykami, t. j. wiedzącymi (postępowymi, jak się to dziś mówi), mądrymi, bo jakoby całą gnozę (wiedzę) posiadli. Wiedza ta i mądrość, jak dziś nikomu nie tajno, była nauką, utkaną z najdziwniejszych bajek o dwóch bogach zawsze sobie wrogich, o mnóstwie eonów męzkich i żeńskich, mnożących się przez rodzenie, o demiurgu, stwórcy świata z materii odwiecznej a złej z natury swojej, o uwięzionych w niej częściach światłości, uronionych z pleromy i do niej napowrót dążących. Jedni z nich (enkратыcy) zalecali celibat powszechny i brzydzili się małżeństwem, jako rzeczą z gruntu złą i niegodziwą, inni (antynomiści) pozwalali na wszelkie wyuzdania zmysłów, „podług zasady, że wszystko co zmysłowe, co zewnętrzne, jest rzeczą zupełnie obojętną, i że każdy dobry gnostyk okazywać powinien wzdargę swoją demiurgowi, przez poniewierkę ograniczających swobodę praw jego, a mianowicie dekalogu, obrachowanego na ujarznienie wyższego ducha ludzkości”¹⁾. Posiadając tak wysoką mądrość, będąc pewnymi, że należą do uprzywielejewanych istot, w których przeważa dobro

¹⁾ Encykl. Kościelna (Warszawa t. VI. p. 233.

i światłość (*spirituales*), z najwyższą pogardą patrzyli na „ograniczonych” katolików, których bez ceremonii nazywali zwierzęcymi (*animales*), a którzy dawali się bez żadnej racji ni potrzeby mordować i męczyć za eona—Chrystusa. Oni, oświeceni, nie byli tyle naiwnymi, „nie chcieli wcale słuchać o męczeństwie za Chrystusa i Jego naukę. Zbawiciel i bez ich wyznania pozostawał tem, czem był, zresztą nie czcili Go oni jako Boga. Gnostycy nie potrzebowali żadnego wyznania, któreby na nich tylko niejedną przykrość ściągnąć mogło; wystarczała im wiara, że byli doskonałymi, że szli z nieba i do nieba wracali”¹⁾). Nie godzi się zaprzeczać, że bardzo trzeźwo i krytycznie na rzeczy patrzyli, jak gdyby pili ze źródła „ostatnich zdrojczy umysłu ludzkiego w XIX wieku”; pomimo to, już w III-m wieku, mądrość ich zwierzała i pochylili się ku zachodowi. Natomiast zeszła nowa gwiazda: pojawili się ludzie, głośno i z wielką pewnością zapowiadający, że co było przed nimi—niedorzecznością było, a oni dopiero doszli całej prawdy przyrodzonej i nadprzyrodzonej; głosili, że przez ścisłą krytykę zdrowego rozumu, uwolnili chrześcijan od naiwnych przesądów prostaczych katolików i przynoszą światu światło, zbawienie i wyzwolenie,

¹⁾ Ibid.

byli to Manichejczycy „Ty wiesz, powiada byłych uczeń, św. Augustyn, w liście do Honorata, ty wiesz, żeśmy nie dla żadnej innej przyczyny poszli za tymi ludźmi, tylko dla tego, że oni twierdzili, jakoby pozbyli się straszliwej powagi wiary i swoich stronników podrodze czystej nauki prowadzą do Boga i od wszelkiego błędu uwalniają. Cóż innego przyniosło mnie do tego, że, pogardziwszy religią, przez rodziców w dzieciństwie do serca mi wlaną, gorliwie trzymał z tymi ludźmi i słuchał ich, jeśli nie to tylko, że mówili, iż my, katolicy, lękamy się zabobonów i że przed użyciem rozumu Kościół wymaga od nas wiary, gdy oni jej od nikogo nie żądają, ale pierwej rozwijają i rozszerzają prawdę”¹⁾. Więc najpierwej, na mocy swej głębokiej krytyki, wszystko bez wyjątku księgi Starego Testamentu ogłosili za dzieło djabelskie, Nowy Testament przyjęli... wyjąwszy to, co im się w nim nie podobało, a co nazwali dodatkiem późniejszym, przez złych ludzi wymyślonym²⁾. Nauki ich streszczać nie myślę, bo jest dość znana, przypomnę tylko, że i oni wierzyli w dualizm bóstwa, w rozproszenie światłości przez rodzenie (stąd zabronienie małżeństwa i łatwa do odgądnienia moralność). Słońce, podług nich, jest

¹⁾ *De utilitate creden.* c. 1.

²⁾ Ktośby powiedział, że zgłębiali Baura lub Renana-

Bogiem i Chrystusem, dusze oczyszczone wznoszą się ku słońcu i księżycowi, czem się tłómaczy stopniowe wzrastanie światła księżycy: gdy dojdzie do pełni, wylewa zebrane dusze w świat światłości, niby wiadro pełne wody i nanowo zaczyna się napełniać. Trzęsienie ziemi—to nic innego tylko Omofor, trzymający ją na barkach, dla ulżenia sobie, przekłada ją z jednego ramienia na drugie. Człowiek ma dwie dusze; Panna światłości, z całym wojskiem pomocniczek, za pomocą wdzięków swoich, oswobadza gwiazdy, wyprowadzając na jaw cząstki światłości, tkwiące w firmamencie. Jezus zstąpił ze słońca, a wzięwszy na się postać węża, krążył między ludźmi, objaśniając im ich prawdziwą naturę i t. p. Gdy ich pytano, jakie mieli dowody tych twierdzeń swoich, odpowiadali, że tak napisał Manes, ich nauczyciel, który siebie nazywał Parakletem i Duchem św., a uczniowie uważali go za mistrza, który dopełnił Nowy Zakon, jak Chrystus Stary Testament Cały też ich, wrzekomo wysoce rozumowy i ściśle naukowy, charakter pojęć religijnych zasadzał się na wierzeniu słowom swego nauczyciela i komentowaniu takowych, jak gdyby Manes był profesorem uniwersytetu w Jenie czy Genewie, lub należał do jakiej redakcyi XIX wieku, posiadającej panteon mądrości ludzkiej i nieomylną na zawsze prawdę. Prawdziwie oburzające zaślepienie! Trudno opowiedzieć,

jak bardzo Manichejczycy swój system nauko-wo-krytyczny cenili, jak nielitościwie urągali „głupim” i „nieoświeconym” katolikom. Niestety, bieg wypadków nie usprawiedliwił ich wysokiej o sobie opinii, mądrość ich okazała się wielkiem głupstwem. Zgaśli, i tylko od czasu do czasu teorie manechijskie wybuchały w ruchach socjalistycznych, mordach, paleniu kościołów przez pryscylianistów, bogomitów, albigosów, waldensów i innych.

Nastaly ciężkie czasy dla naszej Europy. Spróchniały kolos rzymski trząsł się w posiadach i rozpadał na części pod ciosami barbarzyńców, rozpoczęła się długa era wrzenia, nim nowe warstwy pomieszały się ze starymi i nim z nich wyłoniły się nowe państwa i nowe narody. Krytyczny rozum ludzki milczał przez długie tysiąc lat, zostawiając ciężką troskę tworzenia i organizowania społeczeństw, cywilizowania barbarzyńców komu innemu. Dopiero, kiedy się rozhukane bałwany spokojnie układały, kiedy się społeczeństwa zawiązały i wyrobiły, znowu podniosła głos nieomylna krytyka rozumu ludzkiego: zjawili się humaniści. Wystąpili oni na widownię otoczeni urokiem pięknej formy, w jaką myśli swoje ubierali i z wielką ruchliwością rozpoczęli propagandę. „Z kilkoma groszami w kieszeni, jak pisze jeden z historyków, z książkami w torbie, dziwnym duchem przedsiębiorstwa gnany, raz na wozie, drugi raz

pod wozem, raz nocując w chacie wieśniaka, to znowu miłosiernie przyjęty w domu szlachcica, źle lub dobrze traktowany, ale zawsze pełen otuchy i zapału, pełen humoru i cytat łacińskich, skłonny do mówienia o wszystkim, szedł scholar, żak, pauper, w szeroki świat... Obok scholara... też samą wędrówkę odbywa Erazm Rotterdamski, Reuchlin, Eoban Hesus, Mucian i Celtes¹⁾. Humanizm, jak wiadomo, zasadzał się najpierwej na zamiłowaniu do autorów łacińskich i greckich, na wprowadzaniu pod tą osłoną zasad dawnych pogan i na bezlitośnem wyszydzaniu katolickiej teologii, na nienawiści do niej i do katolickiego ducha. Dość przeczytać choćby parę listów z *Epistolae obscurorum virorum*, lub parę rozdziałów z „Pochwały głupstwa” Erazma Rotterdamskiego, żeby mieć wyobrażenie o tem, jak wysoko cenili humaniści siebie i swój rozum krytyczny, za jakie ciemne, nędzne i ograniczone stworzenia mieli katolików w ogólności, zakonników w szczególności ¹⁾. Dodać tu jeszcze wypadka,

¹⁾ W *Epistolae obscurorum virorum* zakonnicy występują stale trzema obdarzeni przymiotami: piszą łaciną wolającą o pomstę do nieba, są niesłuchanie rozpustni i niezmiernie przywiązani do Kościoła. Że po łacinie źle pisali, choć może nie tak źle, jak *Epistolae*, to rzecz pewna; że było wielu z nich występnego życia, to także fakt historyczny, ale co jest równie historycznie pewnem,

że krytykując niezdrowy duch „zacofanego katolicyzmu”, sami ze szczególnym zamiłowaniem hołdowali „zdrowej zmysłowości” tak w życiu, jak w pismach. Poezye Celtesa. „Dekameron” Boccaccia, „Pochwała głupstwa” Erazma Rotterdamskiego, *Epistolae obscurorum virorum* Huttena, *Hermaphroditus* Beccadelli pełne są wyrafinowanej lubieżności, wobec której bledną *Amores* i *Ars Amatoria* Owidyusza.

Na tak przygotowanym gruncie wystąpił Marcin Luter i plejada jego pomocników. Znany jest powszechnie obraz W. Kaulbacha, „Wiek reformacji”. Pośrodku, niby słońce dobroczynne, stoi Luter, wysoko nad głową wznoszący „oczyszczoną ewangelię”, obok niego Elżbieta Angielska z pergaminem w ręku, księżęta protestancy, przystępujący do komunii pod dwiema postaciami, a dalej wszystkie znakomości XVI wieku, niby bujnie owoce, dojrzewające w ciepłym promieniu Lutrowych. W rzeczywistości było nieco inaczej. Elżbieta z wyrokiem śmierci na Maryę Stuart, księżęta, przy-

to, że tacy nie byli przywiązani do Kościoła i jego nauki. Księża-rozpustnicy zawsze są dziwnie do „krytycznego” poglądu na teologię skłonni, z nich też przeważnie rekrutował się zastęp humanistów, a gwardyę protestantyzmu stanowili właśnie księża rozpustni, opoje i żarłoki, którzy, jak mówi francuzkie przysłowie, rzucili habity w pokrzywę, a poszli za „czystą ewangelią”.

stępujący do komunii po całonocnej orgii, naprawdę wyszli z ducha Lutra, ale Kolumb i nasz Kopernik, i mistrze włoscy, i wielu innych, zdziwiliby się niepomiernie, gdyby im powiedziano, że koncept Kaulbacha do duchowych dzieci pseudo reformacyi ich zaliczył. Luter wystąpił jako srogi i nieubłagany krytyk „babilońskiej nierządniczy i rzymskiego antychrysta”, postanowił wrócić ewangelii jej pierwotną czystość, rozpać zagasłą miłości pochodnię, naprawić moralność i wyzwolić myśl ludzką od wiekowej niewoli. Więc wygłosił wielki dogmat protestantyzmu, że człowiek staje się miłym Bogu i sprawiedliwym nie dla swych dobrych czynków, które na nic Bogu niepotrzebne, lecz przez aplikowanie sobie zasług Zbawiciela — i, rad z odkrycia, pisał do przyjaciela: *Esto peccator et pecca fortiter, sed fortius crede et gaude in Christo, qui victor est peccati, mortis et mundi; peccandum est quamdiu sumus ...* (Bądź grzesznikiem i grzesz mocno, lecz wierz mocniej, a ciesz się w Chrystusie, który jest zwycięzcą grzechu, śmierci i świata; trzeba grzeszyć jak długo jesteśmy... List do Melanchtona 1521 r.), a jako dobry nauczyciel, wypełniał to, co głosił, i zacofaną katolicką moralnością nie krępował się wcale. *Ich fresse, wie ein Boehme und saufe, wie ein Deutscher, das sei Gott gedankt. Amen.* (Żrę jak Czech, a ciągnę jak Niemiec, za co niech będą dzięki

Bogu. Amen)—pisał do swej, wywleczonej z habitu, żony. W imię ewangelicznej miłości bliźniego, gdy chłopci chcieli skorzystać z głoszonej przez niego „wolnej ewangelii”, pisał, że: „wielki już czas, aby ich tępono, jak psy wściekle”, „bo—dodawał—osieł nie może się obyć bez kija, a motłoch musi być rządzony twardą ręką..” Taż powodowany miłością ewangeliczną, twierdził, że „należałoby schwytać papieża, kardynałów i ich stronników, wyciągnąć im jako bluźniercom języki z tyłu przez szyję i poprzybijać do szubienicy w takim porządku, w jakim przykładają pieczęcie swoje na bullach...” Świątobliwy reformator nadużył i krytyk „błędów katolickich” tak się przyzwyczaił złorzeczyć swym przeciwnikom, mającym—podług niego— „zadjablone, przedjablone i naddjablone serce i pysk kłamliwy”, że sam przyznawał: „gdy mam mówić: święć się Imię Twoje, muszę przytem powiedzieć: niech będzie przekłete, potępione, pohańbione imię papistów. Jeśli mam powiedzieć: przyjdź królestwo Twoje, muszę dodać: papiestwo niech będzie przekłete, potępione, zburzone. Zaiste, tak się modłę ustami codzieln, a w sercu bezustannie”. Nie zapomniał też o wolności myśli i rozumu ludzkiego, który poprostu nazywa „oblubienicą i pierwszą nałożnicą diabła”. O uniwersytetach zaś utrzymuje, że są to jaskinie zbójców, świątynie molocha i synagogi zepsucia: „szkoły wyższe zasługują

na to, aby je wszystkie na proch starto, bardziej piekielnej i djabelskiej rzeczy nie było od początku świata i nie będzie" ¹⁾). Krytykować wiarę i Pismo Święte wolno było, ale tylko jemu jednemu; wszyscy obowiązani byli przyjmować to, co on za prawdę uznał. „Nawet anioł z Nieba — utrzymywał Luter, nie mógłby nic w tej nauce zmienić, a tem mniej mogą o niej wyrokować papież i biskupi”; a gdy mu czyniono zarzuty dowolności w wykładaniu Pisma Świętego, odpowiadał: „jeśli jaki wasz papista gorszy się wyrazem *sola*, to powiedzcie mu od ręki: doktor Luter chce, aby tak było i dodajcie jeszcze: papista i osieć — jedno są: *sic volo sic jubeo, sit pro ratione voluntas*”. Na owoce tak zdrowej krytyki i w ten sposób oczyszczonej ewangelii nie trzeba było długo czekać: zaczął je zbierać już sam Luter. Przedtem — powiada — za papieztwa, każdy wspierał chętnie innych, teraz ludzie nauczyli się tylko zdzierać, jawnie łupić i kraść. Żyjemy w Sodomie i Gomorze — pisał do księcia Anhalckiego — wszystko z dniem każdym się pogarsza. Ktoby chciał rozpoczynać nauczanie, gdybyśmy naprzód wiedzieli, ile stąd wyniknie nieszczęścia, zgorszenia, zawichrzeń, bluźnierstw,

¹⁾ A biedni studenci czezą Lutra, jako patrona „wyzwolonej myśli” i szczególnego wszystkich szkół wyższych opiekuna! *O sancta simplicitas!*

niewdzięczności i złości?" A Melancton od siebie dodawał: „ogarnia mnie trwoga, przechodząca wszelkie pojęcie. Nikt nie okazuje takiej nienawiści do ewangelii, jak ci właśnie, którzy zdają się należeć do naszego stronnictwa". Gdyby patriarcha protestantyzmu żył do naszych czasów, miałby pociechę oglądania około 800 sekt protestanckich, z których każda czego innego nauczała, a wszystkie miały być nieomyłne. Przyjęła się też i inna zasada jego i wydała plon jeszcze bardziej zdumiewający. Ludzie doszli do takiej zarozumiałości i niewdzięcznej pychy, że nie chcieli na zdaniu d rra Lutra poprzestać, ale powiedzieli sobie: wolno jemu to wolno i nam. Więc też myśl „wyzwolona" wzięła zupełny rozbrat nietylko z powagą Kościoła katolickiego, ale nawet—Marcina Lutra, Melanctona, Zwingliusza, Kalwina, i ilu ich tam było nieomylnych krytyków i tłumaczy objawienia; powiedziała otwarcie, że innej powagi, prócz własnej, nie uznaje i że innej pewności rzeczywistej niema, prócz tej, jaką daje filozofia! Zbuntowany przeciwko Kościołowi protestantyzm doczekał się słusznego odwetu, jaki znowu w swoim czasie spotka filozofię, walczącą przeciw Bogu i Chrystusowi. Co prawda, nie było zgody między filozofami, jak nie było jej między teologami protestanckimi. Platonicy, perypatetycy, sensualiści, idealiści, sceptycy, deści, socjaliści—róznili się między sobą

bardzo znacznie i walczyli dość żwawo; wszakże, im dłużej filozofowali i bardziej się nie zgadzali, tem się gruntowniej upewniali, że oni właśnie jedni posiadają rzeczywistą prawdę; tem więcej brzydzili się objawioną religią i, w końcu, zgodzili się na to, że katolicyzm jest tak brzydkim zabobonem i taki wstyd sprawia oświeconemu rozumowi ludzkiemu, że koniecznie powinienby nareszcie być zniszczonym, rozproszonym i startym z oblicza ziemi, która już tylko światłością filozofii winna być oświecaną.

Tak rozprawiano długo, aż zjawił się mędrzec, który stanął na czele ruchu krytycznego i wydał okrzyk zachęty dla swych licznych zwolenników: *écrasez l'infame* („Zgnieście bezecną”—wiarę, kościół). Wprawdzie, dziś już nikomu nie tajno, że, jako filozof, Wolter prawił rzeczy zdumiewająco naiwne; wprawdzie oszukiwał on księgarzy i żydów, urągał niešťczęśliwym, a płaszczył się przed potężnymi; wprawdzie kradł świece u swego „brata w Belzebubie” (jak nazywał Fryderyka II) i całe życie rozpuście poświęcił, ale rozum ludzki i myśl wyzwolona winny mu wiekuistą wdzięczność za tę jego „szlachetną odwagę wobec zabobonu”, za jego okrzyk bojowy *écrasez l'infame* i za środek moralny skutecznienie tego: *calomniez mes amis, calomniez hardiment, il en restera toujours quelque chose* (Spotwa-

rzajcie przyjaciele, spotwarzajcie śmiało—zawsze coś z tego zostanie!). Więc też robota szła zwawo, słońce zdrowej krytyki wznosiło się coraz wyżej, chociaż wódz krytycznych zastępów nie doczekał południa. Zaledwo uapoteozowany, padł na łożo boleści, jak Antyoch Syryjski, i w kilka dni skonał w rozpacz, napełniwszy usta, z których tak wzniosłe wychodziły hasła, zawartością *de son vase de nuit* ¹⁾

¹⁾ Babington lord Macaulay kończy swe studjum o Barerze (Barère) bardzo dosadnie : „P. Carnot, uwziąwszy się na to, aby namaścić tę padlinę republikańską, zmusił nas do tego, żeśmy ją powiesili na szubienicy. Tuszymy sobie, że z wyżyn sromoty, na jakich umieściliśmy ją, nie łatwo mu ją będzie ściągnąć”. Człowiek tak nikczemny jak Bertrand Barère najzupełniej na nazwę padliny moralnej zastąpił, jakże jednak o wiele słuszniej mógłby do niej rościć pretensję Wolter, nad którego niema chyba w dziejach doskonalszego uosobienia wszystkiego, co się najgorszymi imionami w słowniku ludzkim nazywa. Człowiek umiejący zastanawiać się nad rzeczami, poznawszy życie Woltera i jego moralną wartość, z zamkniętymi oczyma, mógłby poznać sprawę świętą, prawdziwą i uczciwą: dośćby mu było wiedzieć kogo Wolter nienawidził i z kim walczył. Jednym z niepoślednich zaszczytów Kościoła jest, że takiego miał wroga i prześladowcę. Zauważę przytem, że lord Macaulay musiał jednak w gruncie być uczciwym człowiekiem, kiedy sądził, iż dość wykazać, że ktoś był łotrem, dość go powiesić na szubienicy, żeby go już z niej nie zdjęto. W uczonym i historyku dość dziwny optymizm... Ależ właśnie dla tego, że „padlina”, że wisi na

Śmierć wodza nie wstrzymała zwycięzkiego pochodu ku światłu; kość była rzuconą i Rubikon przekroczone. Stało się jasnym jak dzień, że nietylko zabobon katolicki, ale i dawny Bóg religii objawionej był na nic niepotrzebny i zawadzał; odkryto bowiem rzeczywiste i prawdziwego boga—był nim człowiek. Przekonano się, że grzech pierworodny i zepsucie natury ludzkiej, to były istne bajki, bo człowiek, z natury swej dobry, że pierwiastkowo był wolny, że żadnych nierówności socjalnych nie było i być nie powinno. Więc też wielka rewolucya wypisała na swych chorągwiach wzniosłe hasła i wzięła się do ich stosowania, do wyrzucania zabobonu, a rozsiewania czystej prawdy. Wiemy wszyscy, z jaką energią, roztropnością i miłością wywiązała się ze swego zadania. W imię „wolności”, rewolucya zabroniła wyznawania religii chrześcijańskiej, 40,000 księży wyjęła z pod prawa i 150,000 *ci devant nobles* zmusiła do ucieczki; w imię „braterstwa”, zabrała od kogo się dało jego mienie, a oddała „swoim ludziom”; zburzyła 20

szubienicy, tłumy takich samych i tegoż wartych ludzi zdejmą go ztamtąd, zrobią sobie z niego najcenniejsze relikwie, wyrzucą Boga z kościoła, a jego tam umieszczą, stawiać mu będą posągi i kult jego rozszerzać *Similis simili gaudet*. Patrzymy przecie na takie uczczenie „padliny“ od bardzo już dawna.

miast i 1,800 wiosek z plonami, ludźmi, budynkami; zniszczyła kilka tysięcy kościołów i t. d.; wypełniła 1200 więzień po brzegi. Wprawdzie, godło „równości”—gilotyna, pracowała od rana do nocy, ale więzień opróżnić nie mogła, bo miłość braterska zapełniała je znowu. Prawda, że nie brak zacofańców, którym te i inne owoce zdrowej moralności i zdrowego rozumu wydają się nieco podejrzanymi, ale kto idzie za „prawdziwym postępem”, ten nie może wątpić, że wszyscy owi pozbawieni mienia i rodziny, wszyscy poduszeni na okrętach i w więzieniach, ścięci na gilotynie i potopieni w rzekach, że te kobiety, które traciły rozum oddane przed zgonem na zabawę murzyńskich huzarów, albo germańskiego hufca, że, powiadam, wszyscy oni z uznaniem i zadowoleniem powinni byli przyjmować tak wzniosłe objawy równości i braterstwa, że się szczylicili tem światłem rozumu, jakim ich kraj jaśniał. Tak, w końcu rozum ludzki pozbył się zabobonu, klerykalnych ciemności i tym podobnych bredni, i doczekał bóstwa, którego wart był zupełnie. W chórze świątyni przez zabobonnych głupców wzniesionej z kamienia dzierganego jak koronka, (Nôtre Dame), sklecono „nową świątynię”—z desek i tektury. Cały Paryż, a na czele jego ojcowie ojczyzny, kroczy poważnie za boginią rozumu, w podkasanej spódnicy i w czapce frygijskiej—jest nią aktorka, niegdyś

nałożnica księcia de Soubise. Tu, „na siedzeniu ustanem zielonością, bogini wdzięki swoje roztacza i na przyjaciół swoich rzuca spojrzenia dobroczynne”; potem nastąpiły śpiewy i tańce, boczne kaplice, „zastonięte wielkimi kobiercami, zamieniono w lupanary”. Gdyby Francya miała wtenczas swego Dantego, mógłby on zastosować do niej okrzyk bezdennej ironii i goryczy florenckiego wieszca:

*Godi Fiorenza, poiche se'si grande,
Che per mare e per terra batti l'ali
E per lo Inferno il tuo nome si spande ¹⁾*

Rozum tryumfował i na wszystkie strony słał swe dobroczynne promienie, nie ominał więc i pewnego grodu nad Wisłą. Widzimy tam tajemniczą komnatę, (mędracy muszą, niestety, często kryć się przed wzrokiem profanów), przybraną w osobliwy sposób: jest tam „komin wieczności, brama do pałacu miłości, kolumna równości, sznur miłości, są i znaki miłości, jest i naczynie rozumu”, w głębi dwa stoły, zwane ołtarzami:—mąż siedzący przy jednym to „wielki mops”, niewiasta przy drugim—to „wielka mopsa”, kobieta przed nim: stojąca to kandydatka do wzniosłego i oświe-

¹⁾ Ciesz się, Florencyo, bo jesteś tak wielka, że ląd i morze objęłaś skrzydłami, i w piekle imię twe szeroko słynie. (Inferno Cant. 26).

conego stowarzyszenia: „frankmasonia reformowana mopsów”. Obecni są właśnie mopsami płci obojej. Po przebyciu rozmaitych prób, każą nareszcie kandydatce wybrać jedno z dwojga: czy pocałować w z... wielkiego mistrza, czy pieska mopsa. Takich używają postrachów, iż wreszcie pocałuje tu wyrażoną rzecz drugą. Potem, zdjawszy łańcuch z rąk (są słowa manuskryptu), do kółka w obróżce na szyi przyłączają i ciągną, jakoby psa, osobę próbowaną, przed ołtarz (gdzie wielka mopsa) dla przyrzeczenia sekretu pod najsroźszemi karami. (Enc. kość t. XIII, str 594). Tak uszlachetniały się, w końcu przeszłego wieku, niewiasty nasze, które nie czekając aż je „Świt” p. Konopnickiej z drzemki obudzi, same się ocknęły, śmiało wyzuły z zabobonu i fanatyzmu, a za to, zamiast całowania relikwii męczenników i innych niedorzecznych ceremonij, mogły uczestniczyć w chwalnych i rozumnych obchodach—jak powyższy.

Kiedy Luter wyzwolił myśl ludzką, przyniósł „prawdziwą ewangelię” i zreformował „zepsuty katolicyzm”, rozpoczęły się, wskutek powstałych stąd jasności i swobód, wojny i rzemie, które trwały półtora wieku. Co prawda, odpoczywali sobie od czasu do czasu zreformowani chrześcijanie, ale potem jeszcze raźniej do dawnej wracali roboty. Wynik praktyczny wyzwolonej filozofii XVIII wieku, rewolucya francuzka sprawiła na razie tylko 24-letnie wrze-

nie i mordy, ale z taką energią i na tak wielką skalę prowadziła ona swoje prace, że po ćwierć-wiekowych zapasach, Europa wyszła wycieńczona przez srogą anemię, silnie robiąc bokami i nieco do filozofii zniechęcona. Dogmat o bezwzględnej dobroci człowieka, mocno ucierpiał, materializm też z sensualizmem, równie stracili łaskę. Wyszędłszy z kałuży krwi i błota, chcieli ludzie odpoczynku i wzniesienia się w jakieś lepsze i czystsze sfery. Na ich doświadczeniu oparty, mógł znacznie później Veuillot powiedzieć swemu Coquelet'owi: „To szaleństwo rozszerzy się coraz bardziej wśród ludzi, którzy coraz bardziej brutalni, w coraz głębszą zapadną niewolę Maszynizm nałoży na świat w błocie ugrzęzły swe jarzmo z żelaza. Cocquelet'cie! Pod tem jarzmem, w tem błocie, nie będziesz trawił tak dobrze, jak się spodziewasz ¹⁾. Ponieważ pokazało się, że francuzcy filozofowie zbłądzili jako zbyt krewcy i do praktycznych konkluzyj zanadto pochopni, więc wystąpili z kolei niemieccy myśliciele i systematycznie a krytycznie zaczęli myśleć i medytować, a co wymedytowali, wnet ogłaszali drukiem. I dziwnych rzeczy dowiedzieli się zdumieni profani. Już Kant dowiódł był, że podmiot nie może poznać dokładnie przedmiotu, więc Fichte wykazał, jak na dłoni, że poznać go nie można,

¹⁾ *L'artum de Rome* v. I ch. I.

bo żadnego przedmiotu niema i, jako żywo, nigdy nie było, ale jest *jaźń* i *niejaźń*, która to ostatnia stąd powstaje, że jaźń „musi się ograniczać, to zaś czyni, sadowiac w sobie rozmaite niejaźnie, na które nieskończona jej działalność napotykać, odbija się niejako, wraca do siebie (reflektuje) i w tem to odbiciu pozna je już to siebie, jako jaźń ograniczoną i względną, jużto niejaźń, jako swoją granicę...” i t. d. Dowiódł, że ludzie, to właściwie nie są ludzie, ale że „rozwój idealny jaźni odbywa się w wielu razem liniach albo kierunkach, że wiele niby promieni tej absolutnej jaźni odbija się o rozmaite niejaźnie i stąd powstaje mnóstwo względnych i ograniczonych jaźni czyli świadomości empirycznych”. Schelling poszedł jeszcze dalej i doszedł aż do najwyższego absolutu, którym jest bezwzględna tożsamość jaźni i niejaźni, myśli i bytu, ducha i natury, wreszcie skończoności i nieskończoności, przedmiotu i podmiotu zarazem. Pozostawał już tylko jeden krok do zrobienia—i zrobił go Hegel. Wytłómaczył on, że jedynym bytem jest ogół, który objawia się jedynie w myśli ludzkiej, że zatem niema nic na ziemi i w niebie rzeczywistego, jeno myśl—reszta wszystko ułuda. „Wszystko jest idea, a idea wszystkim”¹⁾.

¹⁾ Według: „Filozofia i jej zadanie” Ks. M. Morawskiego.

Doszedłszy do tak oczywistej prawdy i na tak niedostępnych burzom stanąwszy szczytach, krytyczni zwolennicy myśli, ze średniowiecznych niedorzeczności i zabobonów wyzwolonej, z niezmierną dumą i pogardą patrzyli na naiwnych katolików, którzy w niewytlómaczonym zaprawdę zaślepieniu i grubym prostactwie, nie wierzyli w bezwzględną tożsamość jaźni i niejaźni. nie uznawali człowieka za „świadomość empiryczną ograniczającej siebie nieograniczonej jaźni”, ani Trójcy Świętej nie chcieli brać za jedno z heglowskim: „byt, niebyt i stawanie się”. To też lada student uważał siebie za nieskończenie wyższego od wszystkich razem Hieronimów, Bazylich, Tomaszów — i był najszcześniejszym, że jego „stawanie się i empiryczna świadomość ograniczonej jaźni” wypadła właśnie teraz... Tymczasem Hegel przestał „stawać się i chwilowo przeszedł do niebytu”, czyli, mówiąc poprostu, umarł, a ponieważ z uczniów jeden tylko go rozumiał, i to niezupełnie, i — co najważniejsza — nie było już dokąd iść, ani co dalej rozwijać, więc filozofia transcendentalna stanęła.

Ludzie wtenczas zaczęli przychodzić do siebie od tego oszołomienia i oślepienia transcendentalną mądrością i, co gorzej, przekonali się wkrótce, że była ona transcendentalną niedorzecznością. a nieomylny wyzwolony rozum ludzki poznał dowodnie, że ta jego tak wysta-

wiana wolność posłużyła tylko, po raz niewiadomo który, do tego, że zaszedł na manowce bez wyjścia.

Nie było rady, trzeba było wracać na szlaki chrześcijańskie lub też do materyalizmu zeszłego wieku. Wrócił do chrześcijaństwa? Wprawdzie materyalizm okazał się niedorzecznym, transcendentalizm—również, ale wrócić do chrześcijaństwa to znaczyło przyznać, że jest rozum wyższy nad ludzki i że go słuchać potrzeba... O! jako żywo! lepiej wrócić do błota!... Więc też wrócono do tego, co przed półwiekiem było za głupstwo uznane i rozpoczęła się krwawa praca by dowieść, że, po kilkudziesięciu latach, to głupstwo stało się jedyną i najwyższą mądrością. Przygotowawcze prace były dawniej skończone. „Wszystko, co dzisiaj w tej mierze wymyślono, poczynwszy od rodowodu człowieka od zwierzęcia, aż do bezecnego porównania myśli do wydzieliny nerek, już to La Mettrie i Cabanis powiedzieli. Wszystkie argumenta Bűchnera za wiecznością materii i przeciwko istnieniu Boga czytać można w sławnym płodzie przeszłego wieku: *Système de la Nature*... La Mettrie bez ogródki głosi, że najwyższe dobro człowieka jesz rozkosz, że wolność woli jest chimera, że wiara w Boga, to najgrubszy przesąd człowieka. Klaudyusz Helwecyusz dodaje, że przyjemność zmysłowa jest jedynym bodźcem czynów ludzkich, że

moralność nie powinna występować przeciw namiętnościom i egoizmowi, gdyż są one wymaganiem tak osoby jak i społeczeństwa, że zwyciężanie samego siebie jest niedorzecznością i grzechem przeciwko naturze, że cnota zależy na subiektywnym interesie, a religia zamiast odwozić od dóbr ziemskich, powinna do nich przywiązywać; zatem w końcu, ze wszystkich religij najmniej szkodliwą jest pogańska, bo zależy jedynie na allegorycznym czczeniu natury. Na dobitkę, autor „Systemu Natury”, uważa przypuszczenie Boga za czyście szaleństwo, szkodliwe umiejętności i społeczeństwu; samo słowo Bóg—ma być z mowy ludzkiej wykluczone—dobro moralne znaczy to samo co pożytek, a zło, to samo co szkoda... każda namiętność jest uprawnioną; prawa na to są, aby odwrócić człowieka od szkodenia innym przez silną reakcję, jaką groźba kary wywiera na jego mózg... i t. d.”¹⁾

Na takim podkładzie i w tym kierunku zaczęła pracować myśl ludzka, drwiąc z filozofii i zaprzeczając jej, jak ona niegdyś teologii, prawa do bytu i życia, które należy się tylko i jedynie nauce. Odtąd niema innej pewności, prócz naukowej; co naukowo t. j. dotykalnie dowiedzionem zostanie—to będzie pra-

¹⁾ Morawski. Filozofia str. 155.

wdą, a ponieważ metafizyka i naogół filozofia, najmniejszej do tego pretensyi rościć nie mogą, więc kto chce praw ludzkich używać, ten niech wobec nauki milczy o filozofii. Tak to „wyzwolona z więzów dogmatyzmu myśl ludzka” doczekała się należytej odprawy. „Wszelkie prawdziwe przyrodoznawstwo, twierdzi Haeckel, jest filozofią, a wszelka prawdziwa filozofia jest przyrodoznawstwem”—poza tem, jest tylko poezya i ufuda. Nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć, że przyjdzie chwila (jeśli tak dalej pójdzie), że nauce w ogólności, a przyrodoznawstwu w szczególności, powie człowiek: wszelkie prawdziwe używanie jest nauką, a wszelka prawdziwa nauka jest używaniem. Tak bywało już dawniej nieraz, tak jest i teraz nie w jednym miejscu, a i wśród nas ucywilizowanych, bardzo często słyseć można zdanie, że cała nauka nie warta jednej wesolej kolacyjki... I racya. Kto uwierzy, że jest, jako pies i koń, zwierzęciem bez życia i celu pozagrobowego, ten bardzo logicznie postąpi, nie łamiąc głowy nad nauką, lecz używając świata pokąd służą lata. Uczony materyalista, Leconte de Lisle, upewnia, że już teraz rozumiał „wstyd, że myśli, i okropność, że jest człowiekiem” (*la honte de penser et l'horreur d'être un homme*). To nie tylko logiczne, ale i konieczne następstwo drogi, na jaką wszedł „wyzwolony” rozum ludzki. Jak tam determinizm, pozytywizm, materyalizm,

monizm i inne tego rodzaju kierunki pracowały, przypominać nie trzeba, bo to są rzeczy współczesne; zbyt późnym jednak nie będzie rzucić, choćby na chwilę, okiem na rezultaty filozoficzne tych kierunków; stworzyły one bowiem swoją filozofię, choć filozofią pomiatają. Otóż ta naukowa filozofia przede wszystkim głosi, że dogmaty chrześcijańskie — na prochu skruszone, i że między nimi a nauką — otchłań nigdy nie zapełniona. Czy doprawdy tak źle jest z zasadami chrześcijańskimi — to rzecz inna, ale że sprzeczności większej wymyślić niepodobna jak między wiarą Chrystusową a wiarą teraźniejszej materialistycznej doktryny i zarazem między owocami pierwszej i drugiej, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Chrześcijanin wierzy w Boga osobowego, nieskończenie doskonałego i świętego, twórcę świata i człowieka. Uczony pozytywny nic o tem nie wie, bo powiada, widzieć ni dotknąć się stwórcy nie mogą. Materialista wprost twierdzi, że Boga niema, a dowodzić Jego istności można tylko za pomocą wykrętych sofizmatów. Świat, podług nas, został stworzonym w czasie, oni utrzymują, że materya wieczna, że żadnej celowości w naturze niema, lecz wszystko powstaje nieświadomie (Hartmann: *Theorie des Unbewussten*) i niewiadomo dokąd dąży; żadnego nieba — tembardziej piekła — niema, to strachy na dzieci, bo życia zagrobowego być nie

może—człowiek żyje tylko dla ziemi. Marzenia o jakimś zagrobowym celu człowieka, nie mają żadnej naukowej podstawy, bo jest on zwierzęciem jak mała lub pies, różni się od nich tylko ilością, nie jakością władz i przymiotów. Nagradzać go i karać niema racji, ni powodu, bo, najpierwej jest on machiną pozbawioną woli i z konieczności zmuszoną robić źle lub dobrze. a powtórę, karać go lub nagradzać po śmierci, nawet nie sposób, bo to, co dawniej zwano duszą, jest poprostu w pewien sposób uorganizowaną materią, a jej władze to własności i zjawiska materialne; myśl, którą tyle wojowano przeciw nam, jest tylko subtelnym ruchem cząstek mózgowych. Ponieważ niema woli, więc zbrodniarzy trzeba leczyć—nie karać... ¹⁾ i t. d. i t. d. Ostatecznie z dawnego człowieka nic nie

¹⁾ Czytelnicy moi, bez wątplenia wiedzą, jak się ta zasada na Zachodzie praktykuje; tu przypomnę tylko, że w tym samym roku, a podobno i miesiącu, w którym we Francji rozpędzono i wypędzono zakonników za to, że jak wyraził się któryś minister, „istnienie ich jest przeciwne uczuciu narodowemu”—powrócono z Kajenny zbrodniarzy, którzy w czasie komuny rozstrzelali zakładników, wznieśli wojnę domową i spalili Paryż, wobec stojącego jeszcze załogą dziedzicznego wroga—uczucie narodowe nie przeclwko temu nie miało. Historia Jezusa i Barabasza powtórzyła się wyraźnie... Czy też i dalsze następstwa powtórzą się także.

zostało. Mniemany król stworzenia, przeznaczony do wiecznego szczęścia wśród duchów czystych i świętych, sam podniesiony i oczyszczony zamieniony został na człowieka—machineę, rodzaj wieprza rozumnego i w tem wyższego od czworonoga, że za pomocą rozumu umie sobie zdobyć największą sumę rozkoszy; hołdując bezkarnie Bachusowi. Afrodycie i Plutonowi, w dodatku, leżąc w kałuży, może uważać siebie za mądrość najwyższą i rzeczywistego boga. To ostatnie stanowi właśnie najważniejszą „zdobycz naukową” i wszystkie wysiłki były i są ku temu tylko skierowane, żeby ze świata wypędzić „nadprzyrodzoność” (*le surnaturel*), żeby znowu jakim sposobem Bóg nie ukazał się i nie zapanował nad ludźmi. „Raczej od algi, byle nie od Boga, raczej do nirwany, byle nie do Boga”—to ich hasło i główna zasada.

Tak udoskonalony, nauczony i wolny od zabobonu człowiek nie walczy za cnotę, nie drze się w niebiosy, ale trawi spokojnie i śpiewa z chińczykiem Kremera, sławne, pełne zachwycenia słowa mędra Tin-ki-szi:

O jakżem szczęśliw, żem się w Chinach rodził!
O jakżem jest szczęśliwy!
Mam dom, w którym sobie mieszkam,
Mam sobie co jeść, mam co pić,
Mam wszystkie życia wygodki,

Mam i suknie, mam i czapki!

O jakżeż błogie szczęście stało się moim udziałem ¹⁾.

A gdy już śpiewać nie będzie mógł, tedy zamknie oczy... i „pogrzebem osłowym pogrzebion będzie” ²⁾ i tylko chwalcą Renaua, ku pouczeniu pozostałych, napisze o nim w „Kuryerze Warszawskim”, „że spełniło się gorące zmarłego życzenie, aby los oszczędził mu pod koniec życia zaćmień i upadku umysłu”, t. j. powrotu do chrześcijaństwa.

Nikt chyba nie wątpi, że powyższe zasady teoretyczne nie mogły nie odbić się w praktyce, boć przecie głównie ze względu na praktykę, tak mozolono się nad wynalezieniem teorii. Ciekawą więc byłoby rzeczą wykazać, jakie też skutki przyniosły ludzkości, od wieków tyłu stosowane, nieomyłne recepty mądrości, postępu i szczęścia, jak wygląda ona po tylu operacjach odbytych na tej biednej *anima vilis*.

Obecny stan ludzkości, zwłaszcza w Europie, jest dość znany, nie zaszkodzi jednak posłuchać o tem zdania, nie kogoś ze wsteczników i naiwnych, lecz najskrajniejszego z ateuszów, który miał odwagę wypowiedzieć otwarcie to, co miliony myślały (jak twierdziła prasa

¹⁾ „Listy”. T. 2, list XIV.

²⁾ Jerem. XXII. 19.

antychrześcijańska). „Zdawałoby się, że świat ucywilizowany, jest to królestwo postępu z jego olbrzymimi stolicami i miastami fabrycznymi, ze wspaniałe urządzonei miejscami kąpielowemi i stacyami leczniczemi, z okazałymi pałacami, hotelami i uniwersytetami, z teatrami, giełdami i szkołami, ze świetnymi willami i niezliczonymi zakładami rozrywek wszelkich, zabaw, uciech, ze wzrastającym ciągle zbytkiem”. Nordau chwali się, że zna świat cały ucywilizowany i powiada o nim: „kultura terażniejsza jest jednym olbrzymim szpitalem, na którego łóżach wiją się cierpienia we wszystkich swoich kształtach, a którego powietrze zapełniają jęki straszliwe”. „Ludzkość ucywilizowana—powiada on dalej—powtarza na wielką skalę to, co robi jednostka, usiłująca we flaszcze utopić smutki swoje i troski. Samobójstwo wzmaga się wszędzie, zwłaszcza w krajach z wyższą cywilizacją, w takiej proporcji, w jakiej wzrasta używanie alkoholu i materji narkotycznych... stąd pochodzi coraz bardziej upowszechniające się używanie opium i morfiny; dla tego ludzie ukształceni poszukują wszelkich środków odurzających i drażniących, jakich dostarcza im nauka; tem się objaśnia, że oprócz alkoholistów i moriomanów, mamy już nałogowych pochłaniaczy chloralu, chloroformu i eteru.

„Walka o byt przybrała w nowożytnem społeczeństwie, postać dziką i szatańską, jakiej

nie miała w dawniejszych czasach... Walka ta już nie jest ścieraniem się uprzejmych i przyzwoitych przeciwników, ale zajadłą bójką odurzonych krwią i winem siepaczy, którzy nieubłaganie godzą w siebie, a pardonu ani oczekują, ani dają..."¹⁾). Rezultaty rzeczywiście świetne! Hej! a nie ma tu gdzie bezwyznaniowego poety lub jakiej ultra-postępowej wieszczki? Niech uderzą w bardon i tryumfalne zanucą hymny, sławiąc spełnienie tak długo obiecywanych snów złotych, nieomyłne wyniki rozumu, brzydzącego się fanatyzmem i zabobnem, chwalać wreszcie rozum leżący wygodnie w błocie, a taki logiczny, a taki świetny! Albo raczej powiedzmy prawdę, bez figur retorycznych: jeśli zestawimy te nieustanne krytyki od pięciu zwłaszcza wieków, chrześcijaństwa w ogólności, katolicyzmu w szczególności, te przechwałki z własnej nieomyślności, zapowiedzi szczęścia zupełnego dla wszystkich, te doktryny i teorye jako szczyt i wyraz ostate-

¹⁾ Max Nordau. *Die conventionellen Lügen der Culturmenscheit* Cyt. z „Przeglądu Katolickiego” 1886 roku Nr. 44. Ubliżyłbym postępowej logice, gdybym zapomniał dodać, że Nordau bynajmniej nie radzi rozstać się z zasadami, które tak piękny plon wydały; owszem chce, żeby je jeszcze bezwzględniej stosowano. Lekarstwo szkodzi i sprawia konwulsye, więc... więc oczywiście trzeba dozę podwoić! Rzecz jasna i prosta!

cznej mądrości, co kilkanaście lat podawane z nędznymi rezultatami, jakie one wydały, jeśli pomyślimy, że na zapytanie co do najpierwszych i najważniejszych zadań ludzkości, trapiących ją od początku, ostatecznie otrzymaliśmy odpowiedź, że wszystko jest głupstwem, oprócz *Wein, Weib und Gesang*, to doznajemy uczucia, jakie zwykle się rodzić, gdy góra mysz nędzną na świat wyda; a powstaje ono z taką siłą, że niema w mowie ludzkiej wyrazów dość dosadnych satyry, ironii, śmieszności dla oddania tego uczucia... i możnaby się śmiać z tych pretensyj, z tego *ridiculus mus* ¹⁾ śmiechem bogów Homerowych, gdyby ta cała komedia, czy farsa, nie miała odwrotnej strony arcy smutnej. Za temi bowiem bałamuctwami poszły tłumy, tym obietnicom wierzyły miliony, te brednie w czyn bywały wprowadzane przez narody całe; dla pychy, nieuctwa, rozkielzanych namiętności marzycieli, fanatyków, intrygantów i złodziei publicznego grosza, mordowali się ludzie przez lat dziesiątki, pławili się we łzach i krwi swych braci... Teraz ich czarna pochłonęła przeszłość, ale nad nią świeci zawsze łuna, jak krew purpurowa i zdaje się, widać te niezliczone chmury gnane, jak w piekle Dantejskiem, burzą, bez chwili wytchnienia,

¹⁾ Śmieszna mysz.

gdy lecą *come i gru cantando lor lai*¹⁾ i zda się słycać ich „placz bez końca, rozdzierający serca, jak wycie morza miotanego burzą”. Otóż, kiedy to wszystko stanie w pamięci, kiedy zaczniemy jedną po drugiej przewracać karty historii, a na nich czytamy wypadki i imiona jedne od drugich straszniejsze, kiedy przypomnimy, że miliony żyły i pomarły w błędach największych, a inne, unurzane w kale występuku a krwi i łzach bliźniego, stanęły przed Sędzią ‘swoim, wtenczas zrywa się tak straszny uragan zgrozy, przerażenia i bólu, że gdyby pierś ludzka była ogromną jak łóżysko oceanu, jeszczeby dla niego była za małą. Na jeden tylko okrzyk wtenczas zdobyć się można, okrzyk Psalmisty: „Osądź ich Boże!”, i tylko wiara silna w to, że przyjdzie dzień w którym się sąd ów spełni, zażegnać może tę burzę:

*Judex ergo cum sedebit,
Quiquid latet apparebit,
Nil inultum remanebit*²⁾.

A cóż się stało z owymi naiwnymi chrześcijanami, których zostawiliśmy palonych i de-

¹⁾ „Jako żórawie, ‘ęskne jęki nucać”. *Div. Com. Inferno. V.*

²⁾ Gdy więc sędzia zasiędzie
Wszystko skryte na jaw wyjdzie
Nic bez kary nie zostanie (z *Vies Irae*).

ptanych w cyrku lugduńskim? jakie losy tych ludzi w ciągu kilkunastu wieków, ludzi przez niezliczonych mędrców ogłaszanych za naiwnych, prostaków i głupców? Chrześcijanie przez półtora wieku jeszcze ginęli za wiarę, aż w końcu we krwi swojej utopili poganizm (ich krytycy są o wiele rozumniejsi, bo także krwi nie żałują, lecz cudzej—nie własnej) i wynieśli Krzyż Chrystusowy na szczyty świętyń i na czoła monarchów. Zaledwo ustały prześladowania krwawe, gdy się zewsząd podniosły błędy, wspierane bardzo często znowu dowodami tortury i jak dym wychodzący ze studni¹⁾ napęłniły świat cały. W czasie prześladowań kryły się one roztropnie za plecy naiwnych, co ginęli w katuszach, teraz wyszły z ukrycia i domagały się panowania nad światem, mówiąc do katolików: „murzyn swoje zrobił—murzyn może odejść”. Prostaczkowie i naiwni nie dali się jednak uwieść; przeróżne herezye i sekty ginęły jedna po drugiej w zapomnieniu i rozkładzie—oni poszli dalej z dawnym wyznaniem wiary na ustach; a czekały ich ciężkie trudy i walki niemałe. Musieli znieść najścia barbarzyńców—znieśli; musieli z dawnych okrucich i niesfornych a surowych materyatów budować nowe społeczeństwa—zbudowali. Gdy powstałi

¹⁾ Apoc. IX. 2.

egiści, humaniści i renesans, katolicy nauczyli się prawa, mówili pięknie po łacinie, budowali piękne kościoły i piękne malowali obrazy, ale do poganizmu nie zawrócili, ani „głupstwa krzyża Chrystusowego” nie zamienili na mądrość sofistów, ani na piękność Afrodyty Anadyome-ne. Luter rozpoczął swą działalność, groził i przeklinał, a umierając napisał na ścianie: „byłem tobie zarazą, papieżu, za życia, śmiercią ci będę po śmierci”—nie zgadł! Właśnie cały ferment, spowodowany protestantyzmem, był powodem nowego odrodzenia się katolicyzmu, który wzrósł, zmęźniał, rozrzerzył się, zawsze jeden, zawsze ten sam; gdy protestantyzm, już za życia swego twórcy, zaczął się dzielić i rozpadać na części, co czyni aż dotąd. Nadeszło panowanie szydzącej, kłamliwej filozofii encyklopedystów, a za nią, grzmiąc i niszcząc, nadciągnęła rewolucya i zatopiła wszystko wraz z tronem i ołtarzem. A gdy po latach kilku opadły krwawe fale, okazało się, że wszystko dawne przeminęło, a powrócił tylko ten sam ołtarz co dawniej i ten sam w każdej katedrze starzec we fioletach siedzący pod baldachimem biskupim ¹⁾). Gdy później wielcy niemieccy filozofowie, a w ich ślady i inni mniej głośni,

¹⁾ Myśl wzięta z pamiętników Markizy de Crequi. Wprawdzie nie są one podobno autentyczne, ale myśl prawdziwa.

wdzierali się na szczyty idealizmu i ginęli we mgle powstałej z germańskiej mądrości, „naiwni i prostaczkowie” kiwali na to wszystko głowami i doczekali się, że mgła znikła, a okazało się to, co okrywała, w całej nagości—brak zdrowego rozsądku. Słowem przez krwawe burze, przez mgły błędów, przez zasadzki podstępne, wyszydzani, obrzucani błotem i kamieniami, „naiwni prostaczkowie” przeszli aż do naszych czasów i w kończącym się już wieku (nie mówiąc o dawniejszych) pogrzebali wielką ilość wieszczów, wieszczących im niechybną śmierć i zagładę. Wieszczowie zginęli, a oni nietylko żyją, lecz się do silniejszej i obszerniejszej działalności zabierają, nietylko nie rozpadają się, lecz przeczuwają czas nowego rozkwitu. Chrześcijanie nietylko nie dali się uwieść ani zastraszyć *ateistycznej* nauce, lecz owszem, długą walką i doświadczeniem wyrobieni, coraz natarczywiej swych przeciwników cisną do muru, coraz żywiej i głośniejsze domagają się, by światu świeciła, nie wrzekoma nauka bez Boga, nieprawe dziecię roznamiętnionych sofistów, ale Ten, który sam jest drogą, prawdą i żywotem, ale ta wiara i ta nauka, które jak dwa promienie, od jednego środka i jednego słońca pochodzą. Tłumy zbuntowanych „przeciwko Panu i przeciwko Chrystusowi Jego” idą, zebrane pod jaskrawym sztandarem, na którym wielkimi literami wypisano: *nauki ścisłe i bez-*

wyznaniowość... Ale na tem samem miejscu wczoraj widniało: filozofia i liberalizm, zawczoraj Wolter i rewolucya, jeszcze dawniej, *purum evangelium* Lutra i towarzyszy jego i t. d. Przeciwko nim stają chrześcijanie z tą samą zawsze chorągwią i tem samem hasłem: „Jezus Chrystus wczora i dziś, ten i na wieki”¹⁾, a na tej chorągwi niezliczone imiona wygraných walk i przemożonych wrogów, od Nerona i Ebionitów do Döllingera i kulturkampfu; stoją i coraz natrętniej domagają się odpowiedzi na pytanie: dla czego wiara, która przeszła zwycięzko próbę dziewiętnastowiekowej walki, ma nie mieć racyi bytu i naukowej, na prawdziwie opartej podstawy, a mają ją mieć przeciwne jej teorye, rodzące się jak grzyby po deszczu, nic prócz hipotez na swą obronę nie mające?

Rzeczywiście pytanie jest największej wagi, a zadawalająca odpowiedź niemożliwa. Przypuśćmy, że niedaleko potężnego dębu bujnie rozrosły się przepyszne muchomory; przypuśćmy dalej, że się im zachciało twierdzić, iż dąb stojący lat 300 niema korzeni, nie ma racyi bytu, nie jest nawet rośliną, bo w nich tylko wszystko właściwe roślinie jest zebrane: coby też na to zdrowy rozsądek owym zarozumiałcom odpowiedział? Wprawdzie jaskrawym świe-

¹⁾ Hebr. XIII. 8.

cą kolorem, ale trują, i jeśli je pręt dziecka lub kopyto przechodzącego bydłęcia nie strąci przed czasem, żyją zaledwo parę tygodni i próchnieją potem. Ten sam wypadek zachodzi między wiarą, a co lat kilkadziesiąt odmieniającymi się jej przeciwnikami. Dawniej herezye teologiczne trwały przynajmniej lat 200—400 i mogły się względnie długim życiem pochwalić; prądy filozoficzno-naukowe zmieniają się co lat 50, i to ma być niezmienną prawdą, dobrem i światłem zajmującym miejsce Chrystusowego Objawienia?

Credat judaeus Apollo!

W tem miejscu muszę się trochę zatrzymać, żeby odeprzeć pewien zarzut, jaki niechybnie wisi nad moją głową: zarzut poniewierania prawami. potęgą i zdobyczami rozumu ludzkiego. Weszło w zwyczaj, w obowiązek nawet, o rozumie ludzkim mówić i pisać nie inaczej, jak na klęczkach i z trybularzem w ręku; nie można wziąć książki lub artykułu dziennikarskiego do rąk, by się nie spotkać z dytyrambem na cześć rozumu naszego i zdobyczy przezeń już dokonanych, lub mających się dokonać, a kto poważy się wyrazić jakąś w tym względzie wątpliwość, na tego wydaje się najsurowszy wyrok, jak za *crimen laesae majestatis*.

Choćbym miał być najsurowiej sądzony, przyznam, że oddaję rozumowi, co mu się należy, ale co do jego wielkości, mam niejedno *dubito* i *distinguo* (wątpię i rozróżniam). Po-

pełniają bo się u nas, pod względem oceny sił rozumu, dwa bardzo ważne błędy. Najpierwej wskazuje się na wszystko, co ludzki rozum zrobił, czego doszedł i tę zdobycz ogólną rodzaju ludzkiego, uważa się za osobistą własność każdego człowieka, jak gdyby każde indywiduum, było spadkobiercą całej dotychczasowej mądrości wszystkich ludzi. Powtórę, przyjętem jest ogólnie uważać, że ponieważ rozum ludzki w pewnych kierunkach okazał wielkie zdolności, więc i we wszystkich tegoż samego dokazać może.

Są to ważne błędy i prowadzą do fatalnych następstw. Siła rozumu ludzkiego, jest taką jaką była, gdy Salomon twierdził, że „głupich jest poczet nieprzeliczony”, bo, jak z tego, że termity wznoszą ogromne kopce wspólnymi siłami, wcale nie wypada, żeby siła pojedynczej mrówki, była do tego wystarczająca, tak też ogólny dorobek całej ludzkości, ułatwia wprawdzie bardzo rozwój pojedynczej inteligencji, ale nie daje jej najmniejszego prawa do tego, żeby, patrząc na siłę składową wielu wieków i pokoleń, przypisywała to wszystko sobie. Powtórę, z tego, że człowiek pobudował mosty tam, gdzie dawniej orły tylko latały, wymyślił telegrafy i telefony, wcale nie wypływa, żeby pod każdym względem mógł dojść do tak samo świetnych rezultatów. Można być doskonałym mechanikiem, a lichym filozofem,

wybornie grać na skrzypcach, a mylić się w mnożeniu i t. d.

Tak też w rzeczy samej było i jest z rozumem ludzkim. Pracując usilnie, nauczył się on i dowiedział wielu rzeczy, i to mu zaszczyt przynosi, jak każdy rzeczywisty i uczciwy dorobek. Zupełnie jednak inaczej wyglądają zdobycze jego na polu filozofii, gdzie daleko trudniej szła sprawa, bo wahań się i błędów było więcej niż nabytków. Jeszcze zaś gorzej było z religią. Tutaj, nietylko umysł ludzki samodzielnie do żadnych zadawalniających nie doszedł rezultatów, ale nawet, skoro się od Wiary prawdziwej oddalił, to powierzonych mu prawd nie umiał dochować. Jeśli rozum ludzki chciał być wiernym i uznawał nad sobą wyższość rozumu Bożego, działalność jego była błogosławioną i nader obfitą. Nie zawsze jednak tak było. Równoległe bowiem do wierzących, szli zawsze ludzie, którzy za pierwszy warunek kładli pewnik, że rozum człowieka powinien iść inną drogą niż rozum Boski; wiedzeni nieprzepartą jakąś namiętnością obalenia prawd objawionych, stawiali oni przez wieki całe naprzeciwko wiary, zawsze w imię rozumu i nauki, najdziksze teorie i najpotworniejsze czyny, które ze wszelką słusnością mogłem do muchomorów przyrównać. Względem tego to rozumu ludzkiego, zasadniczo przeciwnego Bogu i wierze, pozwalałam sobie najzupełniej-

szego sceptycyzmu i lekceważenia. Niezliczone niedorzeczności i błędy, których kilka na próbę przytoczyłem, w zupełności ten pesymizm usprawiedliwiają.

Otóż, pomimo oczywistej pewności, że to co ciągle ginie niema źródła życia w sobie, co ustawicznie okazuje się fałszem, nie jest nieomylną prawdą, co ustawicznie upada, nie jest potężnem, co ustawicznie zwodzi, na zaufanie nie zasługuje; pomimo tego wszystkiego, każda nowa teoria przeciwna wierze może być pewną rozgłosu i zwolenników; rozum ludzki zawsze jest uważany za nieomylną wyrocznię, a wiara Chrystusowa za zbiór doktryn, jeśli nie zupełnie złych, to bez żadnych dowodów, tak sobie na łasce i dobrej woli ludzkiej będących. To, powtarzam, jest faktem zdumiewającym, bo chociaż rzeczywiste prawdy naukowe nie ulegają zaprzeczeniu, jakż dowód dadzą nam nasi surowi krytycy, że teorye przez nich głoszone, są w samej rzeczy prawdami naukowemi, że oni je należycie pojęli, dowiedli i, co najważniejsza, że prawidłowo rozumują, wyprowadzając z nich swoje wnioski? Jeśli wszyscy przed nimi mylili się, zkąd im nieomylność?

Wolter jednak znał niezłe naturę ludzką, gdy zachęcał swych przyjaciół: *mentes hardiment, il en restera toujours quelque chose*. Tak długo i z taką pewnością rozpra

wiano o potędze rozumu i nieomyślności nauk i tak uporczywie i namiętnie szkalowano wiarę, tak głośno i na wszystkie świata strony trąbiono o wiecznej rozterce między nią i nauką, że w końcu uwierzono temu.

Nieomyślność nauki (a pod tą nazwą wszędzie przemycano naukę ateistyczną), bezpodstawność naukowa wiary i wiekuista zasadnicza między nimi niezgoda, stały się dogmatem i pewnikiem naukowym w wielu umysłach. Wierzą temu materyaliści i bronią tego zażarcie—nic dziwnego, boć to jedyna ich deska ocalenia i racya bytu; wierzą temu umysły i serca słabe, nie mające odwagi osobiście sprawdzić, czy tak jest rzeczywiście, wierzą temu dość często, co dziwniejsza i smutniejsza, nawet ludzie religijni: nie zapierają się oni wia-ry, wiedzą, że bez niej żyć i zbawić się nie można, ale wobec pychy pseudo-naukowej, są jak ludzie z ubogiego stanu wyszli, co nie śmieją przyznać się do swej starej matki, bojąc się szyderstw i szykan kolegów. Wmówiono bo w siebie, że nasz wiek jest *par excellence* krytycznym; na wszystko, co nie jest nauką, czyha jakoby owa straszna, zębata naukowa krytyka i zetrze je na proch i popiół, a ponieważ chrześcijaństwo w oczach tych pocziwych a zakrzyczanych jego wyznawców niema naukowej broni, więc... kryje się wstydliwie w pier-siach prostaczków i oni tylko, w tym naszym

krytycznym wieku, wierzyć mogą szczerze, głęboko, serdecznie i żywo. Dobrze im z tem, ale zato oni—nie myślą, że żyją umysłowo.

Wobec takiej smutnej alternatywy, francuzki poeta, mówiąc o rozumie, powiada:

Pas de milieu pour elle: esclave ou révolte ¹⁾).

i nie widzi wyjścia ze smutnej antytezy:

Croire sans comprendre, ou mourir sans espérer ²⁾).

Więc i p. Konopnicka wzdycha:

„Duch mój uderza w skrzydła i ulata,
„Gdzie wiekiistość bezsennem spojrzeniem
„W ciemnościach czuwa nad nędzami świata.

(Dla czego w ciemnościach?).

.
I

„Chciałby przeniknąć bytu tajemnice.
„Jak ci co wierzyć chcą ale nie mogą.

Ba! nawet jakiś nieznany wierszokleta skarżył się niezbyt dawno światu:

„Wiem, że wierzącym szlak prościej się ściele,
„Że ufający łatwiejszą ma drogę.
„Lecz raz wzleciawszy orłem skrzydłem myśli,
„Snem gąsiennicy zasnąć już nie mogą.
„Zanadto dumny by ludzić sam siebie,

¹⁾ Coppée. „Niema dla niego wyboru: niewolnik albo buntownik”.

²⁾ Wierzyć nie pojmując, albo uwierać bez nadziei.

„Choć niema rozpacz pierś pali zarzewiem,
„Snów niemożliwych, nie umieszczam w niebie
„I przed zagadką bytu mówię, .nie wiem”¹⁾).

Przejawów takiego przekonania o niemocy wiary, jako nauki, wobec nowoczesnej wiedzy pozytywnej i braku w niej naukowej pewności, jest pełno wszędzie; z pomiędzy wielu, wybiorę jeden z ostatnich. P. Teodor Jeske Choiński wydał ostatnimi czasy, w Warszawie, dwie powieści: „Po złote runo” i „W pętach”; bohaterami obudwóch, są wychowañcy materializmu, którzy wkrótce przekonują się o zwodniczości ateuszowskiej nauki i przestają być materialistami. Uderzył mnie sposób, w jaki autor ten proces przeprowadza. Obydwóch bohaterów wyleczyło z materializmu życie, praktyka. Zdawałoby się, że autor nie przypuszcza teoretycznego, naukowego zaprzeczenia materializmu. Zresztą nie myli się wcale i teza jego jest prawdziwą: życie zupełny kłam zadaje materializmowi; może więc chciał tylko na tym jednym dowodzie poprzestać, wszakże w przypuszczeniu, że p. J. Ch., lubo zwalczając materializm, nie otrząsł się jeszcze dostatecznie z wiary w jego naukowość, i w brak tej ostatniej w chrześcijaństwie, utwierdza mnie druga z wymienionych powieści. Bohater jej, znękany

¹⁾ „Życie illustrowane”.

przeciwnościami, przejrzał nicość materializmu, wszedł do kościoła, widział prostaczków modlących się szczerze, wyciągnął nawet ręce do ołtarza, do dawnej wiary, ale ręce opadły, bo nie dla niego już wiara prostaczków. Zrozpaczony, idzie do konserwatywnego redaktora i mówi:

— „Chciałbym żyć, a nie wiem jak?”

— „Jak człowiek uczciwy, panie—odpowiada Kolski—jak dobry syn, dobry mąż, ojciec, przyjaciel i obywatel”.

A potem dodaje:

— „Jedni, jak ja, odbywszy ewolucję duchową naszych czasów, czyli wyraźniej mówiąc, pochowawszy złudzenia i ambicje pierwszej młodości, wracają do wiary lat dziecińczych, do ideałów zgasłych pokoleń, do recepty prostaczków, inni zaś...”

Ten Kolski—pocziwy, to jakiś był człowiek, ale widocznie konserwatywny tylko redaktor—nie chrześcijański zarazem; gdyby był tym ostatnim, na pytanie jak żyć potrzeba?—najpierwej odpowiedziałby: „jak chrześcijanin”; tymczasem o tem ani wzmianki, nic więc dziwnego, że pytający nie zadowolił się powyższą jego receptą. Jak bo wiedzieć co właściwie znaczy „uczciwy człowiek”, kto określi na czem uczciwość i cnota zależy, wreszcie, jak być dobrym ojcem, synem, przyjacielem i t. d., to jest spełnić tyle obowiązków, nieść tyle ciężarów,

nie mając siły potemu? Siłę taką dają przekonania, wiara ¹⁾, ale Kolski zapomniał o niej zupełnie, a jednak konieczność oświecenia umysłu zbałamuczonego fałszywymi zasadami jest tu najwidoczniejszą. Gdyby redaktor konserwatywny był zarazem chrześcijaninem, toby odpowiedział: czytałeś złe książki, czytaj teraz dobre, obałamucisz się fałszywymi zasadami, poznaj teraz prawdziwe, a oświecony prawdą, przy łasce Bożej, znajdziesz się do pełnienia obowiązków dobrego syna, przyjaciela i t. d., i t. d. Widocznie Kolski sam nie wiedział o tem, że można naukowo wykazać omyłki teoryj bezwyznaniowych, a prawdziwość wiary Chrystusowej. Może zresztą p. T. J. Ch. chciał przedstawił nasze społeczeństwo takim jakim jest ono pod tym względem; jeśli tak, to bardzo to dokładnie uczynił. Jest u nas wiele dobrych chęci, wiele poczciwości, pracy, nawet poświęcenia, jednej tylko rzeczy brakuje: znajomości wiary, którą wyznajemy i rąbki bronimy. Tacy to już nasi konserwatyści... i nie tylko nasi.

Jakkolwiek bądź, powieść p. Choińskiego i sposób w jaki on zwalcza materializm, dały mi assumpt do niniejszej pracy. Nieraz się zdarza, że w jakimś zakątku domu, w jakimś gą-

¹⁾ O łasce umyślnie tu zamilezam, ale każdy chrześcijanin wie, że bez niej nie podola obowiązkom swoim.

szczu ogrodowym „coś straszy” i broi tak długo, aż ktoś odważniejszy zajrzy do tego straszego miejsca, trzymając w ręku na wszelki wypadek broń jakąś, choćby tylko laskę dobrą. Rezultatem tego zwykle bywa przekonanie się, że strach ma wielkie oczy, a jeśli jaki psotnik korzystał z ludzkiej słabości, to poznajomwszy się z twardym kijem, z pewnością więcej straszyc nie będzie.

Podobnie dzieje się ze strachami naukowymi. Gdzieindzie ludzie coraz bardziej przekonują się, że ta, tak niby straszna dla wiary krytyka—to tylko „strachy na lachy”, że nie tylko nic jej nie zaszkodzi, ale przeciwnie rzeczywista naukowa krytyka, jak dawniej tak teraz, zawsze na jej korzyść i poparcie wychodzi; u nas po dawnemu, strach ma wielkie oczy. W pracy niniejszej zamierzyłem przypomnieć czytelnikom moim, te dwie wyżej wspomniane prawdy, i dla tego potrzeba nam będzie bliżej przypatrzeć się krytyce, a potem zobaczyć, jaką też broń naukową posiada wiara chrześcijańska. Nim do tego przystąpię, zakończę ten rozdział słowami francuzkiego apologety: „Ach gdybyśmy my znali dobrze siłę naszą, gdybyśmy śmieli odważnie rzucić się w ten bój zamętny (naukowy), zająć należne nam miejsce na czele tego ruchu nieprawidłowego, ale tak potężnego, współczesnej myśli, współczesnej nauki! My tylko mamy punkt oparcia i dźwi-

gnię t. j. wszystko, czego potrzeba do podniesienia świata. Prawdy zasadnicze, aksjomaty metafizyczne, pewniki wiary—oto punkt oparcia; tradycyjne metody zdrowej dyalektyki—oto jest dźwignia. Wszyscy nam przyznają „zapal i akcent”, to jest przekonanie, duszę, życie; czego więcej trzeba?”¹⁾

¹⁾ *Apologie scntifique de la foi chretienne par De-
une de Saint Projet. Paris. Toulouse, 1890 page 94.*





poprzedzającym rozdziale zaznaczyłem bardzo rozpowszechnione przekonanie, jakoby krytycyzm naszych czasów był tak strasznym wiary chrześcijańskiej pogromcą, że, jak niegdyś w podziemiach katakumb, tak dziś kryje się ona tylko w piersiach prostaczków, nim i stamtąd nie wyprze jej potężna siła krytyki. Mając bliżej przypatrzeć się temu straszemu tępicielowi wiary, nie od rzeczy będzie, jeżeli ściślej określimy, co też właściwie oznacza krytycyzm, krytykowanie i krytyka, o których się tyle dziś mówi. Krytycyzmem jużci nic innego nazwać nie można, jeno usposobienie do krytykowania, krytykowanie zaś jest poddawaniem zasad czy pojęć akichkolwiek, krytyce.

Dotąd zgoda, ale cóż jest krytyka? Nie bardzo się chyba pomyłę, jeśli powiem, że nie-

zmierna większość krytykujących rozumie przez nią poprostu, wypowiedanie swego zdania, swoich wrażeń o danym przedmiocie—i nic więcej. O takiej to krytyce mówi przysłowie: *la critique est aisée mais l'art est difficile*.

Gdyby krytyka na tem się tylko zasadzała, byłaby bardzo łatwą i dla krytykujących przyjemnym zajęciem; ale niestety, wypowiedanie swoich przekonań i wrażeń, jakkolwiek może być dowodem wielkiego zaufania we własną nieomylność, nie jest jednak krytyką. Krytyka (od wyrazu greckiego *krinein*, sądzić, oceniać), uważana podmiotowo i w najszerszem znaczeniu, jest umiejętnością sądenia o przedmiotach, pojęciach, faktach podług pewnych reguł i zasad; albo, innemi słowy, jest to stawianie danego przedmiotu wobec zasad pewnych i wypróbowanych, zestawianie ich wzajemne, a potem wyrokowanie o wartości krytykowanego przedmiotu.

Niezmiernie ważną i zasadniczą jest tutaj rzeczą rozwiązanie pytania, jakie sposoby mamy do nabywania pewności i następnie do krytykowania? Sposoby czy środki takie nazywamy z grecka kryteryami i mamy ich kilka. Nikt nie zaprzeczy, że człowiek do poznania otaczających go przedmiotów używać powinien i musi zmysłów odpowiednich naturze ciał badanych, więc nie może rozróżniać smaków za

pomocą oka, ani dźwięków za pomocą języka; tak samo oczywistą jest rzeczą, że nabywać pewności, krytykować prawdę jaką powinien i może za pomocą takiego kryterium, jakie naturze poznawanej prawdy odpowiada, bo przeciwko naturze rzeczy, człowiek jest najzupełniej bezsilnym. Otóż najpierw mamy do poznania cały ogrom świata zewnętrznego (to co idealisci niejaźnią nazywali), cały świat materialny: z natury rzeczy poznajemy go za pomocą zmysłowego doświadczenia.

Jasnym jest, że tutaj żadne teorie i formuły *a priori* na nic się nie zdały, więc zmysły stanowią pierwsze kryterium nasze, są środkiem do nabycia pewności o świecie materialnym. Drugi przedmiot do poznania, na pozór mały, w rzeczywistości niesłychanie skomplikowany i do zbadania trudny—to właśnie nasze *ja*. Tu już zmysły pośrednio chyba przydać się mogą, bo tylko świadomość wewnętrzna, niepotrzebująca żadnych zmysłów i narzędzi, uwiadamia nas o tem, co się wewnątrz nas dzieje. Po za światem zmysłowym i naszym wewnętrznym jest inny jeszcze świat prawd abstrakcyjnych, których ani zmysłami pochwycić, ani wewnętrzną świadomością poznać nie możemy: jest to dziedzina rozumu—trzeciego kryterium. Za jego pomocą widzimy jasno, bez żadnego dowodzenia, że dwa razy dwa—

to cztery, że część mniejsza od całości, że toż samo nie może jednocześnie być i nie być, że w skutku nie może znajdować się to, czego niema w przyczynie etc.; a z tych i im podobnych oczywistych prawd wyprowadzamy inne, mniej widoczne odrazu, niemniej jednak prawdziwe. Sprawdzian to niezmiernie ważny dla człowieka, owszem ze wszystkich najważniejszy, bo przeznaczeniem jego poprawiać i dopełniać to, czego innym brakuje. Opierając się na pewnikach oczywistych, idzie on coraz dalej i na podwalinach aksyomatów, buduje gmach metafizyki i matematyki, a skleja i cementuje wszystkie inne nauki, które bez niego byłyby zbiorem luźnych wiadomości i niczem więcej.

Jakkolwiek poprzednie trzy źródła wiedzy dostarczyć jej mogą bardzo wiele, toby jednak ludzie nie dali sobie rady, gdyby nie było czwartego kryterium: powagi i opartej na niej wiary (ludzkiej). Bez niej człowiek, żyjący w pewnym tylko czasie i jednym tylko miejscu, nie mógłby nigdy wiedzieć, co się działo przed nim, co się dzieje gdzieindziej; to też geografia, nauki historyczne, społeczne i lingwistyczne oparte są na powadze i wierze. Owszem, bez wiary w cudzą powagę nabycie najpięwszych zasad naukowych byłoby niemożliwym, bo przecie zaczynający uczyć się musi

wierzyć nauczycielowi, nim własnym rozumem będzie mógł się posiłkować. To też rola wiary ludzkiej jest daleko większą, a opieranie się na powadze daleko częstszem, niżby się zdawać mogło w wieku tak bardzo rachującym na własny tylko rozum i doświadczenie. Jak za pomocą pięciu zmysłów ciała zapoznajemy się z tyluż rodzajami wrażeń zmysłowych, tak za pomocą tych czterech głównych kryteriów (filozofowie rachują ich więcej, ale i o innych, jako podrzędniejszych, nie wspominam), zapoznajemy się ze wszystkimi pojęciami, jakie tylko człowiekowi są dostępne i sprawdzamy ich rzeczywistość i pewność; możnaby je więc nazywać zmysłami duszy. Powtarzam raz jeszcze, bo rzecz to wielkiej wagi, że jak każdy zmysł może poznać tylko przedmioty odpowiednie jego naturze, tak samo prawda każda powinna być sprawdzaną przez swoje własne kryterium, bo i jaki byłby sens w tem, gdyby kto chciał sprawdzać istnienie archipelagu Fidzi, za pomocą rachunku różniczkowego, istnienie Aleksandra W. za pomocą teleskopu, a prawdziwość teoremy Pitagorasa, za pomocą odczynników chemicznych? Z tego już wnioskować możemy, że przytoczone wyżej przysłowie o łatwości krytyki bynajmniej prawdziwem nie jest: owszem niema trudniejszej rzeczy, jak krytyka i najtrudniej w każdej literaturze właśnie o kry-

tyków. Jakiej bo to trzeba obszernej, głębokiej i prawdziwej znajomości danej nauki, a przede wszystkim jakiego zdrowego i prawdziwego wykształconego rozumu, aby być krytykiem!

Nabyć dużo wiadomości, stosunkowo dość jeszcze łatwo; najtrudniej umieć pochwytać niezliczone odcienie, subtelne różnice, wzajemne stosunki między rzeczami, a bez tego być krytykiem jest rzeczą niemożliwą, jak nie może być muzykiem ten, kto nie ma wrażliwego na tony ucha i nie wyćwiczy go; jak nie będzie malarzem, czyje oko nieczułem jest na stosunki form i odcienie kolorów. Jakiego przytem trzeba zamiłowania prawdy, jakiego wzniesienia się nad poziom próżności, chęci rozgłosu, stroniczności dla swych przekonań, jakiej krwi zimnej i rozwagi! To też gdy czytam lub słyszę, jako wiek nasz jest wiekiem krytycyzmu. jak to teraz żaden fałsz, żadna lekkomyślna teoria, żadne fantazyowanie na naukowe tematy nie wywinie się od żelaznych uścisków krytyki bezwzględnej—otucha i radość napełniają me serce. A więc nadszedł w końcu ów czas pożądaný, gdy prawda bez żadnej osłony chodzi między ludźmi, bo niech się jeno w jakie przeczyste illuzye zawinie, a tembardziej w brudne łachmany odzieje, krytyka je bez litości zerdze i wyrzuci. Niema już lekkomyślnych sądów, nie ma historycznych fałszów, bo skoro

tylko coś podobnego się zjawi, wnet wszyscy, od profesora do ostatniego ucznia, świętem oburzeniem zdjęci, biorą się do kryteriów i błędny wyświecają, jak niegdyś wyświecano czarownicy z miasta.

Wszyscy myślą poważnie i mówią z zastanowieniem; smutny wyrok Salomona *stultorum infinitus est numerus* był prawdziwym tylko do połowy XIX wieku, i przeszedł odtąd do historycznego muzeum... Więc też na wzór Chińczyka, o którym wyżej była mowa, powtarzam sobie: „o jakżem szczęśliwy, żem się w tym wieku urodził, o jakżem szczęśliwy, jakie błogie szczęście stało się moim udziałem!”, i czuję, że i mnie zaczynają rosnać „orle skrzydła myśli”, że widzę przed sobą świetne horyzonty, że przestaję być „senną gąsienicą!”...

Niedługo jednak trwała ta radość. Ośmielony złudnem mniemaniem, chciałem wkroczyć do świątyni krytycznej mądrości, aleć zaledwem jej progi przestąpił, otoczyły mię rzesze adeptów nowoczesnej mądrości i dowiedziałem się od nich, że ich świątynia zbudowana dla takiej tylko wiedzy, która przejdzie przez alembik doświadczenia zmysłowego. To tylko, powiadają, jest pewnem, co naukowo dowiedzione, a być niem może, podług nich, tylko to, co pod zmysły podpada; po za zmysłowym świa-

tem jeśli co jest, to umiejętnie poznanem być nie może. Gdy tak mówili jedni—inni, śmielsi i krytyczniejsi, zaczęli wyrzucać zbyteczną nieśmiałość swym kolegom, twierdząc, że owszem dowiedzionem jest, iż oprócz materyi nic niema i być nie może. A gdy stropiony wychodził z przybytku nauki, brzmiało za mną szyderczo Büchnerowskie: *Die Zeiten sind verüber...*" przeszły czasy, gdy wierzono w wasze brednie metafizyczno-teologiczne, w wasze niebo błękitne z bezcielesnymi duchami, nie masz teraz żadnego *a priori*, żadnej powagi oprócz metody eksperymetalnej i powagi własnego rozumu.

Jednak dla czegoż taka wyłączość, pytałem nieśmiało. Dla tego, odpowiedziano, że tak chcą nasi mistrze, naprzód Compe, a po nim Spencer, a za tym Lange, a dalej Ribot etc. Cóż to—Lutrowi tylko wolno było mówić: „powiedzcie, że dr. Luter chce, aby tak było, *sic volo sic jubeo...* a jeśli tego mało, dodajcie: osioł i papista—to jedno”?! Taką metodę przyjęły najwybitniejsze powagi naukowe; dla naszego wieku racya to aż nadto wystarczająca; zresztą, przez zbytek pobłażliwości, dodamy i to jeszcze, że nasi mistrze twierdzą, iż ponieważ rozum ludzki uprzednio zanadto bujał, opierając się na samym sobie i doszedł do oczywistych niedorzeczności, więc teraz nie

wolno mu nic twierdzić, czego nie sprawdzi dotykalmem doświadczeniem ¹⁾).

¹⁾ Może kto mniej świadomy rzeczy posądzi mnie o przesadę, gdy w usta adeptów krytycyzmu bezwyznanowego wkładam powyższe słowa. Niech sam zajrzy za kulisy, a przekona się, że panuje tam taka dowolność, taki doktrynalny despotyzm, jakiegoby nawet nie przypuszczał. Kiedyś, w pewnem znanem mi mieście, umarł Swedenborgianin, którego rodzina chciała koniecznie pochować na cmentarzu katolickim, czemu się duchowieństwo sprzeciwiało. Oburzyło to bardzo wszystkie nasze mocne duchy i pewien mój bezwyznanłowy znajomy, wróg zdeklarowany despotyzmu zabobonu, wszelkiego skrępowania i nietolerancyi, powiedział mi ze zgrozą: „gdybym miał siłę i władzę, zmusiłbym was, byście go pochowali...” Zaci przyjaciele rozumu, braterstwa, wolności myśli... oni zawsze jednacy! Luter mówił: *sic volo, sic jubeo*, rewolucya w imię „wolności” po bratersku ucinała głowy opozycyjne, a teraz przyjaciele wolnej myśli, gdzie mogą postępują podług tej samej metody: jeśli zaś nie mogą w czynie, to w teoryi przynajmniej stawiają swe zasady, jako pewnik niezawodne, oparte na racyi: „powiedzcie, że dr. Marcin Luter chce, aby tak było... kto tej racyi nie uzna, dodajcie mu odemnie, że jest osłem”. Jasne i przekonująjące. Tak np. Lange w „Historyi Materyalizmu” apodaktycznie twierdzi, że „metafizyka i religia są pozbawione wszelkiej rzeczywistości obiektywnej”. Comte tak samo powiada, że „do potępienia teologii i metafizyki, a zatwierdzenia pozytywizmu, żadnych dowodów nie potrzeba”. „Niema wcale potrzeby udowadniać zasady, z którą się już dziś spoufaliłi wszyscy, znający głębiej umiejętności obserwacyjne”. Kto chce z nimi rozprawić, powinien przyjąć

Kto jest trochę obeznany z opiniami uczonych, wie dobrze, że nie wszyscy oni są tak wyłączni, ale tylko pozytywni materyaliści i tłum ich zwolenników. Bądź co bądź—opinia powyższa zapanowała wśród *profanum vulgus*, które chce pokazać, że i ono nie pozostało za ruchem naukowym, skoro powtarza najszumniejsze i najhałaśliwsze naukowe hasła. Pomimo jednak tak powszechnego prądu, śmiem twierdzić, że uważanie jednej metody doświadczalnej za wyłącznie naukową, jest fałszem w zasadzie, w wykonaniu i w celu swoim.

Wrodzona to widać człowiekowi chęć do syntezy, do sprowadzania pewnej liczby różnorodnych rzeczy, do jednego mianownika. Tak niegdyś szukali ludzie jakiegoś panaceum lekarskiego, a wiara w uniwersalne lekarstwo, dotąd jeszcze jest dość silną. Podobnie też szukano jednego źródła pewności i wiedzy. Ontologię widzieli je w bezpośrednim poznawaniu Boga, Kartezyanie do wszystkich nauk chcieli stosować metodę geometryczną, Locke i Condillac, zmysłowo indukcyjną, idealiści zaś

pierwej walne zasady pozytywizmu bez dyskusji i przebyć edukację pozytywną. „Ciekawym, powiada X. Morawski, cohy powiedział Littré, gdyhym prawił i pisał przeciw pozytywizmowi, a na jego repliki odpowiadał: nie mogę z panem przyjmować dyskusji, póki nie odbdziesz nowicyatu zakonnego i kursu teologii“.

niemieccy wszystko sprowadzali do idei i z niej *a priori* chcieli wszelką wiedzę i pewność wysnuwać. Materyaliści przerzucili się teraz w drugą ostateczność i twierdzą, że tylko drogą metody doświadczalnej można dojść do pewności naukowej.

Wyżej już wspomniałem, że natury rzeczy przenieść nie możemy, a ponieważ, z natury swej, wiadomości i pojęcia rozmaitego są rodzaju, w rozmaity też sposób należy je sprawdzać i nabywać. Dla tego, że idealiści mylili się, przeceniając znaczenie rozumu i odrzucając świadectwa zmysłów, wcale nie wypada, żeby teraz przeceniać znaczenie zmysłów i odrzucać świadectwo rozumu; wszystko na swoim miejscu. Prawda, że mamy zmysły i że bez nich o materyalnym świecie sądzić nie możemy, ale mamy też i inne jeszcze kryteria, dla czegoż je odrzucać? Coby też powiedziano, gdyby uczeni zabronili ptakom latać, dla tego, że mają nogi, więc tylko chodzić powinny? Ludzie mają nogi zmysłów, ale mają też i skrzydła rozumu, i nikt ich od latania nie wstrzyma.

Utrzymując, że metoda doświadczalna sama tylko może wydawać patent naukowości, zwolennicy tej teorii popełniają błąd logiczny, zwany *petitio principii* t. j. że rozumowanie swoje opierają na dowodzie, który właśnie dopiero dowiedzionym być potrzebuje. Rozumują oni: wiadomo, że tylko przedmioty pod zmy-

sły podpadające naukowo sprawdzić można, a ponieważ metafizyka i religia nie podpadają pod zmysły, więc i naukowej pewności nie mają, a zatem tylko prostaczkowie wierzyć mogą i t. d. Błąd jest w tem, iż niczem nie dowiedziono, że *tylko zmysłowe przedmioty* z pewnością poznane być mogą; tymczasem na tem twierdzeniu oparte całe rozumowanie. Kto choć trochę z logiką obeznany, dojrzy to od razu.

Wreszcie zauważę i to jeszcze, że zwolennicy wyłączności metody doświadczalnej są w rażącej z samymi sobą sprzeczności. Z jednej strony podnoszą rozum ludzki do godności bóstwa, gdy im tego potrzeba, z drugiej zaprzeczają mu mocy zrobienia najprostszego wniosku, gdy on im jest nieprzyjemny. Rozum ludzki przenika świat od końca do końca, a ziemię do głębi, porachował odległości gwiazd, szybkość promienia, zważył ziemię, wzniósł się nad obłoki, zatrzymał rzeki, ujarzmił parę; rozum ludzki to jedyny Rozum, w nim nieświadome siebie bóstwo do samopoznania przychodzi i t. d., jak czytamy, do znudzenia, w hymnach i odach, na cześć jego śpiewanych. No, ale jeśli idzie o to, żeby wywnioskować: ponieważ są istoty, które do dania same sobie bytu sił ni mocy nie miały, więc musi ktoś istnieć, kto im go nadał, wtenczas ten potężny rozum zwija skromnie skrzydła i powiada:

„nie wiem” — a wszystko przez tę nieszczęsną modestya, powiedziałyby Zagłoba, ale to już zupełnie faryzajska modestya ¹⁾.

To też ta zasada pozytywna jest gwałconą przez samych pozytywno-materyalistycznych mistrzów i przez ich adeptów, na każdym kroku, bo zawsze i wszędzie dla nabycia pewności używają oni takich kryteriów, jakie są potrzebne; ostracyzm osiąga jedynie teologii

¹⁾ Duilhé de St. Projet (str. 161) przytacza następujący ustęp o Bogu z pewnego bezwyznaniowego katechizmu francuzkiego Pytanie. Co to jest Bóg? Odp. Nic o tem nie wiemy. Pyt. Czy Bóg nie jest tym, który stworzył wszystko i wszystkim rządzi? Odp. Zkądże to wiadomo? Proszę dowieść konieczności Jego. Pyt. Wszystko istnieje przez Niego, a bez Niego nic nie istnieje. Odp. Proszę tego dowieść. Pyt. My tego dowieść nie możemy. Odp. Pocóż więc zajmować się tem, czego nie można wykazać i dowieść". Zastosujmy tę logikę do innego przedmiotu, a będziemy mieli następujący dyalog. Pyt. Co to jest malarz? Odp. Nic o tem nie wiemy. Pyt. Czy malarzem nie jest człowiek, który namalował ten obraz i inne obrazy maluje? Odp. Zkądże ta wiadomość? Proszę dowieść konieczności malarza. Pyt. Wszystkie obrazy są malowane przez malarzy, a bez nich żaden obraz powstać nie może. Odp. Proszę tego dowieść. Pyt. My tego dowieść nie możemy. Odp. Pocóż więc zajmować się tem, czego dowieść nie możemy. Sposób rozumowania w samej rzeczy bardzo zajmujący i godny rozumu wyzwolonego „z jarzma przesądów”.

a następnie filozofii, jeśli jej wnioski mogą w jakikolwiek sposób do Boga doprowadzić.

Nikommu z tych panów nie przyjdzie do głowy zaprzeczać potrzeby powagi w historii, geografii, lingwistyce i licznych ich rozgałęzieniach. Piorunują na chwiejność nauk tak zwanych spekulacyjnych, ależ przecie nauki matematyczne, taki mir u nich mające, są właśnie naukami spekulacyjnymi, bo są one szeregiem „teorem” i „reguł”, wysnutych z aksjomatów t. j. prawd oczywistych.

Materyaliści bardzo pilnie śledzą zjawiska psychiczne, zapuszczają się, jak Płoszowski, w bardzo subtelne analizy stanu swej duszy czy umysłu, choć do tego nie używają chemicznych odczynników, ani mikroskopu, ani żadnych narzędzi, tylko kryterium świadomości wewnętrznej. Odrzucając filozofię, przeciwnicy jej właśnie sami najzawzięciej filozofują, bo czemuż są owe teorie o pierwszych przyczynach wszechświata, o samorodztwie, o przedwieczności materii, o nieistnieniu Boga, jeśli nie filozofią? Wszak wszystkie te i tym podobne kwestye (jak np. możliwość lub niemożliwość cudu) są właśnie przedmiotem filozofii. Materyaliści, zaprzeczając chrześcijańskiemu rozumowi prawa do filozofii, sami jednak z niego ciągle korzystają—tylko nawywrót: zaprzeczają temu, co my twierdzimy. To też najstuszej autor „Apologii naukowej” mógł powiedzieć:

„Pozytywizm, zaprzeczający metafizyce, niczem innym nie jest w rzeczywistości tylko systematem filozoficznym, który nic wspólnego niema z metodą doświadczalną, a w bezwzględnej sprzeczności zostaje z pewnikami metafizycznymi ¹⁾).

W końcu, nieprzyjaciele spekulacji rozumowej na każdym kroku używają jej, a przeciwnicy metafizyki stąpić bez niej nie mogą. W dociekaniach swych naukowych hipotezach, indukcyach, syntezach uczeni bez rozumu obejść się nie zdołają ani na chwilę i doprawdy zrozpaczyć można o logice pozytywnej, gdy pozwala rozumowi wnioskować, obserwować, bujać na wszystkie strony, gdy owszem szczyć się z wolności i potęgi myśli, a kiedy ta zwróci się do wniosków najoczywistszych, ale sięgających Pierwszej wszystkiego Przyczyny, wtenczas czuje „brak obiektywnej pewności”. „Przedmiotem metafizyki, mówi D. de St. Pr., są najpierwsze wiadomości rozumu ludzkiego t. j. myśl sama, gdy logika ma za przedmiot pojęcia podrzędne t. j. prawa myślenia. Rzecz szczególna, że między najzawziętymi przeciwnikami metafizyki niemasz ani jednego, któryby nie rościł pretensyi do prawidłowego rozumowania, któryby nie głosił, że szanuje lo-

¹⁾ D. de St. Projet. *Apol. scient.* p. 54.

gikę, a ta jednak, jak wszystkie nauki szczegółowe, wypływa z metafizyki i przez nią tylko żyje. Zaprzeczać drugiej, to znaczy znosić pierwszą. Metafizyka albo filozofia pierwsza, (Aristoteles) zwana także ontologią i protologią, zawiera istotę rzeczy, zasady najwyższe, przyczyny pierwsze poznawania i istnienia. Przez nią rozróżniamy podstawowe pojęcia bytu, substancji, zjawiska, czasu i trwania, przestrzeni i rozległości, przyczyny i skutku, jedności, porządku, konsekwencji, tożsamości osobistości; aksjomaty, prawdy oczywiste, które są po za kresem doświadczenia.

...Niechże najbardziej zdeklarowany pozytywista spróbuje analizować najprostszą działalność umyslową—zastosować do jakiegokolwiek rodzaju faktów swą ulubioną metodę, a na każdym kroku, przy każdym twierdzeniu będzie musiał, *volens nolens*, oprzeć się na którymś z pojęć pierwszych, absolutnie nie dających się rozłożyć, na jakiejś zasadzie czysto rozumowej, poprzedzającej wszelką obserwację, słowem, będzie musiał praktykować metafizykę, nie chcąc i nie wiedząc o tem... Metafizyka jest, jak myśl sama, nie można jej zaprzeczyć inaczej, jak wykonywając ją t. j. wpadając w sprzeczność oczywistą. Tak to rozumiał Kl. Bernard, gdy pisał: Metafizyka jest związana z samą istotą naszego rozumu; nie możemy inaczej myśleć, tylko metafizycznie. Nie jestem

więc z liczby tych, którzy sądzą, że można znieść metafizykę; sądę tylko, że trzeba poznać jej rolę w pojmowaniu zjawisk świata zewnętrznego, żeby nie być ofiarą złudzeń, jakieby ona w umyśle naszym spowodować mogła. Zakończmy; metafizyka nie tylko ma właściwą sobie pewność, lecz nosi w sobie wszystkie pewności; niema ani jednej z nich, która by mniej lub więcej bezpośrednio od metafizyki nie pochodziła. Dla honoru i szczęścia ludzkości, jak długo będą istoty myślące i rozumujące, metafizyka nie przestanie zlewać źródeł światła na najuparciej bluźniących sobie ¹⁾. Dodam, iż honor i szczęście ludzkości każą przypuszczać, że tuman puszczone w oczy przez rzekomo wyłączną eksperymentalną metodę, długo się nie otrzyma, a nawet już teraz można dostrzedz, że w wielu umysłach rozwiewać się zaczyna. W rzeczy samej łamanie zasady, ogłoszonej za fundament naukowości przez tych samych, którzy najwięcej i najgłośniej o niej mówią, jest tak widocznem, tak bije w oczy, że dziwić się trzeba, i wydziwić nie można, jak ludzie tego nie widzieli, jak (że użyję przysłowia) tak długo mogli szukać konia, na którym przecie jada. Byłoby to zagadką nierozwiązalną, gdyby nie pewność, że za

¹⁾ Op. cit. 55—57

dni naszych, jak i za czasów autora Eklezjastesa, w nieskończoność płodności rodzą się ci, których siac nie trzeba ¹⁾).

¹⁾ Przed wielu laty, opowiada Andersen, był władca, który niczem się innem nie zajmował, oprócz ciągłego sprawiania sobie nowych sukien. Raz przyszli do niego dwaj oszuści i powiedzieli, że mogą utkać niezrównanej piękności tkaninę, mającą dziwną własność, że kto do urzędu swego nie jest zdolnym, albo zgoła jest głupim, ten jej widzieć nie może. Oczywiście, od władcy samego do ostatniego pacholka, wszyscy ją widzieli, *choć jej nie było*, bo nikt nie chciał ucnodzić za niezdarę i głupca. W końcu tkacze zwiastowali, że tkanina gotowa i nowa z niej suknia uszyta. Król rozebrał się i zaczął nakładać jedną po drugiej części wrzekomego odzienia, przeglądał się w lustrze i przypatrywał sukni, której nie widział, szedł procesjonalnie przez miasto, szambelani wyciągnawszy ręce, nieśli za nim ogon, którego nie było, a z ulicy, ze drzwi i z okien wznosiły się okrzyki: o nieba! co za niezrównana nowa suknia, co za wspaniały jej ogon. jak pięknie wszystko leży! Nikt nie chciał być głupim. Wtem małe dziecko zawołało: ależ on nic niema na sobie! Słyszycie, słyszycie, mówili jedni do drugich, jakies dziecko powiada, że on nic niema na sobie. Rozpoczęły się szepty, gadania, śmiechy. Ten wypadek to wcale nie bajka. Przed kilkudziesięciu laty, zupełnie tak samo, nikt nie śmiał twierdzić, jeżeli nie chciał być głupcem, że są przedmioty zmysłowe i coś rzeczywistego oprócz idei; teraz nie wolno myśleć, że jest rzeczywistość po za przedmiotami zmysłowymi. Zdrowy rozum i dawniej i teraz, jak owo dziecko, protestował, ale siła konwencyonalizmu i chęć uchodzenia za rozumnych jest tak wielka, że długo wołać musi, nim

W końcu fałszywy cel, jaki sobie pozytywni uczeni założyli jest aż nadto widocznym. Skoro można używać kryterium powagi i rozumu, skoro można rozumować i filozofować, gdy się tym panom podoba, niema najmniejszej racji zaniechania tego, gdy kierunek rozumowania razi ich i gniewa. Jeśli ma być swoboda myśli, niech będzie zupełną, a w takim razie *sic volo sic jubeo* ani z ust Lutra, ani Haeccla wagi dla ludzkości mieć nie powinno— i mieć nie będzie. Materyaliści chcą zaprzeczyć i znieść religię i dla tego umyślnie odwracają się od dowodów jej prawdziwości; tyle to pomoże, co strusiowi chowanie głowy w piasek, gdy go pościg dopędza. Skoro coś jest, żadne zaprzeczanie jego bytu na nic się nie przyda. Materyaliści wybrali metodę doświadczalną, bo im się zdaje, że przez to pozbędą się Boga, wygodniej się im w tej sferze poruszać i chcieliby wszystkich w niej zamknąć. „Zwolennicy racjonalizmu i naturalizmu. powiada Leon XIII, zwyciężeni dowodami metafizyki, zmienili pole walki i taktykę; z dziedziny rozumu woleli zstąpić na scenę zjawisk zmysłowych” ¹⁾ Tak krokodyl w wodzie jest zwinniejszym niż na

Mudzie głupstwo swe spostrzegą—i w drugie wpadną. Stara to więc historia, bo „nic nowego pod słońcem”.

¹⁾ Breve do M-gra d' Hulst cyt. Duilhé de St. Pr.

ładzie i z pewnością utrzymywałby, że jedyną dla ludzi racjonalną metodą podróżowania jest pływanie po Nilu, oczywiście bez czółen i łodzi, ale naiwnymi srodze byłiby ludzie, gdyby dla jego przyjemności na jego się racye zgodzili. I my pozwolimy sobie nie być naiwnymi i odwrócimy ku przeciwnikom ulubione Büchnera: *Die Zeiten sind vorüber...*

Można sobie wyobrazić, jakie niespodzianki spotkalibyśmy w rachunkach matematyka któryby naprzykład powiedział sobie, że oprócz mnożenia innych działań arytmetycznych nie przyjmuje; podobnie też osobliwe wyniki muszą znajdować się w nauce, która za jedyne źródło pewności uznała doświadczenie zmysłowe, wszystkie inne odrzuciwszy. Rzeczywiście i bez żadnej przesady filozofia pozytywno-bezwyznaniowa jest tkaniną wszelakich wybryków mogących obrażać rozum ludzki, jest to matematyka prowadzona jednym działaniem, stosowaniem do wszystkiego. Z niektórymi z wdzięcznych kwiatków, na tej niwie zebranych spotkamy się niżej, teraz pójdziemy dalej.

Nie mniejsze od poprzedniego zdziwienie nas ogarnie, gdy rozpatrzemy się w mniemanym krytycyzmie naszej epoki, choćby tylko pod względem czysto naukowym, nie tykając na teraz religijnego. Kto w naszych czasach zajmuje się krytyką, a raczej kto zdolnym jest do naukowego krytykowania? Jużci uczeni ba-

czną mają zwróconą uwagę na wszystko, co się w świecie nauki dzieje i jak ktoś powiedział, jedna połowa uczonych pracuje nad obaleniem tego, co druga zbudowała.

Na polu tylko naukowem są rzeczywiści uczeni, (choć liczba ich nie tak znowu wielka jakby się zdawać mogło), którzy mogą krytykować każdą opinię, jaka się w ich specjalności odezwie i wśród tych krytyk wśród ruin hipotez i teoryj, nauka powoli postępuje naprzód. Trzeba jednak zauważyć, że uczeni są przeważnie, a może nawet zawsze, specjalistami, że więc trudno im bardzo o krytykę rzeczy po za ich specjalność wychodzących, że i oni są ludźmi, a wskutek tego mają swoje sympatyje i antypatyje, które i na umysł ich oddziałują; trafnie ktoś powiedział, że gdyby pewnik $2+2=4$ miał jaki związek z moralnością, toby mu połowa ludzi zaprzeczyła. Dość przypomnieć teorię Darwina; wszak wiele uczonych jest do niej w takim stosunku, jakby załoga fortecy, bronionej do upadłego, albo raczej jak do sprawy w której zainteresowane— serce.

Wreszcie trzeba pamiętać i o tem, że krytyka naukowa, to rzecz niezmiernie trudna, pracowita, wymagająca doświadczenia długiego, że dla swej specjalności właśnie jest niezmiernej większości wykształconych nawet ludzi niedostępną, że jeśli jest przeciwną ulubionym

i zadawnionym uprzedzeniem, rozchodzi się bardzo powoli.

Jakkolwiek bądź krytyka naukowa w naszym wieku bez zaprzeczenia istnieje, żyje, pracuje i dobre wyświadcza nauce usługi, ale jest ona własnością bardzo nielicznego stosunkowo grona rzeczywistych i zawodowych uczonych. Tymczasem nie o nich mi właściwie chodzi. Ulubiony i często powtarzany frazes: „krytycyzm naszego wieku”, ma oznaczać, że cała „inteligencja” jest krytyczną, że krytycyzm wszedł w krew naszego pokolenia, które, za ledwie odrośnięte od ziemi, umie już władać bronią krytyki, jak niegdyś rycerskie podrostki toczyły koniem i biły się na szable. Idzie mi właśnie o ten tłum uczonych *minorum gentium*, o legiony piszących do dzienników, o krytyków i sprawozdawców, o umiających sklecić artykuł, napisać korespondencję do gazety, i o tych, którzy tego nie umieją, ale jakieś szkoły skończyli, i o tych także, którzy wprowadzić nic nie skończyli, ale jak Salomon dysputują—raczej wyrokują—o wszystkim, od hyzopu, co w szczelinie ściany wyrasta, aż do cedru na Libanie—o całą zresztą publiczność czytającą, a raczej umiającą czytać.

Wszyscy oni roszczą pretensję do krytycyzmu i krytykują—jak krytykują! Czy jednak mają prawo do tego? Nie wątpię, że z największym oburzeniem przyjęliby słowa śmiałka,

któryby im powiedział z Krasickim: „Panie bracie, na rzemiośle się nie znać”—a jednak tak jest, bo żeby znać się na rzemiośle, trzeba warunków, jakie tylko małej liczbie szczęśliwych są dostępne; określa je wymownie ks Lacordaire: „Zacznę od faktu, nie dającego się zaprzeczyć, powiada on, t. j. że człowiek jest istotą, która potrzebuje być nauczana”. Tu następuje ustęp o dzieciństwie i nauce matczynej. „Gdy człowiek przeszedł wiek pierwszego nauczania, zostaje w jednej z dwóch klas, na jakie się dzieli ludzkość: ludzi oświeconych i nieoświeconych”. Tu rzecz o ludzie, który niema czasu na naukę, a potem sławny kaznodzieja tak mówi:

„Jeśli tak jest z ludem, t. j. prawie z całym rodzajem ludzkim, to może jest wyjątek dla tych, których ludźmi oświeconymi nazywamy? Może oni mogą zerwać z nauczaniem, które ich zrobiło tem czem są, i ukształcić w sobie własnymi siłami umysł samodzielny? Prawda, mają do tego pretensję. Przypominacie sobie, że gdy przyszedł czas wystąpienia z rodziny, a zajęcia miejsca w społeczeństwie, zdawało się wam, że powstała w was nowa siła, którąście nazwali rozumem. Zaczęliście czcić tę potęgę, a klęcząc przed nią, mówiliście: oto mój jedyny pan i władca! Rozum tylko odtąd będzie mnie uczył, czy są wrażenia myślowe, czy są idee, sumienie, rzeczy, któ-

rych nie widzimy, a które utrzymują świat, przez nas widziany. Tak mówiliście, ale nadaremnie, boście nie mogli wyzuć się z człowieka dawnego; wasz rozum był płodem poprzedniego wychowania, byliście dziećmi nauczania, synami przesądu, synami ludzkimi, jesteście nimi dotąd.

„W samej rzeczy klasa oświecona dzieli się znowu na dwie części: jedną ludzi mających czas wolny, drugą ludzi zmuszonych przez swe stanowisko do pracy; ta ostatnia jest najliczniejszą. Podział własności sprawia, że każdy musi pracować, by utrzymać w społeczeństwie stanowisko, jakie mu ojcowie w spuściźnie zostawili, a wobec tego nie można zajmować się wielkimi pytaniami niepokojącymi ludzkość, ani oddawać się studjom filozoficznym, które same mogą zapełnić całe życie ludzkie. Ta klasa ludzi jest więc w tej samej prawie pozycji co lud... A jeśli tak jest, to cóż unosi się zuchwale na powierzchni ludzkości i któż jest zdolny używać swego rozumu, by się samemu odbudować? Kilku uprzywilejowanych ludzi, którzy od Nieba otrzymali zdolności, dar rzadki, dostatki, rzecz mniej rzadką, nie częstą jednak, i wrodzoną chęć do usilnej pracy. Zdolności, dostatki, praca, trzy konieczne warunki dla zostania umysłem wyższym. Ci tylko mogliby odrzucić pojęcia nabyte przez wychowanie.. i ci jednak daremnie pracują. Nauczonym bywa nie-

tylko człowiek, ale także narody i wieki; zwyciężywszy piastunkę i wychowawców, pozostał człowiekowi mężnemu zwyciężyć swoje społeczeństwo i wiek. Czy to możebne, czy to było kiedy? Spójrzycie naokoło siebie, którzyż człowiek, choćby największy, nie nosi na sobie piętna swego wieku i otoczenia? Pytam was wszystkich, byliżbyście tem, czem jesteście, gdybyście się urodzili przed sześciuset laty? Przed 600 laty, ta sama katedra, do której weszliście z sercem nadętym i jako sędziowie, widziałyby was noszących kamienie na jej fundamenta. Gdybyście nawet, nie zmieniając wieku, urodzili się w jakiejś innej części świata, byliżbyście tem, czem jesteście? Dla czego Francya jest katolicką, Prusy protestackimi, Turcyja muzułmańską? Skąd ta niezmierna różnica między ludami, sąsiednimi jednak? Słowo różne zapanowało u nich, nauczanie różne zrodziło dusze, wierzenia, obyczaje różne. Tak, narody i wieki noszą jarzmo powagi i nakładają je na stępnym, odziedziczają przesady i namiętności poprzedzające, zmieniają je uprzedzeniami i namiętnościami z nich urodzonymi I rzecz szczególna, ludzie chwalą się, że są dziećmi swego wieku, t. j. że z przekonaniem poddają się przesądom czasu, w którym żyją¹⁾.

¹⁾ Lacordaire „Conferences de Notre Dame de Paris”. Conf. I.

Tak cały tłum piszących, krytykujących, rozumujących, nie ma o rzeczywistej krytyce żadnego pojęcia, żadnej do niej kwalifikacji, żadnego prawa, albo jeśli ma, to w części i rozmiarze tak małym, że raczej upokorzenia niż zarozumiałości krytyka owa może być powodem. W rzeczywistości oni nie krytykują, lecz wypowiadają tylko własne wrażenia i zdania, które nie są bynajmniej ich własnymi, lecz nabytymi w domu, na zebraniach towarzyskich, w pismach i dziennikach; oni powtarzają tylko to, czego ich wiek nauczył. A ten nasz wiek ma pewne cechy sobie właściwe. Więc najpierwej naukowe wykształcenie bywa w nim albo bardzo specjalnem, albo znowu bardzo ogólnem. Specjaliści, jak wiemy, obracają się w tak odosobnionym zakresie, że tracą z oczu całość; mają tylko tę wyższość nad ogólnie ukształconym, że choć jedną rzecz dobrze umieją. Większość wykształconych ludzi musi w naszych czasach tyle rzeczy uczyć się, że, z konieczności, żadnej dobrze nie umie i musi porzucić na okrucinach i zbiorze wiadomości luźnych. Dodajmy do tego usposobienie do używania, a więc wstręt do pracy, szczególnie umysłowej, a zrozumiemy jaką, w połączeniu z powyższą cechą, zrodziło współczesne wykształcenie, umysłową powierzchowność; płytkość we wszystkim—to cecha i klęska naszego wieku. Ona to sprawia, że książki poważne gniją na pół.

kach księgarskich, a czytowane są tylko dzienniki, a w nich właściwie tylko powieści. Płytkość ta umysłowa naszego wieku zalewa nas nowelkami i romansami bez liczby (gdy jedyny u nas organ nauk przyrodniczych, które przed 20 laty miały świat przerobić, ledwo żyje); ona sprawia, że w teatrach tylko farsy „robią kasę”, że w malarstwie popłacają cieleta na łące, kozy na pastwisku i oczywiście nagie nimfy i *baigneus'y*.

Do powyższych cech można dodać jeszcze jedną bardzo charakterystyczną i smutną: filozofią, jak wiadomo, od pół wieku gardzimy, dyalektyką i scholastyką brzydzimy się, jak przystoi na krytyczne umysły; otóż skutek zupełnego zaniedbania ukształcenia filozoficznego, ogół europejski XIX wieku nie ma wyobrażenia o najprostszych filozoficznych pojęciach, a tembardziej o prawidłowym rozumowaniu. To też *impuissance feminine de s'attacher à un raisonnement* („nieudolność niewieścia w śledzeniu za rozumowaniem”) ¹⁾ stała się właściwością wszystkich.

Człowiek, który odbył jakietakie studia filozofii scholastycznej i przeszedł przez żelazne karby dawnej dyalektyki, w prawdziwej znajduje się rozpacz, gdy musi przyjąć dy-

¹⁾ Zdanie Mallocka przytoczone przez Duilhé de St. Projet.

sputę z „krytycznym umysłem” dni naszych; los zaś jego zaprawdę godzien jest pożałowania, gdy mu wypadnie rozprawić z *bel esprit* w spódnicy. Przebywszy godzinę lub dwie na tem Madejowem łożu, ucieka biedak na pola i lasy, wzywając dla ochłody nie tylko zefiry, ale boreasza samego. Potrzebowałbym tu dla stwierdzenia tego co mówię (choć rzecz to powszechnie wiadoma) przytoczyć kilka przykładów; żeby się nie powtarzać, podam parę ich niżej, gdy mowa będzie o logice uczonych, i niech już czytelnik sam czyni wnioski *a fortiori*.

Czemże, ostatecznie, żyją umysły w wieku naszym? Lacordaire, zdaje mi się, wymownie wykazał, że niczem innem żyć nie mogą, jak wiarą w powagę, a wiek nasz wyrobił sobie powagę specjalną i wiarę w bóstwo swoje własne;—tem bożyszczem, bałwanem i fetyszem jest nauka. Czczą ją na kolanach wszystkie krytyczne umysły, przed nią pochylają się niepodległe czoła, i żeby ogrom jej potęgi określić, dość powiedzieć, że ma ona na umysły męskie wpływ mało co mniejszy, niż moda na niewieście.

Przyzwyczajono się twierdzić, że wiara żyje tylko pod siermięgą prostaczka. Ale gdzie tam! Wiara szczerą, głęboką, naiwną, prostaczka, mieszka właśnie w piersiach ludzi oświeconych; tylko że prostaczkowie wierzą w Pana

Boga—oni w Schellinga, Woltera, Darwina, Huxleya, Drapera, Schlossera .. Przyzwyczajono się wyśmiewać średnowiecznych filozofów i ich *magister dixit*; ależ my jesteśmy w takim razie, w pełni średniowiecza, bo ciągle słyszymy: Moleschott, Vogt, Comte, Lombroso, ba! nawet Montegazza, Flammarion, Figuier—*dixit*. Przyzwyczajono się twierdzić, że niema już cudów i tylko prostaczkowie jeszcze w nie wierzą; o, jako żywo!—nasi krytycy wierzą w takie rzeczy, przy których wszystkie cuda Starego Testamentu niczem są, a co najzabawniejsza, że ci panowie schyliwszy głowę pod jarzmo bałwochwalstwa cudzej powagi, powtarzając jak kuranty, zawsze tęż samą, przez innych ułożoną, piosenkę, wierząc najmocniej już nie w cuda lecz w absurda, wyobrażają sobie i głoszą wszem wobec i każdemu z osobna, że oni to właśnie otrząsnęli się z jarzma powagi, że oni tylko mają myśl wolną i z „oków przesądu” wyzwoloną, że oni nic nie przyjmują na czyjeś słowo, tylko to co własnym rozumem pojęli, zrozumieli i za prawdziwe uznali. O mądry Salomonie! jakże wielką prawdę wyrzekłeś i jak się nic od twoich czasów nie zmieniło!

Rozmawiałem nieraz z takimi krytykami samodzielnymi. Stoję naprzykład z młodym agronomem wobec kup perzu zbieranego na polu, a on mnie zapewnia, że perz to praprzadek pszenicy, która się z niego przez ewo-

lucyę wykształciła. Wątpię, ale mniejsza o to, niech i tak będzie, (bo też ta roślina nazywa się po łacinie *triticum repens*), ale zkadże wiesz o tem?—zapytałem. Profesor R. tak zapewnił. Innym razem młodzieniec szeroko mi wykazuje, że wiara zawsze z nauką zostawała w rozterce. Zadziwiony tak wczesnym dowcipem i tak obszerną erudycją, pytam, czy z własnych studyów doszedł do tego przekonania? Oczywiście z własnych, odpowiedział urażony, przecież sam czytałem Drapera. Inny znowu jest mocno przekonany, że cywilizacja ludzka jest wytworem tylko klimatu i ziemi, bo tego miał Buckle dowieść; jeszcze inny wierzy w ewolucyę monistyczną, bo tak uczą w wielu uniwersytetach.

Zarzucają nam chrześcijanom, że ślepo wierzymy, a my powinniśmy ze skrucą bić się w piersi, porównywając naszą wiarę, tak wątplą niestety, z mocą i silną wiarą naszych krytyków pozytywnych, choć dogmaty ich wiary doprawdy, trudniejsze są do przyjęcia, niż nasze. Jakiego bo zaparcia się rozumu trzeba było, by pisać się na to, czego niegdyś nauczał Maillet: „kiedy latająca ryba padła, wyleciawszy w powietrze, na krzaki lub trawy, przednie plewty zeschły się, opadły, porosły piórem, przelistowały się w skrzydła, tylne wzięły kształt nóg... szyja i dziób się wyciągnęły... i z ryby

latającej stał się ptak”¹⁾. Nie mniej trudne rzeczy dają i dziś uczeni do wierzenia swym zwolennikom. Haeckel naprzykład twierdzi, że myśl jest wytworem rozgałęzionego ruchu cząstek mózgowych; wszyscy doskonale wiedzą, że ruch—tylko ruch wywołać może, a jeśli się w co zamieni, to tylko w ciepło, niemniej jednak wierzę, że materya myśli, bo... *magister dixit*. Wierzą także, gdy Vogt prorokuje: „Kiedyś z pewnością dla każdej myśli znajdziemy odpowiednią potrawę, a tak, wedle upodobania i potrzeby, przez stosowne ich użycie, wykarminimy sobie polityków, teologów, rewolucjonistów, arystokratów, lub socyalistów; a całą rozumową bystrość i całą pracę umysłową, którą teraz poświęcamy układaniu i stanowieniu praw, wydawaniu przepisów dla zachowania społecznego porządku, obrócimy wtedy jedynie na wynajdywanie coraz nowych zup, mięs, legumin, które rodzajowi ludzkiemu daleko więcej do gustu przypadną, a zupełnie te same przyniosą owoce”²⁾. Wierzą, gdy Quinet tłumaczy prostą postawę człowieka w następujący sposób: „Człowiek zapewne urodził się na jakimś płaskowzgórzu, skąd widział nad sobą kraj górzysty, co go zmuszało do podnoszenia głowy, dopóki nie zobaczył nieba... wdzierając się na

¹⁾ Morawski. Filozofia, 163, cytata w dziele.

²⁾ Morawski. Filozofia, l. c.

strome skały, naturalnie znajdował się w pozycji pionowej, i w taki sposób pozbył się przyzwyczajęń zwierząt czwororękich”. Ach, i wiele innych dziwów przyjmują oni pokornie z rąk swoich mistrzów, szcząc się jednocześnie niepodległością myśli... biedne *servile imitatorum pecus!*

Na niewielkim pagórku stał Don-Kiszot, wzór i zwierciadło rycerstwa błędnego, i, wskazując na dwa ogromne tumany pyłu, wznoszące się z dwóch stron przeciwnych, mówił do wiernego swego koniuszego: „ten rycerz w zbroi złoconej, którego tam widzisz, a który ma na tarczy lwa u stóp młodej dziewicy, to jest waleczny Laurcalco, pan na Moście Srebrnym. Ten drugi, mający zbroję w kwiaty złote, a na tarczy trzy srebrne korony w lazurowym polu, jest to straszliwy Micocolombo książę Quirocyci. Ten znów olbrzym, co się zwraca na prawo, to zawsze nieustraszony Brandabarbaran z Boliczyi, pan trzech Arabij... Te szeregi, które widzisz wprost przed nami, składają niezliczone a rozmaite narody. Oto ci, którzy piją słodkie wody rzeki przez bogów zwanej Xantes, a przez ludzi Scamander; tu są górale depcący pola massylijskie, tamci, którzy przesiewają delikatny proszek złoty Szczęśliwej Arabii, tam znowu ci, którzy cieszą się chłodnymi brzegami przezroczystego Thermodonu... W tem drugim wojsku oto idą ci, którzy piją z przezroczyste-

go kryształu Betisa, ojca drzew oliwnych, ci którzy myją i gładzą swe oblicza w złocistych falach Tagu, co pełnem zawsze płynie korytem... Sancho Pansa był, jak to mówią, zawieszony u ust jego, nie mogąc jednego słowa wtrącić, tylko od czasu do czasu obracał głowę, by zobaczyć, czy nie widać olbrzymów i rycerzy, których pan jego wymieniał, a ponieważ żadnego nie mógł zobaczyć, zawołał: Na moje sumienie, panie, niech mnie dyabli porwą, jeśli choć jednego olbrzyma lub rycerza widać z tych, których pan wylicza; ja przynajmniej nie widzę żadnego z nich i wszystko chyba zaczarowane, jak mary wczorajszego wieczora”¹⁾.

Jak tutaj rycerz smutnej postaci, tak mistrze bezwyznaniowej nauki ukazują swym giermkom różne dziwy i cuda, a ci karniejsi i bardziej wierzący niż Sancho Pansa, nie obracają głowy, nie oddają się dyabłu, ale widzą wszystko, co im każą widzieć. Widzą materję bez początku i końca, widzą jak ona, choć bezwładna, sama sobie ruch nadaje i tworzy słońca lub planety; widzą, jak same powstają wody i lądy, rośliny i drzewa, asystują urodzinom Bathybiusa w mule niezgłębionego oceanu; widzą, jak nieprzerwanym łańcuchem rozwijają

¹⁾ Serwantes „Don Kiszot“, t. I, rozdz. XVIII.

się z niego istoty coraz wyższe, aż do człowieka; czują, jak ruch coraz szybszy tworzy w ich głowach myśli wspaniałe i widzą siebie w niedalekiej przyszłości, jako czcigodnych ojców rodzin: jeden z nich na grzędzie, hoduje szczególnego rodzaju kapustę, na pokarm dla syna, przyszłego statysty; drugi sieje dziwne kwiaty, by z ich wonnej treści wyciągnąć artystyczne zdolności dla swoich córek; inny znowu dogląda osobliwszej trzody chlewnej na szynki dla potomka—filozofa mających się narodzić pokoleń; widzą, jak pies Darwina modli się do czerwonego parasola swego pana;

„Słyszą romans dwóch komórek,
„W pacierzowym tkwiących rdzeniu“; ¹⁾

a wiara ich w to wszystko jest tak silną i głębką, że sprowadza na nich szczególnego rodzaju halucynację, jakoby to oni sami, własnym rozumem, tego wszystkiego doszli, sprawdzili, dotknęli ręką, jakoby im od tego w głowie i sercu zrobiło się zupełnie jasno, jakoby na te wyżyny wylecieli na „orlich skrzydłach myśli”—a gdy, spuściwszy na dół swe „orle żrenice”, zobaczą nas wierzących i pęzających, jak „senne gąsiennice”, cóż innego mogą nam

¹⁾ El...y „Napad na Parnas“.

powiedzieć, jeśli nie huknąć na nas z góry
słowami p. Konopnickiej:

„Wy, co z zastygłą piersią i usty zimnemi

„Kłękacie, dla zwyczaju, na mogilnej ziemi,

„Wy, co włóczycie senną istność swą po świecie,

„Czy wy żyjecie?“¹⁾)

Łaskawy czetelnik bez trudu już domyśli
się, że jeżeli tak rzeczy stoją z krytyką nauko-
wą, to bez porównania gorzej być musi z na-
ukowo-religijną. Nie wdając się w długie roz-
prawy, powiem tylko, że dla tego by naukowo
krytykować religię, trzeba, pominąwszy już me-
tody i inne rzeczy, znać religię i te nauki, z któ-
remi się ona styka; tymczasem faktem jest nie-
zaprzeczonym, że krytycznie, samodzielnie na-
ukę, i to specjalizowaną, posiadają dość nieli-
czne szczęśliwe indywidua; faktem jest także,
że jeszcze mniejsza liczba zna religię, więc kry-
tyka religijna, jako rzecz dostępna każdemu
i znamienne niby cechująca nasz wiek, jest
po prostu czczym frazesem.

Takiej religijnej krytyki dla ogółu niema,
bo wobec dwóch wymienionych okoliczności
jest ona niemożliwą. Na zachodzie, co prawda,
nagromadzono istne skarby w zastosowaniu
krytyki naukowej do religii, to też znający ob-

¹⁾ Konopnicka. „Wybór poezyj“. Fragmenty XVII,
(wyd. w Warsz.).

ce języki znajduje się jakby w zaczarowanej jaskini, której wrota tajemnicze „Sezam” otwarto. Nie wie do czego się brać i na co się pierwej rzucić. I na zachodzie jednak ogół mniej-szy w czerpaniu z tych skarbów bierze udział, niżby należało. U nas dotąd „dawne dobre czasy” mało się zmieniły. Przed kilkunastu laty w Warszawie p. Orzeszkowa uważała za możliwe... mieć odczyt publiczny, dowodząc, że dla ulgi cierpiącym religia nic nie zrobiła, a wiedza—wszystko (także powaga naukowa!), a p. Radliński dotąd może uchodzić za „naszego znanego i znakomitego” znawcę Biblii, bo cytuje Renana, protestantyzm po dawnemu w historii otaczany bywa aureolą postępu, a rewolucja francuzka jest zawsze „rehabilitacją pokrzywdzonych” (!) w oczach bardzo wielu. U nas dotąd, oprócz nielicznego grona księży, nikt nawet nie podejmuje, że jest naukowa religijna literatura—i w konserwatywnej „Bibliotece Warszawskiej” p. Dworzaczek z zupełnym spokojem twierdzi: „co jest przedmiotem wiary, to dowodu naukowego nie stanowi i dowodu nie potrzebuje, bo gdzie się zjawia dowód, tam wiara jest zbyteczną”; tłum zaś „oświecony” z niedowierzaniem pyta nas: alboż są jakie dzieła naukowe i religijne, oprócz katechizmu i książeczek ascetycznych O. Prokopa?

Od lat kilkunastu wychodzi w Warszawie „Encyklopedia Kościelna”, a ledwo trzy czy

cztery krótkie spotkałem o niej sprawozdania, a i w tych sprawozdawcy przyznawali otwarcie, że do oceny tego dzieła nie uważają się za kompetentnych. Są wprawdzie genialni koncept-praktykanci od krytyki (mówiąc po galicyjsku) w pewnych uczonych redakcyach, ale ci uważają, że szkoda psuć swój orli wzrok na drobnym druku Czerwińskiego i Niemiry. U nas więc krytyka naukowo-religijna chyba tylko w małym kółku specjalistów istnieje, a ogół czytającej i piszącej rzeszy nic o niej nie wie, więc i krytykować nie może.

Jest to, zdaje się, rzeczą arcy prostą i jasną, jak dzień, a jakże trudno przekonać o niej ludzi! Gdyby ktoś krytykował Luizyady albo Ramajanę, nie przeczytawszy ich nawet, gdyby decydował o wartości Madonny Sykstyńskiej, lub Katedry Kolońskiej, nie widzawszy ich nigdy—wyśmianoby go oczywiście; o chrześcijaństwie każdy rozprawiać może, nie znając go zgoła... Ale już ten biedny chrześcijaństwo zawsze musiał znosić inną miarę, inną wagę i inną sprawiedliwość niż wszystko, co nim nie jest. Nie trzeba, zdaje się, dowodzić długo, że tłumy naszych przeciwników nie znają wcale naszej wiary, jej dowodów, ani nawet jej systematycznego wykładu! Z niezajomością tą nie tają się oni wcale, owszem, uważają ją często za zaszczyt; chrześcijaństwo podług nich

to już rzecz tak przeżyta, obalona, zniszczona, że uczyć się jej, poznawać i czytać—nie warto.

Przed laty, do jednej z postępowych redakcyj warszawskich przyniesiono, jeśli mię pamięć nie myli, wspomnienie o świeżo wówczas zmarłym A. E. Odyńcu, napisane po chrześcijańsku; odpowiedziano jednak autorowi: „redakcyja, która siebie szanuje, nie drukuje takich rzeczy”. Opinia to ogólna u krytycznych nieprzyjaciół chrześcijaństwa, że kto siebie szanuje, ten lekceważy chrześcijaństwo i krytykuje wiarę, nie znając jej wcale, albo co najwyżej, poznawszy ze słyszenia jej główne dogmaty, o których się mówi na każdym kroku. To też tylko na polu tak gruntownie wypłenionem z wszelkiej znajomości religii, mogą przyjmować się, bujać i krzewić te tysiączne paszkwile, sofistmaty, drwiny i t. p. „krytyki”, jakich tyle i w naszym piśmiennictwie spotykamy, że o zagranicy nie wspomnę—krytyki w niczem nie ustępujące wiadomościom dawnych pogan o spożywaniu dzieci w czasie uczt chrześcijańskich, etc.

Kiedym czytał książkę Drapera o rozterce między nauką i wiarą, rzuciłem ją zniechęcony, doczytawszy zaledwie do połowy; zniechęciłem się zaś nie dla tego, że autor pisał ją z pianą nienawiści na ustach, że bluźnił i sztydził (do tego przyzwyczajeni jesteśmy), ale zdało mi się poprostu, że są to drwiny ze mnie, że czytamy

coś w rodzaju „Historji powszechnej dla złotej młodzieży”, zaczynającej się od tego:

„Kiedy Kara-Mustafa, Wielki Mistrz Krzyżaków,
„Ciągnął z swemi zastępy przez Alpy na Kraków,
„Do obrony swych granic będąc zawsze skory,
„Pobił go pod Grunwaldem król Stefan Batory“.

Nieznajomość faktów, czy też ich umyślne przekręcanie, nieznajomość litery i ducha wiary chrześcijańskiej, były tam tak namacalne i jawne, że w większej liczbie wypadków wystarczyłaby do ich wykazania nauka trzecieletniego słuchacza historii kościelnej jakiegokolwiek seminaryum; a jednak ten paszkwil obiegł świat cały i przewrócił mnóstwo głów i główek, które chciały być sędziami i krytykami wiary i jej dziejów, nie mając o nich żadnego pojęcia. Jeszcze nędzniej, z jeszcze mniejszym zapasem naukowym, wystąpił Jacolliot b. urzędnik francuzki w Pondichery, dowodząc, że nietylko Biblia i wiara chrześcijańska, ale cała cywilizacya wyszły z Indyj. Książki jego rozchodzą się po całej Europie i to jedno mogłoby wystarczyć do wykazania, jaką jest krytyczna wartość naukowego i religijnego wykształcenia naszych społeczeństw chrześcijańskich ¹⁾.

¹⁾ Wyborną choć treściwą ocenę pism jego dał profesor uniwersytetu w Louvain M-gr Harlez, w książce p. t. *Védisme, Brahmanisme, Christianisme*. Zalecam usilnie

Przypominam sobie, w jakim kłopotcie były nasze pisma postępowe, gdy Ojciec Ś-ty Leon XIII w 1879 r. wydał encyklikę *Aeterni Patris*, zachęcając do ściślejszych studyów nad filozofią scholastyczną, szczególnie zaś Ś go Tomasa. O scholastyce wiedziało się jużci, że to rzecz „ciemna, zawikłana i błaha”, pisało się też często o „scholastycznych wykrętach i subtelnościach” i wystarczało to zupełnie do codziennego użytku krytycznych czytelników tych pism arcy-krytycznych. Więcej nad to, niestety, nic się nie wiedziało i tak piękna okazya do rzucenia błotem na „ciemności klerykalno-średniowieczne”, a snopami pozytywnego światła na umysły abonentów, przeszła bez żadnego użytku.

Przykładów bardziej rażących zupełnej niezajomości nauki religii (nie mówiąc już o złej wierze) można przytoczyć ile się podoba; można je zbierać garściami. Połączenie podobne niezajomości przedmiotu z niezrównaną pretensją do krytyki, napozór wydaje się rzeczą potworną i wobec rozumu jest nią rzeczywiście; jednak, że to fenomen bardzo dawny, więc już go dostatecznie zbadano, i chociaż zawsze oburza, nie dziwi już tak bardzo.

tę książeczkę ludziom, którzyby w dobrej wierze chcieli bliżej poznać naukowy krytycyzm naszej epoki i jednego z głośnych jego przedstawicieli.

Przyczyny tego tkwią więcej w woli niż w rozumie, zaś jedną z nich jest zarozumiałość właściwa każdej miernocie, a tych jest „poczet nieprzeliczony”. Każda miernota, ledwo rzuci na co okiem, już zna rzecz do gruntu; pierwszy raz o czemś posłysz—wnet do siebie stosuje: „mądrej głowie dość na słowie”,—już decyduje, a z jaką pewnością, jak apodaktycznie, z jaką pogodą geniuszu, z jaką fantazyą i animuszem! Nasłuchałem się takich mędrców do syta i zawsze zeznawałem, że moje słabe siły nie wystarczą do oddania całego podziwu, jaki względem nich czułem.

Inną znowu przyczyną jest lenistwo. Dla naukowej oceny dzieła, czy teorii jakiegokolwiek, trzeba bardzo wiele nauki i pracy, wówczas gdy daleko jest łatwiej i przyjemniej krytykować przesady w ognistych artykułach, piorunując na zacofanie, prawiąc o próchniejącym chrystyanizmie, paląc kadzidła na cześć nauki wszechwiedzącej i wszechmocnej, strasząc widmem wstecznictwa, klerykalizmu i t. p. okropności; żeby to wszystko potrafić, dość... nie wziąć atestatu dojrzałości.

Niech i tak będzie—odpowiedzą mi może—prawda, że wśród pracy czy rozrywek życia, brakuje nam czasu na wyczerpujące studia, na samodzielną krytykę; prawda, że my sami nie możemy krytykować gruntownie ani wiary, ani nauki, ale ostatecznie my popularyzujemy, po-

wtarzamy to, czego rzeczywiści, fachowi uczeni doszli, co oni ocenili i skrytykowali. My idziemy tylko w kierunku przez mistrzów nauki wskazanym, a nie może być przecie, żeby tylu rozumnych ludzi myliło się tak bardzo i decydowało w sprawie której nie poznali.

Położyliśmy palec na ranie—to jest bowiem najsilniejszy i jedyny argument, którym wojują tłumy sceptyków i krytyków naszych, piosenka, którą wszyscy oni nucą, kolumna na której szczególnie lubią się opierać pełni nadziei młodzieńcy i wolnomyślnie panie i panny, gdy zechcą się bawić w samodzielność i krytycyzm. Możliwy na to powiedzieć, że taki krytycyzm, to tylko zamiana jednej wiary na drugą (jak już wyżej mówiłem), że nie wart on złamanego szeląga, i taka samodzielność umysłu niczem się od zupełnej rozumu niewoli nie różni; że są teraz bardzo liczni i coraz liczniejsi uczeni rozumni ludzie, którzy wierzą po chrześcijańsku, ale już powiedziałem, że dla chrześcijaństwa inna istnieje waga, miara i sprawiedliwość. Przystąpmy więc bliżej do tego ogniska naukowo-religijnej krytyki. Ponieważ to przedmiot dość złożony, więc najpierw słów kilka powiedzmy o uczonych, a potem o samej nauce.

Jest bardzo wielu uczonych, którzy nie wdając się w żadne kwestye filozoficzne lub teologiczne, pracują w cichości nad swoją nau-

ką; są także bardzo liczni uczeni, którzy się ze swoją wiarą nie tają i bronią jej otwarcie, najliczniejsi jednak, a przynajmniej najgłośniejsi i najmodniejsi są nieprzyjaciele wiary chrześcijańskiej. O tych ostatnich tylko mówić będę.

Otóż uczeni tego ostatniego autoramentu mają trzy przymioty bardzo nienaukowe, które ich naukową krytykę religijną czynią bardzo podejrzaną, albo, mówiąc prawdę, bezwartościową zupełnie. Pierwszą z tych wad jest okoliczność, że wiary, którą jakoby krytykują, zupełnie nie znają. „Rzeczą jest istotnie, powiada Duilhé de St. Projet, godną uwagi, że ci deklamatorowie, wielcy czy mali, wcale nie dysputują, nie próbują nawet poważnej krytyki logicznego charakteru wiary, jej racjonalnych podstaw, których nigdy nie raczyli badać; oni tylko twierdzą lub przeczą i na tem koniec. Tutaj znowu i więcej niż gdzieindziej, jeśli niema złej wiary, jest nieznamość w tak wysokim stopniu, że zadziwia ona u uczonych z zawodu” ¹⁾. Ten sam autor na innem miejscu przytacza ustęp z mowy Virchowa, mogącej służyć za wzór takiej ignorancyi, podszytej złą wiarą. „Nie może być, powiada on, żadnego zbliżenia między ludźmi posiadającymi pelen zasób faktów, jakich nas uczy obserwacya, ludźmi, któ-

¹⁾ Apol scient. de la foi chr. 63.

rzy uważają ciała niebieskie, jako będące na drodze wiekuistego rozwoju, a ludźmi innymi, którzy wyobrażają sobie niebo, jako krainę, gdzie wszystko jest błękitnem i gdzie mieszkają istoty wymarzone”.

Pominąwszy już to, że uczony pozytywny, opierający się jakoby na obserwacji, nie może mówić o istotach niebieskich, czy są one rzeczywiste lub wymarzone, bo ich nie obserwował, zwracam uwagę na niewiadomość tak znacznej rzeczy, jak ta, że chrześcijaństwo nigdy nie łączyło pojęcia nieba, gdzie Bóg wybranych swych szczęściem wiecznem obdarza, z niebem astronomicznem, i że nikt sobie nieba nie wyobraża, jako krainę, gdzie wszystko—błękitne. Podobnych błędów jest u nich niezliczone mnóstwo.

Drugą wadą owych uczonych jest niechęć, ba, nienawiść do religii wszelkiej, a że nienawiść zaślepiła, więc już tam trudno ufać krytyce przez nienawiść natchnionej. To też trzymają się oni zgoła nienaukowej metody, bo z jednej strony, nie opierają swych teoryj na faktach sprawdzonych, lecz nagwałt poszukują faktów na poparcie teoryj z góry powziętych i dowolnie usanowionych; z drugiej znowu—umyślnie przesadzają, karykatyrują zasady chrześcijańskie, wynajdują najosobliwsze osobiste opinie pisarzy chrześcijańskich lub teologów, by je jako dogmaty objawione przedstawić,

podnoszą je do oczywistego absurdu, by potem rzucać gromy i pioruny na Objawienie, wołając patetycznie: patrzcie ludy i narody, w jakie to niedorzeczności każą wam wierzyć kapłani, chodźcie do nas, do światła, do wyzwolonej myśli!

Metoda to sprytna, choć nie nowa ale już zgoła nie naukowa; jest to Wolterowskie: *calomniez, mes amis, calomniez hardiment, il en restera toujours quelque chose.*

Więc też w każdej prawie ich pracy naukowej, ta nienawiść wiary, ta chęć pozbycia się Boga, jak szydło z worka wyłazi. „Nauka, (Darwinizm) powiada dr. F. Strauss, wykazała tę siłę, tę czynność natury, odkryła drzwi, przez które potomność, szczęśliwsza od nas, wyrzuci nadprzyrodzoność raz na zawsze”. Oto marzenie i cel naukowy tego rodzaju uczonych. Jak można, na przykład polegać, na bezstronności naukowej takiego Vogta, który, wykopawszy gdzieś w Szwajcaryi czaszkę niezmiernie wąską i płaską, twierdził publicznie, że tak ciasna głowa nie mogła do nikogo innego należeć, tylko do chrześcijańskiego misjonarza!?

W końcu, ostatnią z wad, o których wspominałem, jest, wspólna zresztą całemu oświeconemu ogółowi pogarda i nieznamość filozofii i zasad logiki.

Uczeni materyaliści i pozytywiści mają dwie bardzo różne właściwości. Jako obserwa-

torowie i znawcy swej specjalności stoją nieraz bardzo wysoko i zadziwiają mnóstwem wiadomości i subtelnością spostrzeżeń; ale gdy zaczną rozumować i filozofować, czynią to w sposób, wołający o pomstę do Nieba. Nic dziwnego: jak organizm człowieka niećwiczony zanika, a przynajmniej staje się wątłym i do swych funkcyj niezdolnym, podobnie też i władza umysłowa, zaniedbana zupełnie, funkcjonuje niedołącznie, zwłaszcza gdy wola i namiętności pochod jej utrudniają. Przykłady najlepiej nam to uprzytomnią, więc ich kilka przytoczę. Büchner w „Kraft und Stoff” ¹⁾ chwali wpływ materjalizmu na postęp cywilizacji. „Materyaliści, mówi on, zdziałali to, że dziś rodzaj ludzki, wydarłszy materji jej tajniki, widzi się niejako postawionym na jej ramionach; oni to zdziałali, że dziś, zerwawszy pęta ciężkości, z chyżością wiatrów po ziemi pędzimy i że z najodleglejszych stron, prawie z chyżością myśli, wiadomości sobie przesyłamy. Wobec takich faktów milczeć musi zazdrość i minęły już czasy (die Zeiten sind vorüber), w których złudne i wymarzone wyobrażenie o świecie więcej znaczyło niż rzeczywistość”.

Podobne przechwałki czytałem także w dziełach pozytywistów, którzy na swoje sumienie

¹⁾ Cyt. Morawski str. 157.

brali wszelkie ulepszenia i wynalazki, cały postęp z 50 lat ostatnich t. j. od urodzenia się pozytywizmu. Pewnie, pewnie... podług takiej logiki z równą racją i prawem i ja mógłbym się przechwalać, że mój 25-letni pobyt w Ż. wywarł ogromny wpływ na dzieje ludzkości, bo w tym czasie zjednoczyły się Włochy, upadło cesarstwo francuzkie, powstały Niemcy, zachwiała się Turcja, w tym czasie ogromnie powiększyła się sieć kolei, wynaleziono telefony, melinit, proch bezdymny, ba, nawet „gudronit” i „exiccator”. Śmianoby się juźci z takich pretensyj, gdybym je wypowiedział, bo co innego w czasie mego pobytu, a co innego *wskutek*. Otóż materyaliści i pozytywiści, z dziwną, acz bardzo dla siebie korzystną logiką, pomieszali te dwie rzeczy i zdaje się im, że wszystko, co dobrego stało się przy nich, to stało się przez nich, gdy w rzeczywistości stało się to pomimo nich, a często wbrew im. Postępowcy nasi i cudzy twierdzą, że wiara lub niewiara, to stan czy nastrój taki, za który człowiek nie jest odpowiedzialnym, równie jak za większe lub mniejsze zdolności umysłowe, za większą lub mniejszą żywość charakteru— jest, to jest—niema—cóż robić!

Duilhé de St. Projet cytuje nawet jakiegoś pisarza, który w sporze o „Disciple” Bourget’a, dowodząc nieodpowiedzialności wobec bliźnich i sumienia wszelkich samozwańcych nauczycy-

cieli, zapędził się aż do twierdzenia, że „nie można zacytować z dziejów ludzkości ani jednego uczynku natchnionego zasadami wiary”. Jednak ciż sami panowie najusilniej rozszerzają swoje zasady; na cóż więc w takim razie się trudzić? Zasady filozoficzne czy religijne nie wywierają wpływu na ludzi, więc przestańcie pisać i rozprawiać! Jednak ciż sami nauczyciele jeszcze usilniej wyniszczają wiarę, gdzie mogą, bardzo chętnie uciekają się do przemocy, rozpędzają wyznaniowe, a wprowadzają bezwyznaniowe i przymusowe szkoły (liberały lubią bardzo szafować pszymusowemi dobrodziejstwami—byle szafarstwo było przy nich). Pocóż to wszystko, jeśli wiara i przekonania nie wywierają wpływu na czynności?!

Materyaliści doskonale wiedzą, że materya jest bezwładną, bez czucia i myśli i nawet na tych jej właściwościach opierają wszystkie doświadczenia, całą mechanikę, całą swoją naukę. W człowieku i zwierzętach widzą myśl i czucie. Podług najprostszej logiki zdawałoby się, że trzeba w ten sposób rozumować: ponieważ w tych organizmach są właściwości, jakich materya nie posiada, więc jest w nich inny pierwiastek—niemateryalny. Logika zaś tych uczonych doprowadza do wniosku, że chociaż materya do czucia nie zdolna, to jednak czuje, inaczej trzebaby przypuszczać duszę, a tego przypuścić nie chcą. *Sic volo sic jubeo.*

Jedynym argumentem materialistów, do którego wszystkie się sprowadzają, skierowanym przeciwko istnieniu duszy, jest wpływ ciała na jej działalność. Rzecz to od wieków znana i zwykła logika dawno już wywnioskowała, że dusza jest zależną od ciała, logika zaś udoskonalona, krytyczna wyrozumowała: że ponieważ zależna, więc jej niema. Jako odpowiednik tego wniosku ks. Morawski przytacza następujące słowa: „Mózg jest potrzebny do myślenia, więc sam mózg myśli—niema duszy. Pióro jest potrzebne do pisania, więc samo pióro pisze—niepotrzeba ręki. Warunki materialne wpływają na objawy psychiczne, więc sama materya myśli—nie potrzeba duszy. Budowa organów, kształt rur i t. p. wpływają stanowczo na granie, więc same organy grają—nie potrzeba organisty etc.” Głośny autor teorii: *des Unbewussten* i hasła: *Ausrotten* zbyt dobrze znał naturę, by nie dostrzedz w niej celowości, którą też w pierwszych dwóch częściach swego dzieła rozwija i wykazuje. Logika zwyczajna postawiona wobec jakiejś rzeczy, zrobionej z celem, np. wobec obrazu lub maszyny, bez żadnej pomyłki wnosi, że był malarz lub mechanik, który ten przedmiot zrobił; w danym więc razie wywnioskowałaby ona, że, po za tak rozumnie utworzoną naturą, był rozum jako jej przyczyna sprawcza. Ba! ale cóżby na to powiedzieli nieprzyjaciele wszy-

stkich teoryj *a priori*, którzy właśnie z góry powiedzieli sobie, że żadnej przyczyny sprawczej być nie powinno—*sic volo, sic jubeo*, ba, a cóżby się stało z wielką nauką zdobyczą „raczej od algi byle nie od Boga”...?

Więc też Hartmann zawyrokował, że każda cząstka materji nieświadomie dąży sama do swego celu... Mybyśmy taką logikę nazwali grą w ciuciubabkę, ale nam ci co „wzniesli się orłem skrzydłem myśli” odpowiedzieliby, że „senne gąsienice” głosu w tej sprawie nie mają, bo Luter jeszcze zawyrokował, że „osieć i papista—to jedno”.

Teraz jeszcze parę przykładów dla objaśnienia głębokości naukowo-filozoficznych wniosków i ścisłości naukowej w wyrażaniu się. Jak wiadomo, ulubionym dogmatem materialistów jest nieskończoność świata. „Zauważymy nawiasowo, że twierdzenie to jest tylko prostem widzimi się materialistów; jedni poprostu tak twierdzą, drudzy cytują swych współbraci tak samo twierdzących, inni nakoniec dowodzą tej nieskończoności świata—teleskopem. Büchner np., twierdząc, że świat materialny jest nieskończony, uzasadnia to twierdzenie powagą materialisty Cotta, a nadto dwoma argumentami: pierwszy zależy na tem, że światło przebiega w sekundę 42,000 mil, a pewne gwiazdy, odkryte za pomocą teleskopu Rossego potrzebują 2,000 lat, aby nam swe światło przysłać.

Cóż ztąd wynika? Oto, że w tej odległości, którą łatwo obliczyć za pomocą prostego mnożenia, jeszcze nie znajdują się krańce świata. Takby się zdawało, ale Büchner widzi w tem dowód, że świat jest nieskończony. Wolność opinii! Drugi i ostatni argument jest taki: gdyby świat miał granice byłby w pewnym miejscu środek ciężkości i wszystkie gwiazdy spadłyby ku temu środkowi... Ale doprawdy takie rozumowanie nie godne jest tak wielkiego badacza. Najpierw istotnie nie brak dziś astronomów, skłaniających się do przypuszczenia takiego środka ciężkości. do którego się zbliżamy; pominawszy to jednak, z kądze tak napewno Büchner wie, że cały świat nie jest jednym systemem? A jeśli tak jest, czemuż gwiazdy nie mogą się utrzymać w swych odległościach przez równowagę między siłą dośrodkową z ich ciężenia, i siłą odśrodkową wynikającą z ich pędu"? 1).

Dla odmiany, po niemieckich uczonych przytoczę teraz stronicę francuskiego popularyzatora nauk przyrodniczych. „Jedna jest tylko całość, to się samo przez się pojmuje; całość nieskończona, tak co do rozległości, jak i co do trwania. Całość jest całością, zatem nic po za nią nie istnieje, nawet nicość. Wszechświat

1) Ks. Morawski: „Filoz. i jej zadanie“ str. 173.

jest zbiorowiskiem nieskończonem światów na wszystkich stopniach rozwoju i upadku, w ciągłym ruchu, wiecznej młodości i starości, zachowując wiekuiście też samą obfitość siły bezwzględnej w tej przemianie i w tym nieustannym ruchu...

„Tu i owdzie w bezmiarze światy i całe układy światów giną, gdy przeciwnie rozwój jest w całej pełni na innej stronie nieskończonej przestrzeni... Jest to ciągłość nieustannych kół kosmicznych, nowa natura wychodząca z chaosu, jaki jej zniszczenie sprawiło... Wszechświat jest nieskończonością materii, która przez rozkłady, przemiany i walki wznosi się do form i czynności coraz wyższych. Rzeczą widoczną, że świat ma cel jakiś; jest w nim coś, co się rozwija przez wewnętrzną konieczność, przez instynkt nieświadomy siebie, podobny do ruchu roślin ku wodzie lub światłu.. Świat dąży do celów swoich z niezawodnym instynktem. Wszechświat jest współwieczny Bogu i nieskończony jak On... pierwsza przyczyna dzieła od pierwszej chwili swego istnienia...

„Naprawdę tysiące różnych religij miały naiwną śmiałość wynajdywać bogi na podobieństwo człowieka... Bóg jest nieskończonym i niemożliwym do poznania. Wszechświat jest w stanie ciągłego stwarzania. Genezy światów zapalają się teraz w niebiosach... cmentarze zmarłych planet krążą w głębokościach nocy

gwiazdzistych. Błędne komety, które przechodzą z systemu do systemu, sieją po drodze gwiazdy spadające, centry światów zniszczonych, i węgiel zarodek przyszłych organizmów... Nigdy nie było więcej stwarzania niż dzisiaj" ¹⁾).

W ustępie tym podziwiać możemy fantazyę iście wschodnią, ale też i ścisłość naukową także wschodnią, bo co zdanie prawie, to błąd, albo rzecz niedowiedziona, albo też niedokładne wyrażenie. Wyliczę je tylko i wskażę. Całość świata nieskończona w przestrzeni i trwaniu jest wprawdzie najgorętszym pragnieniem materialistów, ale jest ona również rzeczą nie tylko niedowiedzianą, ale i niemożliwą do dowiedzenia.

„Niema nic po za całością nawet nicości”, niema sensu, bo nicość bytu nie ma i istnieć nie może. Wieczna w świecie wymiana młodości i starości, to także *pium desiderium*; co najwyżej mówić można o następstwie i to nie wiecznem, bo stosunek sił ciągle się zmienia na niekorzyść dalszego rozwijania się światów bez końca ²⁾. Natura nowa, wychodząca z cha-

¹⁾ *Le moule avant la création de l'homme* cyt. Duilhé de St. Projet. p. 155.

²⁾ Suma energii wprawdzie pozostaje zawsze jednaką, wszakże wiadomo, że ilość energii cynetycznej (w ruchu) zmniejsza się ustawicznie na korzyść potencyjnej (w spokoju); wiadomo również, że ciepło dąży ustawicznie

osu poprzedniego zniszczenia, jest tylko twierdzeniem. Znamy ciała niebieskie starzejące się i zamarte, nie znamy zgoła przykładu, by ciało wygasłe nanowo żyć zaczęło. Świat, będący nieskończonością materii, jest błędem, wznoszący się zaś do coraz wyższych form i czynności—co najmniej rzeczą nieokreśloną i wątpliwą. Świat współczesny Bogu jest niemożliwy, bo przyczyna musi być pierwiej, niż skutek. Bóg, działający od pierwszej chwili swego istnienia, jest całkiem niefilozoficznym wyrażeniem, bo kto nie ma początku—nie ma też pierwszej chwili istnienia. Świat w stanie ciągłego stwarzania—nie ma żadnej naukowej podstawy, bo co innego stwarzanie (*création*), a co innego znowu rozwijanie się, formowanie. Świat współwieczny Bogu i jak on nieskończony—jest nonsensem, gdyż taki świat byłby drugim Bogiem. Świat rozwijający się przez wewnę-

do jednakowego rozkładu „we wszechświecie, czyli, że wszystkie ogniska ciepła, światła, siły z czasem się wyczerpią, „a ponieważ, powiada de St. Robert, sprawdzono we wszechświecie dążność wszystkich sił do zamienienia się w ciepło, rozpraszające się jednakowo wszędzie, więc świat dąży do stanu ostatecznego, w którym nie będzie już żadnej różnicy temperatury w ciałach, a wskutek tego żaden fenomen nie będzie możliwym i wszystkie czynności natury zostaną zatrzymane we względnym wiekuistym spokoju”... (cyt. Moigno III 1285 p.).

trzną konieczność—wyrażenie, co najmniej, nie jasne, jeśli nie zupełnie fałszywe. Cmentarze planet, i w dodatku, krążące, nie mają żadnego znaczenia; co najwyżej zaś możnaby powiedzieć trupy czy szkielety planet, tak samo, jak zapalające się genezy. W końcu autor twierdzi, że „nigdy nie było więcej stwarzania we wszechświecie niż dzisiaj”, co już jest jego osobistym przekonaniem, którego chyba nie dowiedzie.

Na teraz dość tych przykładów (spotkamy się zresztą jeszcze z nimi niżej), bo czuję, że czytelnicy moi, którzy w dobrej wierze tak pewni byli, „że być nie może, by tylu mądrych ludzi myliło się tak grubo”, doznają coraz większego zdziwienia; widzę, że natrętnie stają przed nimi pytania: więc to tak rozumują ci nieomylni krytycy naszej wiary?, więc taka ich filozofia?, tak mocne fundamenta ich pewności siebie?... O tak, odpowiem, tak oni rozumują, a nawet bez porównania gorzej. Kto zbadał ich dowody jeden po drugim, kto je zestawił z zasadami zdrowej filozofii i dowodami nauki Chrystusowej, ten widząc, jak tłumy bez zeznania chwytają te niedorzeczne wymysły, niby dzieci niedojrzałe owoce, kto widzi, że fałsz rozchodzi się szybko bez pracy i wysiłku, gdy na zdobycie prawdy trzeba pracować, a ludzie tego nie chcą—ten z przerażeniem pyta, dokąd taka logika i taka nauka doprowadzą? Niestety, innej odpowiedzi dać sobie nie potrafi, tylko,

że jeśli miłosierdzie Boże nie przeszkodzi, doprowadzą one do rozkładu i zatracenia, bo każdy błąd w kwestjach podstawowych może na swem czele umieścić napis Dantejski: *Per me si va nella perduta gente* ¹⁾.

¹⁾ „Przezemnie droga do ludu zatraconego”.—Nasza literatura, acz pod wielu względami bardzo uboga, wyrównywa wszystkim innym obfitością odstępstw od prawidłowego rozumowania. Przytoczę tu jeden tylko przykład, który kładę w tem miejscu, nie chcąc go mięsząc z jadowitymi wyżej przytoczonymi ustępami; jest on przykładem nie złej woli, ale złego skutku zaniedbania prawidłowej nauki filozofii. W lutowym zeszytcie „Biblioteki Warszawskiej” 1892 roku, p. Dworzaczek zdaje sprawę z książki ks. Morawskiego p. t. „Celowość w naturze”; niedość na tem, krytykuje ją nawet i na czterech kartach swojej krytyki złożył liczne dowody, że podjął się zadania nad siły. Ks. Morawski (podług mego skromnego zdania) jest u nas najpierwszą może filozoficzną głową, p. Dw. zaś nie zna niektórych nocyj filozoficznych, bardzo nawet pierwotnych. Przytoczę tu jeden z wielu przykładów tego. „Ks. Morawski twierdzi—pisze p. Dw., że „względność praw rozumu jest grubą pomyłką. Względnościami są właściwie prawa przyrody, jak prawo powszechnej grawitacyi, prężności gazów i t. p.”” My zaś—mówi dalej p. D.—uważając człowieka za wytwór przyrody, sądzimy, że wartość praw rozumu ludzkiego w niczem nie może przewyższać wartości praw natury. Albo i prawa natury są równie niezienne i bezwzględne jak i prawa umysłu ludzkiego, albo też względność—obu tych czynników jest udziałem. To rzecz jasna”. Właśnie, że zupełnie niejasna, a co gorsza, całkiem fałszywa, rozumowanie zaś

Zadaniem wiary jest prowadzić człowieka do jego nadprzyrodzonego celu za pomocą oświecenia rozumu i kierowania woli; oczywiście w dziedzinie rozumu nie może wiara rozminąć się z prawdami, czy też z pojęciami, zdo-

powyższe w wysokim stopniu jest balamutne. Co ma znaczyć „człowiek jako wytwór natury”? Człowiek jest częścią natury, to rzecz jasna, zaś „wytwór natury”—jest wyrażeniem nadzwyczaj nieokreślonym. Z konkluzji wnosić można, że p. Dw. chce przez to rozumieć człowieka, jako w niczem od reszty natury nie różniącego się i, nawet pod względem rozumu, ulegającego tym samym prawom co ona. Ależ, tu istna wieża Babel, bo ks. Morawski mówi o prawach rządzących materya, a p. Dworzaczek do tej kategorii podciągnął abstrakcyjne prawa rozumu; więc jest to porównanie dwóch rzeczy więcej od siebie różniących się niż np. funt szynki i sonata Beethowena. To—jeden błąd kardynalny. Drugi na tem zależy, że sz krytyk, uważając człowieka za „wytwór natury”, przeoczył fakt nie tylko widoczny, ale nawet namacalny. Człowiek ma jakoby tylko takim ulegać prawom, jakim ulega cała natura; przecież żaden kamień, ani pietruszka, ani zając nie napisze oceny książki ks. Morawskiego;— p. D. ją napisał. Prawda że źle, ale napisał. Otóż działalność (*operari*) odmiennej natury wskazuje na pierwiastek odmienny (*esse*). Cała natura nie może rozumować, bo nie ma rozumu, pierwiastku zgoła odmiennego od prawa grawitacji, ruchu, trawienia, wymiany materji i t. p. Ponieważ więc natura rozumu inna jest zupełnie niż grawitacji, to i prawa jego nie mogą być do tej samej zaliczane kategorii, co prawa rządzące objawami zmysłowymi i materyjalnymi. Trzeci w końcu błąd w tym krótkim ustępie popełnia p. Dw, dla tego,

bytemi przez ten sam rozum własnymi jego siłami—t. j. z nauką.

W takim razie ma rozum prawo wymagać, żeby między dogmatami nauki objawionej i prawdami nabytemi drogą ludzkiej umiejętności

że nie zdaje sobie sprawy z tego, co, w zastosowaniu do omawianych przedmiotów, znaczą przymiotniki: bezwzględny i względny. Prawa rozumu, nietylko ludzkiego, jak dodaje od siebie p. Dw., ale każdego—anielskiego, Boskiego nawet, są te same i są bezwzględne. Np. dwa razy dwa—cztery, część—mniejsza od całości, co jest—nie może jednocześnie nie być, niema skutku bez przyczyny—są prawdami i byłyby niemi, choćby ludzi zupełnie nie było. Nie trzeba dowodzić, że inaczej nigdy być nie może, bo to oczywiste, i dla tego właśnie są to prawdy względne. Rozum ludzki te i tym podobne prawdy poznaje mniej więcej dokładnie, ale to rzeczy nie zmienia. Prawdy takie są bezwzględnie prawdziwe i rozum ludzki powinien się nimi rządzić, jeśli chce prawidłowo rozumować. Prawa natury są względne, bo ich natura jest zupełnie inną. „A czy prawo grawitacji dla materji nie jest bezwzględną koniecznością?”—pyta recenzent. Z pewnością nie! Zaprzeczenie prawa rozumowego, prawdy bezwzględnej, zawiera sprzeczność samo w sobie i prowadzi do absurdu, zaprzeczenie prawa tylko przyrodzonego nie ma tego następstwa. Rzeczywiście, w obecnym stanie świata, prawo ciężenia jest dla materji koniecznością, ale niema w niej konieczności wewnętrznej. Jest tak, bo jest, nie byłoby jednak niedorzeczności, gdyby ten sam skutek inna przyczyna wywołała, albo gdyby go zgoła nie było. Jakoż spotykałem teorię, tłómaczącą wszystkie objawy ciężenia przez prężność eteru. Nie wiem czy tak jest, ale byłoby

była zgoda zupełna, żeby Objawienie, od Boga pochodzące, nie przeczyło prawdom naturalnym, których pewność jest oczywistą lub dowiedziowaną. Nic więc w tem dziwnego, że rozum chce te dwa rodzaje nauki porównywać z sobą i krytykować.

Wiara nietylko nie ma nic przeciwko takiej krytyce, lecz owszem, zgodę zupełną między dwoma źródłami wiedzy, lecz potwierdzenie przez naukę tych punktów stycznych, uważa bardzo słusznie za dowód prawdziwości Objawienia, za *motivum credibilitatis*—pobudkę do wierzenia. To też nie szczędzono wierze krytyki, i słusznie o niej powiedzieć można, co Duilhé de St. Projet mówi o Biblii: „ciągły tryumf jej przez wszystkie wieki jest zaprawdę

mogło bez niedorzeczności. Mogłoby być także, by ziemia nasza obracała się w odwrotnym kierunku, by ciężar atmosfery był inny, by chemiczne pierwiastki inaczej się łączyły i t. p.; byłyby wtenczas tylko inne objawy, inne skutki i nic więcej. Niechże np. kto spróbuje zmienić prawdę rozumu, że co jest nie może jednocześnie nie być... dojdzie do tak pięknych rezultatów, jak idealiści niemieccy, do absurdu. „Materyi nie podlegającej prawu ciężenia—nie znamy, umysłu rozumującego wbrew zasadniczym prawom logiki—również nie znamy” —twierdzi p. Dw.; szczęśliwy, zaprawdę, kto tak mówić może. Co do materyi, to zgoda zupełna, ale co do umysłu nielogicznie rozumującego, to znam, znam takie, i mógłbym jeden zaraz wymienić... tylko że to—*nomina uivosa*.

bardzo pocieszającym i wspaniałem zjawiskiem. Stała ona wobec bezwzględnego przeczenia i trzeba było dowodzić istnienia Boga, sprawy Objawienia, możebności, konieczności, rzeczywistości Objawienia. Stała ona wobec krytyki nad wyraz zarozumiałej, jeśli już nie stronnej; w naszej epoce, musiała dowodzić swego początku, autentyczności, całości, prawdziwości. Z trudnością można sobie wyobrazić, jak drobniagowe badanie, nielitościwe i zawzięte rozprawy zwyciężyła ona i wyszła z nich nietkniętą. Gramatyka, filologia, archeologia, historia, etnografia, erudycya, topografia, estetyka, wszystko to co stanowi liczny orszak racjonalistycznej krytyki po kolei oddało jej hołd wymuszony. W końcu postawiono ją wobec natury i oddawna już święte jej karty, zawierające tajemnice początku i końca rodzaju ludzkiego, przechodzą przez pożerające płomienie nowoczesnej nauki i znoszą tę długą próbę ogniową, nie tracąc ani jednej joty nakreślonej palcem Bożym”.

Takiego samego jak Biblia losu doznawała wiara; i względem niej także sposób ataku czy krytyki zmienił się nieco. Wiara zwyciężyła na polu historii, filozofii, geografii, archeologii i innych nauk, z którymi się styka; zwyciężyła, lecz opór nie ustał. Zarzuty dawne i nowe ciągle występują i choć milion razy odparte i rozwiązane, milion razy powracają do boju, jak

lekka kawalerya, która, ciągle rozpraszana, znowu się zbiera i niepokoi przeciwnika. Atak zmienił się w taki sposób, że nauki, stanowiące niegdyś główną armię, przeszły teraz na flanki, a całą siłę przeniesiono na nauki przyrodnicze i z nich ulano ciężkie działa, których pociski mają zmiążyć wiarę dotąd zwyciężką.

Przeciwnicy wiary wiele, raczej wszystko, sobie po tej nowej artylerii obiecują; szukają w gwiazdach, pod ziemią, na dnie oceanu, we wnętrzościach zwierząt i nasionach roślin argumentów przeciwko wierze, szukają z zaciętością niesłychaną, nadzieją wielką i pewnością siebie niezrównaną. Nic dotąd nie znaleziono, co prawda, ale tyle robią hałasu, tak stanowiąc twierdzą, tak chwalać się swym rozumem, tak szydzą z chrześcijańskiego nieuctwa, że nawet wśród chrześcijan udaje się im nieraz wzbudzić, jeśli nie przestraszyć, to powątpiewanie. Kto wie, mówią ci ludzie, niewiadomo — mniejszej wiary czy nauki, kto wie jak się ten spór skończy, czy wiara znowu wyjdzie zwycięzko, gdy wykopią jakieś niesłychane dziwo z ziemi, albo w morzu wyłowią jakiego dziwotwora? Wątpliwości takie nie mają żadnej podstawy i „pochodzą tylko z niedostatecznej znajomości tej kwestyi. Przyczynili się po części do tego błędu sami antagoniści materyalizmu, przenosząc główną walkę na pole umiejętności przyrodniczych, gdzie grunt jest chwiejny i prawie

codziennym podlega zmianom. Tymczasem rozstrzygnięcie tego sporu leży właściwie po za obrębem tych umiejętności i nie zależy wcale od ich możliwego postępu.

„Gdyby kto przypuszczał, że może dalszy rozwój matematyki wykazać, iż suma kątów w trójkącie wynosi więcej niż dwa proste, cóżby o takim człowieku powiedziano? Oczywiście—że nie wie o co idzie. Otóż, jak pewniki, które stanowią podwaliny geometrii, są bezwarunkowo pewne i nikomu na myśl nie przychodzi przypuszczać, że może dalszy rozwój matematyki zada im kłam, tak samo pewniki, które rozstrzygają spór z materyalizmem są zupełnie niezawisłe od jakiegokolwiek postępu umiejętności” ¹⁾).

Tak, jest to prawdą niezawodną. Jeśli odległość została wymierzona dokładnie, przypuśćmy, za pomocą łańcucha, to z jakiegokolwiek strony, za pomocą jakich się podoba instrumentów mierzono ją potem, rezultat nie może być wątpliwym ani innym. Więc też krytyka, analizująca za pomocą nauk przyrodniczych te punkta, w których wiara z owymi naukami się styka, nie mogła dać innych rezultatów tylko sprawdzenie z innej strony i z innego punktu widzenia tego, co uprzednio było

¹⁾ Morawski „Filoz. i jej zad.” 173.

już wielokrotnie sprawdzonem, t. j. zupełnej zgody wiary i nauki.

Zgoda ta jest faktem i żadnemu zaprzeczeniu ulegać nie powinna ¹⁾. Krytyka bezwyznaniowa w swej mądrości i bezstronności nic o tej zgodzie wiedzieć nie chce, zapomina o tysiącach zarzutów w proch startych przez wiarę w ciągu wieków, bo szuka tylko: coby tu nowego natomiast wymyślić. Jeżeli zaś rzecz stała się tak powszechnie wiadomą, że nieznać jej — nie sposób — wstydliwie o niej zamilcza i dalej swoje prowadzi.

W przedmiocie, tak bardzo będącym dziś na dobie i tak bardzo obchodzącym wszystkich, nie chcę poprzestać na gołosłownem twierdzeniu, ani na wzmiance pobieżnej o kilku wypadkach, lecz zamierzam poprzeć je przykładem obszerniej rozpatrywanym; wpierw jednak muszę uczynić jedno konieczne zastrzeżenie. Jak w strzelaniu do celu niezmierną przeszkodą jest

¹⁾ Przykładów jej kilka z dziedziny nauk przyrodniczych spotkają czytelnicy zaraz niżej, z krytyki historycznej i archeologicznej przytoczę kilka w rozdziale następującym; natomiast ktoby chciał zapoznać się bliżej z literaturą katolicką znajdzie takich faktów pełno w każdym poważniejszym dziele, np. w 2 i 3 tomach ks. Moigno: *Les splendeurs de la foi*, w przytaczanej często Apologii ks. Duilhé i t. p. dziełach, choćby tylko wciągu tej rozprawy mojej wzmiankowanych.

mgła, tak we wszelkiem dowodzeniu czy rozprawianiu porozumienie się jest niemożliwym, jeśli wpraw nie zostanie rozproszonym zamęt, powstający z niedokładnego określenia przedmiotu, z niejednakowego jego pojmowania, albo też z wciągania do sporu pytań postronnych. W sporach między wiarą i naukami przyrodniczymi ten ostatni wypadek zdarza się arcy często; wierzący i niewierzący, przez niezajomość rzeczy, albo dla innych powodów, podają, jako należące do wiary lub nauki, kwestye wcale im obce, lub co najmniej wątpliwe, toczą długie a zacięte spory o rzecz zupełnie po za sporem stojącą ¹⁾. Fałszywa to droga. Jeśli

¹⁾ Znałem np. teologów, którzy na własną rękę potępiali wszelką możliwość innych światów zamieszkałych oprócz ziemi naszej i tę opinię osobistą pokrywali płaszczem powagi Kościoła, który do tej kwestyi nigdy się nie mięszał i żadnej decyzji nie wydał. Z drugiej strony uczeni niechrześcijańscy dla tego może tak na gwałt upierali się przy samorodztwie, że spodziewali się zgnębić tem dogmat chrześcijański o stworzeniu, nie wiedząc, że najgłośniejsi teologowie średniowieczni (nawet św. Tomasz) podzielali opinię ówczesnych uczonych o samorodztwie nie tylko jakiegoś mikroskopijnego *Eozoon canadense*, albo *Bathybius Haeckeli*, ale wszystkich tworów niższych. Tak samo ogół uważa ewolucję Darwinistowską za kardynalnie wierze chrześcijańskiej przeciwną; w rzeczywistości wiara nie przeciwko tej teorii nie ma, bo tylko ewolucya mechaniczna t. j. pojęta materialistycznie wyklucza Boga i jest przeciwną dogmatowi, że Bóg stworzył wszystko.

wiara styka się z wieloma naukami, to w naukach przyrodniczych zato ma zaledwie kilka takich punktów stycznych, mianowicie; początek świata, początek życia na ziemi, początek człowieka, dusza ludzka duchowa, wolna i rozumna—oto chyba i wszystkie miejsca, w których teologia i nauki przyrodnicze spotkać się, a zatem potwierdzać się lub zaprzeczać mogą.

Otóż dla przykładu, jak krytyka naukowa nietylko nie obala, lecz owszem potwierdza we wszystkich pomienionych punktach nauczanie wiary, zestawię co do pierwszego z nich t. j. początku świata zasady wiary z rezultatami nauki i rozpatrzę zarzuty krytyki materyalistycznej ¹⁾.

Co mówi wiara o początku świata? Spotykamy się tu z dogmatem jasno i wyraźnie określonym. Mojżesz na początku księgi Rodzaju napisał: „na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”... Apostołowie symbol wiary rozpoczęli od tegoż samego pewnika: „wierzę w Boga Ojca Wszchemogącego Stworzyciela nieba i ziemi”. Ojcowie soboru watykańskiego wyrokują: „Jeśli kto... Boga... Stworzyciela zaprze-

¹⁾ W tym zarysie ideę przeważnie za cytowaniem nieraz dziełem: *l'Apologie scient. de la foi chret*; z niego też są wyjęte ustępy w cudzysłowie bez przytoczenia źródła.

czy, anathema sit" ¹⁾. Stworzenie świata przez Boga jest więc dogmatem wiary chrześcijańskiej, to nie ulega żadnej wątpliwości. Co o tem wszystkim mówi nauka ścisła, rzeczywista, ta nauka przyrodnicza, która „swoje rezultaty zapisuje wielkimi literami?” Powiada, że nie mając środków do badania początku świata nic o tem nie może twierdzić bo to należy do innych nauk i innej metody. „Nauka ścisła nie docieka ani początku, ani końca wszechrzeczy... Poszukiwanie ich wymyka się z jej dziedziny. Dla doprowadzenia do rezultatów pewnych nauka powinna sprawdzić fakta za pomocą obserwacji i doświadczenia; wyciąga ona z tego znajomość stosunków t. j. fakta bardziej ogólne, prawa fizyczne, które swoją drogą powinny być—i to jest jedyną rękojmią ich prawdziwości—sprawdzone przez obserwację i doświadczenie... Doświadczenie nie ma żadnej możliwości dotknięcia pytań o istocie początku rzeczy” ²⁾.

Tak prawdziwa nauka przyrody przedstawia na tem skromnem stanowisku, pozostawiając ważne pytanie o początku świata rozumowaniu i postępuje zupełnie prawidłowo ³⁾. Nauka materyalistyczna, wrzekomo gardząca

¹⁾ Niech będzie wyłączonym.

²⁾ Littré *La science au point de vue philos* cyt. D. S. Pr.

³⁾ Profani pochycili to *prawidło* i powtarzają je

filozofią i nieprzyznająca rozumowi prawa do wniosku: „jest stworzenie, a więc jest Stworzyciel”, puszcza wodze sofistyce i wyobraźni, by dowieść przeciwnego wniosku: „jest stworzenie, ale niema Stwórcy”. O argumentach jednak tej nauki pomówimy nieco później.

Od stworzenia świata jest naturalnem przejście do jego uformowania się i rozwoju. Wiara niczego pod tym względem nie naucza. W żadnym symbolu wiary, w żadnej konstytucyi papieży, decyzjach i kanonach soborów powszechnych niema o tem ani jednego artykułu, postanowienia lub określenia. A opowiadanie Biblii o stworzeniu świata? zapyta kto może. Nieświadomi prawideł tłumaczenia Pisma św., słysząc o Jego natchnieniu, każdy wyraz w niem zawarty chcą uważać za dogmatyczne określenie: stąd mnóstwo omyłek i uprzedzeń.

Odsyłając po wyczerpujące wiadomości do dzieł specjalnych, tu podaję je tylko w możliwie najkrótszem streszczeniu ¹⁾. Podług nauki Kościoła całe Pismo św. jest natchnione od

bez ustanku, jako dowód, że *naukowo* niczego się nie można o Bogu dowiedzieć. Gdyby chemia, fizyka, geologia były jedynemi naukami i gdyby innej naukowej metody nie było prócz doświadczalnej—mieliby racya. Tak jednak nie jest, jak o tem wyżej mówiłem.

¹⁾ Niespecjaliści mogą z korzyścią odczytać dwa pierwsze rozdziały dzieła H. Reuscha p. t. „Biblia i natura”. Warszawa 1872 r.

Boga, a natchnienie to pozytywne rozciąga się przynajmniej do treści i zdań (*saltem ad res et sententias*) we wszystkich księgach świętych. Co do sposobu tłumaczenia Pisma św. sobór Trydeński¹⁾ wskazał główną regołę, następnie przez Watykański ponowioną²⁾. Zależy ona na tem, że miejsca Pisma św. dogmatyczne, t. j. „w rzeczach wiary i obyczajów”, wykładać należy podług tłumaczenia Kościoła, albo podług jednozgodnego zdania Ojców. „Co się tedy tyczy takich właściwie teologicznych zdań, powiada św. Tomasz, każdy powinien mieć o nich wyobrażenie zgodne z tradycyjnem kościelnem pojęciem. Biblia jest tu we właściwej swej sferze prawd wiary i dla tego wyraża się tu jasno i stanowczo... Inaczej ma się rzecz z temi zdaniami, które nie odnoszą się do dogmatów, ale do przedmiotów naturalnych w związku tylko jakimś z dogmatyczną częścią będących. Co się tyczy tych rzeczy tekst święty rozmaicie tłumaczyli Ojcowie święci”³⁾.

Oдноśnie do wypadków z dziedziny nauk przyrodniczych, czy też i innych nawet, w Kościele naszym od wieków były dwa kierunki.

1) Ses. IV.

2) Ses. II cap. 2.

3) Reusch. Op. cit. 21.

Jeden z nich (konkordyści) chciał dopatrywać w każdym fakcie przez Pismo św. przytoczonym zupełnej i koniecznej zgody z nauką, chciał godzić każde nowe odkrycie z tekstem ksiąg Świętych. Drudzy znowu (idealiści), ze świętym Augustynem na czele, utrzymywali, że „Pismo św. nic nie ma wspólnego z nauką świecką; założywszy sobie jedynie nauczanie ludzi pod względem religijnym, unikało ono zawsze mieszania się do rzeczy tamtego rodzaju” i t. d.

Za naszych czasów powstał trzeci kierunek, nazwany przez Duilhé de St. Projet konkordyzmem idealizowanym, którego zadanie tak on określa: „W głównym zarysie, we wszystkich twierdzeniach Biblii, jasnych same przez się, lub wyjaśnionych przez postęp egzegezy, wykazać zgodę zupełną z odpowiedniami pewnikami nauki, np. jedność rodzaju ludzkiego. Unikać zbytecznego zajmowania się szczegółami, wnikiwania w subtelności konkordystyczne, które przydać się mogą chyba dla dodania nowych rozdziałów do zbyt już długiej historii zmian egzegetycznych. Dla utrzymania zasady natchnienia Bożego rozróżniać troskliwie prawdę naukową bezwzględną od prawdy względnej, język naukowy od języka ludowego ¹⁾).

¹⁾ „W ustępach najczęściej roztrząsanych, zaczawszy od systematu Ptolomeusza aż do klasyfikacji zajęcia,

Żaden z tych systematów nie został przez Kościół odrzucony, każdemu więc wolno ten z nich wybrać, który mu więcej do przekonania trafia w rzeczach nie objętych definicyjami i wyrokami Kościoła. „Co zaś w tych rzeczach (przedmiotach naturalnych) nie obchodzi wprost teologa, ale tylko badacza natury, o tem Pismo Ś-te nie potrzebowało wyrażać się jasno i wyraźnie, bo to przechodziłoby jego cele. Podobnie rzeczy, które ze swej natury nie są przedmiotem biblijnego Objawienia, nie mogą być przedmiotem kościelnego podania; w pytaniach należących do nauk przyrodniczych, tak samo jak w kwestyach medycznych i gramatycznych, nie może być mowy ani o zgodzie Ojców, ani o orzeczeniach kościelnych... Uczeni mogą spierać się o to, co znaczy hebrajski wyraz *kikajon*, pod jakim drzewem czy krzewem Jonasz wychodził z zatracenia Niniwy—Sobór żaden w tej rzeczy decydować nie będzie... Boski swój charakter—dodaje słusznie Kurtz—w takich rzeczach Pismo Ś te przez to pokazuje, że wszelka przyszła wiedza znajduje w niem swoje miejsce; że nie powiedziało nigdy nic takiego, coby przeciwne było jakiegokolwiek prawdzie później

Pismo św. używa sposobu wyrażania się ludowego, powszechnie zrozumiałego — to nazywa się prawdą względną”.

odkrytej; że żadna nauka nie może mu powiedzieć: *si tacuisses*"¹⁾).

Otóż co się tyczy początku świata, w nauce chrześcijańskiej spotykamy jeden tylko dogmat: że świat został przez Boga stworzony. „Skoro się ten dogmat przyjęło, każdemu wolno szukać i tłumaczyć działalność przyczyn drugich, wnioskować o prawach przez obserwowanie faktów i przez ich bezpośrednie stosunki. Od pierwszej chwili swego istnienia, świat oddany jest wolnym rozprawom, gorącej i szlachetnej ciekawości rozumu ludzkiego. Wszystkie nauki kosmologiczne, astronomia, geologia, fizyka ogólna, mogą swobodnie poruszać się na tem polu niezmiernem; ich poszukiwania odbywane podług zasad i metody im właściwej, nigdy nie wywołają najmniejszego sporu między religią i niemi”.

Powołując się na powyższe zasady, możemy dojść do następujących wniosków: pierwsze 10 wierszy Księgi Rodzaju zawierają opowiadanie o rozwijaniu się czy formowaniu świata i ziemi; zawierają one w sobie twierdzenia jasne i pewne, które chociaż nie były napisane z intencją naukową, chociaż do wiary nie należą, wypowiadają pozytywnie prawdy natural-

¹⁾ Reusch op. cit. 21. 23.

ne, nieznane w wiekach przeszłych, a sprawdzone dzisiaj przez naukę.

Zastanawiając się tylko nad głównymi zarysami, nie wdając się w roztrząsanie dni czy epok mniej lub więcej ograniczonych, mniej lub więcej zgodnych z peryodami geologicznymi naukowo określonymi, możemy wskazać następujące twierdzenia prawdziwie zasługujące na uwagę.

Pierwszy wiersz Mojżesza: „na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”, zdaje się wyrażać jedną materię dla całego świata odrazu stworzoną. Ś-ty Bonawentura twierdził, że „ogół tłómaczów widział w tych wyrazach substancję wszystkich rzeczy stworzonych; jest więc ona jedną i trzeba wnieść, że ciała niebieskie i ciała ziemskie pochodzą *quantum ad esse* z jednej materii” ¹⁾. Widzimy potem chaos, stan materii niesformowanej: *tohu wabohu*, następnie powolne rozwijanie się ziemi, rozdział wód od „suchej”, następnie ziemię niezdolną do utrzymania życia.

Tyle znajdujemy w opowiadaniu Mojżesza. Cóż nam pod tym względem opowiada nauka ścisła? Pewnika niezawodnego nie daje wcale, ale posiada hipotezę wspañałą, będącą na drodze do sprawdzenia, teorię „zrodzoną z myśli

¹⁾ Sentent. lib. II. dist. XII. cyt. Duilhé.

Descartes'a, przyjętą przez Kanta i Herschell'a, sformułowaną przez Laplace'a, niedawno poprawnioną przez Fay'a". Rozwijać jej tu i powtarzać nie trzeba, bo wszystkim jest znana. Widzimy w niej najpierw materię, jedną dla wszystkich ciał, w stanie mgławicy rozproszonej w rozmaitem skupieniu po niezmierzonoci niebios"—prawdziwe *tohu-bohu*, następnie ziemię formującą się pierwszej niż słońce, światło rodzące się przed ustaleniem się słońca, ziemię ostygającą powoli i dla życia niedostępną.

Zgoda zupełna; hipoteza naukowa nietylko w niczem nie sprzeciwia się Biblii, lecz jedną rzecz, dawniej niezrozumiałą, wyjaśnia i tłumaczy, jak np. stan ziemi *tohu wabohu*, światło bez słońca i ziemię przed słońcem, które to fakta, w Biblii opowiedziane, przez długi czas były przedmiotem namiętnych zarzutów i szyderczego urągania.

„Oto więc co wydaje się napewno zdobytem dla naukowej obrony wiary; naprzód w tem, co się tyczy początku materji i świata—wiara zgodnie z filozofią twierdzi, że świat stworzony—*s niczego*. Nauka nic nie twierdzi i nie może nic twierdzić. Powtóre, co się tyczy uformowania się świata i ziemi—wiara nic nie stanowi, nauka nic nie zapewnia, ale tłumaczenia najwiarogodniejsze, ale teorye najpoważniejsze i ogólnie przyjęte z jednej i z drugiej strony są zupełnie zgodne”.

Zajmijmy się teraz teoryami wrzekomo naukowemi, a dogmatom wiary przeciwnemi.

Materyaliści nie poprzestają na skromnym zakresie, jaki dla nauk przyrodniczych wytknął Littré i śmiało puszczają się na „rozbujałe flukty” rozprawiania i fantazyi, by wmówić, że istnienia Boga nie można dowieść z powodu istnienia świata, bo świat i bez Boga jest nieskończonym tak co do przestrzeni, jak co do czasu; nigdzie nie ma granicy, nie miał początku nigdy i końca mieć nie będzie, ale tak, bez końca, własną mocą ciągle będzie się odnawiał, pozostanie nazawsze nieustannym szeregiem zmieniających się wiecznie starości i młodości kosmicznych, jak powiada Flammarion.

Sposób dowodzenia i same dowody są nadzwyczaj ciekawe. „Przebiegnijcie najnowsze dzieła materyalistów, słuchajcie najbardziej wziętych mistrzów:—najstraszniejsze zarzuty przeciwko dogmatowi stworzenia sprowadzają się do tej formuły, powtarzanej do znudzenia, której jednak dziecinnej naiwności żadne naukowe pozory nie pokryją. Stworzenie przypuszcza każde wdanie się woli osobistej, nadprzyrodzonej t. j. cud, a ponieważ nauka nie może dopuścić cudu, więc nauka nie może dopuścić stworzenia”. Logika rzeczywiście dziecinna, bo uważa za dowiedzioną rzecz, której właśnie dowieść należałoby, i to co być powinno konkluzją uważa za przesłankę. Trzeba pierw

wykazać, że cud jest niemożliwym, czyli że niema Boga, ¹⁾ a potem dopiero wnioskować: więc świat jest odwiecznym, ale właśnie cała trudność jest w tem, że zdanie: „nauka nie może dopuścić cudu czy Boga” jest całkiem dowolnym, niedowiedzionem i bezpodstawnem, a nietylko żadnych dowodów nie ma za sobą, lecz przeciwnie na każdym kroku spotykamy dowody przeciwko sobie.

Coby też powiedziano, gdyby mieszkańcy jakiego „zakutego grodu” powiedzieli sobie, że zdrowy rozsądek nie może przyjąć istnienia zegarmistrza i rozumowali jak następuje: zrobienie zegarka każe przypuszczać wdanie się woli osobistej, po za zegarkiem istniejącej; ponieważ zaś zdrowy rozsądek nie może zgodzić się na istnienie takiej woli, więc zdrowy rozsądek może przypuścić tylko, że zegarek istniał od wieków i sam siebie zrobił!?

Oczywiście postanoby do tego grodu odpowiednią ilość lekarzy psychiatrów, ale niech-

¹⁾ Zwracam tu uwagę naszych teistów, wierzących w Boga, a nie wierzących w możebność cudu. że są dziwnie nielogiczni i zupełnie zasługują na wyrok Rousseau'a, który twierdził, że z takimi rozprawiać nie warto, ale ich trzeba zamknąć w domu obłąkanych. Kto nie wierzy w istnienie Boga i zaprzecza możebności cudu, ten tylko rozumuje logicznie... ale zato opiera się na fałszywej przesłance

że mi kto wykaże jaka jest różnica między pierwszym a drugim rozumowaniem? Ta jedna i jedyna chyba, że ostatni byłiby chorzy na umyśle, a pierwsi są chorzy na złą wolę, bo im nie idzie o naukę, lecz, jak mówił Strauss, „o wyrzucenie nadprzyrodzonego pierwiastku ze świata”, za jakąąbądź cenę.

Tak pięknie zaczawszy, naukowi przeciwnicy wiary równie logicznie postępują napród. Postawiwszy, jako absolutną zasadę, że oprócz doświadczalnej metody niemasz innej naukowej, chcą nieskończoności świata dowodzić „experymentem”, nie widząc jak straszliwa sprzeczność, *contradictio in adjecto*, tkwi w samym założeniu. Nieskończonem pod względem przestrzeni, jest taka przestrzeń, która nie ma granic, a więc zmierzoną być nie może, tymczasem dowiedzenie doświadczalne nieskończoności świata w przestrzeni możebnem jest tylko przez zmierzenie jej, t. j. zmierzenie tego, co niezmierzone i wykreślenie granic temu, co nie ma żadnych granic—rozumowanie godne dziecka, nie zaś uczonego krytyka wiary.

Widzieliśmy wyżej, jak Bühner dowodzi nieskończoności świata za pomocą teleskopu i jak głośny uczony zapomniał o różnicy między tem co bardzo wielkie, a tem co nieskończone, między niezmierzonem względnie do człowieka, a nieskończonem bezwzględnie w istocie swojej. Różnica między temi dwoma po-

jęciami—nieskończona, więc nic też dziwnego że tak bałamutna wynikła ztąd konkluzya. W rzeczywistości nietylko nie można dowieść za pomocą doświadczalnej metody nieskończoności materyalnego świata, lecz owszem ta metoda zawsze i wszędzie przemawia za jego skończonością.

Wszystko, wszędzie i zawsze, cokolwiek było mierzonym, jak daleko dosięgła ludzka rachuba czy miara, zawsze i niezmiennie okazało się skończonym i ograniczonym: jakim więc prawem materyalista może wnioskować, że materya—nieskończona, choć nigdy innej jak skończonej i ograniczonej nie widział?

Dłużej nieco zastanowić się nam wypadnie nad wrzekomą odwiecznością świata. Wobec wyłączności metody doświadczalnej, głoszonej przez naszych przeciwników naukowych, wypadałoby im dowodzić odwieczności świata za pomocą doświadczenia; wykazałem jednak wyżej, że eksperymentalny dowód nieskończonej przestrzeni—jest nonsensem; takim samym jest i doświadczenie względem wieczności świata, bo jak zrachować to, co zrachowanem być nie może?

Pomimo tak widocznej niedorzeczności, próbują jednak materyaliści dowodzenia doświadczalnego. „Formacja węglowa na ziemi—rozumuje Büchner—musiała się kształcić przez lat 1,004,177, formacja tryasowa potrzebowała

lat 350,000; dalej, aby ziemia od ciepłoty 2,000 stopni, którą pierwotnie posiadała, ostygła do 200 stopni potrzebnych do powyższych formacji, trzeba było 350,000,000 lat...”

Cóż więc z tych liczb wypada? Oto, że trzeba zrobić dodawanie, aby wiedzieć od jak dawna ziemia się kształci. Takby sądził każdy zacofaniec, ale Büchner wnioskuje: „więc świat jest wieczny”.

„Te długości czasu, prawie nieskończone—mówi on—zestawione z olbrzymiami odległościami, które astronomowie obliczyli, a które wyobraźnię naszą w zamęt wprawiają, pokazują konieczność przypuszczenia nieograniczoności czasu i przestrzeni, t. j. wieczności i nieskończoności materialnego świata”.

Jak uprzednio widzieliśmy pomieszanie przez tego uczonego pojęć wielkiej odległości i nieskończoności, tak tutaj toż samo spostrzegamy w pojęciach o długim trwaniu i wieczności. Zdaje mi się, że dosyć zaznaczyć tę różnicę, by cały system runął.

Czytałem kiedyś, w jakimś rozmyślaniu o wieczności, takie porównanie nieznanego i zapomnianego ascety: gdyby świat cały ze wszystkimi gwiazdami, ziemią jej górami i wszystkim, co na nim jest, był z najtwardszej stali i gdyby co milion lat przylatywał ptaszek i raz tylko dziobkiem po tej masie niezmiernej po-

ciągnął, to w końcu cały świat startłby się i zniknął, a wieczność jakby się dopiero zaczęła.

Wyobraźnia z przerażeniem cofa się przed tym ogromem trwania, ale rozum mówi, że to najrzeczywistsza prawda... wieczność jakby się dopiero zaczęła! Jakże ten zacofany i nieznaną asceta zdrowiej w tym względzie myślał od naszych głośnych uczonych! I czy w tym względzie tylko?

Nie mogąc dostarczyć innych doświadczalnych dowodów, materyaliści oczywiście muszą przejść do metafizycznych. Pierwszy z nich i wartość jego oceniliśmy wyżej. Trzeba przyjąć odwieczność materii, bo inaczej musielibyśmy przyznać Boga i cuda. Drugą bardzo ważną racyą jest to, że aktu tworzenia wyobrazić sobie nie możemy. Zapewne, wyobraźnia jest bardzo szacowną władzą duszy, ale doprawdy pozytywni uczeni, wyłącznie jakoby z rozumem się rachujący, za wielkie dla niej mają względy.

Wszak rzeczy, które były czy są, a których wyobrazić sobie nie możemy, spotykają się na każdym kroku, chociaż ich istnienia nikt nie myśli zaprzeczać; a jeśli czego wyobrazić sobie niepodobna, to właśnie materii czy świata, nie mającego w sobie samym źródła bytu, a jednak istniejącego bez początku i końca. Zato wyobrazić sobie możemy jakie jest ubóstwo dowodów po stronie przeciwnej, kiedy aż tak nędzny argument na pozycję wywleka;

to też najlepiej do niego zastosować słowa Dantego: *non ragioniam diloro, ma guarda e passa* ¹⁾.

W końcu powiadają, że świat nie mógł być stworzonym, bo z niczego — nic, *ex nihilo nihil*. Jeśli nic uważać mamy za materię do zrobienia czegoś, to zarzut byłby słuszny; również, gdybyśmy przez to rozumieli, że bez żadnej przyczyny coś się stało, lub w końcu, że człowiek nie mając nic, coś jednak utworzył. Mówiąc, że Bóg stworzył świat *z niczego*, nie mamy na myśli żadnego z powyższych wypadków. „Wszystkie przyczyny sprawcze, czyli działające, które znamy empirycznie, są zawarunkowane nietylko pod tym względem, że jedynie pewien ograniczony skutek sprawić mogą, ale także pod tym względem, że potrzebują do działania materji, czyli podmiotu, w którym lub z którego coś czynią. Jest to niezbędne piętno skończoności i zależności tych istot. Istota zaś bezwzględna i nieskończenie potężna, jak nie jest ograniczoną pod względem skutku, tak też nie może być zawarunkowaną przez potrzebę materji i podmiotu. Nietylko w tem niema sprzeczności, ale się to nawet zawiera koniecznie w pojęciu potęgi nieskończonej” ²⁾.

¹⁾ Nie rozprawiamy o nich, lecz popatrz i idź dalej.

²⁾ Morawski 175, nota.

Najważniejszym jednak z dowodów materialistów jest *twierdzenie*: jeden z nich twierdzi, że świat od wieków istniał, drugi się na niego powołuje, trzeci wskazuje na obydwóch i tak powstaje dowód *naukowy*. Przytoczyłem wyżej jeden taki argument Flammariona, a oto znowu para podobnych ustępów: „Tysiące niebiosów, tysiączne ziemie zniknęły już w ogromnej nocy. Kiedyś także, gdy nasz świat niezmierny rozbije się w kawały, nowe zawrze życie, nowe powstaną roje słońc i planet, niosąc na sobie istoty, z których nieszczęście uczyni swą zdobycz, ale atomy, ale ruiny nawet nie zachowają po nich żadnych śladów, jak gdyby nigdy ich nie było”.

Tak wieszczy o nieskończonej przyszłości świata Ludwik Büchner ¹⁾; Renan znowu, tłumaczy przeszłość świata: „początkiem ruchu we wszechświecie, a zatem powszechnego stawania się, *fieri*, było przerwanie równowagi, która znowu powstała z niejednorodności, bo świat jednolity nigdyby się był nie ruszył, odpoczywałby wiekuiście bez rozwoju, bez postępu. Dla czego świat nie pozostał w spokoju? Dla czego chciało mu się szukać przygód zamiast spać na łonie bezwzględnej jednakowości? Dla tego, że bodziec go jakiś do tego pobudził. Ja-

¹⁾ Cyt. D. de St. P.

kiś tajemniczy niepokój wzbudził w nim wstrząśnienie; nieokreślone środowisko sprowadziło obłoki na ponury spokój jego błękitów. To, co sprawia życie, jest zawsze nagłem wyjściem z apatyi, jest pożądaniem, ruchem, któremu nikt nie daje początku, jest czemś, co mówi: naprzód!"¹⁾

Nieprawdaż, że po takim naukowym wykładzie zupełnie jasno robi się w głowie?

Na przytoczeniu tych twierdzeń moglibyśmy poprzestać i poczekać, aż je czemś więcej niż własną powagą udowodnią ich autorowie. Przyznajemy chętnie, że mogą to być mężowie bardzo szanowni, a nawet uczeni niezwykle, znakomici, ale powaga ich osobista nie poparta dowodem, dla nas jest żadną (i my przecież w wieku sceptycyzmu naukowego żyjemy...) i moglibyśmy poprzestać na starej zasadzie: *quod gratis asseritur, gratis negatur*, co bez dowodu się twierdzi, bez dowodu się zaprzecza. Nie uczynimy jednak tego, bo taka odprawa byłaby dla naszych uczonych krytyków zbyt wygodną i honorową. Rozpatrzmy tedy i ocenimy ich *twierdzenia*, bo jużci nie

¹⁾ *Dilagones philosophiques*. Przytaczający ten ustęp D. de St. Projet. czyni słuszną uwagę, że niewiadomo czy Renan chciał tu naprawdę pomagać materyalistom, czy z nich przyjemnie zażartować. Rzeczywiście cała ta tyrada więcej do żartu, niż do rozumowania podobna.

są to dowody i nie sędzę, by rezultatem tego przeglądu było wzmożenie się w umysłach moich czytelników szacunku dla powagi i mądrości mistrzów nauki ateistycznej.

Z przytoczonych wyżej ustępów możemy mieć dokładne pojęcia o tem, jak sobie materialyści tłómaczą świat bez Boga. Ma to być materya, bez początku istniejąca i nigdy nie mająca końca, a z niej, przez własną jej konieczną siłę powstają miliony światów, rodzących się, kształcących, umierających i znowu powstających w niekończącym się nigdy następstwie; ma to być wieczna wymiana „starości i młodości kosmicznych”.

Na te fantastyczne marzenia, poetycznym opowiadane językiem i naukowym okraszone pokostem, rzeczywista nauka krótko i sucho odpowiada najzupełniejszym zaprzeczeniem. Zacznijmy od najbardziej elementarnej nauki—arytmetyki.

Wiadomo każdemu, kto się uważnie jej uczył, że nie może być liczby nieskończonej w rzeczywistości (*in actu*), bo do istoty każdej liczby należy, że można pomyśleć większą od niej, żadna więc nie może być uważaną za największą. Nadto, ta liczba, którąby chciano podać jako nieskończoną, będzie parzystą albo nieparzystą. W pierwszym wypadku nie będzie ona zawierała w sobie wszystkich nieparzystych, w drugim wszystkich parzystych, nie

będzie swoim kwadratem, trzecią czwartą potęgą etc., więc nie będzie największą liczbą ¹⁾).

Wielu zwodzi nazwa ułamków nieskończonych, liczb powiększalnych do nieskończoności, ale właśnie to, że liczbę można powiększać bez końca, że liczby są nieskończone w możliwości (*in posse*) jest najlepszym dowodem, że każda z nich jest zawsze skończoną w rzeczywistości (*in esse*), bo to, co jest rzeczywiście nieskończonym, powiększanem już być nie może.

Tej niezawodnej prawdy naukowej robi następne zastosowanie głośny matematyk Cauchy (profesor księdza Moigno): „Zasadnicze to twierdzenie może być równie dobrze zastosowane do całej seryi rzeczy lub wypadków, które istniały koniecznie, albo nawet do wypadków, któreby następowały po sobie, jak do rzeczy istniejących współcześnie, a w obydwóch razach rzeczą jest niemożliwą, by liczba tych przedmiotów, tych wypadków i t. p. stała się nieskończoną, albo przestała być skończoną. Tak np., możemy twierdzić, że liczba gwiazd w tej chwili istniejących jest skończoną; niemniej jest pewnem, że liczba gwiazd, które istniały (przypuściwszy, że wiele z nich zniknęło), także jest skończoną.

¹⁾ Obszerniej ten dowód rozwinięty jest w dziele ks. Moigno: *Les splendeurs de la foi*, Paris 1872 t. III, ch. XII.

To, co mówimy o liczbie gwiazd, trzeba również powiedzieć o liczbie ludzi, którzy żyli na ziemi, o liczbie obrotów ziemi około swej osi, o liczbie stanów, w jakich się świat znajdował odkąd istnieje; zatem, był pierwszy człowiek, była pierwsza chwila, w której ziemia zjawiała się w przestrzeni, w której świat się zaczął i t. d. Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. Nauka więc z konieczności przypro-wadza nas do tego, czego uczy wiara, materya nie jest wieczną, i gdyby pierwsza i najda-wniejsza z ksiąg nie objawiła nam była otwar-cie tej prawdy, gdybyśmy jej nie przyjmowali jako chrześcijanie, bylibyśmy zmuszeni przyjąć ją, jako arytmetycy, jako matematycy ¹⁾.

Algebra dostarcza nam dowodu, który bez-pośrednio tyczy się wprawdzie człowieka, ale pośrednio może służyć i dla całego świata; podaje go profesor Turyńskiego uniwersytetu Faà de Bruno. Liczba ludzi wynosi obecnie (w r. 1879) prawie miliard i trzysta milionów, właściwie 1,293,000,000. Podług najlepszych statystyk, ogólny roczny przyrost ludzkości wynosi około $\frac{1}{200}$ 0/0. „Jeśli, opierając się na tych danych, zapytamy ile lat trzeba było, aby z jednej pary, przypuścimy—Adama i Ewy, mogła powstać powyższa liczba ludzi, trzeba

¹⁾ Cyt. Moigno Ibid. 1263.

będzie podług znanych prawideł progresyi rozwiązać zrównanie:

$$2 \left(1 + \frac{1}{200}\right)x = 1,300,000,000.$$

Zrównanie to, rozwiązane względnie do x , da rezultat następujący:

$$x = 4068.$$

Przyjąwszy w rachunek potop, który nagle przerwał wzrastanie ludzkości, liczba ta 4068 lat jest w samej rzeczy uderzającą; można ją uważać za wyraz prawdy; zatem, zjawienie się człowieka na ziemi nie jest dawniej-szem nad 6000 lat ¹⁾.

Przejdźmy teraz do fizyki. Na pierwszej jej stronicy spotykamy się z wiadomością, że każde ciało jest bezwładne (*iners*). Własność ta materji zależy na tem, że ciało zostające w spoczynku, nie może samo sobie nadać ruchu i że ciało w ruchu nie może go zmienić lub zatrzymać. Skoro to jest pewnem i wiadomem, nic łatwiejszego, jak wykazać niedorzeczność odwiecznego (t. j. bez początku) świata, materji lub atomu. Przed wszelkim zatem (podług teoryi materyalistów) początkiem, czyli raczej bez początku, materya istnieje. Tu pierwsza niemożliwość, bo materya bezwładna, podzielna, ulegająca ciągłym zmianom byłaby w takim razie istotą konieczną, mającą w so-

¹⁾ Moigno Ibid. 1270.

bie samej źródło bytu, a więc, z konieczności, najdoskonalszą, niezmienną, najpotężniejszą—Bogiem. Absurdum—widoczne, z którego nie-ma wyjścia.

Zamknijmy jednak oczy, przypuśćmy, że materya istnieje bez początku i idźmy dalej. Oczywiście istnieć mogła albo w spokoju, albo w ruchu ¹⁾. Jeśli była w spokoju, to będzie w nim na zawsze, jej martwoty nic nie przerwie, skoro, według zdania materialistów, oprócz niej nic nie ma. „Ponieważ ruch nie leży w istocie materyi, powiada głośny materialista Dubois - Reymond, konieczność przyczynowości wymaga albo odwieczności ruchu—a wtenczas trzeba wyrzec się zrozumienia czegokolwiek, bo to bezwzględna trudność dla człowieka o zdrowym umyśle—albo nadprzyrodzonego popchnięcia, a wtenczas trzeba przyjąć cud—trudność rozpaczliwa dla pozytywisty” ²⁾.

¹⁾ Wiem, z wielokrotnego własnego doświadczenia, jak nasi krytycy srodze brzydzą się wszelkim „rozdzieleniem, dylematem” i t. p., każde rozumowanie i roztrząsanie ich twierdzeń nazywają w czambuł *sofizmatem*. Uważają oni, że prawdziwie naukową metodą jest wiara w to, co oni mówią, a przyjmowanie bez roztrząsania ich słów—rzeczywistą „wolnością myśli”. Niestety, „krytycyzm naszego wieku” i na nas wywarł wpływ najgorszy i tak nawet niezawodna metoda naukowa nie wystarcza nam jeszcze.

²⁾ Cyt. Duilhé de St. Pr.

Przypuśćmy więc, że materya była w ruchu odwiecznym, ale ten ruch odwieczny bezwładnej materyi bez żadnej przyczyny sprawczej—to zaprzeczenie fundamentalnego prawa przyczynowości—znowu absurdum bez wyjścia.

Znowu jednak zamknijmy oczy i przejdźmy. Jeśli ten ruch jest mechaniczny, to takim pozostanie na wieki, bo żadna cząstka, żaden atom nie może zmienić swego ruchu, ani kierunku jego: jakim byłby ten ruch na początku, oczywiście byłby takim przez całą wieczność. Jeśli zaś ma to być ruch postępowy, rozwojowy, to znowu skąd w bezwładnej materyi rozwój i postępek bez kogoś, kto go nadaje i porządkuje? Wszak codzienny „experiment” uczy nas, że materję trzeba porządkować. Znowu więc musimy zamknąć oczy i pominąć tę nową trudność bez ratunku, bo przychodzimy do ostatecznej, a tak oczywistej trudności, że nawet nasza pobłażliwość—oczu na nią zamknąć nie potrafi i nie może. „Ten processus bez początku, ten postępek rozwojowy do stanu obecnego, do udoskonalenia, ten rozwój nieskończony do jakiegoś celu, ponieważ miał wieczność dla dojścia do niego, od wieków dojść już był powinien. Skutek konieczny przyczyny wiekuiestej z konieczności jest także wiekuiestym. Nie może być ani jednej chwili, w której ta siła wewnętrzna materyi nie byłaby już sprawiła całego swego skutku”.

To rzecz zupełnie jasna i prosta. Przypuśćmy, że nasza ziemia dla zupełnego rozwoju potrzebuje miliarda lat, że świat cały potrzebuje ich miliard miliardów, czy jakąś olbrzymią liczbę oznaczoną przez x . Otóż, gdyby świat był odwiecznym, toby już nie istniał od wieków, bo te wszystkie miliardy, nagromadzone jedne na drugie w zawrotnej ilości, wobec wieczności rzeczywistej są mniej niż chwilą jedną; po ich skończeniu wieczność „jakby się dopiero zaczęła”.

Od wieków więc wiecznych wszystkie ewolucye, *processus*, rozwoje odbyłyby swoje — i świata by już od wieków nie było. „Nie sposób więc mówić: wszechświat zawsze jest równym sobie, absolutnym; to tylko jego składowe części, światy pojedyncze, ruszają się w wiekuistej wymianie młodości i starości kosmicznych. To jest niemożliwe, bo każdy z tych pojedynczych światów, każda z tych części, mających koniec i początek, miały wieczność by zacząć się i skończyć. Wszystkie te młodości i starości musiałyby koniecznie, absolutnie skończyć się od wieków. Świat złożony z części następujących po sobie, nie może być jednocześnie absolutem”.

Metodą doświadczalną nie sposób dowieść wieczności i nieskończoności świata, można tylko wykazać, że miał początek, i koniec będzie i musi mieć. Ponieważ to ostatnie nie wcho-

dzi w zakres mego założenia, więc poprzestane na przytoczonych wyżej dowodach, albo raczej—wskazówkach dowodów (które rozwinięte w dziełach odpowiednich znaleźć można) i śpieszę do streszczenia i zakończenia tego rozdziału.

Po bliżkiem przypatrzeniu się owemu straszliwemu krytycyzmowi naszych czasów, nie można innego wynieść przekonania, tylko, że jest to hasło, jakich już setki były, szumny frazes, którym tłum sobie pochlebia, upaja się nim, a najczęściej nie rozumie nawet, co on właściwie znaczy.

Krytyka naukowa rzeczywiście jest i żyje, a wierze ogromne oddaje usługi, rozświecając wprawdzie nie same tajemnice i dogmaty wiary, (czerpiące skądinąd swe światło), ale dowody ich wiarogodności, rozpraszając nagromadzone trudności i wykazując, że nauka i wiara, zawsze z sobą zgodne, są promieniami jednego koła, do jednego środka prowadzącymi.

Szerszy ogół nietylko krytyki tej nie zna, lecz śledzić jej nawet nie może, bo do tego nie jest przygotowanym i ona go nuży; dla niego zupełnie wystarcza krytyka ostatniej powieści, lub sztuki z teatru Rozmaitości ¹⁾. Zastosowa-

¹⁾ W jednym z warszawskich pism codziennych spotkałem ustęp z przedmowy Dumas'a do „Księżnej z Bagdadu”, który tu przytaczam, jako charakterystyczny rys

nie krytyki naukowej do religii jest jeszcze mniej dostępnem ogółowi, bo wymaga podwójnej pracy i dwojakiej znajomości — nauki i religii. To też tłum, wrzekomo krytyczny, uprościł sobie zadanie, powtarzając najskrajniejsze rezultaty ateistycznej nauki i uważając ją, w prostocie ducha, za wyraz największej uczoneści. Krytyka zaś taka jest w rzeczy samej pogwałceniem wszelkich zasad logiki i zdrowego rozsądku, zamykaniem oczu na trudności, pomięszaniem metody tak widocznem, fantazyowaniem i twierdzeniem bez dowodów tak oczywiście, że na-

kompetencyi krytycznej nawet publiczności paryzkiej, i nawet w rzeczach tak łatwych na pozór, jak rozpoznanie się w wartości sztuki teatralnej. „Kiedy tak szalała burza przeciwko mojej sztuce, patrzałem na salę przez otwory w kurtynie i mogłem się raz jeszcze przekonać o tej prawdzie, że to, co nazywają publicznością nie istnieje. Cały ten hałas wywoływało 100, a co najwięcej 150 osób, licząc już w to ludzi płatnych, którzy sumiennie zarabiali wyptacone im dwa franki, gwizdząc lub wrzeszcząc, licząc w to już i płatnych klaskaczy, którzy mnie bronili, jak mogli, licząc w to nawet moich dobrych przyjaciół, którzy mnie podtrzymywali. Około półtora tysiąca (publiczności) nie odzywało się, czekając stojąco na koniec bójki. Nie wiedzieli po czyjej stronie mają stanąć, za kim się oświadczyć. Nie wiedzieli czy sztuka jest zła czy dobra, czy się bawili czy nudzili, nie widzieli nic zgoła. W dodatku przypatrywali się darmo drugiemu widowisku, które im dostarczało przedmiotu do gadaniny na jutrzejszych wizy-

wet przy znanej słabości umysłu ludzkiego fakt ten byłby niewytłómaczonym, gdyby go nie tłómaczył cel, w jakim się to wszystko dzieje: „wyrzucenie nadprzyrodzonego pierwiastku ze świata”, gdyby go nie tłómaczyło hasło tej nauki: raczej od algi, byle nie od Boga raczej do nirwany, byle nie do Boga”.

Nie jest to krytyka naukowa, lecz poprostu bunt woli i szukanie argumentów na usprawiedliwienie jego. Tłum łatwowierny, niewiele o tem wiedzący, albo też podobnie usposobiony jak jego mistrze, ze ślepą wiarą chwyta te mniemane naukowe zdobycze i w tryumfie a z hałasem po całym świecie obnosi. W nie-

tach. Oto, co nazywają publicznością, do czego się nieustannie odwołują, oto ta massa i ten tłum niezdolny do samodzielnego sądu, tłum, którym rozporządza na miejscu i odrazu dobrze uorganizowana klaka, albo kabala przeciwna zręcznie prowadzona”. Tak rzeczy stoją w kwestyi najłatwiejszej; co do naukowej kompetencyi, to najlepszą może ilustracją będzie wstęp do „Szkiców przyrodniczych” L. Kramsztyka, który go w ten sposób zaczyna: „Nie uwierzysz, mówił mi przyjaciel mój—nowelista, ile to pracy włożył trzeba w obrobienie stylowe, jak namozolić się wypada nad wygładzeniem języka.—Rozumiem, wiem, sam się przecież staram...—Och! tobie to wszystko jedno, rzeczy twoich nikt nie czyta.—Nie mogę przeczyć przyjacielowi mojemu, pomimo to...” etc. Przeczyć nie można, bo prawdą jest niezaprzeczoną co powiedział, a ponieważ prawdą, więc i wszelkie komentarze zbyteczne.

wypowiedzianej swej naiwności uważa przeczenie za najwyższy dowód mądrości, choć prawda bardzo stara głosi, że *plus potest asinus negare, quam philosophus probare* ¹⁾.

Idąc niewolniczo za głosem cudzym, tłum sądzi, że daje dowód niestychanej samodzielności, a powtarzając bez zmiany bezwyznaniowe teorie, wyczytane w pierwszej lepszej książce, ulega złudzeniu, że ich sam doszedł, sprawdził, zrozumiał i że jak orzeł buja na skrzydłach „wolnej myśli” gdzieś w przestrzeniach bezmiernych i przeczystych absolutnej wiedzy.

Biedni, ślepi, oszukani, mają się za samodzielnych i krytycznych myślicieli, a oni są poprostu—*servile imitatorum pecus* ²⁾. Co za ciężki zawód kiedyś ich spotka!

Tymczasem nie znajduję lepszej oceny ich mądrości, jak słowa z Apokalipsy św. Jana do biskupa Laodycejskiego: „Mówisz, że jestem bogaty i zbogacony i niczego nie potrzebuję, a nie wiesz, żeś ty nędzny i mizerny, i ubogi, i ślepy, i nagi. Radzę, abyś sobie u mnie kupił złota w ogniu doświadczonego, żebyś się zbogacił i szaty białe obłókł, aby się nie okazała sromota nagości twojej, a namasz maścią oczy twoje, abyś widział”.

¹⁾ Więcej może osioł zaprzeczyć, niż filozof dowieść

²⁾ Niewolniczą trzodą naśladowców.

III ¹⁾



Wszystkich może narodów na ziemi, Chińczycy są najbardziej odosobnieni i to z zasady. Uważają oni swoje państwo za środek ziemi, a siebie za szczyt i kwiat ludzkości. Oni tylko mają rozum, u nich tylko kwitnie cnota i dobre obyczaje, u nich najlepiej urządzone społeczeństwo, państwo najrozumniej kierowane, a ich Bohdychan, syn nieba a brat słońca i księżyca, panuje nad wszystkimi książętami świata, którzy tylko z jego łaski niezmiernej są tem czem są. Dla Chińczyków reszta ziemi jest przeżyta, barbarzyńską, „głupią i niepiśmienną”, jak mówi przechrzta w „Nieboskiej komedyi”. Więc też, kiedy syn niebieskiego państwa podje so-

¹⁾ Rozdział niniejszy, jako traktujący o wierze, otrzymał aprobatę władzy duchownej.

bie psiej szynki, a pajakami w miodzie zakąsi, kiedy potem wspomni na dobrodziejstwa swej cywilizacji, przyśpiewuje z pełni serca: „jak-żem szczęśliwy, żem się w Chinach urodził!” Śpiewa i z politowaniem kiwa swą długowar-koczną głową nad nędznym losem „zamorskich dyabłów” t j. europejczyków, którzy nic z te-go nie mają i aż do Chin jadą po światło i za-robek. My europejczycy śmiejemy się słusznie, z pretensyj i urojonego szczęścia niebieskich obywateli, ale bodaj czy kto zwraca uwagę na to, że wśród nas jest mnóstwo chińczyków, równie zarozumiałych, równie szczęśliwych, a z taką samą jak i tamci racyą. Pełno bo u nas, zwłaszcza po większych miastach ludzi, którzy jakby za murem chińskim mieszkali, nie widzą, nie słyszą, nie wiedzą nic, tylko to co się w ich zamkniętem państwie dzieje. Wmó-wili w siebie, że tylko oni posiadli prawdziwą naukę, że tylko oni są „środkiem ziemi”, że na nich stoi cywilizacya, a po za tem są jeno „zamorskie dyabły” pogrążone w ciemnocie, zabobonie i—klerykalizmie.

Oni nie wiedzą, że ten „pogrzebany” przez nich chrześcijanizm, grzebie jedno po drugim pokolenie swych grabarzy — że kwitnie on i owoce przynosi; oni nic o tem nie wiedzą, bo oprócz książek swoich, innych nie czytają, bo o tem co się dzieje na świecie, oni sądzą tylko rozumem swoich dzienników i żyją pe-

wni swej wielkości, jak Chińczycy, a nawet i rozkosze żywota dość podobne mają do chińskich. Wprawdzie psiej pieczeni i glist smażonych nie jedzą, ale karmią umysł i serce bez porównania obrzydliwszemi rzeczami, a żyjąc w atmosferze umysłowej i moralnej, którą chyba do zapachu starego limburskiego sera przyrównać można, mają pretensję do reprezentowania zdrowych i żywotnych prądów cywilizacji. Bo też ci ludzie dziwny zaiste mają zwyczaj. „Kto chce jabłka—powiada ks. Weiss—powinien wstąpić na drzewo, a nie krzyczeć tylko na nie z dołu. A to jest właśnie wielkim błędem racjonalizmu i jego słabą stroną, że on wierzy, iż dla tego by zostać rozumnym, dość o rozumie gadać”¹⁾.

Tak samo postępują krytycy chrześcijanizmu. Ciągłe powtarzają: rozum, krytyka, nauka. Zapewne, piękne to słowa, ale co one mają wspólnego z ich metodą, ich celami, z nimi samymi w końcu? Nauka i rozum są dla nich tą owczą skórą, w którą odziewają się najwięksi nieprzyjaciele trzody, by ją łupić i niszczyć. Ileż to już skór podobnych zmieniono choćby w naszym tylko wieku! Błyszczą one tak świetnie, zachwalane były tak głośno, a gdy

¹⁾ Ks. Weiss: „Apologie des Christenthums vom Standpunkte der Sitte und Kultur”. I. B. 63.

uluda rozwiała się, pozostało tylko szpetne oblicze fałszu — i stopy owiec porżniętych, które fałszywym nauczycielom uwierzyły. Mieliśmy tedy „duchy mocne” (*esprits forts*); okazały się one rzeczywiście mocnymi (jak to z dziejów niezbyt dawnych wiadomo) w pijatyce, rozpuście i najbardziej bestyjalnym nurzaniu się w materyalnym używaniu. Zjawili się „wolni myśliciele” (*libres penseurs*); wielką ich specjalnością było, że nie myśleli i wolnymi nie byli. Powstał liberalizm i kłaniali mu się ludzie, aż się okazało, że on w rzeczywistości był względem mocnych serwilizmem, a dla słabych na wszystkich polach działalności ludzkiej miał jedną tylko pociechę — *ausrotten*. Wywieszono chorągiew postępu, jako antytezę chrześcijańskiego zacofania, i nie da się zaprzeczyć, że tłumy szły za nią żwawo i zaszły daleko... bo aż o 19 wieków wstecz, do zasad, moralności i urzędzeń dawnego pogaństwa.

Teraz od bardzo już dawna brzmi przeciw wierze okrzyk: „nauka i krytyka”. Ależ bardzo dobrze. Nauka jest rzeczą równie piękną jak „myśl wolna”, „duch mocny”, liberalizm, t. j. niby postęp — tylko, że jak tamto postawione przeciwko wierze zmarniało, tak i krytyka naukowa użyta do tak smutnego celu, okaże się tylko proszkiem gryzącym, dobrym do zasypywania oczu naiwnym.

W poprzedzającym rozdziale dałem kilka przykładów, czego wart głośny bezwyznaniowy rozum i krytyka rzekomo tak zabójcza dla wiary; obecnie zamierzam pójść dalej i zrobić kilka uwag o wierze samej, jej naukowej pewności i drodze do niej prowadzącej.

Mamy więc mówić o wierze, ale o jakiej? Przeciwnicy nasi, jak ci, którzy ryby w mętnej wodzie łowią, wszystko co się wiary tyczy, dziwną otoczyli mgłą, spowodowawszy na każdym kroku zamieszanie pojęć najzupełniejsze. Wykazują dowodami szpetne strony mahometanizmu; rozwodzą się szeroko nad ohydą brahmanizmu; opisują z szyderstwem wybryki arianów, nestoryanów, buddystów, a gdy już w umyśle słuchacza wzbudzą przekonanie o nieudolności wszystkich religij ludzkich, tak, mimohodem, od niechcienia, dodadzą do tego chrześcijaństwo; całą tę miksturę ochrzczą ogólnem mianem dogmatyzmu i dalej potem wykazywać, jak on źle wpływa na oświatę, na moralność, na sztukę i t. p. Metoda to pełna dobrej wiary (!), zdrowego rozsądku i tak wyborna, że za jej pomocą można dowieść rzeczy naprawdę zdumiewających.

Na powyższej bowiem opierając się zasadzie, mogę rozumować jak następuje. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że karmienie się zbutwiałym i z wapnem pomieszanym chlebem jest nadzwyczaj dla zdrowia szkodliwem. (Tu

nastąpiłby wykaz chorób z tego powodu). Dalej dowiodłbym, że mięso ze zwierząt chorych i zarażonych jest także bardzo zgubne, że woda zanieczyszczona ściekami z kloak i fabryk działa trująco na organizm, również jak powietrze przesycone gazami wodorosiarczanymi; a oparłszy się na tych niezaprzeczonych pewnikach, dowodziłbym dalej z ogniem i animuszem siarczystym: a zatem karmienie się chlebem i mięsem, a więc picie wody i oddychanie powietrzem jest szkodliwe, należy się od tego wstrzymywać w imię cywilizacji i zdrowia, życia najdroższych nam osób i t. d.

Każdy z moich czytelników od razu zobaczy gdzie *latet anguis in herba* (kryje się wąż w trawie). Czemuż nie każdy chce zrozumieć, że trzeba odróżnić wiarę prawdziwą, która sama tylko zbawia—jak dobre tylko pokarmy karmią i utrzymują—od jej karykatury, zepsucia, skrzywienia, jakimi są wszystkie lamaizmy, brahmanizmy, nestoryanizmy, mahometanizmy. Mówiąc zatem o wierze, tylko tę jedną mieć będę na myśli, którą Pan Bóg objawił—której Kościół naucza.

Czemże więc jest ta wiara? Tu znowu pełno najdziwniejszych i najmylniejszych pojęć. Niektórzy naprzykład wyobrażają ją sobie jako uczucie. Całą podstawą wiary jest, według nich, jakieś nieokreślone religijne uczucie a uczynienie jemu zadość jedynem religii—zadaniem.

„Dla mnie—powie jeden—grunt w religii to rozrzewnienie jakim się dusza przejmuje w czasie obrzędów religijnych; nadzwyczaj lubię słuchać Mszy Ś-ej przy śpiewie i poważnym głosie organów”—jeśli jednak w protestanckim zborze lepsze są organy i bieglejszy organista, to czuła dusza idzie do „kirchy” i płacze tam z religijnego rozrzewnienia; poszłaby nawet do świątyni gwebrów i do derwiszów wyją-cych, gdyby były na miejscu.

Drugi znowu pewnym jest, że wiara to uczucie, za którego obecność lub brak nie odpowiadamy. Bierze się ono w nas niewiadomo skąd. Czasami zostaje na całe życie, częściej znika, gdy doświadczenie życia zetrze naiwność domowego wychowania, ale to nie jest ani żadną winą, ani zasługą, równie jak to, że się do kogoś ma sympatyę lub antypatyę, i tak przez całe życie niby duchy z poematu, „wiel-trznym błędą szlakiem w niebieskie nie wzlatając bramy”, bo uczucie jakkolwiek jest rzeczą ważną, ale jest skutkiem wiary—nie zaś wiarą samą.

Kiedy chrześcijanie mówią o wierze, nie takie błędne ogniki mają na myśli. W naturze istot żyjących i czujących leży, że kiedy znajdują się w stanie normalnym, do jakiego stworzone zostały, doznają zadowolenia w mniejszym lub większym stopniu; czują się dobrze. Uczuciami takimi gardzić nie trzeba, bo one

często dać mogą bardzo cenną wskazówkę co do prawdziwości i dobroci warunków, w jakich ludzie zostają, co do natury swojej i t. p.; nie trzeba ich jednak i przeceniać.

Otóż jeśli człowiek znajduje się w warunkach odpowiednich naturze swojej duszy, jeśli umysł jego poznaje prawdę, a wola pełni dobro, nic dziwnego że doznaje uczuć przyjemnych i wzniosłych. Mogą też one służyć w pewnej mierze za dowód prawdziwości wiary, wiarą wszakże nie są i być nie mogą.

Inni znowu utrzymują, że wiara to zbiór zasad, które każdy sam sobie utworzyć może i powinien, bo człowiek — powiadają — sam przed Bogiem zda rachunek za siebie, więc sam też swoją wiarę sobie ustanawia. Błąd ich jest w tem, że jeśli wiara, t. j. zbiór zasad religijnych ma być prawdą, to trzeba ją brać, jaką jest w rzeczywistości, a nie jaką nam się wyda lub spodoba. Każdy człowiek sam jużci odpowiada za złamanie praw ciężenia, higieny i t. p., niemniej jednak prawa te są dla wszystkich jedne i każdy poznawać je musi jakimi są i do nich się stosować. Dobrych rezultatów doczekałby się matematyk, gdyby osobną dla siebie ułożył tabliczkę mnożenia, albo budowniczy, gdyby prawa statyki chciał do swego pojęcia stosować, nie zaś odwrotnie.

Niektórym znowu wydaje się, że wiara to zbiór pewnych formułek moralnych, zdań i za-

sad odziedziczonych z tradycyi, które można przyjąć lub nie, „rzecz zapewne niezła, w niektórych szczegółach nawet dobra, ale...” Gdy rozsądny ojciec, pobożna matka lub siostra, prosi i upomina takiego postępowca by wiary nie lekceważył, on przyjmuje upomnienia z wdzięcznością, jako dowód miłości rodzinnej i sądzi, że na wielkie poświęcenie się zdobywa, gdy się przed obiadem przeżegna, przeciwko religii nie bluźni i przyznaje istnienie „Istoty najwyższej”, jak mówiono dawniej, „albo pierwszej przyczyny”, jak lubią mówić teraz. Jakżeby się przeraził, gdyby mu się nagle oczy otwarły i przejrzał jak igra z własną zgubą! Tak dziecię niemądre, gdy na dach się wysoki wgramoli, lub nad rzeką głęboką niebacznie się bawi, myśli, że łaskę rodzicom robi, gdy na ich zaklęcia powróci na miejsce bezpieczne. Nie igra się bezkarnie z prawami fizycznymi; bez porównania gorzej wychodzą lekceważący prawa religijne, bo jak powiada Ewangelia, Chrystus jest kamieniem węgielnym, „a wszelki, który upadnie na ten kamień stłucze się, a na kogoby upadł, skruszy go” 1).

Od tych jednakże błędnych i dowolnych pojęć o wierze, przejdźmy do jej określenia teologicznego. Wiara uważana podmiotowo,

1) Łukasz XX. 18.

t. j. w człowieku, jest cnotą i bywa określona jako „stałe usposobienie” (*habitus*, nałóg, przyzwyczajenie), nadprzyrodzone, wlane przez Boga do duszy ludzkiej i skłaniające rozum do przyjęcia stanowczego praw przez Boga objawionych a przez Kościół podanych dla powagi i prawdziwości objawiającego je Boga ¹⁾).

Widzimy więc w tem określeniu dwie strony działające. Najpierw Boga objawiającego prawdę i dającego łaskę, która człowieka pobudza, oświeca, utwierdza. Warunek ten jest koniecznym, bo rzeczą jest oczywistą, że przyrodzone siły człowieka do przyrodzonych tylko celów doprowadzić mogą; dla sięgnięcia zaś wyżej, w sfery nadprzyrodzone, wyższej też i nadprzyrodzonej pomocy potrzeba; tę jednak stronę nadprzyrodzoną wiary pominię milczeniem, bo do zakresu niniejszej pracy nie wchodzi, a zajmę się tylko stroną ludzką.

Z powyższego określenia widzimy, że wiara jako czyn ludzki jest „zgodzeniem się, przyjęciem” prawd przez Boga objawionych, już zaś każde zgodzenie się jest skutkiem nietylko rozumu ale i woli; te dwie władze duszy są czynne w cnotie wiary i w każdym jej akcie.

Na swoim miejscu obszerniej pomówimy o wpływie woli na wiarę lub niewiarę; tu tyl-

¹⁾ Gury: „Comp. théol. moral.” n. 180.

ko zaznaczam, że współdziałanie woli jest koniecznem do wierzenia, bo jeśli żaden czyn ludzki bez niej obejść się nie może, nie może także i wiara. „Pod względem wierzenia lub niewierzenia, akt wiary, jak każdy inny przyrodzony akt poznawania, staje się za współdziałaniem woli, bo ona to wszystkie władze duszy, a zatem i rozum, do czynności pobudza; kto nie chce poznawać, nie poznaje.. Ona to rozumowi poddaje przedmiot do badania, pobudza do uwagi ¹⁾.

A nietylko do zajęcia się jakimś przedmiotem, lecz nawet do przyjęcia prawd dowiedzionych wola jest potrzebną. Faryzeusze i kapłani żydowscy widzieli cuda Chrystusa Pana, a jednak wprawiały one ich tylko w kłopot: „cóż uczynimy, mówili, iż ten człowiek wiele znaków czyni”. Nie wierzyli, bo nie chcieli. Zresztą w codziennem życiu tysiączne mamy przykłady tej zależności sądu rozumu od woli, którą Sienkiewicz dowcipnie a złośliwie określił, twierdząc, że kobieta, gdy myli się w mnożeniu 2×2 , to nie powie 3, 5, 6, lecz lampa, kapelusz, czy co innego, czego jej wola w danej chwili pożąda.

Do najbardziej nawet abstrakcyjnych badań potrzebną jest wola, nietylko dla tego,

¹⁾ Hettinger: „Apol.” I. B. 12. Vortr.

żeby im się oddawać, ale dla tego, żeby je przyjąć i zgodzić się na nie. Ten warunek tłumaczy nam wiele rzeczy. Często bardzo można spotykać ludzi, którzy uwierzyli nie w skutek głębokich, długich dociekań, ale prawie odrazu; poszli do spowiedzi, poprawili życie i wiara wróciła.

Wola jest tu, jakby okiennicą lub gęstą zastoną, przeszkadzającą światłu wejść do pokoju; skoro ta przeszkoda zostanie usunięta, światło całe mieszkanie zaleje. Dla wierzenia tembardziej potrzeba woli i to dobrej i silnej, że wiara nietylko jest zbiorem prawd pewnych, ale też liczne, a nieraz trudne, nakłada obowiązki, potrzeba więc w woli pewnej energii, szlachetności i siły do ich przyjęcia. Jak sprężyna zużyta na nic już służyć nie może, jak zdrowie złamane nigdy się już nie podniesie, tak wola upadła, zniedołężniata, spodłona, czyni ludzi niezdolnymi do wierzenia.

Niestety, nie jest rzeczą rzadką spotkać człowieka dobrze wychowanego, czytanego, miłego w obejściu, który wierzyć nie może. On tak długo odpierał działanie Łaski i głużył wołanie sumienia, tak zużył się, że wypaliła się w nim i wygasła wrodzona energia woli. Kiedy kawał płótna lub innej tkaniny splami się raz i drugi, można je wyprać, plamę wywabić, ufarbować wreszcie nanowo, ale tej możliwości jest pewna granica. Jeśli bowiem taka

nina zbyt długo wycierała i wciągała w siebie wszelkie brudy, jeśli walała się po wszelkich rynsztokach i kanałach, staje się w końcu obrzydliwą i cuchnącą szmatą, którą tylko wyrzucić można na śmietnik, a co najwyżej pies ją sobie podściele. Tak bywa i z człowiekiem: i jego wola ciągle oporna i grzeszna staje się w końcu taką szmatą dla psa chyba przydatną. W porządku nadprzyrodzonym stosują się wtenczas do niej słowa Św. Pawła: „bo ziemia, która deszcz często na się spadający pije, rodzi ziele użyteczne tym, przez które bywa sprawowana, bierze błogosławieństwo od Boga, lecz która rodzi ciernie i osty, odrzucona jest i blizka przeklęctwa, której koniec na spalenie” ¹⁾; w porządku zaś przyrodzonym można o niej powiedzieć, że się jej energia wyczerpała i nie ma dla niej ratunku.

Mówiąc tak, nie chcę jednak twierdzić, by był stan jaki, z któregooby człowiek nie mógł się podźwignąć z Boską pomocą; Bóg i takim nawet może dać swą Łaskę i bezwątpienia daje, ale jakże często niestety, bez żadnego skutku! Może to jest mojem osobistem spostrzeżeniem, przy którym upierać się nie mam w takim razie odwagi, ale zdaje mi się, że i w życiu i w historii bez porównania częściej można

¹⁾ Do żyd. VI 7. 8.

spotkać przykłady poprawy i nawrócenia wszelakiego rodzaju łotrów, okrutników, zapaleńców, niż takich „Płoszowskich”; sądziłbym nawet, że to zdają się stwierdzać słowa Apokalipsy do biskupa Laodycyjskiego: „bodajbyś był zimny albo gorący, ale iżeś letni, a ani zimny ani gorący, pocznę cię wyrzucić z ust moich” ¹⁾).

Co więcej, nie tylko indywidualia lecz całe rody i narody nawet bywają w takim położeniu; takim było np. społeczeństwo rzymskie. Chrześcijaństwo wprawdzie zwyciężyło, ale całe ciało państwowe rzymskie tak było poganiżmem spolone i zużyte, że już całe społeczeństwo nie mogło zdobyć się na energię woli potrzebną dla chrześcijan; bywały i dość często wśród Rzymian nawet bohaterskie i święte postacie, ogół był jednak znikczemniały, więc też barbarzyńcy miejsce jego zajęli. Kardynał Massaja w swych misyjnych wspomnieniach nieraz wyraża przekonanie, że muzułmanie, zwłaszcza afrykańscy, nigdy chrześcijanami nie zostaną dla tej właśnie słabości woli stoczonej występkami, a przeważnie rozpustą ²⁾).

Tak więc dla wierzenia konieczne trzeba chcieć wierzyć; z drugiej jednak strony wola dla powzięcia jakiegoś stałego postanowienia

¹⁾ Apoc. III. 15. 16

²⁾ I miei 35 anni di missioni

potrzebuje światła rozumu; jest to rzeczą wiadomą z życia i filozofii, że ostatecznie jest ona kierowaną pobudkami rozumowemi. Jeśli więc trzeba woli dla rozpoczęcia badania zasad chrześcijańskich, przyjęcia ich, gdy się prawdziwemi okażą, to trzeba także by one mogły rozum przekonać i przezeń świadomie już i stanowczo na wolę wpływać.

Ale właśnie w tym punkcie spotykamy mgłę gęstą rozmaitych balaństw i uprzedzeń. Ciągłe słyszymy, że wiara żadnej pewności nie posiada, że rozumu przekonać nie potrafi, że jest ona i powinna być ślepa, bez żadnych dowodów, że owszem dla tego samego, iż jest wiarą, dowodów swej pewności mieć nie może, gdyż inaczej byłaby już nie wiarą lecz nauką, wiedzą, człowiek zaś jużby nie wierzył lecz wiedział, rozumiał, a to są rzeczy zupełnie różne, ba, nawet zasługi żadnej nie byłoby w wierzeniu, gdyby ono było skutkiem pewności naukowej. Wiara może być tylko ślepa, ślepa, ślepa...

Nie dziwię się ani trochę tym przekonaniom, temu skazywaniu wiary na ślepotę, jak nie dziwię się temu, kto maści wodę, by w niej ryby łowić. Konieczność oświecenia rozumu przez prawdę ze wszech miar pewną, czyli konieczność naukowej pewności wiary, potrzeba z jej strony przekonywających dowodów jest tak oczywistą, tak głęboko tkwi w naturze

ludzkiej, że sprawa wiary byłaby bezpowrotnie przegrana, gdyby ona rzeczywiście była ślepa i bez dowodów. Nieprzyjaciele jej, dla tego właśnie głoszą tę jej ślepotę i brak dowodów, że skoro się na to kto zgodzi, logicznie zaraz wywnioskować musi: a zatem wiara mnie nie obowiązuje, zatem niema wiary. Dla otrzymania też tylko tego wniosku wszystko to się mówi i pisze: *hier ist der Hund begraben*. Ludzie wierzący, a co ważniejsza, sam Kościół zupełnie inaczej o tej rzeczy trzymają i twierdzą zgodnie z zasadami zdrowego rozsądku, że wiara nie mająca dowodów swej wiarogodności, nie mająca środków przekonania rozumu, na zaufanie nie zasługuje. bo jak powiada kongregacya Indeksu „używanie rozumu poprzedza wiarę i człowieka do niej przyprawdza za pomocą Objawienia i Łaski” ¹⁾).

Tyle pod tym względem krzyczano i pisano, tak długo wmawiano w chrześcijaństwom zasadę najzupełniej jego nauce jak i zdrowemu rozumowi przeciwną, z taką pewnością „*credo quia absurdum*“ wystawiano jako jedyną pobudkę wiary naszej, że w końcu stało się to

¹⁾ Rationis usus fidem praecedit et ad eam hominem ope revelationis et gratiae conducit, S. C. In d 11 Jun. 1853, prop. III, cyt. Hettinger: *Apologie des Christenthums*, Freiburg in Breisgau. 1885.

pewnikiem u niewierzących i obojętnych; a i z wierzących może niejeden w prostocie ducha myśli, że tak jest w samej rzeczy.

Dlatego muszę obszerniej nieco nad tym się punktem zastanowić i przytoczyć świadectwa, którym chyba tylko zła wola wiary odmówi. Więc najpierw sam założyciel naszej wiary uznawał prawa rozumu i o posłannictwie swoim przekonywał, wskazując na cuda swoje, na wypełnianie woli Ojca swego, na świadectwa proroków ¹⁾, owszem wyrzucał nawet Żydom, że nie czynili należytego z rozumu swego użytku. „Przeczcze i sami z siebie nie sądzicie co jest sprawiedliwego” ²⁾; o tych zaś, którzy cudów Jego nie widzieli i nie uwierzyli powiada, że grzechu nie mają ³⁾. Idąc w ślady mistrza, apostoł narodów wymaga *rationabile obsequium*, „rozumnej służby” ⁴⁾; od biskupa żąda nauki, „iżby mógł napominać przez zdrową naukę i tych, którzy się sprzeciwiają przekonać” ⁵⁾. Św. Justyn filozof apologeta i męczennik powiada: „co lepszego może człowiek uczynić, jak pozwolić, by ro-

¹⁾ Mat. IX. 6. Jana V 30—40, Łuk. V 23—XXIV, 25—27.

²⁾ Łuk. XII—57.

³⁾ Jana XV—24.

⁴⁾ Rom. XII—I

⁵⁾ Tyt. I. 9.

zum nad nim panował? Do myślenia ma on rozum, a myślenie jest jego obowiązkiem. To jest największą i najlepszą rzeczą do zrobienia, reszta jest podrzędna¹⁾. Św. Hieronim znowu twierdzi, „że każdy człowiek obowiązany dążyć do prawdy, a drogą do tego jest używanie rozumu, bo rozum przyrodzony, należycie użyty, prowadzi do poznania prawdy a pozbycia się głupoty²⁾. Człowiek, powiada wreszcie Św. Tomasz z Akwinu, nie wierzyłby, gdyby nie widział, że wierzyć powinien dla oczywistości znaków³⁾.

Przyjętem jest wyśmiewanie się ze średnio-wiecznej scholastyki, że uważała rozum za sługę wiary, bo podług ówczesnego sposobu mówienia, przyprowadzał on człowieka do przed-sionka świątyni, a dalej prowadziła już wiara. Z właściwym sobie brakiem logiki, a może i złą wiarą, autorowie nieprzyjaźni nie dopatrzyli, że w tym właśnie wypadku największą pochwałę oddają uszanowaniu jakie wiara ma i miała dla rozumu, bo ta figura retoryczna nic innego nie oznaczała, tylko że przez należyty użytek rozumu człowiek dochodzi do wiary że zatem ona na rozumnych opiera się dowodach. Żeby nie być zbyt rozwlekłym, przytoczę

¹⁾ Dial. C. Tryph. cyt. Weiss I. B. 65.

²⁾ Comment in Eccl, 2, 3 ibid.

³⁾ S. Th II—II Qu. I art. 4.

tylko z nowszych czasów wypadek doskonale charakteryzujący pogląd Kościoła na stosunek rozumu do wiary. Około r. 1856 ksiądz Bonnehose, późniejszy kardynał i arcybiskup w Rouen, wraz z ks. Bautain napisali dzieło p. t. „Filozofia chrystyanizmu”; książka ta w Rzymie została potępioną i wniesioną na Indeks za to „że autorowie zbyt ciasne zakreśliли granice rozumowi a zbyt szerokie wierze”. Gdy obaj duchowni byli potem na audyencyi u Grzegorza XVI, Papież przyjął ich dobrotliwie, a błąd ich scharakteryzował mówiąc: „bładzicie tylko nadmiarem wiary, *peccatis tantum excessu fidei*”.¹⁾ W końcu Sobór watykański uroczyście zawyrokował: „Nietylko że wiara i rozum nigdy nie mogą być z sobą w niezgodzie, lecz wzajemnie się wspomagają, gdyż rozum prawidłowy wykazuje podstawy wiary i jej światłem oświecony naukę rzeczy Bożych uprawia; wiara zaś uwalnia i chroni rozum od błędów i wzbogaca go wieloraką wiedzą. Dlatego nietylko że Kościół nie sprzeciwia się uprawie ludzkich nauk i umiejętności, lecz je owszem wielu sposobami wspomaga i rozszerza; nie pogardza bowiem i uznaje korzyści jakie z nich dla życia ludzkiego wypływają, owszem wyznaje, że jak od

¹⁾ „Przegląd Katol.” 1891, Nr. 25.

Boga Pana umiejętności one wypłynęły, tak też jeśli należycie są uprawiane, do Boga, za łaską Jego prowadzą".¹⁾

Więc też ma wielką rację współczesny apologeta gdy pisze: „W tem właśnie, w tem nawoływaniu do poważnego, bezstronnego, głębokiego badania tkwi charakterystyczna cecha chrystyanizmu. Kiedy to kapłan pogański powiedział jak Chrystus: „doświadczajcie”? Pogański Rzymianin, mahometanin nie znają tego wyrazu, wszelki zarzut zbijają oni ostrzem miecza. Wołają: „wierzcie, lecz nie rozumujcie”. Kościół nasz przeciwnie, zwraca się do myślącego człowieka, wykazuje mu dowody, które z moralną pewnością przekonają go o boskości Objawienia, które je jako wiarogodne wykażą, tak, że wiara jego w ścisłem znaczeniu będzie rozumną, t. j. przez rozumowe dowody usprawiedliwioną. Bo ażeby przedmiot wiary był należycie podany, powiada Suarez, bynajmniej nie wystarczy by był tylko prawdopodobny, ale powinien być oczywiście wiarogodnym, jako od Boga pochodzący, a zatem nieomylnie prawdziwy, bo wyrok poruszający wolę do wierzenia powinien być pewny i oczywisty, ufundowany na oczywistości i wiarogodności.”²⁾

¹⁾ Conc. Vat. ses III, cap. 4 de fide et rat. 8.

²⁾ Heltinger: „Apologie“. B. 1. Vort. XI, 126.

Tak więc kończymy ten ustęp zapewnieniem nie ulegającym wątpliwości, że wszystko co się pisze o ślepej wierze, jakoby przez Kościół wymaganej, jest albo wymysłem złej woli, albo nieświadomem powtarzaniem. Prawdą i rzeczywistością zaś jest, że chrześcijaństwo przyznaje rozumowi zupełne prawo do badania i krytykowania dowodów prawdziwości i wiarygodności Objawienia, (teologowie nazywają to *examen fundamentale et externum*), a nie tylko przyznaje prawo badania, lecz uznaje je za obowiązek sumienia i jednym z najcięższych grzechów jest właśnie zaniedbanie poznawania wiary i jej badania. „Obłudnicy powiada do takiego Zbawiciel... przeczcie i sami z siebie nie sądzicie, co jest sprawiedliwego?” ¹⁾

Zajmijmy się teraz wiarą jako nauką, t. j. uważaną przedmiotowo. W tym znaczeniu wiara jest zbiorem prawd przez Boga objawionych; ujęte w system naukowy nazywają się one Teologią. „Przedmiotem Teologii są stosunki stworzenia ze Stwórcą, nieśmiertelne przeznaczenie człowieka, poznane za pomocą światła nadprzyrodzonego. Bóg, jak powiada Ś-ty Tomasz z Akwinu, uważany jako pierwsza Przyczyna, nie tylko w tem, co rozum mo-

¹⁾ Łuk XII. 57.

że w Nim poznać, ale przede wszystkim w tem co On tylko sam wie o sobie i co ludziom oznajmił przez Objawienie. ¹⁾

Dając Teologii nazwę nauki, wiem doskonale co o tem myślą „krytycy” wiary, a raczej jej nieprzyjaciele; wiem, że podług nich taki jest stosunek wiary do nauki, jak astrologii do astronomii; czytałem mnóstwo, nietyle naukowych, ile zapalczywych i namiętnych deklamacyj przeciwko nauce wiary, wiem że niezmiernie jest rozpowszechnionem mniemanie, jako wiara nietylko żadnych nie ma i mieć nie może dowodów rozumowych, ale jest prosto rozumowi przeciwną; bo wiara i rozum to jakoby dwa wykluczające się wzajem pojęcia.

Pomimo to wszystko pewną, owszem najpewniejszą jest rzeczą, że wiara jest nauką, że z rozumem w najzupełniejszej żyje zgodzie, i że rozum domaga się wiary, która jest jego koniecznem dopełnieniem, niezbędnym postulatem mądrości ludzkiej.

Nic łatwiejszego jak tego dowieść. Gdyby jakie dziecko w Warszawie pytało matki, skąd bierze początek Wisła i gdzie się kończy, a ta mu odpowiedziała, że Wisła zaczyna się od Sandomierza, a kończy we Włocławku, po-

¹⁾ Duilhé de St. Proj. „Apol.” 21.

wiedzielibyśmy jednozgodnie, że to bardzo ograniczona matka, bo chociaż Wisła rzeczywiście płynie od Sandomierza do Włocławka, to jednak kiedy mowa o początku i końcu rzeki, trzeba ją uważać nietylko w granicach, które się osobiście poznało, nietylko w granicach jednego kraju, ale od źródła jej do ujścia. Toż samo da się powiedzieć o każdej rzeczy; która dopiero wtenczas będzie dokładnie znaną, kiedy się ją pozna od początku do końca, od jej przyczyny do skutku i celu. Jeśli o każdej rzeczy to i o człowieku tak samo sądzić potrzeba. Ten tylko rozumnie go zbada, kto pozna jego przyczynę, początek, jego istotę i koniec. Jeśli zaś czego w tej całości poznać nie będzie można, to dążenie do poznania, to wyszukiwanie środków do niego, to używanie tych środków, nietylko nie będzie w sobie miało nic nienaukowego, ale przeciwnie będzie koniecznym wymaganiem nauki i rozumu.

Otóż bezwyznaniowcy czy pozytywiści uważają człowieka właśnie tak, jak owa matka Wisłę — tylko od Sandomierza do Włocławka. Dla nich wszystko w człowieku zaczyna się z jego urodzeniem, a kończy ze śmiercią, człowiek podług nich istnieje tylko na ziemi; skąd się wziął, dokąd dąży, co go za granicami ziemi czeka, nie wiedzą, wiedzieć nie chcą i co więcej twierdzą, iż rzeczą jest

nienaukową i nierozumną chcieć wiedzieć coś o tem. To zaś zacieśnienie istnienia i prze znaczeń ludzkich do lat kilkudziesięciu, czasami do kilku godzin tylko, nazywają szerokiem poglądem, „płodem orleji myśli wyzwolonej z pęt ciemnych przesądów“, co to chcą człowiekowi przeznaczać nieskończone wieki istnienia w chwale, radości i szczęściu — to poglądy ciasne!

Nieprawdaż, czytelniku łaskawy, że znaczenie wyrazów bywa czasami w bardzo szczególny sposób stosowane? Jak rzeka nie przestanie wypływać ze źródła, a dążyć ku morzu, choćby nawet cały sanhedryn uczonych twierdził, że nienaukową rzeczą jest wierzyć w jej istnienie po zagranicami kraju, tak człowiek nie przestanie być i czuć się na ziemi czasowym mieszkańcem, niby rzeką płynącą ku dalekiemu oceanowi wieczności.

Tak, czujemy, widzimy, że na ziemi tylko cząstka naszego istnienia. Żadne rozprawy i dowodzenia nie wmówią w ludzkość, że na ziemi koniec wszystkiego. Bo i jak tu wierzyć sofiście, że niema ruchu, gdy ludzie widzą, jak on sam chodzi, jak uwierzyć, że Wiśła kończy się we Włocławku, jeśli wszyscy widzą, że ona dalej płynie? Nie trzeba zaś długiego dowodzenia, że człowiek nie dla ziemi jest stworzonym, że nie tu cel jego — bo nie tutaj szczęście jego. Kiedy klucz się

w zamku nie mieści, lub obracać nie może, gdy ryba ginie na powietrzu, a orzeł dusi się w wodzie, niechybnie z wszelką naukową pewnością wnosimy: że klucz nie do tego zamku zrobiony, że ryba nie do powietrza, a ptak nie do wody stworzony; to zaś codzienne doświadczenie przekonywa nas, że istota, która osiągnęła swój cel, i znajduje się we właściwym sobie elemencie, czuje się dobrze, swobodnie, jest szczęśliwą. Trzebaż dowodzić, że człowiekowi źle na ziemi? Od początku świata rodzaj ludzki szuka szczęścia, a znaleźć go niemoże, i co jest rzeczą znaczącą, że ci właśnie, którzy ziemię za cel swój ostateczny obrali, którzy wyrzekli się wszelkich nadziei po śmierci, ci właśnie są najnieszczęśliwsi i ci samobójstwu najhojniejsze składają hekatombę.

Zdaje się więc, że niepodobna odmówić naukowej pewności twierdzeniu, iż człowieka istnienie nie kończy się na ziemi; wszystko bowiem na to wskazuje, a trzeba dodać, że niezmierną większość ludzkości, jej uczonych i myślicieli zawsze się na to zgadzała i zgadza. Najzupełniej także naukowem będzie dążenie do wynalezienia sposobu by wyjaśnić sobie początek i koniec człowieka, i poznać środki dojścia do tego celu; — sposobu tego zaś nigdzie nie można indziej szukać, tylko w naturze rzeczy.

Tu pozwolę sobie znowu udać się do przykładu.

Przed 400 laty mieszkańcy Europy i Ameryki rozdzieleni oceanem, nic o sobie i swoich ziemiach nie wiedzieli. Różne naukowe wskazówki dawały uczonym europejczykom do poznania, że na Europie świat się nie kończy; Kolumb poszedł za nimi i odkrył Amerykę; odtąd my, którzyśmy jej nigdy nie oglądali, wiemy z pewnością, że ona jest, wiemy nawet dość dokładnie, jak wygląda, co się w niej dzieje, a to wszystko dzięki wiarogodnym wieściom przynoszonym przez tych, którzy w niej byli, a którym my wierzymy.

Tak samo wiemy wiele rzeczy z czasów dawno minionych, dzięki wierze w świadectwa współczesnych, i choć nikt z nas nie widział Filipa II-go, Kromwella, Karola W., nikt jednak o ich istnieniu i głównych sprawach nie wąpi.

Innego sposobu dowiedzenia się o faktach i rzeczach, oddzielonych od nas przestrzenią i czasem, nie mamy jak wiara w zeznania świadków naocznych i współczesnych, a cała naukowość zależy na krytyce tych zeznań, czy w nich niema sprzeczności wewnętrznych, czy świadkowie byli wiarogodni, czy mogli poznać rzecz o której mówią i t. p.

Natura rzeczy tę jedną drogę wskazuje i jest ona najzupełniej naukową i rozumną.

Podobnie dzieje się i z wiarą Boską. Rozum, ba, codzienne doświadczenie uczy nas i przekonywa, że nasz cel nie tutaj, ale gdzieś daleko za ziemią, za śmiercią, w innym życiu, w innym świecie. Kto wierzy w Boga (a o Jego istnieniu można się nawet czystym rozumem przekonać), tembardziej musi być pewnym istnienia tego tajemniczego końca, bo Istota najdoskonalsza nic bez celu robić nie może. Innego zaś środka niema dowiedzenia się czegoś dokładnego pod tym względem, jak żeby ktoś z tamtej strony oceanu życia — przyszedł do nas i powiedział, co nam wiedzieć potrzeba. Najbardziej wymagający a zarazem najdoskonalszy rozum innego środka poznania wszystkiego, co się człowieka tyczy, wskazać nie potrafi. Otóż wiara chrześcijańska jest właśnie przyjęciem za prawdziwe, zgodzeniem się i uznaniem za pewne Prawd od Boga ludzkości opowiedzianych i objawionych, a dopełniających to wszystko, czego człowiek samym rozumem nigdy poznać nie może, choć mu tak niezbędnie potrzebne.

Tak więc, jeśli będziemy człowieka uważali rzeczywiście rozumnie i naukowo, t. j. w całości jego istnienia, to wiara okaże się nietylko zgodną z rozumem, ale będzie się on jej domagał koniecznie, bo niema innego środka poznania całkowitego człowieka, tylko przez wiarę. Cała rzecz i zadanie rozumu zależy na

tem, żeby wiarogodne świadectwa odróżnić od plotek bezmyślnych, prawdziwą wiarę od fałszywych i podrabianych.

Z tego cośmy dotąd mówili łatwo już wynioskować jaką jest natura naukowego dowodzenia prawdziwości nauki Chrystusowej. Wiara nasza nie jest wcale, jak twierdzą nie uznający jej i niechętni, zbiorem twierdzeń z góry ułożonych, kombinacyj spekulacyjnych lub marzeń egzaltowanych; chrześcijaństwo to fakt. Bóg przemówił do pewnych ludzi, w pewnym czasie, w danych miejscowościach, objawił im prawdy potrzebne człowiekowi; rozum ludzki ma nie tylko prawo, ale obowiązek podać te wszystkie wypadki najściślej i wszechstronnej krytyce, „bo kto rychło wierzy, jest lekkiego serca” ¹⁾ Kiedy jednak potem wszystkim pokaże się, że Bóg rzeczywiście dał swe Objawienie i że jest nim właśnie nasza wiara, zdrowy rozsądek nakazuje przyjąć ją ze względu na bezwarunkową prawdziwość Boga; teologowie nazywają to *objectum fidei formale*.

„Żeby odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, jaką jest powaga wiary pod względem rozumowym, ściśle naukowym, powiada kanonik Duilhé de St. Projet, dosyć przypo-

¹⁾ Eccli. XIX. 4.

mnieć elementarne zasady logiki co do nieomylnych znaków, odróżniających prawdę od fałszu, trzy kryteria pewności: oczywistość świadectwa, oczywistość bezpośrednia, oczywistość rozumowania — i przekonać się, że niemasz ani jednej prawdy dogmatycznej, która ostatecznie nie opierała się na jednej z tych podstaw poznawania wszelkiego, która nie była nabytą dla rozumu za pomocą jednego z logicznych kryteriów pewności. Całość zaś tych prawd formuje gmach, którego pierwszy kamień spoczywa bezpośrednio na granicie, którego wszystkie warstwy są spójne klamrami z żelaża, bez fałszu, bez szpary, i którego szczyt uwieńczony Krzyżem. To jest tak dalece prawdziwe, że rola oczywistości rozumowej w akcie wiary stanowi jedną z najbardziej delikatnych kwestyj w Teologii. Naciskani przez ataki i analizy psychologiczne nowoczesnego racjonalizmu, teologowie musieli wytłómaczyć, jak oczywistość induktywna lub deduktywna nie niszczy wszelkiej istotnej różnicy między pewnością naukową i przyjęciem prawd wiary, nie mogącym być aktem czysto umysłowym". 1)

1) Apol. scientif. 64. Ostatnie słowa uczonego apologety odnoszą się oczywiście do tych prawd, które są przedmiotem wiary, ale też i za pomocą rozumu dowie-

Z tego co się dotąd powiedziało, możemy już sobie dokładne wyrobić pojęcie o tem, w jakim znaczeniu wiara jest nauką i jakiego rodzaju nauką pewność posiada.

Nauką nazwałbym systemat pewien prawd logicznie z sobą powiązanych, a opartych na jakiejś niezachwianej albo nawet oczywistej zasadzie i podstawie. Wiara posiada to wszystko i z tego względu podobną jest do nauk ludzkich przyrodzonych; różni się jednak od nich bardzo i to nie w jednej rzeczy. „Kościół od wieków trzymał i trzyma, powiada sobór watykański, że dwojaki jest porządek poznawania, różny nietylko zasadą lecz i przedmiotem także; różny jest zasadą, bo w jednym poznajemy za pomocą przyrodzonego rozumu, w drugim przez wiarę Boską, przedmiotem zaś, bo oprócz tego do czego rozum przyrodzony dojść może, podawane nam są do wiery tajemnice w Bogu ukryte, które gdy

dzione być mogą jak np. istnienie duszy ludzkiej, Boga i Jego przymiotów. Nie wdając się w roztrząsanie tej kwestyi dla naszego przedmiotu ubocznej, przytoczę tylko zakończenie traktującego o tem ustępu w Apologii. „Natura umysłu ludzkiego jest taką, że nawet wobec rozumowej oczywistości, np.: istnienia Boga albo faktu Objawienia, niema oczywistości „zmuszającej“ i dlatego zawsze jest miejsce dla wpływów nadprzyrodzonych i nadrozumowych“

by ich Bóg nie objawił, nigdyby nie mogły być znane“. 1)

Stroną po ludzku naukową wiary jest właśnie to wszystko „do czego rozum przyrodzony dojść może“ t. j. sprawdzenie faktu Objawienia danego przez Boga, stwierdzenie wiarogodności Objawienia, samą zaś treść jego przyjmujemy już na wiarę prawdziwości objawiającego Boga, i tutaj, jak powiada Św. Tomasz, świadectwo prawdziwości Bożej taką gra rolę, jak zasada podstawowa w nauce. 2)

Pewność, jaką daje wiara, jeżeli będzie uważaną w swej przyczynie, jest bezwątpienia większą, niż w naukach ludzkich, bo, że użyję słów przytoczonego wyżej doktora Kościoła, ponieważ wiara opiera się na prawdzie Boskiej, jest więc bardziej niezawodną, niż mądrość, nauka i pojmowanie, które się opierają na rozumie ludzkim. Z drugiej strony „do wody skłaniające do wiary, nie dowodzą jej bezpośrednio (*evidentia fidei*) lecz stwierdzają prawdomówność objawiającego wiarę

1) De fide et ratione Cap. IV.

2) Testimonium veritatis divinae se habet in fide, ut principium in scienciis demonstrativis. De verit. Qu. XIV art. 8 ad. 9.

i dlatego nie dają wiedzy rzeczy objawionych".¹⁾

Powinienbym już przystąpić do przejrzenia dowodów prawdziwości wiary naszej, ale raz jeszcze muszę się zatrzymać, przeprosiwszy uprzejmie czytelnika, że jak „ś. p. generał-major Tuz” z komedyi Fredrowskiej sześć razy się cofam, nim raz naprzód ruszę, — lecz kiedy „nieprzyjazny człowiek” drogę wszelkimi przeszkodami poprzecinał, bardzo powoli tylko można się posuwać, usuwając spotykane zawady. Byłem: razu jednego obecnym przy egzaminie z katechizmu. Odpowiadał zdolny, widocznie młodzieniec; mówił o wierze i o tem, że dla prawdziwości Bożej przyjmujemy rzeczy których rozum zgłębić nie może. — A w rzeczach ludzkich, zapytałem, czy rozum wszystko zrozumieć potrafi? Wszystko, brzmiała rezolutna odpowiedź. Oczywiście wszyscy starsi, ilu nas było, zaśmieliśmy się szczerze, z tak dobrego i naiwnego wyobrażenia o nauce i rozumie. Trzeba być bardzo młodym i nie znać zblizka żadnej nauki, żeby myśleć podobnie, a jednak kiedy mowa o wierze, to nawet starsi i uczeńsi ludzie zupełnie tak myślą jak ów młodzieniec. Jak tu, powiadają, wierzyć w tajemnice wiary i w dodatku

²⁾ S. Thom. in III Sent. dist. XXIV.

wierzyć rozumnie, kiedy tych tajemnic rozum pojąć nie może. W nauce co innego: tu wszystko jasne i jeśli przyjmuję prawdę naukową to dlatego, że ją rozumiem. Jest to błąd tak oczywisty, tak dotykalny, w praktyce codziennej tak zupełnie inaczej się dzieje, że to samo iż ludzie mogą błąd taki popełniać, tak niesłychanie się ludzi, dowodzi słabości umysłu ludzkiego, braku zastanowienia, zmysłu krytycznego, słowem tego co Ekleziastes powiedział, a czego powtarzać już nie chcę, by powtarzaniem nie znudzić.

Ludziom wydaje się, że to co widzą, wśród czego żyją, do czego się przyzwyczaili, jest rzeczą naturalną, zrozumiałą „oczywistą“. „Szczególne złudzenie przyzwyczajenia i niewiadomości, powiada Nicolas: wskutek ciągłego znajdowania się wśród tajemnic nie widzimy ich. W tajemnicy jesteśmy zanurzeni, odychamy nią, dotykamy się jej, poruszamy ją co chwila, ale przesuając się machinalnie po powierzchni rzeczy, stępieni przez przyzwyczajenie, nie widzimy jakiej przepaści jesteśmy środkiem, i trzeba być uczonym, żeby wiedzieć, że się nic nie wie. ¹⁾ Ks. Moigno w którymś tomie swoich *Splendeurs de la foi* przyznaje, że gdy rozpoczął studia przy-

¹⁾ Les études philos. sur la Christ. Introduction.

rodnicze, wielu bardzo rzeczy nie rozumiał i wiele bardzo miał zagadek do rozwiązania; kiedy jednak po latach 40 pracy został członkiem wszystkich stowarzyszeń uczonych, kiedy stał się głośnym i znanym, kiedy posiadał całą przyrodniczą wiedzę, jaką w naszych czasach mieć można było, stał ostatecznie wobec daleko większej liczby nierozwiązalnych zagadek, niż gdy zaczynał swój zawód naukowy.

Tak, żyjemy, chodzimy, poruszamy się wśród tajemnic niezgłębionych. Na każdym kroku spotykamy ciało i materię, a któż wie na czym istota ich zależy? Ciągłe patrzymy na to, że z kilku ziarn rozmaitych do jednej wrzuconych ziemi, wyciąga każde właściwy sobie pokarm i soki, choć nikt nie wie, czym się to dzieje, że się nigdy nie pomyli; nikt nie doszedł, co to właściwie sprawia w nich kiełkowanie i wzrastanie. Wiemy, że mamy duszę nie materialną i że ciało materialne oddziaływa na nią, nikt jednak nie rozumie, jak się to dzieje — i tak ciągle na każdym kroku. Nie zwracamy uwagi na te tajemnice, bośmy się do nich przyzwyczaili. „Większość ludzi, pisze głośny filozof francuzki XVII wieku, wyobraża sobie, że dobrze zna przyczynę wypadków naturalnych, zwykle się zdarzających; a gdy ich o to kto pyta, chcą by się zadawano tem, co mówią, chociaż mówią to tylko, co dawno wiadomo. Czem się dzieje, że

z jajka wychodzi kurcze? A, to ciepło kury wyprowadza je, to rzecz jasna — na tem trzeba poprzestać. Skąd to pochodzi, że nasienie zboża kiełkuje i przebija ziemię, żeby w niej rozłożyć korzenie i kłos potem wydać? To wszystko deszcz robi — i więcej nie trzeba. A gdyś niezadowolony z tych odpowiedzi, ci którzy uchodzą za filozofów, powiedzą ci, że wilgoć i ciepło, wyrazy bardzo jasne, są przyczynami płodnemi wszelkiego rozkładu i rozenia... ¹⁾

Tak więc „pograżeni jesteście w tajemnicy“; — pomimo to przyjmujemy za prawdziwe i bynajmniej nie wątpimy o faktach, czy wypadkach, chociaż nie wiemy *jak* były skoro przekonamy się, *że* były. Tegoż samego wymaga od nas wiara, — powinniśmy wierzyć w prawdziwość rzeczy i prawd objawionych, chociaż nie możemy zrozumieć jakie są, jeśli się przekonamy, że są. „Jakim sposobem rozum, nie mogący samego siebie przeniknąć, ani nic z tego, co nas otacza, może domagać się oczywistości w Bogu? Jakiem prawem możemy domagać się znajomości planów i zamiarów przedwiecznych Boga w porządku duchowym, kiedy plan stworzenia materialnego wymyka się zewsząd?“

¹⁾ Malebranche. *Traité de morale.*

Tajemnice wiary chrześcijańskiej nie tylko wiarogodności nie zmniejszają, lecz owszem są oznaką jej prawdziwości, wiara bowiem bez tajemnic byłaby napewno fałszywą. Religia jest stosunkiem człowieka do Boga, istoty bardzo niedoskonałej i skończonej do nieskończonej doskonałej, wymaganie więc, żeby w tym stosunku nie było żadnych tajemnic, równa się żądaniu by nieskończone pomieściło się w skończonym. ¹⁾ Jeśli między ludźmi są takie różnice, że co się z łatwością mieści w umyśle uczonego i rozumnego człowieka, będzie wieczną tajemnicą dla ograniczonej głowy, o ileż większą różnica być musi w stosunku między ludźmi a Bogiem. „Byłoby przeciwne rozumowi, gdyby rozum ludzki mógł pojąć całkowicie naturę Boga, bo człowiek byłby równy Bogu, dwa bowiem rozумы. mogące się wzajem przeniknąć, są sobie równe. Byłoby więc przeciwko rozumowi, gdyby wiara nie była

¹⁾ Św. Augustyn, chodząc nad brzegiem morza, rozmyślał nad tajemnicą Trójcy Św. i zobaczył dziecię, które wykopało mały dołek w piasku i łyżką przelewało do niego wodę z morza. Co to robisz, moje dziecię, zapytał Święty. Chcę morze przelać do tego dołka. Jakże to zrobisz, kiedy on tak mały, a morze tak ogromne? Jednak, odpowiedział anioł, prędzej ono zmieści się w tym dołku, niż tajemnica, o której myślisz w twoim rozumie. Tak opowiada legenda.

w części wyższą nad rozum. Powiadam *w części*, bo jeśli nie mamy prawa do oczywistości, mamy je do jasności wystarczającej dla przekonania rozumu. Gdyby wiara była całkowicie dla rozumu niedostępną, nie byłaby przeznaczoną dla istot rozumnych, jakimi są ludzie, byłaby więc fałszywą. Z drugiej strony, gdyby całkowicie dla nas była dostępną, nie pochodziłaby od Boga i znowu byłaby fałszywą. Trzeba więc, żeby religia z jednej strony stosowała się do rozumu ludzkiego, a z drugiej — żeby tonęła w głębiach mądrości Bożej, żeby z jednej strony była jasną, niedostępną — z drugiej... Tak właśnie jest w religii chrześcijańskiej i tylko w niej jednej.“¹⁾

Częścią jasną, zrozumiałą są, jak wspomniałem wyżej, dowody stwierdzające prawdziwość faktu Objawienia, przez teologów zwane: *motiva credibilitatis*. Kościół jest tak pewnym ich oczywistości i bezwarunkowej pewności, iż potępił, jako fałszywą, opinię twierdzącą, „że można wierzyć opierając się tylko na prawdopodobieństwie, a nawet z obawą, że Bóg rzeczywiście nie mówił i że Objawienie jest ułudą“...²⁾ Dowody te i znaki

¹⁾ Nicolas op. cit. introd.

²⁾ Prop. XXI ab Innoc. XI damn. Assensus fidei supernaturalis et utilis ad salutem stat cum notitia solum probabili revelationis, imo cum formidine, quod Deus non sit locutus.

„dają człowiekowi pewność bez żadnej wątpliwości o wiarogodności Objawienia chrześcijańskiego; przyjęcie jednak jego jest czynem jego dobrej woli, największym, najszlachetniejszym aktem jego wolności duchowej, bo nauka wiary nie zmusza go do zgodzenia się... Oczywistość wiarogodności zawsze samą prawdę; objawioną pozostawia tajemną, ciemną (Suarez), treść więc Objawienia (*objecum materiale*) zawsze jest mniej lub więcej niezrozumiałą, a przekonanie o jej prawdziwości spoczywa na nieomyślności Bożej, nie zaś na własnym doświadczeniu lub na „wewnętrznej rzeczy prawdziwości, dopatrzonej światłem rozumu przyrodzonego“. (Sob. Watyk.).

Chociaż więc człowiek z zupełną oczywistością poznaje wiarogodność tego, co Bóg w sposób nadprzyrodzony objawił, to jednak ma zewnętrzną tylko i pośrednią oczywistość, nie zaś wewnętrzną i bezpośrednią... dlatego pozostaje mu zawsze możność sprzeciwiania się i zaprzeczania... Tak więc wiara jest czynem swobodnym ¹⁾, i w tej wolności leży jej zasługa. ²⁾ Dlatego także ona jest

¹⁾ Hettinger.

²⁾ Conc. Vatic. Const. dogm. de fide cath. can. V. Si quis dixerit assensum fidei Christianae non esse liberum, sed argumentis humanae rationis necessario producendum, an. sit

cnotą i to taką, która jest „korzeniem i podstawą wszelkiej sprawiedliwości“¹⁾.

Kto uwierzył w Boga, nie zawaha się uwierzyć wszystkiemu, co On objawił, ale jak przekonać się, że Objawienie rzeczywiście było, że nas doszło nie zepsute? Jakie drogi i dowody naukowe prowadzą do tego przekonania? Odpowiem krótko — wszystkie. Wszystkie nauki, wszystkie zdobycze wiedzy ludzkiej, wszystko co duch ludzki rozumnego, dobrego, pięknego i prawdziwego wynalazł i utworzył, wszystko bezpośrednio lub pośrednio składa się na dowód prawdziwości wiary naszej. Znam umyśły religijne, ale bojaźliwe, które z podejrzliwością niejaką patrzą na nauki ludzkie i mają je w podejrzeniu, jakoby od Boga odprowadzały; bywa tak, niestety, wina w tem jednak nie nauki, lecz uczącego się. „Kościół owszem przyznaje, powiada sobór watykański że one (nauki i sztuki ludzkie) jak od Boga, Pana umiejętności wyszły, tak też do Boga, jeśli należycie będą uprawiane, przy pomocy łaski Jego, doprowadzą.“²⁾ Nad naszym skromnym np. Teterowem z pewnością wiele ludzi życie całe spędza, nie wiedząc nawet, że osta-

¹⁾ Trid. ses. VI cap. 8.

²⁾ De fide et rat. cap IV.

tecznie wody jego do morza Dniepr szeroki zanieś i że morze ma łączność z oceanami; — niemniej jednak łączność owej rzeki z bezmiarem wodnym jest rzeczą pewną. Otóż jak źródła, strumyki, rzeki łączą się powoli w sieć jedną ogromną, by razem dopłynąć do morza i w niem utonąć, tak wszystkie nauki „były należycie uprawiane“ łączą się w jedną olbrzymią syntezę, prowadzącą zawsze i niemylnie do Boga. Jużci nie każdy umysł wznieść się dość wysoko potrafi, by łączności tych strumyków i rzeczulek mógł dopatrzeć, ale kto choć w ogólnym zarysie ją ujrzy, ten zrozumie słowa Apokalipsy: „A wszelkie stworzenie, które jest na niebie i na ziemi i pod ziemią i co w morzu jest i co w niem, wszystkie slyszalem mówiące: siedzącemu na stolicy i Barankowi błogosławieństwo i cześć i chwala i moc na wieki wieków“. ¹⁾ Wszystkie więc nauki składają się na dowody wiarogodności i prawdziwości chrześcijanizmu, i formują kilka kierunków, albo raczej rodzajów dowodów, które jakkolwiek rozmaite, do jednego zawsze prowadzą celu t. j. do przekonania się, że Bóg rzeczywiście mówił do ludzi i że głosowi Jego wierzyć potrzeba, „bo pobudki i racye wiarogodności Objawienia różne są dla różnych, po-

¹⁾ Apocal. V. 13.

budka zaś do wierzenia dla wszystkich zawsze jedna — Bóg, który sam o swojej prawdziwości świadczy“. ¹⁾

Mam teraz przystąpić do wyliczenia wodów prawdziwości wiary naszej. Niestety, mogą to być i będą tylko krótkie i suche wskazówki, a te nie zdołają oddać wrażeń i uczuć, jakich się doświadcza, gdy się po tych drogach chodzi. — Kto opowie słodycz godzin samotnych i cichych, w których duchowi żądnemu prawdy, okazuje się ona powoli? Wątpliwości powstałe z głębin własnego ducha, zarzuty i potwarze, któremi świat prawdę osłania, rozsuwają się powoli, zasłony opadają jedna za drugą i pozostaje tylko ostatnia, ale tak przezroczysta, że za nią poznajesz żywą i wielką postać, że przez nią przedzierają się potoki światła i słycać głos mówiący: Jam jest droga, prawdą i życiem.

Staliśmy na szczycie Gaisbergu; otaczał nas zewsząd błękit przezczysty, tylko z południa, od równin bawarskich pędziła chmura niezmierna, sięgając od krańca do krańca horyzontu i od powierzchni jezior (jak się zdawało patrzącym z góry) gdzieś aż do zenitu. We środku czarna, jak otchłań, szara u góry, z dołu i z boku zalana złotem i purpurą zachodzące-

¹⁾ Hettinger.

zego właśnie słońca, piętrząc się w kłęby olbrzymie, leciała na nas z szybkością pioruna. Niemcy jednym głosem wołali: „wunderschön“, ja zaś patrzałem w niemem zachwyceniu i zdało mi się, że patrzę na pierwszy dzień stworzenia, na dziwne *tohu-vabohu*. Nieraz przed pomnikami sztuki stawałem z Czatyrdahowem „Aa!“ na ustach jak powiedział Odyniec, znam też doskonale, jak to na strunach serca grają poezya, muzyka i ich piękne siostrzyce, a choć żaden wynalazek nie dał mi prawa wołać: „eureka!“, jak Archimedes, to jednak mówiłem tak często na swój rachunek, gdy po długim mozole wiązałem w końcu nici, w jakim naukowem zagadnieniu.

Wszystkie te jednak radośne wrażenia nie mogą się wcale porównać z temi, jakich dusza doznaje, gdy prawda religijna przed nią się rozświeci, gdy w tej dziedzinie zdoła zawołać: „eureka“... Zapewne daleko wzrok sięga z Gaisbergu czy z Rigiculmu, ale rzut oka w horyzonty przyszłego życia bez porównania wspanialsze odkrywa widoki. Niestety, suche i krótkie wskazówki, jakie skreślić zamierzam, takie o tem wszystkiem dadzą pojęcie, jak linie i plamy geograficznej mapy o brzegach Dunaju i Renu, o turkusowych jeziorach Szwajcaryi, o ciemnym lazurze Adryatyku, o przezroczu „Alp błękitów“. Chcąc te piękności podziwiać, trzeba samemu je zobaczyć, tak też kto chce

poznać jaką jest prawda, sam jej szukać powinien, a pozna, że jest ona perłą drogą, którą znalazłszy człowiek „odszedł i sprzedał wszystko, co miał i kupił ją“. ¹⁾

Kiedy kto chce zapuścić się w badania naukowe nad matematyką i sprawdzać jej rozmaite wyniki, powinien już wiedzieć, co zna czy jednostka, liczba, powinien znać działania arytmetyczne, bo trudno uczyć się sylabizowania albo nawet abecadła, kiedy się ma z prelekcyją wystąpić, trudno nałamywać dopiero palce do gam i pięciopalcowych ćwiczeń, kiedy się chce grać Grig'a lub Liszta. Tak też kto chce naukowo badać dowody prawdziwości chrześcijaństwa musi już wiele rzeczy umieć, a przedewszystkiem mieć odpowiednie filozoficzne wykształcenie zwłaszcza w ontologii i logice. ²⁾

Miałem już sposobność zauważyć, że zaniechanie filozofii sprawia wszelką rozprawę

¹⁾ Mat. XXIII, 46.

²⁾ Zastrzegam się, że dając te wskazówki, nie uważam ich wcale za dowody rozwinięte całkowicie; wiem doskonale, że każdy z wymienionych tu punktów jest bardzo namiętnie zaprzeczanym; jest to droga do celu pod ogniem nieprzyjacielskim, przejść jednak każdy może, kto pragnie, a zginie ten tylko, kto chce zginąć. W każdej „Apologii“ czy innym dziele specjalnem znaleźć można argumenta *pro* i *contra* obszernie wyłożone.

naukową z naszymi przeciwnikami niesłychanie uciążliwą, albo zgoła niemożliwą, gdyż co krok popełniają błędy metafizyczne i logiczne, które z wielkim trudem prostować trzeba. Taką rozprawą, to jakby lekcya arytmetyki z człowiekiem nie umiejącym tablicy mnożenia i upierającym się jeszcze przy swoim, że $5 \times 5 = 18$, albo $4 \times 7 = 37$ — jak mu się w danym razie podoba. Człowiek tedy mający zdrowe pojęcie o rzeczach i umiejący prawidłowo myśleć, skoro zechce badać naukowo to, co go otacza, spotka się odrazu z naturą. Nie trzeba przypominać jak obszerne i wdzięczne pole do studyów przed nim się roztoczy. Oprócz mnóstwa praw i prawd pozna on w tem badaniu materję bezwładną i z natury swej przypaddingową, pozna ruch, życie, dopatrzy się celowości, a z tego, oparty na niezawodnej zasadzie przyczynowości, dojdzie do pewnika naukowego, że musi być Istota konieczna, pierwszy motor, sprawca życia i Rozum najwyższy, wszystko do celu mądrze kierujący. Im studya będą głębsze, tem żywiej wystąpią na jaw przymioty tej Istoty koniecznej — Jej potęga, mądrość, opatrność i dobroć — słowem filozoficznym rezultatem badań przyrody będzie pewnik istnienia Boga, którego przymioty po części zbadania natury, po części dochodzeniem rozumowem poznać można o tyle, że będzie dla nas rzeczą zupełnie pewną, iż Bóg

jest Istotą, mającą byt sama z siebie, a zatem, że jest nieograniczenie doskonałym, nietylko najpotężniejszym, ale też najlepszym i najprawdziwszym.

Z drugiej strony, poznawszy samego siebie, człowiek przekona się, że jest istotą przy-
padkową, a więc stworzeniem; pozna, że się z dwóch bardzo różnych części składa, z których jedna materialna i prawom materji podległa, druga spełniająca funkcje dla materji bezwzględnie niemożliwe; wywnioskuje więc oczywiście, że i natura tej drugiej połowy człowieka jest niematerialną, duchową. Przekona się, że ma duszę. Badając dalej naturę duszy zauważy, że w głębi jej leży niezwalczona potrzeba szczęścia, jak w naturze kamienia konieczność ciężenia ku ziemi. Szczęścia tego nigdy człowiek w zupełności i na długo nie znajdzie, a znajomość ludzi i historii nauczy go, że nikt go jeszcze na ziemi nie znalazł; przekona się więc z tego dowodu, i innych jeszcze, z zupełną pewnością, że i cel człowieka nie na ziemi, ale gdzieindziej. Jeśli badacz ten zechce dalej zastanawiać się i docho-
dzić, tedy dojdzie do naturalnego wniosku, że Bóg najmądrszy i najlepszy, nie mógł stworzyć człowieka do celu i nie wskazać go jemu; co więcej, nabędzie pewności, że między Stwórcą a stworzeniem, między Ojcem a dziećmi, po-

winny istnieć stosunki, wpływające z tych właśnie warunków.

Wszystko to, i wiele innych względów, doprowadzi go do przekonania, że nie tylko możliwą, prawdopodobną, ale pożyteczną, a w danych warunkach konieczną było rzeczą, żeby Bóg istotę przez siebie stworzoną do celu najwyższej wyższego, niż życie na ziemi, nauczył, jak do tego celu iść ma i powinien. Zajmie się więc badaniem możliwości, potrzeby i pożytku Objawienia; — wtenczas stanie oczywiście przed nim Objawienie chrześcijańskie, jako fakt dziejowy, jako wypadek, około którego w gruncie rzeczy wszystkie inne się obracają.

Objawienie to składa się ze starego i nowego Testamentu. Jeśli dotąd rozmaite nauki i rozmaite metody mogły być używane w miarę potrzeb umysłowych badacza, to sprawdzanie naukowe Objawienia wymaga prawie wyłącznie metody historycznej. Tak też Pismo Św. badanem bywa, a nie było w niem chyba jednej litery, którejby nie roztrząsano, jednego wyrazu, któremuby czegoś nie zarzucano, jednego wypadku, którego by nie zaprzeczano. Ze wszystkich prób Pismo Ś-te wyszło zwyciężko; owszem nauki ludzkie, poszukiwania robione bez żadnego na nie względu, często w celu wrogim, sprowadzały zawsze nowe stwierdzenie zupełnej historycznej prawdziwo-

ści i autentyczności jego, wyjaśniały owszem miejsca dawniej niezrozumiałe i przekonywały o prawdziwości opowiadania w najdrobniejszych nawet szczegółach. ¹⁾

Od pierwszych już rozdziałów pierwszej księgi starego Testamentu zwróci uwagę pilnego badacza szczegół, który coraz bardziej się rozrasta, coraz bardziej staje się określonym t. j. zapowiedź przyszłego Odkupiciela. Cały naród żydowski wiarą w Niego żyć będzie, owszem na to tylko utrzymywanym będzie, by służył za kolebkę Tego, który miał być posłanym. Gdy swe zadanie spełnił, a wiernym być nie chciał, został strzaskanym i po całym rozrzuconym świecie. Ludzie rozdzieleni od siebie setkami lat wydają przepowiednie, które razem wzięte składają się na dokładne określenie przyszłego Mesyasza. Przepowiedziana Jego Męka, charakter, nieprzyjęcie przez lud wybrany, wskazane pokolenie i ród, z którego wyjść miał, miejsce, w którym się narodzi, czas przyjścia, w końcu wskazany Jego bezpośredni poprzednik. Od ostatniego prorocstwa przeszło 400 lat milczenia

¹⁾ X. Żaborski zebrał np. odkrycia archeologiczne i paleograficzne w Egipcie, Babilonie i Assyrii, mające związek z Biblią i streścił je w niezmiernie zajmującej książce; „Źródła historyczne Wschodu“.

i oczekiwania, aż gdy się czas wskazany wypełnił, jak jutrzienka po długiej nocy zjawił się Ten, który był oczekiwaniem narodów i dopełnił Zakon i Objawienie.

Dla dobrej woli i umysłu badawczego studia naukowe nad postacią Jezusa Chrystusa należą bez wątpienia do najwyższych rozkoszy duchowych. Postać ta stanęła w pełni historycznej jasności i pewności. Naród żydowski był wtedy w schyłku swej historii; znamy doskonale jego ówczesne położenie, wiemy z kim miewał stosunki, prawie każde miasteczko jego, jeśli nie wieś znaczniejsza, było opisane, boć przecie to działo się za panowania rzymskiego, u ogniska historii, nad morzem Śródziemnem; — nic tu nie było z owych tajemniczych i bajecznych głębin niezbadanych Indyj, nic z rozbującej fantazyi indyjskiej czy arabskiej, zwłaszcza, że Żydzi, jak teraz tak i wówczas, odznaczali się dziwnym brakiem fantazyi artystycznej i usposobieniem wysoce realistycznym. Możność więc jest zupełna dokładnego poznania postaci Jezusa Chrystusa — i jakiż rezultat tych studyów być może? Kto Jezusa poznaje nie z książki Renana, podszytej fantazyą, przepełnionej przekręceniami i obrachowanej na nieuctwo ogółu, lecz z dokumentów i źródeł historycznych; kto pozna tę Postać tak różną od wszystkiego, co ją otaczało, tak wyższą nad wszystko co ludz-

kość kiedy wydała, tak mądrą, czystą, miłą-
cą, tak nieskończenie piękną i doskonałą, kto-
ją porówna z mędracami, prawodawcami i za-
łożycielami innych religij, ten nie może inaczej
zakończyć swych badań, tylko wykrzyknie-
niem Tomasza, gdy się ran Jego dotknął:
„Pan mój i Bóg mój!“ Pewność ta będzie
wzrastała bez ustanku, w miarę tego, jak ba-
dający będzie wzrastał w rzeczywistą naukę,
znajomość życia, ludzi i siebie, a także w miarę
tego, jak będzie stawał się lepszym i czyst-
szym, bo jak przedmioty materialne tylko
oko żadnym nie zapruszone pyłem dokładnie
widzieć może, tak prawda, mądrość, piękno-
Boże będzie coraz dostępniejsze i pewniejsze
dla mających czyste oko swej duszy — czyste
serce.

Mojżesz, prorocy, sam Chrystus Pan po-
trzebowali dowodów zewnętrznych, któremi
mogliby przekonać współczesnych i późniejsze
pokolenia o rzeczywistości swego posłannictwa
od Boga. Król posyłający kogoś od siebie do
ludu swego, czy też do innych monarchów,
daje mu listy uwierzytelniające, stwierdza je
podpisem i pieczęcią własną; tak też Pan Bóg,
dając ludziom swe Objawienie, stwierdził je
pieczęcią swoją, znakami nadprzyrodzonymi,
których nikt inny czynić nie może, by z ich
pomocą przekonali się ludzie o prawdziwości
tego, co im ogłaszane bywa. Pieczęcią tą są

cuda i prorocstwa. Przeciwno tym dwom rodzajom znaków nadprzyrodzonych istnieje zawzięta agitacja, której hasłem: „*chasser le surnaturel*“. Wobec aktualności tej kwestyi powinnyby ona być wszechstronnie badana; tymczasem jest inaczej. Najsilniejszym argumentem, przynajmniej u ogóły niewierzących, jest szyderstwo i okrzyk zgrozy: „któżby ta kim bredniom wierzył... w XIX wieku!“

Skoro się wyrzekło magiczne słowo: „XIX wiek“ to się sprawę uważa za skończoną. Przy dalszem naleganiu o dowody nieistnienia cudów, zwolennicy metody eksperymentalnej uciekają się do metafizyki i dowodzą, że cuda są niemożliwe metafizycznie; kiedy zaś po długim mozole pokona się ich na tem polu, cofają się do „wiedzy pozytywnej“ i twierdzą, że nauka nigdy cudów nie spotykała. Gdy im wreszcie zacytują fakta i poproszą o ich zbadanie, odpowiadają, że badać nie będą, bo z góry wiadomo, metafizycznie, że cuda są niemożliwe i tak logicznie rozumują — aż do skutku.

Nie jest mojem zadaniem dowodzić w tem miejscu możliwości cudu, więc poprzestanę tylko na krótkiej uwadze księdza de Bonriot. ¹⁾ Rzeczą jest niezaprzeczoną, i niezaprzeczaną, że życie nie zawsze istniało na ziemi; z drugiej

¹⁾ Cyt. ks. Duilhé de st. Pr. 67.

strony nauka zaprzecza możliwości naturalnego przejścia materii nieorganicznej do życia, to przejście więc naukowo jest pewnem i nadnaturalnem. Virchow przyznaje niemoc swego sceptycyzmu wobec tego „cudu“.

Powiedziałem: że z powodu „aktualności“ kwestyi spornej, powinna ona być sumiennie i wszechstronnie badaną; w rzeczywistości jednak doświadczenia jest bardzo mało i ogół „krytyczny“ wyobrażenia najmniejszego nie ma o tem, co się dzieje w dziedzinie prawdziwie naukowego badania dowodów wiary, zadawalniając się powtarzaniem frazesu utartego o „legendach i podaniach biblijnych i o zdobyczach „najnowszej wiedzy pozytywnej“. Tymczasem dzieją się tam rzeczy nadzwyczaj ciekawe, tem ciekawsze że to właśnie usiłowanie i praca przeciwników, chcących za pomocą nauki pogrzebać wiarę, przyczyniają się do jej rozjaśnienia i utwierdzenia. „Rzecz godna zastanowienia pisze Ks. W. Zaborski, że jakkolwiek między egiptologami i assyryologami znajdowali się katolicy, przeważną jednak ich część stanowią protestanci i racjonalisci, — i tym ostatnim należy się największa zasługa w odkryciach oraz postępie tychże nauk, a i Egzegeza biblijna najwięcej im zawdzięcza, choć wbrew ich woli i chęci. ¹⁾

¹⁾ W wybranych komentarzach Pisma Św. składających nieskończony dotąd *Cursus Scripturae Sacrae* wy-

Jak wszystkie herezye, które Bóg dopuścił na swój Kościół, przyczyniły się do lepszego określenia i wyjaśnienia dogmatu, tak i usiłowania racjonalistów biblijnych, którzy w imię nauki chcieli zadać cios śmiertelny księdze objawionej, Opatrzność umiała obrócić przeciwko nim samym — „*Digitus Dei est hic...*“¹⁾

Chociaż to pracę moją i tak może dla wielu zbyt suchą i ciężką, jeszcze suchszą i cięższą uczyni, nie mogę oprzeć się chęci przytoczenia kilku przykładów, stwierdzających powyższe twierdzenia, jak pierwaj przytoczyłem przykład bezpodstawnej krytyki antyreligijnej. Więc najpierwej daję parę przykładów ścisłości i prawdziwości historycznej Ksiąg świętych. Nie pomnę kto powiedział, że najlepszą próbą autentyczności dowodów historycznych jest prawda w szczegółach drobnych i na pozór nic nie znaczących; kawałki papieru pocięte regularnie, dość łatwo jeszcze złożyć, ale kiedy papier wycięty zostanie w najkapryśniejsze gzygzaki, w najdrobniejsze kąty i zęby, wtenczas przystać do niego zupełnie może tylko część jego odcięta i właśnie przystawanie naj-

dawany przez głośnych uczonych Cornely, Knabenbauer i de Hummelauer na każdym kroku spotkać się można ze zdo-
bycznami z tego źródła pochodzącemi.

¹⁾ „*Źródła hist. wschodu*“ — Zakończenie.

drobniejszych wycięć będzie ostatecznym dowodem jej tożsamości. Gdy dzban zostanie rozbitym, największy kłopot właśnie z małemi jego cząstkami, kapryśnie rozprysniętymi; — żadne inne nie dadzą się wkleić do naprawianego naczynia, tylko te, które z niego pochodzą.

Tak samo jest w historii.

Otóż postępy nowszej nauki wykazały zgodność Ksiąg świętych z rzeczywistością w tych drobnych szczegółach, których wymyśleć nie było sposobu, które owszem długo służyły za broń przeciwnikom; — teraz przeciwko nim samym ona się zwróciła. Wypadków takich można setki naliczyć. Oto np.: Biblia tylko jedna wiedziała o narodzie Hetejczyków; klasyczni pisarze nie wspominali o nim ani jednym słowem. Odkrycia amerykańskich misjonarzy w Hamah 1871 r. a następnie Wrigth'a i Drake'go w Alepie, Skene'go, Davis'a i innych przekonały o prawdziwości opowiadania Pentateuchu Mojżeszowego. Inny przykład: „Podług Biblii Ezechiasz płaci dań Sennacherybowi 30 talentów złota i 300 talentów srebra; według zaś napisów klinowych haracz ten wynosił 30 tal. złota i 800 srebra. Otóż wiadomo jest dziś, że talent assyryjski srebra wart był $\frac{3}{8}$ żydowskiego, talent zaś złota miał w obydwóch krajach jednakową wartość. ¹⁾

¹⁾ Ks. Zaborski op. cit.

Do niedawna ulubionym przedmiotem napaści na księgę Daniela była rzekoma jego niezajomość historii babilońskiej; podług Daniela bowiem państwo babilońskie upadło za Baltazara króla, a Babilon dostał się w moc Daryusza Meda, który panował 2 lata, po nim zaś dopiero nastąpił Cyrusa. Tymczasem z piśmiennictwa klasycznych wiadomem było, że ostatnim królem Babilonu był Nabonid, o Daryuszu Medzie zaś żadnej wzmianki nie było, tylko odrazu o Cyrusie. Pomniki wynalezione w Chaldej wyjaśniły tę kwestyę i stwierdziły prawdomówność Daniela. „Ostatni król Chaldejski Nabonid (Nabu-Naid) miał syna nazwiskiem Bel-sar-usur, który zupełnie odpowiada hebrajskiemu Belsacar, a Baltazarowi wulgaty. Był on dowódcą wojsk w Akadzie, nosi tytuł w napisie klinowym habalsaru, który może być tłumaczonym albo przez „syn króla“, albo też „syn-król“. Zresztą skoro Nabonid pobity został przez wojska Cyrusa i schronił się do Borsypy, Baltazar obleżony w Babilonie mógł przyjąć tytuł króla, nie uwłaczając przez to ojcu swemu. ¹⁾ Musiał on uznawać swe stanowisko za drugorzędne, skoro Danielowi nie

¹⁾ Tego zdania są assyryologowie jak: Lenormant, Maspéro, Oppert, Rawlinson. Cf. R. Cornely *Hist. et crit. introductio in U.T. lib. sac. pars II.* 469, 70.

drugie, lecz trzecie miejsce obiecuje w królestwie. ¹⁾ Co się zaś tyczy owego Daryusza Meda, dotąd wprawdzie niewiadomo kto on był (utrzymują, że mógł nim być Cyaksarses II, wuj Cyrusa), wiadomo wszakże z napisów klinowych, że sam Cyrus z początku nie panował w Babilonie. Przez pierwsze dwa lata nazywa się on „królem narodów“ dopiero trzeciego roku „królem Babilonu, królem narodów“.

Jeszcze jeden przykład z Nowego Testamentu. Św. Łukasz powiada: „w one dni wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby popisano wszystkich świat. Ten popis pierwszy stał się za starosty syryjskiego Cyryna“. Ustęp ten był przedmiotem niezliczonych naigrawań z chronologii Łukaszowej, bo ze źródeł klasycznych wiadomo, że Cyryn (właściwie Kwiryniusz) był namiestnikiem Syrii dopiero w dziesięć lat po narodzeniu Chrystusa; że on spisał ludność i majątność w Judei, ale dopiero po strąceniu z tronu Archelausza, a Łukasz jakoby cofnął tę operację o 10 lat wstecz. Dzisiaj spór ten rozwiązany i badania uczonych wykazały, że Św. Łukasz miał zupełną rację: okazało się bowiem, że Kwiryniusz był dwa razy namiestnikiem Syrii, a pierwszy raz 747 roku (ery

¹⁾ Ks. Zabor. op. cit.

rzymskiej) i wtenczas właśnie odbywał się ów pierwszy spis; wspomniany zaś przez Józefa Flawiusza a przez tegoż Kwiryniusza przeprowadzony, był drugim, tylko, że wtenczas Judea była już uważaną nie za przymierzeńca Rzymu, ale za prowincję rzymską. ¹⁾

Nic pospolitszego, jak spotkać się w piśmach „krytycznych“ z wyrażeniem „podania i legendy biblijne“; — służy ono do łagodnego zaprzeczenia cudów w Piśmie św. wzmiankowanych. Używają go zaś, by nie drażnić wierzących; fakta przyrodzone w Biblii wzmiankowane, jeśli im zaprzeczyć nie sposób, przyjmują się lubo niechętnie; natomiast wszystko nadprzyrodzone zalicza się stale do dziedziny podań i legend. Metoda to zupełnie fałszywa. Cuda w naszych Księgach świętych podawane są przez ich autorów z zupełną świadomością rzeczy, jako wypadki, na które oni sami najczęściej patrzyli, a dziwną zaprawdę byłaby metoda historycznego badania, przyjmująca za prawdziwe to tylko, co się nam wydaje w danym razie możliwem, odrzucająca zaś, co się niepodoba. Cuda Pisma św. podane są przez autorów wiarogodnych, mogących rozróżnić zjawiska i wypadki, mogących mieć o nich

¹⁾ Obszernie o tem ob. ks. Pawlickiego „O początkach Chrześcijaństwa“ str. 87—93...

najdokładniejsze wiadomości. Skoro więc Rousseau mógł mówić ze wszelką słuszością „gdyby mi batalion żołnierzy powiedział, że widział cud, powierzyłbym im“, to tembardziej każdy bezstronny człowiek, rozważywszy wszystko dobrze, nie może odrzucić świadectwa wiarogodnych świadków. Oprócz zaś powagi świadków stwierdzających istnienie cudu, są czasami i inne okoliczności, tak wyraźnie wskazujące na wdanie się pierwiastku nadprzyrodzonego, że bez niego wypadek staje się prosto niewytłómaczonym. Za przykład weźmy mannę, którą się żydzi karmili na puszczy przez lat 40. Niektórzy pisarze, jak Ehrenberg, Ebers, Berthelot wynaleźli dla tego cudu tłumaczenie naturalne. Manna Mojżeszowa podług nich niczem innem nie jest, jak tylko gumą wyływającą z tamarysków rosnących na Synai (*thamarix gallica mannifera*) wskutek zakłucia drzewa przez pewien owad. Kolor jej żółtawy, smak słodkawy; arabi zbierają ją i jedzą z chlebem. Zbierać ją można tylko w Maju i Czerwcu. Ebers uważając to tłumaczenie za zupełnie naukowe, twierdzi, że czas pokazywania się manny zbiega się z czasem koczowania żydów „w krainie tamarysków“ i że nawet dotąd arabowie gumę tamaryskową nazywają „manną“.

Ta teoria oczywiście „*a parfaitement pris dans les demicervelles*“, że użyję słów

Veullota, i oddtąd coraz częściej wśród publiczności „krytycznej“ słychać, że manna Mojżesza dotąd pada na półwyspie Synajskim.

Dla ocenienia tej naukowej zdobyczy obok powyższych danych o mannie terażniejszej postawię opowiadanie Mojżesza.

Otóż podług Pisma Św. manna ukazywała się nie przez dwa miesiące w roku, ale co dnia przez lat 40; zjawiała się ona nie „w krainie tamarysków“ t. j. oazie Firan, ale na puszczy Sin nad brzegiem morza Czerwonego; jedli zaś ją Żydzi, aż dopóki nie przyszli do granic ziemi chananejskiej. Terażniejsza manna nie posiada części azotowych (podług analizy Berthelot'a), więc nią żyć nie było sposobu i teraz używają ją arabi tylko *do* chleba, nie *zamiast* chleba; zresztą, podług obliczeń Laborde'a ¹⁾ ilość manny ze wszystkich tamarysków na całym półwyspie Synajskim wynosi rocznie 500 funtów, to jest ilość pokarmu potrzebną do przekarmienia *jednego człowieka przez sześć miesięcy*. W końcu co się tyczy dowodu etymologicznego czerpanego z podobieństwa arabskiego „mann“ do hebrajskiego „manhu“ to mi on bardzo przypomina zdanie Woltera o dowodach podobnych. Etymologia, po-

¹⁾ Commentaire geogr. sur l'Exode p. 95. cyt. Moigno.

wiada on, jest to taka nauka, w której samogłoski nie znaczą nic, a spółgłoski bardzo mało. Opierając się na takiej zasadzie, nie łatwiejszego jak dowieść, że cesarz chiński *Li* król egipski *Manes*, to jedna osoba; trzeba tylko w wyrazie *Manes* najpierwej odrzucić końcówkę *nes*, a potem... potem *Ma* zamienić na *Li*. Zdaje się rzeczą najprostszą, której tylko chyba ciężko uczony Niemiec egiptolog nie zauważył, że Arabi, tak długo przechowywujący podania, ową gumnę białą i słodkawą nazwali manną dla analogii zewnętrznej z manną biblijną, jak my pewien rodzaj dzikiej róży pokrywającej się całkowicie w czasie kwitnienia „krzakiem Mojżeszowym“ — i nic więcej. Słyszałem też od osób znających Polesie wołyńskie, że tam rośnie pewne ziółko którego nasionka zbierane bywają zrana, przed wschodem słońca i używane za pokarm; nasiona te także nazywają manną.

Mamy więc znowu jedną próbkę głębokości i siły krytyki naukowej w rzeczach z bliska lub z daleka dotykających wiary. Nie o to mi jednakże chodziło właściwie; zważywszy bowiem wszystkie dane historyczne i niezawodne, przyjść trzeba do przekonania, że bez cudownego pokarmu, jakkolwiek go zresztą nazwiemy, niema sposobu wytłómaczyć dostania się Żydów do ziemi obiecanej.

Zważmy tylko. W rok po wyjściu z Egiptu Mojżesz porachował „od 20 lat i wyżej, wszystkich mocnych w Izraelu“ mogących wychodzić na wojnę; okazało się, że było takich 603,550; dodawszy do tego pokolenie Lewi, którego nie liczono, dzieci, młodzieńców do lat 20, starców i kobiety, możemy śmiało przypuścić, że najmniej dwa miliony Żydów było na puszczy. Wychodząc z Egiptu, zapewne zaopatrzyli się oni w żywność na czas jakiś; Mojżesz nawet wyraźnie mówi, że Żydzi zabrali z sobą stada owiec i bydła, jednak już w miesiąc po wyjściu, gdy leżeli na puszczy Sin, głód im groził i „szemrało to wszystko zgromadzenie synów Izraelowych przeciw Mojżeszowi i Aaronowi na puszczy i mówili synowie Izraelscy do nich: obyśmy byli pomarli od ręki Pańskiej w ziemi egipskiej, gdyśmy się dzieli nad garncy mięsa i jedliśmy chleb w sytości; czemuście nas wywiedli na tę puszcze, abyście wszystko mnóstwo głodem pomorzyli“ ¹⁾.

Widocznie było pociągowe oszczędzono, a owce zjedzone zostały i tylko przepiórki spadłe na obóz uratowały na ten raz zgłodniałych Izraelitów. Zważmy dalej, że cały półwysep jak teraz jest, tak i dawniej był pustynią; jedyna miejscowość, gdzie trzody mogły znaleźć więcej pokarmu, a ludzie drzew

¹⁾ Exod. XVI. 2 3.

i wody, to właśnie terazniejsza oaza Firan; oprócz niej znajduje się zaledwo kilka mniejszych jak Ain-Musa, Rarandel, Wadi-Uset — zresztą wszędzie piasek i opoka; o rolnictwie zatem, ogrodnictwie, pasterstwie w rozmiarach potrzebnych dla wykarmienia dwumilionowego tłumu mowy być nawet nie mogło. Floty dowożącej żywności Żydzi nie mieli, mieszkańcy bliżsi i dalsi nietylko nie myśleli o dostawie żywności, ale ustawicznymi napadami trapiłi Izraelitów. Z rybołówstwa także żyć oni nie mogli, bo nietylko ryb, ale nawet rzeki na Synaju niema, lasów i zwierzyny niema także,— więc jak żyli i czem karmili się Żydzi przez lat 40 pobytu swego na puszczy? Faktem jest, że przez taki przeciąg czasu podróżowali po Synajskim półwyspie, faktem jest, że żadnego środka wykarmienia tych tłumów nie było, faktem jest także, że Żydzi tam z głodu nie wymarli, więc jeśli nie byli cudownie karmieni przez Boga, to czem żyli? Byłoby rzeczą nadzwyczaj ciekawą wyjaśnienie naukowe i krytyczne tego pytania. Uczeni krytycy (jak Ebers) bardzo poetycznie opisują gaje tamarysków, kształty i wonie, kolor ich gumy, jej smak i t. p., o wyjaśnieniu zaś tego pytania, przypadkiem zapewne, zapomnieli — a szkoda!

Bezporównania łatwiej niż z cudami ma się rzecz z prorocत्वami; cuda przeszły i sprawdzać je musimy za pośrednictwem wiarogod-

nych świadectw, a w rzadszych wypadkach ze skutków, jakie pozostawiły; proroctwa zaś trwają zawsze, mamy je pod ręką, i w każdej chwili sprawdzić możemy. Dlatego dość jest przekonać się, że proroctwo rzeczywiście pochodzi od tego, komu jest przepisywane, że wydanem zostało w czasie, do jakiego je odnoszą, że tyczy się wypadku, którego żadnym sposobem przewidzieć nie można było, i że ten wypadek rzeczywiście się spełnił. Wszystko to za pomocą historycznej krytyki dla każdego jest możliwem. Dla przykładu przytoczę tu jedno tylko, ale bardzo ważne proroctwo o tak zwanych 70 tygodniach lat, wyjęte z księgi Daniela. Księga ta, w nowszych zwłaszcza czasach, była przedmiotem zawziętych napaści i zarzutów. Byłoby rzeczą nadzwyczaj zajmującą dokładne przytoczenie tych trudności wraz z odpowiedziami, jakie na nie dali — nie teologowie i egzegeci—lecz uczeni świeccy, często racjonalści, a raczej, z odpowiedzią jaką na nie dała rzeczywista nauka. Z jednej strony miałby czytelnik nowy przykład płytkości i bezpodstawności krytyki antyreligijnej, z drugiej arcy ciekawy proces znikania i rozjaśniania się stopniowego zarzutów, w tak szczególny sposób, że to co było uważanem za dowód podrobienia tej księgi, stało się dowodem jej prawdziwości i autentyczności. Daniel, jej autor, żył w ostatnich dniach niepodległości

Babilonu; z podbojem perskim wszystko się zmieniło i tylko ten, kto był obecnym przy tem wszystkim, co opisuje, mógł podać tyle szczegółów, tyle „drobnych ząbków i wycięć“, które dziś dopiero po dwudziestu kilku wiekach zapomnienia z wielkim trudem współczesna erudycja odkrywa. Tak więc, używanie dwóch języków i przytem tak, że aramejski pełen hebraizmów, a hebrajski aramaizmów, zwyczaj wychowywania na dworze babilońskim młodzieńców z podbitych ludów, stawiania złotych posągów królewskich; istnienie pola Dura, palenie winowajców, nawet utrzymywanie lwów przy dworze, wszystko to sprawdziła nauka jako właściwe Danielowym właśnie czasom. Rozszerzać się nad zarzutami przeciwko księdze Daniela nie mam czasu ni zamiaru; wspomnę tylko, że najważniejszą racyą odrzucenia prorocत्व Daniela, a szczególnie o 70 tygodniach jest ta, że zbyt jest dokładną i zbyt się sprawdziła — *nie może więc być*, by przez Daniela była napisaną.

Spotykamy się tu znowu z tą samą znakomitą metodą naukową i doświadczalną, która chcąc dowieść czego, bardzo naturalnie wychodzi z założenia, że to już dowiedziono. Cuda i prorocтва nie istniały, bo być nie mogły, a być nie mogły, bo nieistniały. Logika tu, jak widzimy, nieco kuleje, natomiast oryginalności zarzutowi powyższemu odmówić nie spo-

sób. Podług niego bowiem proroctwo wten-
czas tylko mogłoby być uważanem za praw-
dziwe, gdyby było niedokładne — i nie spraw-
dziło się. ¹⁾ Oprócz tego wewnętrznego dowo-
du autentyczności księgi Danielowej mamy też
i zewnętrzne, historyczne. Tak Matatyzasz oj-
ciec Machabeuszów, umierając, wspomina o wy-
bawieniu trzech młodzieńców z pieca ognistego,
a Daniela z paszczęki lwów. ²⁾ Widocznie więc
już za Machabeuszów księga ta była w po-
wszechnem u żydów użyciu. Józef Flawiusz
opowiada, że arcykapłan Jaddus pokazał Ale-
ksandrowi W. proroctwo o nim Daniela pro-
roka. ³⁾ W innem miejscu znowu ten sam Jó-
zef, opowiadając o klęskach swego narodu, do-
daje: „wszystkie te nieszczęścia spadły na nasz
naród, jak to Daniel był przepowiedział na dłu-
go przedtem; — przepowiedział on również po-
tęgę Rzymian i klęski, które na nasz naród

¹⁾ Ciekawych szczegółów odsyłam do dzieł specjal-
nych; można je także w bardziej dostępnych ogółowi
znaleźć jak np. A. Nicolas. *Les études phil. sur le christ.*
partie III chap. IV les prophetes. *Encykl. kościel.* tom IV
Daniel. Ks. Zaborski: *Źródła historyczne wschodu* 179 —
198. Jaugéy *Diction. apolog. de la foi cathol. art. Daniel*
par Lamy. Cornely hist. et critica. Introductio in U. T.
libros sacros o II. p. 466—513.

²⁾ Mach. II. 29.

³⁾ Antiq. XI. 8. 5.

sprowadzić mieli. Wszystkie pisma, jakie nam Daniel zostawił, dotąd są czytane w zgromadzeniach naszych¹⁾. Synagoga zawsze proctwa Daniela do ksiąg świętych swoich zaliczała i o ich autentyczności żadnej nie było nigdy wątpliwości; to też przetłómaczyli ją wraz z innymi księgami świętymi 70 tłumaczy na dworze Ptolomeusza Filadelfa w Alexandryi w III wieku przed Chrystusem. Za czasów Chrystusa Pana była ta księga powszechnie znaną i za świętą uważaną: przytoczył ją też Zbawiciel, mówiąc o przyszłym zburzeniu Jeruzolimy²⁾. Tak samo mniej lub więcej wyraźnie cytowali ją Apostołowie³⁾. To też kiedy Porfiryusz w II w. po Chrystusie pierwszy zarzucił nieautentyczność prorocctwom Daniela, Żydzi sami przeciwko niemu powstali jak opowiada św. Hieronim⁴⁾.

Sądzę, że dość tych świadectw; przytaczam więc tekst prorocctwa; brzmi on jak następuje.

„21. Gdym jeszcze mówił w modlitwie, oto mąż Gabryel, któregom widział w widzeniu z początku, prędko lecący dotknął się mnie

¹⁾ Ibid. X. cap. XII.

²⁾ Mat. XXIV. 15.

³⁾ Ob. Encykl. koś. t. 4 str. 36.

Praef. in Daniele.

czasu ofiary wieczornej, 22 — i nauczył mnie, a mówił ze mną i rzekł: Danielu terazem wyszedł, abych cię nauczył, a żebyś zrozumiał. 23. Od początku modlitw twoich wyszła mowa, a jam przyszedł oznajmić tobie, boś mąż pożądania jest, ty tedy obacz mowę, a zrozumiej widzenie. 24. Siedmdziesiąt tygodni ukroczone są na lud twój i na miasto święte twoje, aby się dokonało przestępstwo, a grzech aby wziął koniec, a żeby nieprawość była zgładzona, a przywiedziona sprawiedliwość wieczna i aby się spełniło widzenie i proroctwo, a był pomazany Święty świętych. 25. A tak wiedz a obacz: od wyjścia mowy, aby zaś było zbudowane Jeruzalem, aż do Chrystusa wodza tygodniów siedm i tygodniów sześćdziesiąt i dwa będą; a znowu będzie zbudowana ulica i mury w ciasności czasów. 26. A po tygodniów sześćdziesiąt i dwa będzie zabit Chrystus, a nie będzie ludem jego, który się go zaprzy. A miasto i świątynią skazi lud z wodzem, który przyjdzie; a koniec jego spustoszenie, a po skończeniu wojny postanowione spustoszenie. 27. A zmocni przymierze z mnogimi tydzień jeden, a w pół tygodnia ustanie ofiara i ofiarowanie i będzie w kościele obrzydłość spustoszenia i aż do skończenia i końca będzie trwać spustoszenie.“ ¹⁾ Siedmdziesiąt tygodni lat, to

¹⁾ Daniel IX. 21 — 27. Tekst hebrajski różni się w niektórych wyrazach, a szczególnie w zakończeniu o-

jest 490, ¹⁾ jak sam prorok powiada, rachować potrzeba od pozwolenia na odbudowanie murów Jeruzalem. Udzielonem ono było przez Artaxerxesa Długorękiego w 20 roku jego panowania. ²⁾ Jeżeli zatem możemy mieć pewną datę wstąpienia Artaxerxesa na tron, będziemy mieli stały punkt, od którego liczyć należy tygodnie Danielowe. Rzeczą jest pewną, że r. 4240 okresu Juliańskiego jeszcze panował Xerxes, a w r. 4243, gdy Temistokles z Aten schronił się do Persyi, na tron Perski świeżo wstąpił Artaxerxes. Pierwszy rok panowania jego przypadłby około 4241 r. okresu Juliańskiego, (473 przed Chrystusem) w 20 lat potem (4260 okr. jul. 454 przed Chr.) wyszedł edykt pozwalający odbudować miasto, rok więc ten będzie początkiem tygodni Danielowych. A że Żydzi rok cywilny rozpoczynają od miesiąca Tiszri (Wrześ. — Paźdz.) więc podług żydowskiego kalendarza dwudziesty rok Artaxerxesa zaczął się po jesieni 4259

statniego wiersza od przytoczonego tu tłumaczenia wulgaty. Obszerniej o tem: Lamy w *Diction. apol. Daniel.*

¹⁾ Że mowa tu o tygodniach lat nie zaś dni, widoczne to z samego tekstu, gdyż nagromadzenie tylu wypadków na 16 miesięcy jest oczywistą niemożebnością i z tego, że gdy mowa o dnach Daniel, dodaje dni: „płakalem przez dni trzech tygodniów.“ X. 2.

²⁾ II. Esdr. II. 1 — 20.

r. okr. Jul. (453 przed Chr.). ¹⁾ Pierwsze siedm tygodni t. j. 49 lat przeznaczone są na odbudowanie Jerozolimy „w ciasności czasów“ co się rzeczywiście sprawdziło, z powodu napaści Samarytanów, Arabów i Ammonitów ²⁾. Następują 62 tygodni, po których „będzie zabity Chrystus“, takim sposobem śmierć Jego wypada w ogólnym rachunku po 69 ym, a w ciągu 70-go tygodnia t. j. między 30 a 37 rokiem ery chrześcijańskiej, jak się rzeczywiście stało. Szczególną uwagę prorok zwraca na ten tydzień ostatni: „a zmoćni przymierze z mnogimi tydzień jeden“ i rzeczywiście po 30 roku swego życia, a w ostatnim tygodniu Danielowym Chrystus Pan rozpoczął swe przepowiadanie, które rozpoczęło erę nowego przymierza: „a w pół tygodnia ustanie ofiara i ofiarowanie i będzie w kościele obrzydłość spustoszenia i t. d.“ — I w samej rzeczy od połowy ostatniego tygodnia t. j. od 34 roku Jezusa Chrystusa, ofiara Jego położyła koniec ofiarom Mojżeszowem i rozpoczął się dla żydów szereg klęsk, który się zakończył, jak wiadomo, przyjściem ludu obcego z wodzem „który skaził miasto i kościół“, a natomiast zostawił „spustoszenie i obrzydłość spustoszenia“. Nie chce się oczom

¹⁾ Encykl. kościel. loc. cit.

²⁾ II. Esdr. IV — VII.

własnym wierzyć, powiada Nicolas, gdy się czyta to proroctwo, które możnaby wziąć, raczej za kronikę spisana *post factum*; czuje się człowiek porwany tem uczuciem, które Nabuchodonozora rzuciło do nóg Daniela i wydobyło z niego okrzyk: „Prawdziwie Bóg wasz jest Bogiem bogów i panem królów i odkrywaczem tajemnic, ponieważś ty mógł otworzyć tę tajemnicę.“¹⁾ „Naprawdę szukać, daremnie wymijać ten oczywisty dowód naszej świętej religii; nie można w nim nic znaleźć do zarzucenia. Trzeba się poddać albo odejść przekonanym, że się chciało być przekonanym“²⁾.

Przyrównałem cuda i proroctwa do podpisu i pieczęci stwierdzających autentyczność dokumentu; wiadomo jednak każdemu, kto się trochę historyczną krytyką zajmował, że jest jeszcze inny jej dowód, równie stanowczy, a konieczniejszy może od pierwszego; jest nim prawda wewnętrzna. Jeśli dokument, dajmy na to, mający pochodzić z V wieku po Chrystusie, prawi o rzeczach z wieku VII, jeśli, mając pochodzić z Hiszpanii, zdradza nieznamość miejscowości, obyczajów i wypadków hiszpańskich, z pewnością można go mieć za

¹⁾ Dan. II. 47.

²⁾ Op. cit.

odrobiony, bo fałsz jest we środku. Taki fałsz, taką sprzeczność wewnętrzną żywiły wszelkie filozofie fałszywe, wszelkie religie przez ludzi utworzone, wszelkie herezye; takich sprzeczności pełno w teraźniejszych teoriach filozoficzno naukowych, mających zastąpić chrześcijaństwo. Spotykamy je na każdym kroku. Materyalista np. twierdzi (Moleschott), że człowiek nie ma duszy, bo jej nigdzie w tyglu chemicznym nie widzi, pomimo tego pewnym jest, że ma rozum (i to nie popolyt) chociaż go także żadnym odczynnikiem wyszukać nie sposób.

Determinista broni zbrodniarzy, każe ich leczyć, nie karać, bo człowiek podług niego jest maszyną bez woli, skazaną z konieczności na popełnianie pewnych czynów; gdy mu jednak ta bezwolna maszyna ludzka w osobie jakiego piniacza zagarnie połowę majątku, wytacza jej proces, choć nie wytacza go koła, które mu parę palców oderwało.

W nauce Chrystysowej żadnych sprzeczności niema; wszystko tam jest z sobą w zgodzie, jedno z drugiego wypływa, wszystko spójne z sobą „klamrami z żelaza“ jak się gdzieś wyraził Littrè, a ta zgoda i prawda wewnętrzna jest nowym dowodem boskości Objawienia chrześcijańskiego. *Omnia homo mendax* (każdy człowiek omylny) — powiedział psalmista, i prawdę powiedział; każdy czło-

wiek bez wyjątku skoro z siebie zaczął snuć religię, niechybnie skłamał, to jest pomylił się, i nic dziwnego, bo Bóg tylko może prawdę o sobie powiedzieć. On tylko jeden może drogę do siebie prowadzącą ukazać, bez pomyłki żadnej i sprzeczności wewnętrznej. Dowód ten staje się tem więcej przekonywającym, im bardziej zagłębiamy się w treść wiary chrześcijańskiej, im lepiej zdołamy objąć jej całość. To też Duilhè de St. Projet, powiada słusznie, że często najskuteczniejszą apologią wiary jest jej proste i jasne przedstawienie; dla tego też dzieło Bossuet'a: *Exposition de la doctrine chretienne*, jakkolwiek krótkie, więcej samo jedno ludzi przekonało, niż mnóstwo współczesnych dzieł polemicznych *in folio*.

Trzecim dowodem Boskiego początku chrześcijańskiego Objawienia jest jego moralność. Człowiek, jako istota ograniczona i niedoskonała, nic bezwzględnie doskonałego utworzyć nie może, tembardziej systematu moralności. Tembardziej powiadam, bo wiadomo każdemu z własnego doświadczenia, jak ułomności i namiętności stają na przeszkodzie w zrozumieniu i wypełnieniu przykazań nawet już podanych i obowiązujących. Trudno tworzyć doskonały obraz, mając oczy chore, jeszcze bardziej niepodobna stworzyć doskonałej moralności, kiedy serce zepsute i wola oporna. „To też badajcie jeden po drugim te tysiące systematów

wybierajcie najlepsze i znajdźcie choćby jeden tylko, któryby dla otrzymania jakiegoś dobra często urojonego, nie uświęcał zła bardzo rzeczywistego, nie wzbudzał go owszem tam, gdzie go pierwaj nie było. Znajdźcie choć jeden, którego pożytek nie byłby ograniczony do pewnego czasu, miejsca, osób, i który po za temi okolicznościami nie byłby złem, często gorszem od tego, któremu miał radzić! Ludzie nie mogą całkowicie wyrzucić zła z dzieł swoich, bo źródło jego noszą w samych sobie. Jeśli więc znajdziemy system moralny bezwzględnie doskonały, który czyniąc zadość wszystkim potrzebom moralnym rodzaju ludzkiego, naprawia wszystkie jego grzechy, nie wchodząc z żadnym w układy i ustępstwa, i który byłby jednakowo dobrym dla wszystkich czasów, miejsc i ludzi, dla wszystkich światów istniejących lub możliwych tylko, tak że w Niebie, a nawet na łonie Bóstwa nie zgastyby blask jego, gdy jest doskonałym, jak doskonałość sama, i absolutnym jak prawda, wtenczas wyjdziemy ze sfery wymysłów ludzkich i bez żadnej wątpliwości znajdziemy dzieło Boże. Taką jest Ewangelia“ ¹⁾.

Tu także jak w poprzedzającym dowodzie, im dłużej i głębiej badać będziemy, tem pra-

¹⁾ Nicolas. *Les etudes phil. 2-me partie. III. chap.*

wda jaśniej i wyraziściej nam się przedstawi; przechodzić będziemy z przepaści do przepaści, światło i pewność wzrastać będzie, jak powstająca jutrzienka, aż się zamieni w pełnię blasku słonecznego południa. Badać jednak i zastanawiać się głęboko nie każdy może i nie każdy potrafi, niemniej jednak każdy w pewnej mierze zdoła, jeśli zechce, poznać boskość moralności ewangelicznej, bo ma we własnej duszy probierz niezawodny dla rozróżnienia złego od dobrego. Jak rozum, choć bardzo niedołężny, może jednak w rzeczach ważniejszych rozróżnić prawdę od fałszu, tak też prawo przyrodzone, „wypisane, jak mówi św. Paweł, na tablicach serca ludzkiego“, daje każdemu możliwość, przy pracy i zastanowieniu, poznania gdzie jest dobro moralne a zatem i prawda, a gdzie zło i fałsz. Czy jednak dobrze mówię: każdemu?

Opowiadają, że ludzie dzicy: Butykidesy, Zulusy, tak zagłuszyli w sobie prawo przyrodzone, że sprawiedliwym dla nich jest, jeśli wezmą krowę sąsiada, niesprawiedliwym, jeśli sąsiad ich bydłę zabierze; a wśród naszego cywilizowanego świata jest bardzo wielu takich, którzy jeszcze dalej w tym kierunku zaszli i wściekłość ich ogarnia na widok ludzi żyjących po chrześcijańsku; cnota ich razi, jak promień słoneczny razi chore oko. — Czy więc do ludzi stojących na dwóch krańcach

cywilizacyi, a raczej przed nią i za nią, może trafić tego rodzaju argument? Z Zulusami misyonarze dają sobie, przy pomocy Boskiej, radę — chociaż powoli i z wielkim trudem; z Zulusami naszej cywilizacyi daleko trudniej, boć wiadomo, że na dziczce można dobry owoc zaszczepić, ale jeżeli drzewo rak toczy, to już trudna rada, a może zgoła żadnej niema.

Tu uważam za potrzebne umieścić uwagę, mającą ścisły związek z tem, co się wyżej powiedziało. Nieprzyjaciele wiary chrześcijańskiej ochrypli od ustawicznego wołania, że chrześcijaństwo nie zgadza się z naturą; upatrywali i starali się wykazywać jak w tem i o-wem nauka Chrystusa obraża naturę, którą oni sami jakoby daleko lepiej od Niego pojęli. Wprawdzie jak wiadomo, mądrość ich zawsze niedługo świeciła światu; — przeminęli, a po nich nastąpili rozumniejsi wrzekomo od nich, by z kolei także okazać się głupimi w oczach swych następców, ale pozostały po nich w powietrzu, jakby miazmaty niezdrowe, rodzące zwątpienie... nawet w umysłach wierzących lecz nieoświeconych.

Niezgoda między Objawieniem a naturą ludzką jest zmorą, dręczącą niejedną prawą lecz niedaleko widzącą duszę. Przyznać potrzeba, że niewierzący bardzo rozumnie brali się do swej niszczącej roboty. Gdyby się im udało dowodnie wykazać niezgodę między

Objawieniem i naturą, wykopaliby między nimi przepaść, nad którą mostu niktby nie zbudował, bo rzeczą jest oczywistą i dowodzenia nie potrzebującą, że jeżeli Objawienie pochodzi doprawdy od Boga, nie może być w niezgodzie z naturą, która jest dziełem Bożem, jak to wiara sama uznaje. Rozumiemy więc doskonale ich mozolną pracę w powyższym kierunku i obawy ludzi słabej wiary.

W rzeczywistości jest zupełnie inaczej, niż oni opowiadają: bo właśnie znamiennej cechą Objawienia Chrystusowego i tylko tego jednego Objawienia, jest nietylko zupełna zgoda z naturą, ale nawet opieranie się na niej, gdy przeciwnie wszystko, co się tej prawdziwej wierze sprzeciwia, zawsze sprzeniewierza się też, w mniejszej lub większej mierze, naturze rzeczy. Widzieliśmy już, choć w pobieżnym zarysie, jak nauka wiary ma za punkt wyjścia naukę ludzką, przyrodzoną, jak zupełnie z nią się zgadza i na niej opiera. Tymczasem przeciwnicy wiary, dlatego żeby ją obalić muszą uciekać się, zaraz na samym wstępie, do systematów i sposobów nabywania pojęć i pewności kardynalnie naturze ludzkiego rozumu przeciwnych. Więc transcendentaliści zaprzeczają istnienia przedmiotów rzeczywistych po za naszą jaźnią, co jest równie przeciwnem prawdzie i rzeczywistości, jak twierdzenie materialistów, że nie

można mieć pewności o niczem, czego człowiek zmysłami nie osiągnie ¹⁾.

W końcu rozdziału II-go przytoczyłem jeden tylko przykład stosunku nauk przyrodniczych do wiary, ale i z niego tylko jednego dostatecznie poznać mogliśmy, jak przyrodnicy materyaliści gwałcić muszą na każdym kroku naturę rozumu ludzkiego i naturę faktów, by dowieść niezgody wiary i nauki ścistej. W rzeczywistości, oni to pod tym względem zostają z nią w rozterce, bo każda prawda przyrodnicza napewno zdobyta, zawsze przechodziła do obozu wiary chrześcijańskiej.

Filozofia panteistyczna kazała człowiekowi po śmierci rozplywać się w jakiejś nieokreślonej nirwanie, materyaliści jeszcze brutalniej z naturą ludzką się obchodzą. Dają oni w tem życiu, dla garstki szczęśliwych, użycie materyalnych rozkoszy, dla ogółu słabych i ubogich *Faust vor Recht*, a po życiu mąk pełnem, słodką perspektywę, że się będzie służyło za nawóz dla przyszłych pokoleń, ²⁾ równie

¹⁾ Jak się to naturze rzeczy sprzeciwia, wykazałem w rozdz. II.

²⁾ Najlepszą i najpożyteczniejszą rzeczą, jaką u mierający człowiek po sobie zostawić może, powiada Ludwik Büchner, jest większa ilość fosforanu, wapna i soli rzadkich a żywnych, zdolnych do spowodowania obfitszego połączenia drobin, a przez to powiększenia dobrobytu rodzaju ludzkiego.

szczęśliwych i równie mądrych pod względem pytania na co są oni i po co cały ten świat potrzebny. To też natura ludzka nie zbydłconą jeszcze używaniem i nie oglupioną do reszty tą bezmyślną filozofią, protestuje gwałtownie przeciwko idei ślepego okrucieństwa niewiary, a garnie się, jak kwiat ku słońcu, ku tej wierze Chrystusowej, która sama tylko tłumaczy na co świat stworzony, dlaczego człowiek cierpi, która sama tylko zapewnia, tak zgodnie z naturą ludzką, że człowiek otrzyma sprawiedliwość i miłość nawet, tylko na nią zasłużyć i zapracować powinien.

Jakież znowu obfite pole do wykazania zgodności wiary z naturą na polu stosunków społecznych i ekonomicznych! Chrześcijaństwo np. zawsze własność uczciwie nabytą uważał za rzecz świętą i ustawicznie powtarzał: nie kradnij, nie pożądaj rzeczy bliźniego twego. Wiemy że były całe roje systematów, które chciały inaczej własność urządzić i znieść siódme przykazanie dekalogu. Własność miała być zupełnie wspólną, to znowu częściowo tylko, to miało wszystko do państwa należeć i t. p. Wszystkie te jednak systematy w praktyce sprawdziły ostatecznie, że są przeciwne naturze rzeczy. Ludzie dotąd z Proudhonem wołają „własność, to kradzież“ dopóki sami *per fas et nefas* właścicielami się nie staną; wtenczas zamieniają się na najzarliwszych zwo-

lenników przykazania „nie kradnij“ przynajmniej o ile ono ma obowiązywać bliźniego względem nich. Ileż to znowu ludzie nagadali się i napisali o moralności chrześcijańskiej, uznając jej przepisy za niemądre, przestarzałe, a wynosząc mądrość używania, zdrowej zmysłowości, życia podług natury. Historia wykazała nam dowodnie, jak się ta zgoda mniemana smutnie kończyła zawsze, nietylko pod względem moralnym, naukowym, ekonomicznym, ale nawet fizyologicznym.

Najpiękniejszy i najbardziej możeze wszystkich narodów obdarzony—naród grecki, zmarniał nie dla czego innego, tylko dla tego, że szedł zbyt ochoczo i ściśle za tem prawem natury, jakie współcześni poganie chcieliby wznowić wśród nas. W naszych zaś czasach statystyka aż nadto przekonywająco, z właściwym sobie nieubłaganym spokojem, wskazuje, jak lud europejski najlepiej greków naśladowały, najbliższy też jest ich losu. Wiadomo, że słaby przyrost ludności, jaki jeszcze ma Francya, winna ludności wiejskiej tych departamentów, w których jeszcze bezwyznaniowa moralność nie przemogła. Zresztą i pod innymi względami Francya (a nie ona sama tylko) daje światu lekcję, gdzie jest rzeczywista zgoda z naturą; w moralności Chrystusowej — czy bezwyznaniowej. Niestety, doświadczenie upoważnia do przypuszczenia, że te smutne nauki

będą zupełnie zapomniane i nikt z nich nie skorzysta.

Albo też znowu inny przykład, na który zresztą bardzo często apologetci chrześcijańscy zwracają uwagę. Człowiekowi wrodzonym jest egoizm, pojmowany nie tylko w znaczeniu krzywdzenia drugich dla własnego pożytku czy przyjemności, ale w szerszym zakresie, jako dążność do uważania siebie, za środek i koniec całego stworzenia. Przekonanie takie logicznie rozwinięte, wyrodziło prawie wszystkie potworności poganizmu od stosunku jednostki do swego otoczenia, aż do urzędzeń społecznych.

Pojęcie to najwidoczniej jest fałszywem: stosowane w praktyce, ziemię pokryło ruinami i zalało krwią i łzami, a jednak... jednak tak jest silne, że i wśród chrześcijan, idących za hasłem wprost przeciwnem, znajduje więcej zwolenników, niż się im samym wydaje. Chrześcijańska zasada jest zupełną antytezą egoizmu. Kto się zaprze samego siebie, kto straci duszę swoją, ten tylko ją znajdzie. Na pozór zupełny paradoks, w rzeczywistości najszczytniejsza prawda. Znaleść duszę swoją t. j. zostać szczęśliwym, zbawionym ten tylko może, kto posiada prawdę i idzie za nią; na to każdy się zgodzi. Otóż dlatego by osiąść prawdę, trzeba wyrzec się fałszu, a tym jest egoizm, pozwalający człowiekowi uważać siebie

za cel dla samego siebie, a nawet za źródło prawa, prawdy, obowiązku dla innych ludzi i dla całego świata. Prawdą w tym względzie będzie uznanie, że się jest maluczkiem pyłkiem we wszechświecie, istotą przypadkową, zależną, mającą cel swój nie w sobie, lecz po za sobą. Takie przekonanie, będzie zaparciem się swego środkowego stanowiska, będzie straceniem niejako swej duszy, straceniem jej z godności bóstwa, do roli mikroskopowej istoty; ale że jest prawdą, więc też będzie dla duszy znalezieniem siebie, szczęściem i zbawieniem.

Gdy rolnik dostatni uzna swe skromne stanowisko w państwie, odpowiednio żyje i postępuje, będzie spokojny, zadowolony, szczęśliwy i szanowany: gdyby mu się zachciało być panującym, skończyłby w domu waryatów albo na rusztowaniu. Historia przytacza podobne przykłady. Zdaje się to być rzeczą całkiem prostą, niby jaje Kolumba, a jednak po za chrześcijaństwem ani jedna religia tej prawdy odkryć nie mogła, a nawet teraz dość żeby kto na krok jeden od wiary się Chrystusowej oddalił, by fatalnie stanął na pogańsko egoistycznym stanowisku. Chrześcijaństwo tylko sam jeden wyznacza człowiekowi zgodne z naturą wszech rzeczy stanowisko na świecie, bo on też tylko

jeden pochodzi od tego Autora co cała natura.

Taką samą zgodę wiary naszej z naturą można wykazać we wszystkich objawach życia ludzkiego; wspomnę tu jeszcze o jednym tylko, na pozór najmniej z wiarą mającym związku, o sztuce. Wiadomo, jaki teraz w niej przeważa kierunek. Artyści wzięli sobie za hasło, rzeczy bardzo zresztą prawdziwe i godne uznania: „natura i prawda“, tylko pojęli je w duchu współczesnym, niechrześcijańskim. Odrodzony poganizm dni naszych równie jak jego zgasły przed XIX wiekami rodzic, widzi w człowieku tylko naturę zmysłową, zwierzęcą; wiadomo, że materyaliści zeszli nawet jeszcze niżej, bo uważają człowieka za automat materyalny, bez woli duszy, i mający tylko materyalne wrażenia i potrzeby. Artyści poszli w tym właśnie kierunku i swoje prawdę artystyczną ograniczyli do natury zewnętrznej, zmysłowej i materyalnej. Treść, myśl, prawda wewnętrzna jest rzeczą obojętną, zbyteczną nawet; — byle faktura była dobrą, to każdy przedmiot może być arcydziełem. Więc też wystawy obrazów przepelnione rozmaitemi „kawałkami“ natury. Tu chłopiec z trudem dźwiga kociółek ze wrzątkiem, tam drugi butem rozdmuchuje samowar, owdzie jakiś podpiły jegomość strzela do młodzieńca, który mu żonę do hotelu zabrał, gdzieindziej pasą się

bardzo realistycznie odtworzone gęsi, świnki i koniki, biją się pijane chłopcy w karczynie, stare i brzydkie widzmy kłóca się przy straganach i t. d. Wszystko to świeci kolorytem, umiejętnie rysowane (co prawda, nie zawsze) i oświetlone, ale kto w dziele sztuki szuka nie tylko świetnej imitacji natury, lecz odbicia duszy ludzkiej, iskry Prometeuszowej, twórczości, ten przechodzi wśród tego malowanego *bric á brac* z uczuciem wielkiego złudzenia, niesmaku a nawet smutku pewnego.

Co mnie ostatecznie obchodzić może ów chłopiec z butem i kociołkiem? Podobny zupełnie do natury, ale po co go było malować, kiedy w rzeczywistości nikt na żywego nie patrzy? Gęsi i cielęta rzeczywiście jak żywe, — żywe jednak lepsze. Skandal w hotelu realistycznie malowany, ale żywym takim wypadkiem chyba uliczny gawron żywo się zainteresuje; uczciwy człowiek oczy odwróci. A powiedzą krytycy, rzecz ważna w tem, że refleksy na rękę i gorsie kobiety zbyt zimne, a strzelający jegomość wygląda jakby z za mgły i t. d. Co to kogo może obchodzić? Malarz wprawdzie „popisał się“, zdał świetnie egzamin — cześć mu za to i honor — i to rzecz naturalna, że kto chce być artystą, powinien pierwej zawładnąć formą, ale gdzie treść, gdzie dusza tej formy? Kwestye techniczne obchodzą specjalistów, ale ogół osta-

tecnie chodzi znudzony wśród waszych tworów, bo taką jest natura ludzka, że lubi patrzeć na rzeczy „dobrze malowane“ ale też domaga się, żeby nie same oczy miały uciechę lecz cały człowiek. Natura ludzka całkowita, kocha się nie w samych efektach kolorów i światła, ale także w myśli, uczuciu, poezji.

Nowocześni artyści poszli za nowoczesnymi prądami, pamiętają tylko o zmysłowej stronie człowieka i dlatego są w rozterce z naturą ludzką, jak jest z nią bezwyznaniowa nauka, sztuka i moralność, i dlatego dzieła ich nudzą i dlatego przewidzieć nie trudno do czego dojdą — może niezadługo. Idąc w tym kierunku, coraz dokładniejszy rozbrat wezmą z tem co w sztuce jest ludzkim, coraz bardziej ubiegać się będą za oddziaływaniem na zmysły. Z czasem malarstwo dojdzie do tego, że za jedyny swój cel i zdanie uważać będzie dobieranie „plam barwnych„ przyjemnie na oko działających ¹⁾. Już i teraz nieraz się z podobnymi dążnościami spotkać można. Od plam barwnych kto wie, jak daleko do sceny, którą Kremer opisał w jednym ze swych „Listów“. Ktoś wstąpił do pracowni malarza w Kantonie

¹⁾ Rozumiem doskonale co znaczą w malarstwie plamy barwne i nie przeciwko nim powstają, lecz przeciwko obrazom oprócz nich, nic więcej nie mającym.

i kupuje obraz. Kolory, — raczej farby, wyborne, drzewo czy płótno także dobre, lakier bez zarzutu, więc się kupiec droży, ale powiada autor, gdy się lepiej potargujesz dostaniesz piękne ramy w dodatku; jeżeli zaś kupujesz ramy, a umiesz się targować, to ci obraz dodadzą.

Duilhé de Saint Projet utrzymuje, że zwąwszy na ogromny rozwój nauk przyrodniczych i ich wielkie w życiu umysłowym znaczenie, należałoby do tak zwanych *loci theologici* t. j. dowodów prawdziwości Objawienia dodać nowy,, oparty na zgodzie jego z naukami przyrodniczymi. Nie mam najmniejszej pretensyi do poprawiania znakomitego apologety, odważyłbym się jednak powiedzieć, że twierdzenie jego wydaje mi się niezupełnem. Jeżeli zgodę wiary z naturą mamy uważać za jeden z dowodów Boskiego pochodzenia pierwszej, to dlaczegoż poprzestawać tylko na tej części natury, która jest przedmiotem nauk przyrodniczych? Podług mego skromnego zdania należałoby tu wziąć naturę rzeczy w najobszerniejszem tego wyrazu znaczeniu. Nauki przyrodnicze służyłyby w takim razie za punkt wyjścia, potem należałoby wykazać zgodę zupełną wiary chrześcijańskiej z prawami i naturą rozumu, zgodę moralności z naturą ludzką; wykazać, że sztuki, nauki, stosunki ekonomiczne, społeczne, polityczne, handlowe, ba, nawet

filozoficzne i higieniczne wtenczas tylko normalnie i dobrze się rozwijają, gdy się zgadzają, każde w swym zakresie, z zasadami chrześcijańskimi t. j. że ich rzeczywista natura jest w zgodzie z Objawieniem Chrystusowem. Ponieważ historya i doświadczenie dostarczyły nam już pod tymi względami niezmiernie obfitego materiału, więc każdy dział mógłby być w bardzo zajmujący sposób ilustrowany przykładami czerpanymi z doświadczenia, jak wszystkie objawy działalności ludzkiej, skoro tylko uchylały się od zasad zawartych w nauce Chrystusowej, zostawały w rozterce z własną swą naturą, schodziły na rozdroża i marniały, ub szkodziły nawet.

Zdarzało mi się spotkać tu i owdzie pewne w tym kierunku, bardzo nawet ciekawe i słuszne uwagi, czasami nawet pewne działy szczegółowo opracowane (jak np. Apologia naukowa ks. Duilhé), nigdzie jednak nie znalazłem pojedynczych promieni zebranych w jedno ognisko. Zdaje mi się wszakże, że byłaby to wspaniała Apologia prawdy chrześcijańskiej, gdyby jeden, lub kilku ludzi uczonych podjęło się pracy połączenia w jedną syntezę tych analitycznych wywodów. Nie wiem czy ludzie kompetentni zamieściliby ten dowód w Teologii ogólnej, ale może nie mylę się twierdząc, że praca taka mogłaby być światłem zbawieniem dla tej małej liczby ludzi, którzy mają od-

wagę i dość dobrej woli, by wziąć się do pracy i przejrzeć dowody wiary, zamiast krzyczeć o nieomylnym rozumie i rozprawiać o najnowszych wynikach krytyki naukowej.

Jest pewna szkoła historyków, która prowadząc dalej teorię ewolucyi, zastosowała ją do historyi. Podług nich człowiek w nieustannym a koniecznym rozwoju wysnuł z siebie religię i moralność. Od ateizmu postępując przez religię, rozmaicie przez różnych autorów wskazywane, ludzie doszli jakoby do monoteizmu, a potem do chrześcijaństwa, który z kolei musi ustąpić miejsca jakiejś innej doskonalszej religii.

Cała ta teoria jest wierutną bajką, bo historia nam przedstawia wręcz przeciwny widok. Na początku ludzkości widnieje monoteizm i moralność w głównych rysach też sama co w chrześcijaństwie; potem wiara w jednego Boga traci się, moralność się psuje, a ludzkość staje się coraz niżej do poganizmu, którego cechą znamioną jest naturalizm i uważanie ziemi za cel ostateczny człowieka i oczywiście odpowiedzialność t. j. zupełne rozpisanie obyczajów i skrzywienie moralności. Proces ten zawsze i wszędzie się powtarza; skoro człowiek oderwie się od Objawienia Bożego, skoro przestanie dążyć do końca nadprzyrodzonego, nie tylko nie utrzyma się nigdy na stanowisku przyrodzonym, czysto ludzkim,

lecz natychmiast zaczyna się staczać na dół do błota i — bydlęcia. Przykład tego mamy wszyscy przed oczyma. Przez Odrodzenie, protestantyzm, rewolucję 93 roku, mnóstwo ludzi zerwało z Kościołem; tracili oni coraz bardziej literę i ducha chrześcijańskiego i teraz doszli do tego błota, w którym leżał i leży dotąd poganizm. Też same mają pojęcia, też samą moralność, te same nawet zbierają owoce w życiu rodzinnem i społecznem, tylko bezgraniczna nieznajomość historii pozwala im mniemać, że postępują, gdy w rzeczywistości cofają się wstecz o 20 wieków. Dość znać współczesne hasła i wypadki i porównać je z tem co było przed Chrystusem, co dziś jeszcze jest w Chinach, Indyach, Afryce, by się przekonać, że ich postęp wart tyleż, co cofanie się wstecz. Raki tak samo „postępują“. Jedna tylko wiara Chrystusowa i ludzie za nią idący stanowią wyjątek i ten właśnie wyjątek jest nowym dowodem Boskiego jej pochodzenia.

Faktem jest oczywistym i łatwo mogącym się dowieść, że ona tylko jedna—wiara Chrystusowa — zatrzymuje człowieka w tem spadaniu do błota i bydlęcia, ona jedna tylko nacza mu cel w życiu przyszłym i zdoła go nakłonić do dążenia w tym kierunku, wbrew ogólnemu prądowi rzeczy. Tego złamania i zawieszenia naturalnego prawa upadłej ludzkości,

zaprawdę naturalnemi przyczynami wytlómaczyć nie sposób. Chrześcijanizm miałby powstać wskutek naturalnego umysłowego rozwoju ludzkości! Ależ zajrzyjcie tylko do historii a zobaczycie, że od samej jego kolebki, aż do naszych czasów, rozum ludzki zwał

zwie go głupstwem, przekonanie o nieracjonalności chrześcijanizmu było zaraz po narodzeniu się jego tak powszechnem, że Św.) Paweł użył dla określenia opowiadanej przez się nauki nazwy „głupstwa Krzyża — *stultitia Crucis*“, ¹⁾ tak Ewangelia przeciwna jest temu, co ludzie wymyślić mogą i co wymyślili w zakresie dogmatu i moralności. To też kiedy patrzymy na cudowne rozszerzenie się tej religii, na niemniej nadludzkie jej trwanie, na niezliczone wypadki, w których po ludzku sądząc, powinna zginąć, a wyszła mocniejsza i piękniejsza niż przedtem, nie sposób powiedzieć co innego, jeno te słowa Psalmisty: „od Pana to się stało, a jest dziwne w oczach naszych“ ²⁾.

Razu jednego Chrystus Pan mówiąc o fałszywych nauczycielach i prorokach powiedział: „z owoców ich poznacie je... nie może drzewo dobre owoców złych rodzić, ani złe owoców dobrych rodzić“ ³⁾.

¹⁾ Cor. 1. 18. 23.

²⁾ Ps. CXVII. 23.

³⁾ Mat VII. 16. 18.

Nie znam lepszej i bardziej naukowej metody sprawdzania prawdziwości jakiejś teorii jak ta właśnie, a jest ona w dodatku zupełnie odpowiednią duchowi naszych czasów, które nie jakoby nie przyjmują jeno to, co sprawdziło doświadczenie, co wytrzymało próbę ogniovą życia i okazało się dobrem, dobre przyniosło owoce. Oczywiście tego dowodu leży na dłoni, więc też wszystkie teorie chciały go dla siebie zdobyć i zdobywały *per fas et nefas*.

Długoby trzeba pisać, żeby wyliczyć i wykazać te kręte ścieżki po jakich się w tym celu chodziło, te sofizmaty do jakich się uciekało, ale chcę i muszę być zwięzłym, więc powiem tylko, że dla ocenienia dobroci zasady trzeba patrzeć nie na tych, którzy się do niej przyznają, ale na tych, którzy ją pełnią. Nie raz zdarza się czytać i słyszeć: co wart wasz katolicyzm? patrzcie jak ten lub ów katolik choć się modli i do kościoła chodzi, jednak oszukuje, trudni się lichwą, żyje w nierządzie, gdy przeciwnie ten lub ów Żyd, poganin, mahometanin postępuje uczciwie. Zarzut to niesłuchanie płytki i dlatego właśnie tak powszechny. Faktem jest niestety niezaprzeczonem i przez wszystkich wierzących przyznanem, że my jesteśmy bez porównania gorsi niż nasze zasady, że chrześcijaństwo w zupełności był wykonywanym tylko przez świętych, a i ci

zawsze narzekali, że go niedoskonale wypełniają; faktem jest także, na szczęście i zaszczyt ludzkości również stwierdzonym, że wielu bardzo naszych przeciwników bez porównania są lepszymi od swoich zasad. To też bynajmniej w tym razie nie chodzi mi o spieranie się kto lepiej zasady chrześcijańskie wykonywa, ale o to, że kiedy je wypełnia ktokolwiek bądź, zawsze one dobre owoce wydają. Oszustwo i rozpusta zawsze zgubnie działać będą wśród chrześcijan, którzy w tym razie odstępują od moralności chrześcijańskiej, gdy przeciwnie Żyd i poganin, zachowujący nakazane przez Ewangelię czystość i sprawiedliwość najlepiej na tem wyjdą. Otóż pewnik, że zasady chrześcijańskie wykonywane przez indywiduala, rodziny, narody przynosiły zawsze dobre owoce, gdy przeciwnie wszystkie inne — złe i gorzkie, jest nowym dowodem prawdziwości Objawienia chrześcijańskiego, dowodem najzupełniej naukowym i na metodzie praktycznej opartym

W końcu wspomnę o jednym jeszcze argumentcie; dostarcza go — życie samo. „Jeśli kto będzie chciał czynić wolą Jego (Boga) dowie się o nauce, jeśli jest z Boga, czyli ja sam z siebie mówię“ powiedział Zbawiciel ¹ Jak w porządku natury życie rozpoczyna swo-

¹) Jan. VII. 17.

je funkcyę, utrzymuje się za ich pomocą, rozwija i dojrzewa, pierwej nim nauka celowości ich dowiedzie; jak rozum rozwija swoją działalność pierwej, nim filozofia zbada i określi jego prawa, tak i człowiek im bardziej wtajemniczy się w święte życie, którego ideał jaśnieje w Ewangelii i żywocie Pana naszego, tem bardziej we wzrastającej jasności i oświeceniu swego ducha, w coraz głębszej radości swego serca, we wzrastającej ciągle czystości i sile swej woli znajdzie sprawdzenie słów Apostoła: „nie wstydam się Ewangelii, bo jest mocą Bożą na zbawienie każdemu wierzącemu, Żydowi naprzód i Greczynowi“ ¹⁾.

Dowód ten można zaliczyć do kryterium oczywistości czy zmysłu wewnętrznego — ale czyż ta pewność wewnętrzna nie zwodzi? Iluż to ludzi wyznaje najfałszywsze zasady, a żyje w spokoju sumienia? Jak tu rozróżnić prawdę od fałszu? Jak? Przecież często miewamy sny tak żywe, że wydają się rzeczywistemi, a jednak ostatecznie umiemy rozróżnić sen od jawy.

Spokój względny, jakiego doznaje człowiek w dobrej wierze nieznający prawdy, juźci lepszym jest od stanu świadomego przeciwko niej buntu, ale tak podobnym jest do stanu

¹⁾ Hettinger *1pologie* Votr. 12.

duszy człowieka znającego i pełniącego naukę Chrystusową, jak letarg lub sen głęboki do przytomności w pełni zdrowia i siły. Kto wypełnia naukę Chrystusową, czuje w sobie taki spokój „jakiego świat dać nie może“, czuje pewność i oczywistość prawdy, jak człowiek zdrowy czuje pewność i oczywistość zdrowia i życia. „Miałem na oczach, pisał L. Veillot w początkach swego nawrócenia, to, co nazywają czarodziejskim pryzmatem młodości, ale nie myślał o Bogu i ileż niedorzeczności było w moim umyśle! Ileż niedorzeczności w mem sercu! Dla kilku błysków szalonej wesołości, których się wkrótce wstydzilem, ileż czarnych zgryzot, które trzeba było wlec za sobą zaw sze!... Teraz wydaje mi się, że pełnymi żaglami pływam w światłości i czuję się dobrze. Wszystko otwarło się przed mym umysłem. Znam moją drogę i wiem, co zobaczą, gdy dojdę do granic horyzontu. Ludzie są mi rzeczywiście braćmi; kocham ich i żałuję“¹⁾ Dowód ten zasługuje na szczególną uwagę zwolenników metody doświadczalnej; — życie, doświadczenie obala wszystkie niechrześcijańskie systematy, toż samo doświadczenie i życie utwierdza Ewangelia — wniosek sam się nastęrcza.

Mógłbym tu wyliczyć i inne jeszcze do-

¹⁾ Cyt. Etienne Cornut *Louis Veillot, etude morale et litteraire* p. 108.

wody mniej lub więcej bezpośrednio dowodzące prawdziwości Objawienia jak np. świadectwo Żydów i sprawdzające się na nich w oczach naszych prorocstwo, pomimo wszelkich nawoływań i prób „asymilacji“; jak świadectwo, liczba i nadludzka wytrwałość męczenników, cuda ciągle w Kościele istniejące, nienawiść do Niego wszystkich fałszywych nauczycieli i proroków, wreszcie, jak chce Duilhè de Saint Projet, stała i zadziwiająca zgoda rzeczywistej nauki przyrodniczej z zasadami wiary, ale już to wszystko pominę milczeniem, bo i poprzednie dowody wskazać tylko i wymienić zaledwie mogłem; natomiast rozdział ten zakończę wzmianką o „prostaczkach“ wspomnianych w tytule tej pracy. Przypominam, że naukowci nasi przeciwnicy chcą wmówić w nas i w siebie, że uczenie, rozumowo, wierzyć nie można w czasach tak mądrych i trzeźwych, jak nasze, więc że my wierzący, jesteśmy głupimi, całkiem „nienaucznymi“ ludźmi—prostaczkami, a oni niewierzący, właśnie dla tego i przez to, że nie wierzą, są krytycznymi, oświeconymi, postępowymi i t. d.

Nie wiem czy dostatecznie, ale starałem się dowieść, że nietylko jest zupełnie inaczej, że człowiek rozumny nietylko wierzyć może, lecz że, jeśli chce być całkowicie rozumnym, wierzyć powinien, bo wiara jest koniecznym postulatem i dopełnieniem rozumu, a religia

na dowiedzenie swej wiarogodności ma dowody dla każdego umysłu aż nadto wystarczające, każdej metodzie i każdemu kryterium odpowiednie. Staralem się też wykazać, że mniemany krytycyzm naukowy naszej epoki stosowany do religii, mało ma nauki, a niewiele krytyki, choćby dlatego, że nie zna i nienawidzi rzeczy, którą ma jakoby krytykować; więc właściwie skończyłem, wedle przemożenia mego, sprawę między nami prostaczkami a nimi, krytykami. Nie chcę jednak na tem poprzestać i jeszcze słów kilka poświęcę rzeczywistym prostaczkom, którzy jakoby, podług naszych krytycznych przeciwników, wierzą ślepo, bez żadnych dowodów, ni krytyki. Niech to będzie bez obrazy tych panów powiedziane, ale mogę ich zapewnić, że decydują o rzeczy, której nie znają, więc postępują nie krytycznie. Prostaczkowie wiary swej w samej rzeczy naukowo wywieść nie potrafią, ani jej nie obronią przed pociskami erudyków, to rzecz jasna; stąd jednak wcale nie wypływa, żeby nie mieli dostatecznych kryterjów swej wiary; owszem mają je, a nawet daleko rozumniej i krytyczniej wierzą ci prostaczkowie, niż wiedzą nasi uczeni bardzo krytycy. Najpierwej jednak muszę zastrzedz się, że mówiąc o prostaczkach, wcale nie mam na myśli idiotów i głupców, jakich pewna szkoła belletrystów i rzekomo uczonych lubi przedstawiać jako typ „wierzą-

cego prostaczka⁴. Chcę mówić o ludziach nieuczonych, prostych, ale mający zdrowy rozsądek; idyoci i głupcy nie mogą służyć za dowód ani w chrześcijańskim ani w postępowym obozie, jak nie wchodzą w rachubę chorzy dwóch armij przeciwnych.

Otóż pierwszym kryterium wiary prostaczka jest powaga Kościoła. Bezwątpienia taka postawa pewności wyda się naszym krytykom bardzo małej albo nawet żadnej wartości, a jednak prostaczek, opierając się na niej, więcej ma pewności, niż oni. Bo pytam czy zwolennicy Haeckla, Drapera, Spencera, Vogta, sprawdzili to wszystko, co za nimi, jak pacierz za panią matką, powtarzają? W niezmiernej większości wypadków nie myśleli nawet o tem. Teorye zmieniające się co lat kilkadziesiąt powtarzają oni na wiarę ludzi dziś powstałych, zapomnianych jutro, wyśmianych pojutrze, prostaczek opiera się na powadze Instytucyi trwającej 19 wieków, która przeszła przez tyle prób i walk, że dziesiątej ich części najuczęsi przeciwnicy nawet wymienić nie potrafią; więc pytam, jeżeli wybierać powagę, która ma więcej pewności za sobą: Kościół nasz czy pan D. lub pan S., czy też X. albo Z. z tej lub owej bezwyznaniowej redakcyi? Odpowiedź chyba nie może być wąpliwa ¹).

¹) Mówię tu o powadze, bo już wyżej zauważyłem, że mniemany krytycyzm dzisiejszy jest niczem innym,

Nie wyrzeka się też wcale prostaczek i użycia rozumu dla wzmocnienia swej wiary. Widzi świat, z doświadczenia wie, że on sam siebie stworzyć nie mógł, a że niedoszedł do doskonałości rozumnych ludzi, którzy osadzają w domu waryatów twierdzących, że zegarek zrobił się bez zegarmistrza, a na katedrach uniwersyteckich—nauczających, że świat istnieje bez pierwszej Przyczyny, więc wnioskuje, iż jest Bóg nieskończony, wszechmocny, miłosierny. Poznaje siebie praktycznie i widzi, że zupełnie jest różnym od rzeczy nieżyjących, a nawet od zwierząt; więc wnioskuje znowu, że różne stuki muszą wypływać z różnych pierwiastków i przyczyn, istnienie przeto duszy uważa za rzecz całkiem rozumną. Życie upływa mu w pracy i troskach, więc znajduje zupełnie naturalną pewność, że skoro jest Bóg, to spraw swoich nie może czynić bez celu, więc życie przyszłe jest dla niego niezachwianym pewnikiem, a tkwiące w duszy ludzkiej poczucie sprawiedliwości każe mu uważać za rozumną wiarę w nagrodę i karę po śmierci za sprawy tego żywota. Nie potrafiłby może tego wyrazić, ale on jest pewnym, że kiedy sprawiedliwość jest w człowieku, słabej iskierce,

tylko bałwochwalstwem powagi i powtarzaniem cudzych zdań na wiarę głośnego nazwiska.

to musi być tembardziej w Bogu, nieskończonym słońcu.

Inne znowu kryterjum, lubo nie dla każdego dostępne, ma prostaczek w cudach. Nie zna on niezliczonych mądrych nauk z greckimi nazwami, ale są rzeczy, w których żaden uczony nie wie więcej od niego. Kiedy np. człowiek od dni czterech umarły i rozkładający się, jak Łazarz, ożyje na czyjeś wołanie, uczony i prostaczek wiedzą, że tego żaden lekarz nigdy nie dokáže. Kiedy Św. Teresa wobec sióstr zgromadzonych podniesie się w powietrze w ekstazie bez żadnych machin i narzędzi, lub Św. Józef z Kopertynu modlić się będzie nad wierzchołkami drzew ogrodowych w oczach osłupiałych świadków, wszyscy przyznają, że żaden mechanik takiej sztuki nie wymyśli; kiedy ręka dziewczyny zachwyconej (Bernadett'y z Lourdes) przez półgodziny tkwiąca w płomieniu świecy, nawet oparzoną nie będzie kiedy wzrok dziennikarza (Henryka Lassere'a głośnego potem autora *Notre Dame de Lourdes*) prawie zupełnie stracony, w jednej sekundzie, po zmyciu oczu wodą z cudownego źródła, powróci do dawnego i stałego zdrowia; kiedy dziecię nie mogące chodzić, dla nóg pokrzywionych, po odśpiewaniu litanii do N. Panny przed Jej obrazem, wybiegnie z kościoła zdrowe na całe życie (mój żyjący dotąd kolega) — nieuczony ale praktyczny rozsądek

prostaczka który to widział, lub z pewnych się źródeł dowiedział, nie omieszka z tego pewnych a bardzo prostych wyciągnąć wniosków. Powie on sobie: ponieważ ogień zawsze pali rękę, skoro niczem nie ochroniona; ponieważ przemycie czystą wodą nigdy jeszcze w jednej chwili nie powróciło utraconego wzroku; ponieważ zapalenie kilku świec i kwadrans śpiwania nigdy nie mogą naprawić pokręconych nóg dziecka, więc oczywiście działała w tych razach nie zwyczajna, przyrodzona siła, lecz moc nadprzyrodzona Boża, wynagradzająca wiarę i ufność, a ponieważ Bóg fałszu potwierdzać nie może, więc wiara, która bezpośrednio w danie się Jego wywołać zdoła, jest oczywiście prawdziwą.

Prostaczek bez długiego rozumowania wie, że gdzie jest dobro, tam jest i prawda, a że dobro, jest w wierze, którą wyznaje i w moralności którą praktykuje, tego nie potrzebuje długo dowodzić, bo to widzi i czuje na sobie. Zato skoro prostaczek wejdzie w kolizję z kodeksem karnym, skoro ugrzęźnie w rozpuście, zagarnie cudzą własność, zaraz staje się krytycznie usposobionym względem zasad wiary i gotowy z niego prozelita dla tej „religii chłopskiej“ którą przed kilkoma laty jedno z pism warszawskich zapowiadało. Toż samo zresztą nietylko między prostaczkami się zdarza. W końcu prostaczek ma to kryterium wewnętrzznego życia, które się nazy-

*

wa działaniem Łaski w człowieku. Jest ono zupełnie nieznanie niewierzącym; dowód ten jednak istnieje i jest bardzo potężnym, dlatego też Kościół zawyrokował, że pozycja wierzących nie jest wcale jednakową z położeniem tych „którzy zwiedzeni opiniami ludzkimi, idą za religią fałszywą“¹⁾. Łaska powiedzą, Łaska — a cóż to za argument? Kto ją widział? Trzebaby pierwaj dowieść istnienia dowodu, a potem na nim się opierać! Prawda, że istnienie Łaski bezpośrednio dowodzi się za pomocą Objawienia; prawda, że istnienia jej nie można wykazać za pomocą nauk przyrodniczych — chciałem powiedzieć „nauk doświadczalnych“ — ale mylniebym się wyraził, bo właśnie, że za pomocą tej metody można jej egzystencji dowieść (tak mi się zdaje przynajmniej). Chrystus Pan dowodził żydom Bóstwa swego za pomocą czynów i znaków „których nikt inny czynić nie mógł“; tak samo też można dowieść istnienia Łaski, wskazując na czyny, jakich natura stanowczo dokonać nie jest zdolną. W dziejach ludzkości, zgromadzeń, instytucyj, pojedynczych osób. Łaska pozostawiła ślady tak wyraźne, że trzeba nie chcieć ich widzieć, żeby nie zobaczyć. To też trzeba przyznać naszym krytykom, że robią, co mogą, żeby się z nią,

¹⁾ Conc. Vatic. De fide. Cap. III.

jej działaniem i skutkami nie spotkać. Jeśli do nich zapuka, uciekają co najrychlej w takie sfery, w których ona nie bywa. Niema jej bowiem w nieograniczonej pysze umysłu, ani w używaniu życia, ani wśród płasów przed złotym cielcem, ani w przybytkach Afrodyty, ani w pracowniach „naturalistów“ którzy wstydu i cnoty do właściwości natury ludzkiej nie liczą, ani w sercach bezwstydných nowelistek.. a jeśli tam ona kiedy zawita i przyjęta zostanie, to ma tę własność, że wyprowadza przyjmujących ją z tych *male bolgie* Dantejskich, a w nich po dawnemu wije się i przewraca *perduta gente* — lud zatracony.

*Vidi gente attufata in un sterco,
Cneadagli uman privati pareo mosso. 1)*

Przydłuższy ten rozdział najwłaściwiej będzie zakończyć wyjątkiem z encyklicy Piusa IX, streszczającym to, co powiedzieć w nim chciałem... „Ale jak liczne, jak dziwne i świetne są dowody, za pomocą których rozum ludzki najdowodniej przekonany być musi, że wiara chrześcijańska od Boga pochodzi, że grunt i korzenie swej nauki otrzymała z góry od Pa-

¹ Ujrzałem tłumy duszące się w kale — jakby z ustępów ludzkich zgromadzonym. Dante: „Piekło“, XVIII.

na niebios i że dla tego niemasz nic równie pewnego, niezawodnego, dowiedzionego, że nic nie spoczywa na tak mocnych podstawach, jak wiara chrześcijańska. Wiara ta... przez swego Założyciela i Sprawcę Jezusa Chrystusa narodzenie, życie, śmierć, zmartwychwstanie, mądrość, cuda, proroctwa umocniona, oświecona światłem niebieskiej nauki i skarbami niebiańskich bogactw zbogacona, jest w szczególny sposób uwielbioną i odznaczoną przez przepowiednie tak wielu proroków, blask tak wielu cudów, wytrwałość tak wielu męczenników i chwałę tak wielu świętych! Wiara ta, opowiadając zbawienne przykazania Jezusowe i codziennie wzmacniając się, Krzyżem jedynie uzbrojona, cały okręg ziemi na lądzie i morzu, od wschodu do zachodu przeniknęła, a po rozproszeniu ciemności, wszystkie pokolenia i narody, nawet dzikie, a przyrodzonym usposobieniem, obyczajami, prawami, urządzeniami różniące się, światłem znajomości Bożej oświeciła i słokiemu jarzmu Jezusowemu poddała, wszystkim zwiastując dobro i pokój. To wszystko tak wyraźnie jaśniej blaskiem Bożej mądrości i mocy, że każdy umysł i rozum bardzo łatwo poznać może, iż wiara chrześcijańska jest dziełem Bożem. Dlatego rozum ludzki gdy z tych dowogów równie silnych jak świętych pozna jasno i wyraźnie, że Pan Bóg jest sprawcą tej wiary, nie powinien iść dalej, ale

bez żadnej trudności i wątpliwości, ma się jej poddać zupełnie, ponieważ wie z pewnością, że ona jest przez Boga objawioną“.

Na poprzedzającym rozdziale skończyłem właściwe me zadanie—wskazanie w jakim stosunku wiara znajduje się względem krytyki i naukowej pewności: na tem jednak poprzestać nie mogę. Im więcej wymieniłbym dróg prowadzących do prawdy, im bardziej uzbrojoną, niezdobytą i jaśniejącą wskazałbym ją czytelnikom moim, tem natrętniej (czuję to) kółłatałoby do ich umysłu pytanie, które już sobie De Bonald zadawał: Czem się dzieje, że wiara chrześcijańska, mająca tyle i tak świetnych dowodów za sobą, jest jednak tak bardzo przez różnych przeciwników napastowana i przez tylu zaprzeczoną? Jakie są przyczyny nieustającej przeciwko niej opozycji?

Francuzki filozof odpowiedział, że powodem jej są obowiązki moralne przez wiarę nakładane, a nieprzyjemne naturze ludzkiej i dodał, że gdyby najprostsze zadanie geometryczne pociągało za sobą podobne zobowiązania, byłoby tak samo zawzięcie zaprzeczanem. W odpowiedzi tej wiele jest prawdy, ale nie cała prawda; przyczyn niedowiarstwa jest więcej. Jedne z nich odziedziczyliśmy, inne są wynikiem przeróżnych przyczyn zewnętrznych, inne znowu nazwałbym wewnętrznymi, psychicznymi i o tych tylko w tym rozdziale słów kilka

powiedzieć zamierzam; zdają mi się one koniecznymi dla dopełnienia przedmiotu. Zwykle w kołach wierzących winę szerzącej się niewiary składają albo na przyczyny zewnętrzne — złe wychowanie domowe, złe towarzystwo, modę, prądy społeczne, albo też na samych zbłąkanych, którzy są źli, próżni, lekomyślni i t. p.

Tu znowu powtórzyć muszę: jest w tem wiele prawdy, ale nie cała prawda. Zapomniało o jednym winowajcy, a tym jesteśmy my sami, my wierzący. — „Podobne się stało królestwo niebieskie, powiada Zbawiciel, człowiekowi, który posiał dobre nasienie na roli swojej. A gdy ludzie spali, pszyzedł nieprzyjaciel jego i nasiał kąkol między pszenicą i odszedł“ ¹⁾. Historia ta ustawicznie się powtarza — gdy ludzie spali, nieprzyjaciel nasiał kąkol i odszedł. To spanie ludzi niebieskiego Gospodarza zawiera w sobie bardzo wiele właściwości ujemnych; wspomnę tylko o niektórych. W dziejach Kościoła i cywilizacyi uderza jeżeli nie zawsze to bardzo często zdarzające się niezrozumienie ze strony wierzących dążności, zamiarów i potrzeb przeciwników, a stąd obrona często chybiająca celu i niedołączna.

Kiedy odkryto pandekta powstało tak gwał-

¹⁾ Mat. XIII. 25. 26.

towne rozmiłowanie się w prawie rzymskiem, że prawo kanoniczne, chrześcijańskie, nawet duchowni i zakonnicy zaniedbywali; aż papież musieli im zabronić tych studyów bez wyraźnej dyspensy odnośnej władzy. Uczeń owocześnie nie domyślali się nawet jaki wąż zdradliwy był ukryty w tej trawie, a wszakże stąd powstali legiści francuzcy i inni i wskrzesili pogańską ideę ubóstwionego państwa.

Tak samo niezrozumiano na razie humanizmu i renesansu. Nietylko ludzie świeccy ale najwyżsi dostojnicy Kościoła hołdowali tym kierunkom, nie spostrzegając jak pod formami pogańskiego piękna wkradała się pogańska moralność, a za nią pogańskie zasady. Rozprawiano po łacinie i po grecku, malowano Wenerę i bachanalie, aż stanął protestantyzm u progu. Nie zrozumiano go na razie także

Kiedy się czyta dzieje powstania protestantyzmu, gniew i zdziwienie ogarniają człowieka, na widok niezaradności i braku decyzji w katolikach niemieckich, francuzkich i innych. Zjeżdżają się, dysputują, ludzą się—i ustępują, ciągle ustępują. Protestanci wiedzą czego chcą, drwią ze złudzeń swych przeciwników i idą naprzód. Dopiero sobor trydencki, liczni święci, których Pan Bóg zesłał Kościołowi i wielcy uczeni katolicy XVI a jeszcze więcej XVII wieku zrozumieli należycie i odparli potok protestantyzmu. Toż samo powtórzyło się we Francyi w końcu

przeszłego wieku. Niedowiarstwo burzyło społeczeństwo przez zepsucie obyczajów i szynierstwo, a wierzący bawili się na wulkanie, pomagali najszczerzej zakładać miny pod swoje pozycje i tylko od czasu do czasu strzelali z dział ciężkiego kalibru do wiecznie ruchomych przeciwników.

W obecnym naszym wieku, zwłaszcza w końcu jego, społeczeństwo wierzące bardzo dużo już się nauczyło i umie bronić się dzielnie; — nie zawsze jednak i nie wszędzie, a przykłady niezaradności, w obec niedowiarstwa, mogłyby się i u nas znaleźć, może więcej niż gdzieindziej. Objaw ten, jakkolwiek dla wierzących niepoehlebny, w niczem prawdziwości wiary naszej nie uwłacza; owszem jeet on nowym dowodem, że Bóg czuwa nad Winnicą, którą zasadził. Gdyby wiara Chrystusowa została oddana ludzkiej tylko pieczy, oddawna już tylko wspomnienie o niej by pozostało.

Innym znów ujemnym wśród rzeszy chrześcijańskiej objawem jest zadziwiająca i oburzająca bojaźliwość i potulność wierzących w obec zuchwalstwa ateuszów. Dość żeby się odezwała jaka nowa teoria, niby przysłowiowy bęben za górami, żeby ją rozniosły pisma i dzienniki upstrzywszy epitetami „głośny, znany, znakomity uczony — najnowsza, świetna, niezachwiana naukowa zdobycz“ — a już zwątpienie zaczyna kołatać do serca wierzących:

„A kto go tam wie... może doprawdy coś takiego wykopali czegoś takiego doszli“—i pokorni, nieśmiali słuchają ze zgrozą wewnętrzną, a w milczeniu zewnętrznem bredni, ba, bluźnierstw, szyderst i urągają niedouczonego niedowiarka. Nasze pisma i książki chodzą delikatnie około takiego rozbrykanego nowatora, pisarze konserwatywni i wierzący albo roztropnie milczą, albo usiłują go skrępować delikatną tkaniną z pajęczyny połowicznych zaprzeżeń i połowicznych ustępstw,—a zuchwałość zaślepione powodzeniem, nadyma się pychą i plwa na wszystko co święte i rzeczywiście mądre. Ileż to razy syn mądryla zadziwia rodziców i zadomowione siostry szczytem swego szyderstwa i głębokością upadku, a oni słuchają go trwożliwie, ze łzami bólu na oczach — i milczą. Pocieszają się wprawdzie twierdząc: „on dobry, uczciwy i rozumny, tylko że nie wierzy“. Smutny to jednak rozum, który nie zna najważniejszych koniecznych prawd, smutna uczciwość, która zapomniała najpierwszego warunku sprawiedliwości—oddaj każdemu, co się komu należy, więc Bogu całego siebie — smutna też i dola tych kochających, którzy oprócz łez, nic nie mogą przeciwstawić argumentacyom, swego marnotrawnego synka. Nie mogą zaś dlatego, że swej wiary nie znają i bronić jej nie umieją.

Było zawsze i jest dotąd dla mnie przed-

miotem bolesnego zdumienia niedbalstwo, a może nawet wstręt naszego wierzącego społeczeństwa do poznania wiary, którą wyznaje. Czytamy ciągle, tysiące książek pochłaniamy, czytamy rzeczy najrozmaitsze—opowiadania z życia owadów i ptaszków, podróże do środka Afryki i po porzeczu Amazonki, znamy doskonale dzieje francuzkich Ludwików i ich przygody „galantes“, nie są nam obce obyczaje Japończyków, mamy w bibliotekach naszych wszystko od „*Revue des deux mondes*“ aż do powieściowych dodatków „Tygodnika Ilustrowanego“, a powieściopisarstwo to nasze *fort*; — gdy się zacznie rozprawa o właściwościach, tendencyach i różnicach Bourget'a, Monpassant'a, Zoli, że o naszych już nie wspomnę, to tylko podziwiać potrzeba erudycję, wymowę, zapach;—ale gdy kto o wiarę potrafi, wnet się wszystko zmienia. Następuje jąkanie się, milczenie, szukanie po omacku, bo nasza znajomość religii stanęła na katechizmie potrzebnym do pierwszej Komunii i dalej nie poszła.

Nic dziwnego, że w obec takiego nieuctwa można być w pierwszym spotkaniu pobitym na głowę. Nieznajomość ta swojej religii ma wiele przyczyn, a między niemi może pierwsze miejsce trzymają lenistwo do pracy umysłowej i brak rzeczywistej a prawdziwej miłości tejże swojej wiarw. Kiedy się co lub ko-

go kocha, dla tego nie żałuje się czasu, pracy, mozołu; jeśli idzie o interes lub o zadowolenie próżności, potrafimy jeszcze przesiadywać i w nocy nawet nad foliałami dokumentów prawnych.

Nie można zatem zaprzeczyć, że część winy za szerzenie się niedowiarstwa spada na wierzących; bez porównania jednak więcej winni ci, którzy sami schodzą z prostej drogi.

Przypatrzmy się usposobieniom ułatwiającym to zjawisko. Większość zapewne moich czytelników zna wyborną bajkę Kryłowa p. t. „Kwartet“. Znany bajkopisarz z niezrównanym humorem opowiada, jak krzywołapy Mysio, małpa swawolnica, długobrody kozioł i długouchy osieł, wzięwszy nuty i instrumenta, wybrały się na łączkę dawać koncert i świat swą sztuką zadziwić. Usiadły więc muzyczne stworzenia pod lipą, a wzięwszy w łapy smyczki uderzyły w struny. Rwą, ale o rozpacz, — kakofonia straszliwa! Czekajcie krzyczy małpa, jakże chcecie, by była harmonia, kiedy niewiedzieć jak siedzicie? Ja, pierwsze skrzypce, siadę przeciwko wtóru, a ty Mysiu z basetlą siadaj *vis à vis* altówki — dopiero będzie ślicznie — góry i lasy w tan pójdą zobaczycie. Siedli, grają — niema ładu za grosz. Cicho — no ryknął osieł, dopiero ja sekret odkryłem — nam trzeba sięść rzędem. Posiadali — ale podawnemu muzyka szpetna, dalejże

więc klócić się i rozprawiać i wrzeszczeć. Na ten hałas przyleciał słowik, znany muzyk. Ratusz przyjacielu! wołają do niego. Mamy nuty, smyczki skrzypce, powiedz tylko, zmiłuj się, jak nam trzeba siedzieć. A słowik na to: żeby być muzykiem, trzeba umiejętności i uszu delikatniejszych od waszych, a wy, moi drodzy, siadajcie jak chcecie, nigdy artystami nie będziecie.

Umiejętności i uszy delikatne czyli innemi słowy zdolności i praca, oto warunki konieczne dla zostania artystą. Niech teraz łaskawy czytelnik przypomni sobie zdanie Lacordaire'a (w II rozdziale) o warunkach potrzebnych do samodzielnej pracy umysłowej; są nimi: dostatek, talent i praca a zobaczy jak prawdziwym jest przysłowie francuzkie *les beaux esprits se rencontrent*. Russki bajkopisarz nad brzegami Newy i francuzki kaznodzieja na ambonie Notre Dame de Paris różnemi wyrazy tę samą rzecz określają. Tak, do nauczania się muzyki, filozofii, rzemiosła, sztuki wojennej, malarstwa, słowem do wszystkiego potrzeba zdolności i pracy (o dostatku czyli możności materialnej jako warunku zewnętrznym na teraz nie mówimy); — tegoż samego potrzeba dla naukowego poznania wiary.

Wiara wprawdzie jest dla wszystkich, dla wielkich i dla maluczkich, i posiada też ona dowody zastosowane do każdej głowy i do

każdego umysłu; wszakże jeśli kto chce znać naukowe dowody religii, powinien oczywiście mieć głowę dość otwartą, by one do niej wejść mogły, a potem powinien je sobie do głowy włożyć t. j. uczyć się i pracować.

Zdaje się — rzecz jasna jak słońce. Spróbujcie jednak człowieka o ciasnej głowie, nie lubiącego pracować a w dodatku mającego siebie nie za nieuka i ucznia, lecz za sędziego i mistrza, spróbujcie przekonać go, że się myli, wytlómaczcie mu jakie zadanie z logiki, matematyki, czy jakiej innej nauki; — kto bowiem tego kiedy próbował, ten wie, że łatwiej linę okrętową przewlec przez ucho od igły. Ileż to razy, z konieczności musząc przyjmować dysputy religijne z ludźmi podobnie usposobionymi, uległem złudzeniu, że się bawię w owo wdzięczne przewlekanie i dziwiłem się, czemu Dante o tej męce przepomniał; mógłby był umieścić ją, jeśli już nie w piekle, to w czyściu; — była by bardzo oczyszczającą. Głów i główek słabych mamy teraz wielką obfitość, ale nie większą chyba niż zwykle, bo ich się zawsze dość dużo rodzi; próżniactwo zato, niechęć do pracy, zwłaszcza naukowej, może jest większą niż dawniej, bo chęć używania bezpracy, jak wiadomo, jest jedną z głównych chorób naszego wieku, a już co pycha i zarozumiałość to rzadko kiedy tak grasowały jak w czasach dzisiejszych. Atmosfera „krytycy-

cyzmu“ owionęła wszystkich; — każdemu się zdaje, że świat i dzieje czekały, aż on skończy „edukację“, czasem nawet tylko początkową, a ogarnąwszy orlim wzrokiem horyzonty naukowe, wyda sąd krytyczny a nieomylny.

W poczuciu tego ogromu własnej mądrości, każdy taki krytyk dzisiejszy głosi: „nic nie przyjmuję tylko to co mój rozum pojmuje“ — a że rozum bardzo niewiele pojmuje, więc z natury rzeczy, bardzo wiele musi być odrzuconem. Każda sztuka i nauka posiada takich krytyków, najwdzięczniejszem jednak dla nich polem jest zawsze religia. Zapatrzeni na przykład mopsa z bajki, który czekał na słońia, aż przysiadł i myślał: niech ludzie patrzą i niech mówią: „oj mopsik, silny być musi, gdy tak na słońia ujada“ — myślą, że dadzą dowód najwyższej mądrości i odwagi, przecząc śmiało wszystkiemu i plwając na rzeczy wyższe od siebie. Więc też używają! Tak bo łatwo przeczyć, tak łatwo drwić z „drzemania w mroku zacfania“, tak łatwo napisać lub wypowiedzieć kilka frazesów o osławionym postępie, o orlej myśli nieskrępowanej więzami dogmatycznymi“ i t. p. — i oto taki co nie mógł sobie dać rady z atestatem dojrzałości, co tracił lata w daremnych zapasach z nieużytą chemią, anatomią i terapią, odrzuciwszy w kął przesady — odrazu został rozumnym; za jednym zamachem posiadał wszystkie zdobycze nowoczesnej wie-

dzy i gdy wieczorem zabiera się do nocnego spoczynku, pierś jego wznosi się wysoko a lekko, przepętniona świadomością własnej krytyczności. On jest oświeconym, uczonym, ma myśl wyzwoloną i lotną, gdy tymczasem taki Windhorst, hr. de Mun, Lavigerie, Manning i t. p. są tylko nędznymi zacofańcami i naiwnymi wyznawcami „legendowych wierzeń“.

Szczęśliwy!

Jakie to sny słodkie muszą światłą jego głowę przezroczystymi skrzydłami otulać, gdy dobroczynny Morfeusz makowem kwieciem nad nią potrząsie! Śpij spokojnie, o naczynie erudycyi, bo i czemusz spać nie masz? Słodkiego wczasu nie zatruje ci troska, kto po tobie biedną ludzkość oświecać, nauczać i na wysokości pozytywnej mądrości utrzymywać będzie. Gdy twoja światła dusza przeniesie się na Urań między dusze—ważki Flamariona, albo jak powiada Tyndall „rozpłynie się w błękitnej mgłę przeszłości“ — powstaną inni mędrzy również jak ty nie przystępni dla wszystkiego, co wyższe od nich, również brzydzący się pracą, tak samo pewni własnego geniuszu i tak też krytycznie usposobieni dla wiary chrześcijańskiej. Tak, nie nauka to głęboka, nie krytyka rzeczywista, nie praca zmudna, nie prawdziwe orły i geniusze były i są nieprzyjaciołmi wiary Chrystusowej, lecz głowy ciasne, umysły poziome, usposobienia próżniacze, a wszystko

to wydęte pychę bezmierną a głupią; — więc zarozumiałość, próżniactwo i powierzchowność, oto wrogi odwieczne wiary prawdziwej!

Tak było zawsze. Już psalmista mógł powiedzieć „rzekł głupi w sercu swoim: nie masz Boga“. W wiekach średnich Bakon Werulamski twierdził, że powierzchowne kosztowanie nauki odprowadza od Boga, teraz wszyscy wierzący uczeni jednogłośnie powtarzają, że powierzchowność to najgorszy wróg wiary.

Wszędzie zresztą tak samo się dzieje. Owczarze i baby znachorki zawsze będą wrogami śmiertelnymi prawdziwych lekarzy; katarzyniarze będą gardzili Sarasatem i Wieniawskim, a Rafael i Murillo będą w poniewierce u amatorów częstochowskiej szkoły malarskiej.

Ależ to jest niesłuchanie łatwy, a zarazem oburzający sposób dowodzenia, słyszę skierowany przeciwko sobie zarzut! Nazwać w czambuł swoich przeciwników powierzchownymi nieukami bardzo łatwo, a sam przecież protestujesz przeciwko takiej metodzie stosowanej do katolików. Nawet fanatyk nie może zaprzeczyć, że po stronie „wolnej myśli“ stoją pierwszorzędne umysły i znakomici uczeni, a jednak... nie wierzą. Odpowiem na to, że bynajmniej naszym zasadniczym przeciwnikom zdolności ni nauki nie ujmuję, twierdzą tylko, że o ile przyczyn niedowiarstwa szukać będziemy w umyśle, (bo więcej ich może jeszcze

tkwi w woli) to powierzchowność połączona z zarozumiałością, jest stale rodzicielką niewiary.

Już w drugim rozdziale tej pracy zazna-
czyłem, a tu znowu powtarzam, fakt codzien-
ny, że najznakomitsi uczeni przyrodnicy, histo-
rycy, matematycy, posiadają swoją specyjal-
ność arcy znakomicie, ale w sztuce myślenia
są słabi, a religii nie znają zupełnie, albo ze
słyszenia tylko; przeto pod względem tej o-
statniej są powierzchowni, nie dlatego by nie
mogli, lecz dlatego, że nie chcieli jej poznać
i nie poznali. Owszem, najchętniej przyznają,
że w szeregach naukowych przeciwników wia-
ry są ludzie bardzo zdolni, bardzo uczeni, pod
wielu względami bardzo uczciwi—powiedział-
bym prawie bardzo rozumni i dobrej wiary,
ale co do tych ostatnich przymiotników muszę
uczynić pewne zastrzeżenia.

Rozumnym całkowicie, t. j. mądrym czło-
wiekiem w żaden sposób nie można nazwać
takiego, który nie uregulował w sposób wy-
czerpujący „ostatecznych swych rzeczy“. Co
pomoże człowiekowi, choćby znał wszystkie
języki, obyczaje wszystkich owadów, prawa
wszystkich ciał ziemskich i niebieskich, choćby
wiedział co się działo w każdym ziemi zaką-
tku od początku dziejów aż do dni naszych,
a nie rozwiązał kwestyi „jednej potrzebnej“ —
po co on sam jest na ziemi, do jakiego celu

i jakimi drogami dążyć powinien, jakie i gdzie szczęście znaleźć może? Co mu pomoże nauka Salomona i siedmiu mędrców greckich, jeśli przyjdzie chwila, w której się znajdzie wśród wołających z rozpaczą — „my głupi“...

Nikt nie zaprzeczy, że uczonych, którzy myślą o wszystkim, tylko nie o tem, jest legion, a bądź co bądź trudno nazwać mądrymi takich, którzy pierwszym warunkom mądrości zadosyć nie czynią. Nie nazwę ich też ludźmi dobrej woli. Indyjski, tybetański, mahometański uczoney, jeśli nie zna wiary chrześcijańskiej, rzecz jasna, że często, lubo niezawsze, wytlómaczonym być może; ale człowiek, który się urodził wśród społeczeństwa od kilkunastu wieków chrześcijańskiego, od dzieciństwa karmił się owocami chrześcijaństwa, co krok o nie się ocierał, patrzył na nie, walczył z niem może a nie poznał go, nie zbadał wtenczas, gdy troskliwie badał napisy klinowe, drukował rozprawy o tajemnicach kapłanów Izdy, lub misteryach eleuzyńskich — nie poznał, nie zbadał i potępił, czy taki człowiek może być dobrej wiary człowiekiem?

— Ależ życie, doświadczenie, nauka same rozbiły w nas wiarę dziecinną, krytycyzm wieku...

Znam, znam doskonale tę piosenkę i mogę ją dokończyć. Wobec wciąż nowych zarzutów, wobec twardej rzeczywistości, pierz

chały jedna po drugiej złudne mary „dawnych wierzeń“, w duszy robiła się pustka, w sercu chłód, ale przeciw rzeczywistości walczyć trudno—przestaliśmy wierzyć.

Tak mówi wielu bardzo i w szczególnem zaślepieniu nie tylko nie mają sobie tego za złe, ale jeszcze pozują na ofiarę i uchodzą, we własnych przynajmniej oczach, za zupełnie uczciwych ludzi. — Syn bogatego człowieka odziedziczył po nim wielki majątek. Pokazało się wkrótce, że dla utrzymania jego trzeba wielkiej pracy, mnóstwa zachodów, głębokiej umiejętności administrowania. Dziedzic tego nie lubił — nauczono go za młodu czterech działań arytmetycznych i na tem chciał poprzestać. Zaczęli się nadto zjawiać dłużnicy, pokazywać weksle, rościć pretensye do tego i owego; — syn ślamazarny, prawdziwości ich nie dochodził płacił za wszystko i tylko rozpytywał czy niema gdzie innych jeszcze weksli i długów? Oczywiście znajdowały się coraz nowe — i koniec wiadomy. Młodzieniec który nie chciał pracować nad utrzymaniem ojcowskiej fortuny, nie chciał sprawdzać rzeczywistości pretensyj i długów, zbankrutował i poszedł z torbami. Młodzieńców takich nie brakło nam, jak wiadomo, w znaczeniu literalnem ale liczba ich jest prawdziwie przerażającą w znaczeniu przenośnem, w zastosowaniu do wiary. Zjawiały się coraz nowe zarzuty, coraz

inne trudności, a oni zapewne pogłębiali swe studia religijne, zapewne bronili rozpaczliwie swych wierzeń? Bynajmniej, oni czytali, pochłaniali, wynajdywali coraz nowe — zarzuty; każdy z nich znał doskonale wszystkie modne i głośne dzieła antyreligijne, a przeciwko nim mógł postawić tylko krótki katechizm; oni nawet nie zajrzeli do odpowiedzi strony zaczepionej, nawet nie wiedzieli, czy jest jaka odpowiedź. Słyszeli tylko zarzuty, wyszukiwali je troskliwie, a nie przeczytawszy zwykle ani jednej obrony wiary, osądzili ją, potępili i odrzucili i żyją sobie spokojni, a że nie kradną i nie upijają się, więc uchodzą za uczciwych i dobrej woli ludzi. Smutne i fatalne złudzenie! Chrześcijanin, który stracił wiarę, bo poznawał tylko zarzuty, a palcem nie ruszył dla zachowania skarbu tego, droższego nad życie, nie chciał poznać ni zbadać prawdy u źródła, taki chrześcijanin stanie przed Bogiem z piętnem apostaty na czole i odpowiednio osądzonym zostanie.

Wierny memu zwyczajowi nie przestawania na ogólnikach chcę tu przytoczyć jako przykład kilka takich teoryj wierze wrogich, a wylętych z powierzchownego rzeczy poznania. Musiałbym je zbierać i wyszukiwać wśród starych rupieci, bo mają to one do siebie, że prędko opadają, jak paki nie mające nigdy rozkwitnąć, ale mi tej pracy oszczędza

książeczka, pięknie wydana, w której je znajduję ujęte w misterną rymowaną szate i przekazane wiekom przyszłym *ad perpetuam rei memoriam*. Mówię o poezjach p. Maryi Konopnickiej: ¹⁾ Właściwie poezya nie bardzo się nadaje do rozbioru krytycznego ze względu na teorye społeczne i religijne, ale w tym razie jest inaczej. P. Konopnicka mówi wprawdzie o rosie, słowiku i jaskółce, o mgłach, blaskach, zorzy i słońcu, o łzach, perłach miłości i t. p. poetycznych rzeczach; co prawda, to nawet czasami dość nudnie o tem rozprawia, powtarzając w kółko to samo, ale też zajmuje się filozofią, sprawami społecznymi, religią, a to w taki sposób, że przekonania bezwyznaniowo-postępowej szkoły oblekała w szatę poezyi i wciągała do archiwów Apollina i muz dziwięciu.

Rzecz to powszechnie wiadoma. I to właśnie pochodzenie sławionych wierszem przekonań i zasad, mam na względzie, gdy je tu stawiam jako przykład powierzchowności. Więcej niż poetkę, mam na myśli szkołę, w której ona szukała natchnienia. Pan Teodor Jeske-Choiński, mówiąc o teoryach i rozumowaniach zawartych w poezjach pomienionej autorki, utrzymuje, „że na męzkiej głowie, przywykłej

¹⁾ „Wybór poezyi“. Nakład Gebethnera 1880 r. Warszawa.

do ścisłego myślenia, jeżą się włosy wobec takich wybryków rozkapryszonej, chorej wyobraźni niewieściej“. ¹⁾ Prawda to jest rzetelna. Włosy rzeczywiście jeżą się i powstają, ale muszą tu wziąć poetkę w obronę, bo nietylko przy czytaniu jej utworów lecz i w wielu jej współbraci w przekonaniach, dzieje się to samo. Owszem kobiecie, a w dodatku — jak sam p. Choiński przyznaje — o wyobraźni chorobliwej, łatwiej można wybaczyć, niż tym, którym uwierzyła.

Pamiętamy jak buńczucznie i ogniście wystąpiła p. Konopnicka na widownię publiczną. Właściwą poetom różczkę lauru zjednoczyła z mieczem krytyki i dalejże nim ciąć na prawo i na lewo, a na rany zadane nuż lać strumień pompatycznej deklamacyi, a potem zasypywać prochem słów brzmiących, toczonych — i niezliczonych. Za każdym cięciem, w prasie postępowej brzmiało huczne larum i salwy z morderczy. Najpierw tedy poetka z prawdziwie genialną prostotą rozdzieliła ludzkość na dwie części: na tych, którzy stoją wyżej i mają więcej, i na tych, którzy są niżej, a mają mało lub nic. Ci, co wyżej stoją, są wszyscy łotry i pijawki, niżsi zaś oddają im wszystko bez

¹⁾ Typy i ideały, pozytywnej bellestryki polskiej. Warszawa, 1888 str. 205.

szemrania, bo są aniołami bez zmaży, barankami cichymi i gołąbkami bez żółci. Jeśli się komu poskarżą, to tylko „brzozie białej, co szumi nad mogiłą i strumykowi, co szemrze w dolinie“ ... komuż to szkodzić może? Wybuchła gdzieś wojna — król poszedł na nią:

„Grały jemu surmy zbrojne,

„Grały jemu surmy złote

„Na zwycięztwo, na ochotę.

Oczywiście wrócił szczęśliwie, bo od czegoż Stach, któremu gdy szedł, szumiały kłosa i źródaje „na tęsknotę, na niedolę“ ... On zginął, a królowi zagrały, gdy wracał, wszystkie dzwony.

„A jak chłopu dół kopali

„Zaszumiały drzewa w dali,

„Zadzwonily przez dąbrowę

„Te dzwoneczki, teliliowe. (Piosenki i pieśni VI)

Szlachta i panowie daleko gorsi. Poetka nie wie, czy kto przyjdzie do chaty wiejskiej, by powiedzieć, „co godnem jest cześci — czy im kto powie jak kochać zagon swój, co daje kęs chleba, jak cudze prawa szanować,“

„Lecz wie, że zdawna uczono hatogiem

„Odkrywać głowę przed pańskim tym programem. (Zszopką)

W „Jaskółce“ znowu opowiada, jak to pan uparcie przeciwnym jest oświacie ludowej „bo chłopu nauka, co najmniej ryzyko.“ Kościół i duchowni jeszcze gorsi wyzyskiwacze od pannałów; Umarł Jasio i matka poszła prosić, by mu dzwony dzwoniły,

„Ale dzwony twarde serca

„Zimną pierś miały:

„Będziem jemu dzwonić, matko,

„Za talar biały. („Dzwony“. Wybór poezyj,

1890),

Oburza to każdego, tembardziej poetkę mającą serce tak czułe i miłosierne, że chciałyby poustawiać łóżka prawda, że nie u siebie lecz w kościołach, przemieniać je na domy przytułku, pragnęłyby, by do każdego płaczącego w kościele przemawiały obrazy i ołtarze, więc z gorczyzą powiada, że „krzyż czarny,“

„Stał nieruchomy i cichy na stole

„Jako milczące wobec też ołtarze. (Przed sądem).

to znowu narzeka, że — kościół był szczelnie zamknięty,

„Razem z litością i z Bogiem.

bo też tam podług autorki niema właściwie Boga, gdyż w ten sens ciągnie dalej:

„Ach, gdyby Chrystus tu przebywał z nami
„Wiem, żeby chodził ciemnymi nocami
„I zbierał głodnych zziębniętych nędzarzy
„I tulił u swych ołtarzy. (Bez dachu).

Tak wyglądają wyżsi, niżsi za to, jak wspomniałem, baranki i gołąbki. Posiadają oni dwie cechy, z których pierwszą jest ubóstwo, a właściwie nędza. Skoro p. Konopnicka ze swej lutni zacznie wydobywać dźwięki sielskie, to już z góry wiadomo, co tam dalej będzie; wieśniak u niej nigdy nie ma „świty całej,“ po chacie regularnie wiatr hula rok cały, a panowie i księża tak chłopka ze wszystkiego ogołocili, że nawet gwiazdy na niebie pozabierali.

„Świecą gwiazdy świecą
„Na wysokim niebie...
„Jeno nie myśl chłopie.
„Że to i dla ciebie!
„Ta jasna z tysiąca
.....
„To pana ze dworu
„A niżej ta druga
.....
„Proboszcza naszego
„A trzecia... organisty.

Pomimo wszystkiego jednak, klasa niższa jest zbiorowiskiem cnót wszystkich i to druga jej cecha w poezjach p. Konopnickiej, a jeśli zdarzy się czasem, że zmęczony wyrobnik, za-

miast do domu idzie do szynku, to czyż on temu winien? Oczywiście winni panowie i księża.

„Lecz gdzież są drogi, na którychby duchy
„Dwóch sfer odmiennych schodziły się spotem?
„Czyliż zwyczaje, jak więzów łańcuchy,
„Każdej z nich ciasnem nie zamknęły kołem)
„Przedmiotem czyjej troski i narady
„Jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku?
„Czyliż więc dziwno, że wyrobnik błady
„Postać, podumał i poszedł—do szynku. („Sobotni
wieczór“ Wybór poezyj,—Gebethner, 1890 r.)

Oprócz cnót wszystkich, ubodzy bohaterowie naszej poetki mają jeszcze rozwinięte niezmiernie delikatne poczucie piękna w naturze. Czytać tylko jak to tam dziewczęta i parobki rozprawiają o szczebiocie ptaszków, o ćwierkaniu świerszcza, o mgłach nad pastwiskiem, o zorzy i blaskach słonecznych; — prawdziwa zazdrość powstaje w duszy i chciałoby się u jaśkółki skrzydeł pożyczyć i polecieć w te strony dalekie, między tych chłopców idealnych, co wskrzeszają złoty wiek Saturna i arkadyjską idyllę. Szkoda tylko, że oni podobno tę samą zamieszkują krainę, co pasterze i pasterki z Galatei Cerwantesa i Estelli Floryana. Albo jaka to mądrość prawdziwie nadludzka wśród nich się zdarza! Dzieci przyszły do dworu z szopką, a najmłodsze chłopię „dziecko drobne“ gdy starsi śpiewali rozmyślało sobie:

„czemu to mój Boże
„Choć Chrystus przyszedł. tak źle jest na świecie?

„I czarnej mąki garść tylko w komorze?

„I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?

czemu jego na książce nie uczą i czemu ludzie bladną w przednówek i czemu „jak żyw“ nie pamięta aby ze dworu do chaty kto przychodził i mówił: „bracia Chrystus się narodził“ ... I pomyśleć, że nad tem medytuje drobne dziecko „z stopami bosemi“ — na śniegu! To też świetną przyszłość obiecuje poetka siwej siermiędze „prześiąkłej potem i zdartej“ bo kiedyś gdy *rozblękitni* się w sobie wiek stońca (coby to był za wiek trudno odgadnąć),

„O tej siermiędze mówić będą w świecie

„I zwać jej dzieje ludu epopcją

„A my ją wśród skarbów i pamiątek
chować będziemy — I oblewać łzami“ (Chłopskie serce).

Istnienie występku i środki zapobieżenia jemu, zawsze zajmowały umysły myślące; p. Konopnicka nie pominęła tego przedmiotu i podała lekarstwo nadzwyczaj skuteczne i proste Przed sądem staje dziecię sierota, oskarżone o jakiś występki. Sędzia nie wydaje wyroku, tylko patrzy na różne dziwne rzeczy, snujące mu się przed oczyma, o których poetka ze zwykłą swadą szeroko rozpowiada. W końcu wstał, dotknął płowej dziecka głowy „i rzekł: pójdź

dziecię! ja cię uczyć każe“¹⁾. Poetka nie wymienia wprawdzie, czego uczyć; ale, że umiemy na pamięć cały program liberalno-postępowy, toć już wiemy, że „czytać.“ Innym razem wprowadza p. K. na scenę występłą matkę z dziećciem i długo łamie sobie głowę nad tem „Co (ona) pocznie“ — i żeby się tego dowiedzieć zadaje czytelnikowi mnóstwo pytań jedno od drugiego ciekawszych. Czy owa matka pójdzie prosić rosy, aby żywiła sierotę, lub jasnego miesiąca o rąbek na okrywkę, a gwiazdy by je strzegły,

„Czy załamawszy ręce, jak Niobe

„Tu skamienieje,

„I stać tak będzie, aż wieku chorobę

„Wyleczą dzieje ..

„O myślicielu co pocznie ta matka?

„To drobne dziecię?

No wiadomo, co pocznie, a najpierwej nie będzie stała załamawszy ręce, bo zamiast „dziejów“ doczekałaby się różnych — nieprzyjemności. My wiemy, co ona pocznie, nie wiemy tylko dlaczego autorka zadaje tyle pytań kiedy ma lekarstwo na wszystkie występki równie skuteczne jak balsam Fierabras'a w Don-

¹⁾ „Przed sądem“ — *Wybór poezji*, — Gebethner, 1890 r. Warszawa

Kiszocie na wszystkie rany — kazać zatraconą kobietę nauczyć czytać — i kwestya rozwiązana.

Kwestyą kobiecą p. K... zajmuje się mało bo tylko w wierszu „Do kobiety“ tłumaczy, co znaczy wyraz „kochać“, mianowicie, że to nie tylko przyjemność, ale też i obowiązek. Myśliciel i filozof nie mogą pominąć faktu tak olbrzymiego jak istnienie i rozszerzenie się Kościoła, poetka więc pozytywna, oczywiście zwróciła na niego uwagę. Tu jednak pozwoli sobie zboczyć chwilowo na stronę i przytoczę parę ustępów znowu z bajki, ale na ten raz duńskiej. ¹⁾ Koń królewski otrzymał złote podkowy, a otrzymał je za to, że razem ze swym panem walczył i życie mu w bitwie uratował. Zaledwie mu je przytwierdzono, ze stajennego gnoju wylazł żuk i wyciągnął swe cienkie łapki. Czego chcesz? zapytał go kowal? Złoty podków, odrzekł, albożem to gorszy od tego dużego bydłęcia, które karmicie, czyścicie, pieścicie, albożem i ja nie z tej samej stajni? Wynoś się coprędzej, odburknął mu rzemieślnik. Żuk obrażony wyleciał i siadł w ogrodzie kwiatowym wśród róż i lawendy. Czyż tu nie ślicznie? mówiło młode

¹⁾ Podługniemieckiego tłumaczenia *Andersen's sünmmliche Märchen. Der Mistkäfer.*

kurczę. Jak tu pięknie pachnie!—Ja do lepszego przywykłem odparł żuk. Cóż tu pięknego? wszak tu niema najmniejszej kupki gnoju. Poszedł dalej i znalazł się w cieniu lewkonii; pełzała po niej gąsiennica i mówiła: Jaki świat piękny! jak ciepło na słońcu .. i ja gdy zasnę i umrę, jak oni to nazywają, to znowu się potem obudzę, będę miała skrzydła i będę motylem. Nie wyobrażaj sobie byle czego, mruzczał żuk, u nas w stajni nikt, nawet koń, co z moją krzywdą nosi złote podkowsy, o lataniu nie myśli. Dostanę skrzydeł—jeszcze czego?... Potem żuk upadł na łąkę. Gdy na niej siedział, spadł deszczyk, orzeźwił powietrze, a dwie żabki, wdychając z rozkoszą wilgoć, mówiły do siebie: jak świeże powietrze, jak zdrowe! Chciałabym też wiedzieć, czy jaskółka, co przecie ciągle lata, znalazła gdzie zdrowszy klimat niż u nas? A byliście w stajni? zapytał żuk, tam to wilgoć ciepła i pachnąca! Do tegom też przywykł... niema tu gdzie grządki z nawozem, gdziebym mógł odpocząć jak u siebie w domu? Potem dostał się nasz podróżny do cieplarni, gdzie pożądaný nawóz znalazł w końcu, a przespawszy się, zobaczył pyszne palmy, kwiaty czerwone i żółte, pełno słońca przebijającego się przez zieleń egzotycznych krzewów. Co zaniezrównany przepych, mówił do siebie, jakie to wszystko będzie pyszne i smakowite... gdy zgnije.

Są pisarze, historycy czy poeci, mniejsza o to, którzy widząc innych uwiecznionych lau-rami zasługi, wyciągają także ręce po nagrodę zasłużonych, a gdy od nich zażądadają plonów, wylatują na pola i niwy dla ich zbierania. Bardzo chętnie i często puszczają się na pole historii chrześcijan. Myślicie zapewne, że ich zachwyci purpurowy kwiat męczenników świętych, lub czyste lilie, kwitnące w ogrodzie dziewictwa, a przynajmniej cichy i pracowity żywot tych milionów, co pod znamieniem Krzyża, przeszły przez życie z ręką na plugu? — o bynajmniej! Pomijają to wszystko obojętnie i pytają tylko, a niema tu gdzie chochy małej kupki nawozu? Może ich zajmą szczytne cele przez wiarę Chrystusa opowiadane, myśl o przyszłym życiu, przemienienie i uszczęśliwienie człowieka — i to nie. Co? latać? Co? skrzydła? — „u nas w stajni nikt o tem nie myśli“. Ani apostołstwo, ani oświata, ani cywilizacya tylko w cieniu Krzyża żyjąca, ani sztuki, ani walki Kościoła — nic ich uwagi nie zwróci, latają i szukają „grządki z nawozem“; a że Kościół składa się z ludzi, więc nic dziwnego, że znajdą czego szukają. Dopieroż radość! — nuż się w występkach ludzkich rozkoszować, wydobywać coraz nowe szczegóły, rozdymać i dopełniać fantazyą własną, pewni, że skarby znaleźli.

Za takimi historykami poszła p. Konopni-

cka. Rzuciwszy okiem na 19 wiekowe dzieje Kościoła, znalazła w nich tylko cztery chwile godne jej uwagi i... rymów. Pierwsze trzy stanowią treść „Fragmentów dramatycznych“. Składają się na nie losy Hypaty, pogańskiej filozofki, zabitej w Aleksandryi w czasie jakiegoś buntu pospółwa za Teodozyusza; Wezaliusza lekarza skazanego na pokutę, przez inkwizycję hiszpańską, za wykopywanie trupów z cmentarza i oczywiście niezbędnego Galileusza. Pierwszych dwoje poetka uśmierciła, tę jedną zostawiając im pociechę, że się przynajmniej nagadali przed śmiercią. Czwarty fakt — to losy Husa. Na widok obrazu Brozika poetka „zapłonęła ogniami oburzeń, które ją ogarniały gdy odtwarzała niedolę Hypaty, Wezaliusza i Galileusza i wybuchnęła namiętnym wykrzyknikiem: „O Rzymie! czyś syty?!“ (T. Jeske Choiński).

Pomijam inne mniej ważne zadania a przechodzę do kwestyi cierpienia. Któż go nie zna? kto nie zastanawiał się jak go uniknąć, z kąd ono i na co? Tomy zapisano w tym przedmiocie. P. Konopnicka i tutaj wniosła zwyczajną sobie prostotę w rozwiązywaniu wielkich zadań i krótko a węzłowo zawyrokowała, że przyczyną cierpienia — Bóg! Czy deszczu niema i posucha ziemię trapi, czy chłop żonę bije, czy chłopca czytać nie uczą, wszystkimu Pan Bóg winien. (Przykładów nie przy-

taczam, bo ich pełno w „Poezyach“). Pogląd to zapewne dość oryginalny, ale nie zupełnie nowy. W zapomnianej dawno książce znalazłem przekonania bardzo podobne. ¹⁾ Autorka jej, bawiąc w Paryżu, miała kucharkę która o sobie mówiła, że była przedtem „jedną z kobiet wolnych pana L'Enfantin*. ²⁾ „Gdy się jej raz zapytała, czemu nigdy w kościele nie bywa,—Wolno Pani kochać swego Boga, odrzekła,—która cały dzień z książką w ręku na miękkiej przeciągasz się sofie; masz racyę może Boga miłować. Ja zaś, zmuszona cały dzień na kawałek chleba pracować, nie mam za co ani go chwalić, ani mu dziękować i dlatego do kościołów nie chodzę.—To prosz, żeby ci lepiej było. — Gdyby on był dobry, toby na prośby moje nie czekał. Gdyby był sprawiedliwym, toby nie stwarzał tak głupiego świata na którym jedni tylko się bawią, a drudzy służyć i pracować muszą, lubo tyle jedni, co i drudzy warci.

Nous autres, co nie jesteśmy z rozumu obrani, widzimy jasno, że tu wszystko źle i bez sensu idzie...“ Ależ to zupełnie jak u p Ko-

¹⁾ Wspomnienia moje o Francyi (1839 r) przez Ł. z. G. R. str. 24.

²⁾ Założyciel sekty socjalistyczno-komunistycznej

nopnickiej, która tegoż samego jest zdania, a co więcej z pewnością wie, że

...„Bóg ma też noce
„Bezsenne, w których na gwiazdach oparty
„Swe piorunowe gubi kędyś moce
„I patrzy cichy na świat ten rozdarty

.....
„I patrzy na to wszystko — i jest smutny

.....
„Bo nie o takich marzył nędznych skonach
„Dla róż i pieśni, dla ludów i duchów...

.....
„Bo nie o takich marzył on mogiłach,
„Co rosną zwolna ciche i milczące
„On, co rozbija światy w złotych pyłach

.....
„I wielkiej śmierci chce po wielkiem życiu. (Wy-
bór poezji z Fragmenty XIII).

Wobec takiego zawodu, takiej jak p. K...
powiada: „nędzy myśli Bożej“. cóż innego po-
zostaje, jak rządy świata i ziemi oddać w mi-
łosierne i doświadczone ręce... p. Konopnickiej,
która uroczyście zapewnia, że wtenczas dopie-
ro wszystko byłoby dobrze...

„O gdybym była Bogiem to każdemu
„Dałabym spokój i światło i zdrowie! (Nie dziw się).

Tak to daleko zajść można, kiedy się ma

mało siły a wiele pychy; a potem wszystkim
mówi poetka do dusz prostych i miernych:

„O gdyby nie wy, proste mierne dusze,
„Com was znalazła, jak się skarb znajduje,
„Cobym robiła w świata zawierusze
„Gdzie ten największy, kto najdalej pluje?

Zdaje się że dalej pluć niepodobna.

Tak więc p. Konopnicka, wcielając w rymy ideały i zasady swej szkoły, za pomocą krytyki rozproszyła ciemności i umysł jej znajduje się w pełni światła i prawdy; powinna więc czuć się spokojną i szczęśliwą, jak zwykle bywa z ludźmi, którzy znaleźli dawno szukaną prawdę. Gdy światło jutrzeńki nocne ciemności rozproszy, gdy słońce długo ukryte z za chmur się ukaże i odbije w milionach kropel rosy, ozłoci drzewa i góry i pola, jaka to radość w naturze! Od ptaszka do człowieka wszystko się cieszy i śmieje do światła,—jakże daleko pogodniej i weselej w duszy, która prawdę znalazła, bo w niej spokój i szczęście. Tak zapewne jest w duszy p: Konopnickiej! Postuchajmy jej samej:

„O nocy cicha, o nocy majowa
„Korony Boga błada, chłodna perło!
.....
„O miłościwą bądź!... zarzuć zasłone
.....

„Na wielką nędzę istnienia!
„Ja nic nie żądam, ja o nic nie proszę,
„Za wszystkie sny twe, za wszystkie rozkosze,
„Clenia chce tylko... ach cienia! (Noce letni
IV Wybór poezyj, wyd. Gebethnera 1890 r.).

„A przecież jutro, Ty wiesz o tem Panie,
„Uderzy w niebo płacz i narzekanie
„Ockną się krzywdy ludzkości...
„Czyżby nie lepiej było, już na wieki
„Położyć na te zamknięte powieki
„Śmiertelną pieczęć nicości? (ib. V.).

„Imię Twe, duchów uciszonych Boże,
„Zamknąć ust moich płonących nie może
„Jak pieczęć złota...
„I jedno tylko, jak śmierć smutne słowo
„Rzuca się na nie łuną purpurową:
„Wieczna tęsknota!

„Wy mi w skrzydła uderzcie, lasów wonnych szumy
„I niechaj ja zostanę wśród mojej zadumy
„Tak, jako zawsze byłam — smutna i samotna. (VII)

I tak ciągle, bez ustanku... Głęboki smutek i współczucie chwytają za serce, gdy się czyta te skargi wylane wierszem a tak szczere, boć przecie i autorka ich i tysiące jej towarzyszy, mogliby iść pracowicie po trudnej ścieżce życia, cierpieć i płakać, ale zarazem walczyć odważnie i pracować na wieczne szczę-

ście i odpocznienie, — mogliby mieć nadzieję i częste chwile spokoju i radości, a widząc zbliżający się koniec, ze spokojem żołnierza który „potykaniem dobrem potykał się“, zastosować do siebie prześliczny wiersz L. Veuil-
lot'a:

*Placez à mon côté ma plume;
Sur mon coeur le Christ mon orgueil
Sous mes pieds mettez ce volume,
Et clouez en paix le cercueil. ¹⁾*

Oni wybrali inną drogę i idą po niej ze skargą lub bluźnierstwem na ustach, z „tęsknotą wieczną“ i boleścią w sercu. I toż to są owoce dobre, które drzewo przez was sadzone przynieść miało? Do takich to rozkoszy wzywacie ludzkość, do takiego prowadzicie ją światła? Do takiego to dnia miał budzić niewiasty nasze (wydawany przed kilkoma laty w Warszawie) „Swit“ p. Konopnickiej?—Rzeknę wam to podobieństwo: „Lekarzu, ulecz samego siebie“. ²⁾ Pierwej pozbadźcie się pesymizmu, znajdźcie szczęście i spokój dla siebie, a potem już szukajcie prozelitów! W jednym ze swoich Fragmentów p. Konopnicka zapytuje tych, co „z zastygłą piersią i usty zimnemi, klękają dla zwyczaju na mogilnej ziemi“— „czy

¹⁾ „U boku połóżcie me pióro, na mym sercu Chrystusa mają chwałę, u nóg umieśćcie tę księgę i zagwoźdźcie trumnę w pokoju.“

²⁾ Łuk. IV, 23.

wy życie?“ Pozwolę sobie jej własnymi słowy przemówić i zapytać was, którzyście wszystko odrzucili by natomiast własne nieuctwo i pychę postawić, was, co od wieków ciągle obiecujecie, a zdołaliście tylko ziemię we krwi i łzach wykąpać, was co odejmujecie ludziom wiarę i rozum i miłość, a dajecie rozpacz i walkę o byt i samobójstwo — „czy wy żyjecie?“

„Och, mnie nad wami chwyta płacz nieutulony
„I chciałabym się modlić i kazać bić w dzwony
„I załamawszy ręce, stać po was w żałobie
„Jak głaz na grobie! ..

„Gdzie duch wasz? w jaką miłość, w jakie ideały
„Wcielił się ten najświętszy płomień życia biały
„Gdzie cel jasny, podniosły i wysiłków godny
„Dla jutra płodny?

„Gdzie ujście dla sił waszych? u jakiego zdroju
„Rzeźwicie wasze czoła i usta wśród znoju?
„Jakie hasło wam wrzawę powszednią przygłusza?
„Gdzie wasza dusza?

„Wy nosicie ją w piersiach, jak lampę zgaszoną,
„W brudnych popiołów pełnej popękanej urnie:
„A kiedy już na wieki zastygnie wam łono,
„Wy, wy—umrzecie powtórnie.“

Biedni, bardzo biedni ludzie! Nie będę jednak długo leż nad nimi ronił, bo mi śpieszno do pytania, które z pewnością i czytelników moich zaciekawi, mianowicie, jakie były źródła

dła i za pomocą jakiej metody zostały nabyte dowody i pewniki, które dały p. Konopnickiej tę pewność, jakiej brakowało nawet Pytyi na wieszczym trojnogu, choć brała natchnienie od samego Apollina? Zwracam na to uwagę, nie dlatego, by mi szło o samą poetkę, lecz że będąc odbiciem zasad całej szkoły daje dość wierny przykład sposobu, w jaki tam do religijnych przekonań swoich przychodzą. Zadanie to nie będzie zbyt trudnem, bo jak ciała dadzą się rozłożyć na elementy chemiczne, tak w każdym większem dziele literackiem dosledzić można *praeter propter* źródeł, z jakich ono powstało, choćby te nie zawsze cytowane były. Więc najpierwszem i najważniejszym źródłem krytycznych poglądów naszej poetki na życie i wiarę, była — wiara. Nie dziwcie się, czytelnicy mili! Już gdzieś wyżej wspominałem, że najczęściej używanym sposobem dojścia własnym rozumem do przekonań krytycznych, jest właśnie ślepo wierzyć... nie Ewangelii — gdzie by zaś! — nie Kościołowi, nie Bogu, ale temu lub owemu modnemu pisarzowi, albo jeszcze częściej temu, co o nim powie pismo przez krytyków czytane. Kto zna hasła i marzenia prasy nie-chrześcijańskiej, ten od razu w poezjach p. K... odnajdzie i bez wiela zachodu pozna, że poetka czytała, z prostotą gołębią w to wszystko wierzyła, a potem przenosiła do swych poezyj. pilnie tylko

na rymy i rytmy bacząc. W niektórych razach mogły być szczegóły czerpane z Encyklopedyi, lub jakiej specjalnej dysertacyi. P. Jeske Choński np. powiada, że o Hypatyi wzmiankuje J. Ch. Wolff, w „*Mulierum graecarum fragmenta*“. O Galileuszu i Husie „wie każda pensyonarka“. Innem źródłem pewności jest własna wyobraźnia i osobiste przekonanie. Jak wiadomo, metoda ta — nie wiem czy eksperymentalna — ma bardzo częste zastosowanie wśród ludzi przesiąknięch krytycyzmem. Więc też i p. Konopnicka na własną odpowiedzialność twierdzi np.

„Sobory nudzą Rzym, daję wam słowo!
„Więc bez obawy bądźcie dobrzy ludzie.

Ależ oczywiście, ktoby się tam już bał, po takim zapewnieniu! Miewa też poetka do usług swych inne jeszcze źródło pewności rzadko komu zresztą dostępne, mianowicie — widzenie bezpośrednie tego, co się dzieje w Niebie, a nawet na łonie Bóstwa:

„A ja wam mówię, że Bóg też ma noce
„Bezsenne...
„A ja wam mówię, że Bogu też szkoda
„Róży, gdy z liści osypie się cicha..”

Tak zapewne przemawiał Mahomet, gdy zsiadłszy z dobrej swej klaczy El—Barak, roz-

powiadał prawowiernym, co widział w raju w czasie ostatniej swojej w nim wizyty... Ha trudna rada, w obec takiego dowodu, pozostaje nam tylko pochylić czoła, i powtórzyć *mutatis mutandis* mużułmańskie... Mahomet Rassullach...

Bardzo często używanym, a bardzo krytycznym środkiem rozwiązywania filozoficznych zagadek życia jest u p. K... „rzucanie skarg i pytań w eter lub w błękity“ — przy czem poetka z niezadowoleniem zaznacza, że zwykle zostawały one bez opowiedzi. Niekiedy, dla większej skuteczności zapewne, pytania takie bywały rzucone w czasie przejażdżki łódką po bystrej wodzie np. po Dunajcu:

„Lecimy
„A fala żarem piersi mojej przenikniona
„Modrym słupem bryzgnęła aż w niebo, do Boga,
„Skrzytego za sklepieniem swoim tajemniczem.
„Za nią poleciał krzyk mój, pytaniem nabrzmiały
„I potrafił błękity i powrócił z niezem,..

Widzimy więc tu wielką różnorodność środków i sposobów naukowego wyjaśnienia zawitych pytań życia i dziejów; czy one są dostateczne, o to na teraz mniejsza; szkoda natomiast wielka, że p. Konopnicka, jak niezmierną większość z nią jednomyślnych, zapomniała o jednym jeszcze środku bardzo prostym,

skutecznym, a dawno znanym i zalecanym, bo jeszcze przez O. Elizeusza w Monachomachii.

I trzeba się uczyć — przeminął wiek złoty!

Tak, nauki, doświadczenia i umiejętności myślenia brak zupełny we wszystkich jej poetyckich wymyślaniach, gadaninach i deklamacjach — szkoda, wielka szkoda! Gdyby odrobina tych wzgardzonych przez wieszczkę rzeczy, toby się wiele w jej umyśle wyjaśniło bez spuszczenia się na odpowiedzi z błękitów i od tajemniczego niebios sklepienia. Więc najpierwej jaka taka znajomość historii nauczyła by poetkę, że szlachta i wszyscy stojący wyżej, lubo bezsprzecznie mają w swych dziejach bardzo czarne karty, ale też mają i jasne, jakich panujące od 100 lat, bezwyznaniowe mieszczaństwo nie ma chyba ani jednej. Gdyby znała trochę życie i historię, toby wiedziała, że ubodzy, wyrobnicy, wieśniacy, bardzo są dalekimi od tej idealnej doskonałości, jaką w jej wyobraźni jaśnieją. Poetka jest wiernem odbiciem bezwarunkowych chwalców ludu, a nawet jak Wiktor Hugo pochlebców najędźniejszego motłochu, którzy w ludzie widzą wszystkie doskonałości i do niego się ustawicznie odwołują w celach powszechnie już dziś znanych. Taka to już natura człowieka, że łatwiej pójdzie za pochlebcami, niż za głoszący.

mi wstrzeźliwość i pokutę. A jak „przyjaciele“ ludu, gdy nim zawładną, o jego interesach pamiętają, to powtarzam, rzeczą jest znaną, bo codziennie faktami ilustrowaną. Prawdą jest, że lud, zwłaszcza wiejski, jest dotąd prawie wszędzie jeszcze lepszym od swoich pochlebców, ale to dlatego tylko, że go oni jeszcze nie zdołali zepsuć i wiary pozbawić. Prawdą jest także, że klasy wyższe, zwłaszcza średnie, są zepsute i od ludu gorsze, dlatego właśnie, że przestały wierzyć i zmateryalizowały się. Prawdą jest także, że na wyższych i niższych stanowiskach ludzie są dobrymi, jeśli idą za Krzyżem i wypełniają istotę chrześcijańskiej moralności — zaparcie się samego siebie. Kto o tej cnotcie zapomniał, temu nic nie pomoże liberalno-pozytywne panaceum na wszystkie choroby moralne — umiejętność czytania i pisania.

Trudno doprawdy pojąć jak ludzie, nawet dobrej woli, łatwo dają się omamić najbardziej powierzchownym hasłem! Takim właśnie było (bo teraz podobno trochę się zużyło) — umieć czytać. Niewątpliwie rzecz to arcy pożyteczna, ale koniecznie trzeba dodać — „co czytać?“ jeśli np. taki chłopak przestępca jak w „Przed sądem“ nauczył się czytać, a potem pozna katechizm, żywoty i przykłady świętych i zacnych ludzi, jeśli nauczył się rzeczy potrzebnych do gospodarstwa lub rzemiosła — przyklasnąć tylko

można temu, kto go z takimi rzeczami zapozna. Jeśli jednak, umiając czytać, dorwie się np. poezyj p. Konopnickiej, czegóż się z nich nauczy? Oto dowie się, że panowie wszyscy są potworami i okrutnikami, że on znowu jest doskonałością przez wszystkich pokrzywdzoną, nawet przez Pana Boga, który sam to widzi. „żałuje“ i jest „smutny“. Wniosek wyprowadzi już on z tego sam i oczywiście że za obowiązek będzie uważał naprawić te pomyłki i krzywdy; a w jaki sposób lud taką poprawę przeprowadza, to pokazała Jacquerie, wojna chłopska w Niemczech, rewolucya 93 r., komuna 1871 r., i t. p., bo lud pozbawiony hamulca wiary, staje się tak okrutnym potworem, że tygrys, krokodyl, niedźwiedź i inne drapieżne bestye, gołąbkami są przy nim. Uniwersalnego lekarstwa swego p. Konopnicka nie chce zastosować do matki występnej, i najzabawniejsze zadaje pytania, żeby od czytelnika dowiedzieć się „co ona pocnie? Racya tego jest taka, że poetka staje się, delikatnie co prawda, promotorką bez wyznaniowej teorii, dążącej do zniesienia różnicy między związkami prawymi i nieprawymi, t. j. do zniesienia małżeństwa i rodziny. Zamiary jej wyznawców bardzo proste i jasne. Znieść przesąd małżeństwa, zdjąć pieczęć wstydu z dzieci nieprawych, dla tego żeby oni sami uwolniwszy się od nudnych obowiązków ojca ro-

dziny, łatwiej mogli — bawić się, a o dzieciach i matkach niech tam już troszczy się państwo czy społeczeństwo. W tem kryje się tajemnica ich nienawiści ku chrześcijańskiemu i prawnemu małżeństwu — jest ono w ich oczach głupstwem i okrucieństwem.

To też p. Konopnicka stara się roztkwilić słuchacza, wyliczając kłopoty matki, jej boleść i rozpacz, zastraszyć „myśliciela“ przypomnieniem, że takich „są tysiące“. Poznajemy dawnych znajomych w tych argumentach, wiemy też, jaki jest niedomówiony przez p. K... wniosek z tego wszystkiego. Oczywiście, zdjęcie z matki i dziecięcia hańbiącego znamienia. Coby jednak powiedziała poetka, gdyby jej zaproponowano np. zniesienie prawa przyciągania lub większej ciężkości ciała ludzkiego niż wody, i gdyby tę propozycję poparto patetycznym opisem strasznych cierpień człowieka, który upadłszy, potłukł się i połamał kości, przedśmiertnej agonii tonącego, płacz i nędzę jego rodziny — co by powiedziała, gdyby dodano argument, że takich jednak co roku giną tysiące? Gdyby zaproponowano, że ponieważ na zarazę giną tysiące, więc zaniechać trzeba wszelkiej z nią walki i niechby już do tych tysięcy i reszta się dołączyła? Nie wątpię, iż odpowiedziałyby: że im więcej złego, tem goręcej z niem walczyć potrzeba, że gdyby prawa fizyczne znieść można było, to wpra-

wdzie ludzie nie rozbijaliby się i nie tonęli, ale wszystkoby się w naturze rozprzęgło i zginęliby wszyscy. Toż samo byłoby, gdyby się spełniły żądania, za wstydlive echo których uważam: „Co pocznie?” Rozprzęgłaby się wtenczas rodzina i poetka nie znalazłaby kobiety, którejby mogła tłumaczyć, „co znaczy Kocham, to najświętsze słowo“.

P. Konopnicka uczy kobiety, że trzeba kochać męża, a kochając być mu towarzyszką i pomocą, pamiętać nie tylko na przyjemność i upojenie miłością, ale też i na obowiązki. Jest w tem wiele prawdy, ale nie cała prawda. Przyjemnie jest czytać, gdy kto ludzi do miłości nakłania, czy to małżeńskiej, czy rodzinnej, albo sąsiedzkiej; — miłość bliźniego w różnych jej rodzajach, jest przez Boga postawioną, bezpośrednio po miłości ku Niemu samemu i jednym z najsmutniejszych współczesnych widoków, jest bezsprzecznie wygasanie miłości w naszych społeczeństwach. Stają się one coraz podobniejsze do pogan, którym św. Paweł za jeden z najcięższych miał grzechów, że miłości nie mieli. Egoizm tak się rozszerzył, małżeństwo tak poszło w poniewierkę, że szczerze przyklasnąć należy temu, kto powie kobiecie (a oczywiście i mężczyźnie) że powinna kochać i pilnować obowiązku. Wszystko to dobre, a jednak — jednak i z tego utworu p. K... wieje niezdrowy powiew atmosfery w ja-

kiej się zawsze obracała. Wszystkie anty-chrześcijańskie teorie, czy one zwać się będą liberalnemi, czy postępowemi i bezwyznanio-wemi, mają to do siebie, że niestłuchanie zacieśniają widnokrąg człowieka. Z poniżeniem człowieka do rzędu zwierząt, a tembardziej ma-chiny, wszystko w nim staje się małym i nę-dznem. Takie właśnie skartłowacenie widocz-nem jest nawet w dobrych rzeczach jakie p. K... czasami wygłasza. Kobieta podług niej (i wielu innych zresztą), ma jeden tylko cel: wyjść za męż; — to dla niej jest alfą i ome-gą istnienia. Co najwyżej jeszcze pozwolą jej wychować — źle mówię — wychodować kil-koro dzieci; potem kobieta, jak samica termi-tów, po urodzeniu dziesięciu milionów mrówek, może spokojnie przenosić się „w błękitną mgłę przeszłości“.

Człowiek w tej teorii jest dla człowieka wszystkim a słowo „kocham“ jest dla tego „najświętszem słowem“. Ten zakres i tak już ciasny, p. K... jeszcze zacieśnia, przemawiając do kobiety jakoby, a w rzeczywistości do pię-knej tylko: Kobieto, ty piękna i ty uśmiech-niona! — Rozumiem jużci, że jest to tylko re-toryczna figura, ale gdy się czyta cały utwór napisany tak bardzo w duchu współczesnym, który lubi tylko to, co na zmysły działa, więc młode, piękne, puste, ustrojone mimowolnie chce się zapytać: a cóż mają robić kobiety, które

przystały być pięknymi, lub nigdy niemi nie były, których ust nie „rozchyla pustota“, lecz ściągnęła i wykrzywiła boleść? — co począć mają te, których nikt nie kochał i one nie mają nikogo, co poczną kobiety które wierzą i czują, że najlepszy mąż nie zadowolni ich serca w zupełności nigdy, które nie zapomniały prawdy katechizmowej, że po za miłością ziemską, choćby najszlachetniejszą, jest inna rzeczywistość „najświętsza“, jest koniec wspólny dla wszystkich ludzi pięknych i brzydkich, żonaty i bezżennych, mających rodzinę i siorot samotnych, dla kobiet i mężczyzn?

Jakże w obec tej kobiety puste, tego „motyla i kwiatu, poranku wiosny, śpiewnej ptaszyny“, inaczej wygląda kobieta chrześcijanka, która ma słowo świętsze, od „kocham“, kochanków i koniec wyższy nad miłość męża a nawet obowiązki matki?

Przytoczę tu jej wizerunek, skreślony mistrzowskim piórem Ludwika Veuillot'a; — malował go on z natury, bo ze swej siostry Elżbiety. Motylem i kwiatem ona nie była, bo brat gdzieś o niej powiedział, że miała „oczy anioła i plecy mularza“, a jeśli była podobną do brata, to była zupełnie brzydką — jednak więcej była ona wartą (raczej jest, bo żyje podobno dotąd), niż wszystkie „kwiaty, ptaszyny i motyle“ p. Konopnickiej. Naszkicuję tutaj, pisze do niej brat, twoje szlachetne i słodkie o-

blicze, upiększone w oczach naszych, jak i w oczach aniołów, przez troski, co przed czasem zmęczyły ciebie, któraś dla miłości Boga wyrzekła się służenia Bogu. (mowa tu o wstąpieniu do klasztoru), a kochając, odrywasz się od radości kochania. Ty nie masz w zupełności, ani pokoju klasztornego, ani pieczy o ubogich, ani apostołstwa w świecie i twoje wielkie serce umiało wyrzec się wszystkiego, co było wielkie i doskonałe, jak ono. Zamknęłaś życie w kole małych obowiązków, służąc bratu, zastępując matkę sierotom. Tam, jesteś jak najtroskliwsza małżonka i najcierpliwsza matka—oddajesz się cała, odbierasz za ledwo w polowie. Oddałaś młodość, swobodę, przyszłość; nie jesteś więcej sobą, ale tą, której nie masz — zmarłą małżonką, matką pogrzebaną. Jesteś dziewicą wdową, zakonnicą bez zakonnej zastony, małżonką bez praw, matką bez jej imienia. Ofiarujesz twe dni i czuwania dzieciom, które cię nie nazywają matką, i wylewałaś łzy matczyne nad grobami, które nie kryły twoich dzieci. A w tej pracy, tem zaparciu się i tych boleściach, ty szukasz odpoczynku i znajdujesz go, wspierając inne jeszcze słabości, pomagając innym cierpieniom, lecząc inne jeszcze rany! O, bądź błogosławioną od Boga, jak cię błogosławią serca nasze“. ¹⁾

¹⁾ Correspon. cyt. Cornut w *Louis Veillot*, 84. Siostra Ludwika Veillot'a po śmierci jego żony, opiekowała

*

Bardzo to nie podobny wizerunek do „wiosny poranków, śpiewnej ptaszyny“, ale chyba nie wielu wahałoby się w wyborze między tą a tamtą.

Jedną z najtrudniejszych i najmniej przyjemnych prac est bezwątpienia rozprawianie i wykazywanie omyłek człowiekowi, który rzeczy nie zna gruntownie, ale tylko słyszał o niej piąte przez dziesiąte. Taką pracę niewdzięczną ma każdy, kto chce rozprawiać o historii Kościoła z ludźmi, nietylko mającymi ku niemu niechęć, albo wprost nienawiść, ale o jego dziejach i losach wiedzącymi to i owo bez ładu i związku, przeinaczone, przekręcone, a do swej niechęci zastosowane. P. Konopnicka jak i cała jej szkoła, ma taką znajomość działalności i losów Kościoła, że dość trudno znaleźć jej równoważnik... Niezbyt dawno w jednym z dzienników spotkałem kilka wiadomości o Europie, wyjętych z geografii chińskiej. Podług niej Anglia, naprzykład, składa się z 55 wysp i leży tak blisko bieguna Północnego, że nic w niej dojrzewałoby nie mogło, gdyby nie spryt Anglików, którzy pod całym krajem pourządzali podziemne piece, połączyli żelaznymi rurami i tak uczynili go przydatnym dla rolni-

się dziećmi brata i wraz z nim oplakiwała śmierć trojga z nich.

ctwa. Kto zna historię naszego Kościoła ze źródeł autentycznych i ducha jej rozumie, a porówna z tem, co o niej myśli i pisze nasz ogół krytyczny, nie posądzi mnie o przesadę, gdy te dwie znajomości obok siebie postawię. Kiedy mowa z bezwyznaniowymi czyli liberalnymi krytykami o dziejach chrześcijaństwa, prawie zawsze, jedyną tylko życzliwą radę dać im można, tę samą, którą oni daliby chińskim geografom: zaczniście od początku. Sądzę, że Chińczycy pierwszej nauczą się rzeczywistej geografii Europy... Jak bo można mieć nadzieję porozumienia się, gdy kto, jak p. Kononicka, twierdzi że chrześcijaństwo

„Mnogie ustawy kreślił zadumany,
„Prócz jednej tylko ustawy — miłości.

albo jak ona w dalszym ciągu tegoż „Fragmentu“ nędze nieodłączną od natury ludzkiej i sprawy nieprzyjaciół chrześcijaństwa, zwala właśnie na chrześcijaństwo?... Jak bo tu porozumieć się z ludźmi, których płytkość rozumowania, połączona z namiętnością tak zaślepia, że co u jednego będzie białem, to w drugim nazwą czarnem?

Jednym naprzykład z najcięższych zarzutów czynionych kościołowi jest ten, że nie chce on do ducha czasu i nowożytnego postępu swojej moralności i dogmatów nagiąć; — dla-

tego każdy postępowiec, swe ćwiczenia stylowe niechybnie od urągania wsteczniectwu i skamieniałości Kościoła zaczyna. Pamiętamy jaka to burza w całej Europie szalała przeciwko Piusowi IX, za orzeczenie Syllabusa, że Kościół nie zgodzi się nigdy z terazniejszą, niechrześcijańską cywilizacją. Jeśli jednak ci sami krzykacze odkryją w historii Kościoła, że ten lub ów zwyczaj współczesny, prawo, teoria naukowa była przez ludzi kościelnych praktykowaną i przyjętą, końca niema zarzutom i szyderstwom. Aleksander VI Borgia np. jest u tych panów zawsze na ustach: „Kościół na którego czele stał taki Borgia“... (tu następują pioruny krasomówcze). Borgia rzeczywiście, nim został Papieżem, był obyczajów rozwiązłych, ale przyjaciele wyzwolonej moralności wolnej miłości, najmniejszego prawa nie mają do rzucania błotem na niego; — przecież on to robił, co wy panowie za dobre uważacie, więc chyba za to na niego piorunujecie, że do waszej doskonałości nie doszedł, a powtóre, on, prowadząc życie niemoralne, szedł właśnie za duchem swego czasu, rozpustnej epoki odrodzenia, jak szedł Rafael, Benvenuto Cellini, Franciszek I i *tutti quanti*, których pomimo to pod niebiosa wynosicie.

Galileusz nie schodzi nigdy z pola, jako dowód nieuctwa Kościoła i jego omylności. Połtepił go wszakże nie Kościół, ale kongregacya

rzymska; system Ptolomeusza nigdy nie był za dogmat ogłoszony, a powtóre prałaci rzymscy, właśnie szli w swym wyroku za duchem czasu i ogólnie przyjętem zdaniem naukowem. P. Konopnicka rzuca gromy na Rzym, za Husa, ale najpierw zapomniła widocznie, że spalił go cesarz niemiecki, a powtóre, że owe okrutne egzekucye i tortury, weszły do prawa europejskiego, razem ze wskrzeszonym prawem rzymskiem więc pogańskiem; że odrodzenie, a potem protestantyzm wzmógł ten kierunek nieszczęśliwy i że Kościół stosując się do niego, szedł tylko za duchem czasu. ¹⁾ Jakże więc pogodzić to potępienie Kościoła, za niestosowanie dogmatów do ducha czasu teraz, z potępianiem za stosowanie się w kwestyach obyczajowych, czy naukowych dawniej?

P. Konopnicka nie wie, czy kto kiedy chodził do ubogich chatek, by nauczyć jej mieszkańców „co godnem jest cześci“; zapytuje: „przedmiotem czyjej troski narady, jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku“; utrzymuje, że „gdyby Chrystus tu przebywał z nami, toby chodził ciemnymi nocami i zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy i tulił u swoich ołtarzy“; gorszy się wreszcie, że kościoły

¹⁾ Właśnie pod wpływem Kościoła te okrucieństwa ustały. Ostatni cios paleniu czarownic zadali księża.

zamykają się na noc „z litością i Bogiem“
Gdyby poetka zechciała kiedy wzrok swój o-
derwać od tych niedościgłych krain „gdzie nie-
skończoność w ciemnościach“ rządzi losami
światów, a spuściła go „na ziemskie nizkości“,
gdyby zaglądała idąc za radą O. Elizeusza,
do książki, do historii, toby znalazła bardzo ła-
two odpowiedź na wszystkie swe pytania. Prze-
konałaby się że we wszystkich krajach chrze-
ścijańskich byli ludzie, że nawet było ich bar-
dzo dużo, którzy chodzili do chatek biedaków,
ucząc ich co godnem jest cześci, ucząc kochać
nie tylko „zagon ojczysty“, ale, co daleko wię-
cej, bliźniego swego i co jeszcze więcej Pa-
na Boga swego; że byli ludzie których tro-
ski nieustannym przedmiotem było „znikcze-
mienie bliźniego w zwierzęcym spoczynku“;
że byli ludzie którzy w zastępstwie Chrystusa,
zbierali nędznych, głodnych i zziębniętych w cie-
niu ołtarzy jego; dowiedziałyby się, że nawet
teraz wszędzie są tacy ludzie, lecz że ich jest
mało, daleko mniej niż dawniej. Dlaczego zaś
mniej? tego by się także dowiedziała z histo-
ryi, która bardzo wyraźnie opowiada, jak się
to stało, że skargi p. Konopnickiej mają pewien
pozór słuszności. Przytoczę tu jeden przykład
z tysięcy, z bardzo wielu tysięcy. L. Veuillot
odbywał wycieczkę w góry na granicy Szwaj-
caryi i tak opowiada jeden z epizodów swej
podróży: ...„i słońce świeciło, gdyśmy sta-
nęły w progu domostwa. Nazywają tu „domo-

stwem“ resztki opactwa i starego pięknego kościoła, jedyne pomniki, jakie kiedykolwiek istniały w tej dzikiej okolicy. Mnisi tutejsi zasadzili dolinę, upiększyli ją, ucywilizowali—i z tego miejsca usunięto ich. Nie lud ich wygnał; on się tej roboty nie podejmuje. Lud tamtejszy był rzeczywistym właścicielem dóbr opactwa. Księża uczyli go, karmili, dawali mu ziemię na długie terminy i na mały czynsz. Kto miał powołanie do nauki i modlitwy mógł przywdziać habit zakonny i stawał się ze swej strony właścicielem dóbr najmowanych jego rodzinie. W owe czasy czynszu nie podnoszono nigdy. Z miast sąsiednich przyszło kilku filantropów postępowych — i ci wyzwolił ten lud nieszczęśliwy. Wyzwolili go z wielu upokorzeń: najpierw z upokorzenia niskich czynszów; następnie z upokorzenia, że mnisi byli ich właścicielami, mnisi nauczycielami, doradcami i sędziami, że ich wujowie, synowcowie, dzieci byli także mnichami. Odtąd za wychowanie, za sprawiedliwość, bezpieczeństwo, za to wszystko co dawniej mieli darmo, teraz chłopci miejscowi musieli płacić, jak wolnym ludziom przystało. Jeżeli za co płacić nie mogli, mieli zaszczyt być tego pozbawionymi. Opactwo to dość długo miało prawa zwierzchnicze, jego wassale, obrońcy kantonu, nie płacili podatku i byli wolni od wojska. Otwarto im szlachetną karierę broni i przysłano po-

borcę. Ozdoba i chwała ich doliny piękne opactwo, zbudowane ze szlachetnych rzeźbionych kamieni, zostało zniszczonem i ogołoczonem. Potężny dzwon kościelny—na stopienie! Obrazy i posągi — tandeciarzom! Ubiory tkane z jedwabiu, srebra i złota—Żydom, albo do błota! Przelano na sztaby monstrancję i naczynia święte. Organy które śpiewały dnia każdego, przetopiono na łyżki cynowe. Piękne stare księgi, zbierane zewsząd przez wieki całe, podpaliły chwalebny stos ułożony ze stalli i konfesyonałów rzeźbionych ze starego dębu, czarnego jak heban. Obrzędy religijne w dni Pańskie i w dni świętych jego, śpiewy, procesje po górach, błogosławieństwa, odpoczynek, wszystko to zastąpiły zebrania gwardyi miejscowej. Okolica nie znała ani jednego pijaka, ani jednego żebraka, ani jednego łotra. Teraz jest tego wszystkiego dosyć... A ileż większe jest spustoszenie w duszach! Ile głów pochylonych, ile serc obciążanych ile myśli głucho zbuntowanych, gdzie zazdrość i nienawiść fermentują w ciemnościach!“¹⁾). Historia, gdyby ją nasi krytycy czytać chcieli i umieli, dostarczyłaby im setki tysięcy podobnych przykładów i wtenczas przekonaliby się może, że nad tem, by lud był bez oświecenia i pociechy, by ołtarze pańskie były

¹⁾ Ça et là. t. II. Ruine.

„w obec łez nieme“—by nie było komu zbierać zziębniętych i głodnych, ani doradzić wyrobnikowi, by nie szedł do szynku; że nad tem wszystkim pracowali zwolennicy „wolnej myśli, nieprzyjaciele zabobonu, przyjaciele zdrowej zmysłowości“ i jak się tam oni jeszcze nazywać chcieli, ci wszyscy słowem wrogowie chrześcijaństwa, których niefortunną rzeczniczką jest właśnie p. Konopnicka.

Niezmiernie ciekawej i pożytecznej dokonałby pracy, ktoby wyszedził i wykazał, jak wszystkie pseudo-postępowe teorie wpływały na ciemnotę ludu i jego zubożenie, burząc w krótkim czasie długą pracę chrześcijaństwa i zaprawdę jednym z najwidoczniejszych znaków jego Boskiego pochodzenia jest fakt, że pomimo tylu przeszkód, tylko tam gdzie on jest, los słabych powoli się polepsza, a przynajmniej nie cofa do stanu ludów pogańskich. Mówiąc tak mam nie tyle jeszcze na myśli takie źródła nędzy i pauperyzmu jak np. ograbienie wszystkich fundacyj dobroczynnych w dzisiejszej zjednoczonej Italii, jak danie „wolnej ręki wszelkim żydowsko-giełdowym grynderstwom, krachom i t. p., środkiem wysysania ubogich, ale właśnie wpływ „nowoczesnych postępowych pojęć“ na sam lud.

Nieraz, czytając o tem, że np. Św. Franciszek z Assyżu uczynił był wotum nigdy nie odmawiać, gdy go kto prosił „dla miłości Bo-

skiej“, lub Duns Scot—, w imię Maryi“ myśla-
łem o tych czasach z podziwem i zazdrością,
nie tyle ze względu na owych błogostawionych,
ile na stan ówczesnego społeczeństwa, a zwła-
szcza ubóstwa. Widocznie nędza nie była tak
wielką, widocznie stan moralny nawet nę-
dzarzy był jeszcze tak dobry, że święci mo-
gli podobne śluby czynić i dotrzymywać;
widocznie uczciwość ogółu była jeszcze tak
wielką, że nie nadużywano rzeczy najświętszych
dla otrzymania jednej „dyski“. Niechby kto
teraz spróbował czegoś podobnego, to gdyby
był samym Jayem Gouldem (znany bogacz
amerykański) do dwóch miesięcy straciłby swo-
je miliardy, takby jego wotum wyzyskano.
Chęć używania, wstręt do pracy, lekceważenie
wszystkiego w obec perspektywy kieliszka wód-
ki i wesołej godziny w knajpie, wszystkie te
owoce przekonań „postępowych“ (zbyt zna-
nych bym je potrzebował przypominać), po
zdjęciu hamulca „klerykalnych zabobonów“
o cnocie, piekle, Niebie i innych niedorzeczno-
ściach, najpiękniej się rozrosły i wybujały na po-
dziw. Lud XIX wieku, o ile zdołał sobie jego
„zdobycze“ przyswoić, z pogardą i wstydem
myślałby o zacofańcach XIII i XIV wieków, —
gdyby czytał historię. O tej przemianie mógł-
bym niejedno z własnego doświadczenia opo-
wiedzieć. Jak każdy kapłan, ciągle się stykam
z ubóstwem i nędzą. W tem jednak co chcę

powiedzieć nie mówię o ubogich rzeczywistych miejscowych, znanych, ani o zwykłych żebrakach i kalekach, lecz o różnych ofycyalistach bez obowiązku, córkach mających chore matki, matkach, co w domu córkę na katafalku zostawiły, (leżą tak po lat 15 i 20), ojcach sześciorga (nigdy mniej), dzieci, szwaczkach nie mających maszyny do szycia, kandydatach do seminaryum i zakonnego życia, a szczególnie przeróżnego rodzaju podróżnych którzy tak licznie miasto nasze nawiedzają, jak gdyby wszystkie drogi od Chabarówki nad Amurem do Lizbony nad Tagiem, od Batumu do Londynu właśnie przez nasz Ż... przechodziły. Podróżni ci zwykle bywają okradzeni w Berdyczowie i z wielką biedą dowlokłszy się do Ż..., tu jako w porcie niezawodnym wszelkich rozbitków, szukają środków do dalszej podróży. Tego rodzaju, a raczej tych rodzajów ludzi, najskromniej licząc odwiedza każdego z nas rocznie 150, więc przez 25 lat mego pobytu w Ż... miałem takich gości co najmniej 5,000. Przysięgało się to wszystko i zaklinało tak, że niczem przysięgi młodzieńca w Świteziance—straszno było słuchać. Bóg, N. Pana, Sakramenta, relikwie, spowiedź wszystko było wzywane na świadectwo i dla poruszenia serca. Nieraz, zwłaszcza z początku starałem się sprawdzić, co mi mówiono; otóż w rezultacie pokazało się, że przez 25 lat ani jeden,

literalnie ani jeden z tych rozbitków, których sprawdzić mogłem, prawdy mi nie powiedziały. Wszystkie przygody zawsze były zmyślone, jedna podróż była rzeczywistą i ta w samej rzeczy odbywała się przez długie lata, ale w obrębie naszego miasta — od szynku do szynku.

Tu przychodzi mi na myśl oryginalna skarga p. Konopnickiej, że kościoły zamykają się na noc „z litością i Bogiem“ — racje tego braku miłosierdzia zbyt są jasne, żeby je mógł obalić wybryk chorobliwej niechęci; pomiędzy niemi jest jednak jedna, którą poetka mogłaby sama wypróbować. Ponieważ księża, kościoły, ołtarze „twarde serca i pierś zimną mają“, niechby ona sama nietylko serce, ale i drzwi swego mieszkania otworzyła dla tych, którzy mogą „bez dachu zmarznąć przed kościołem“. Po parze tygodni, mogłyby już one stać otworem całą dobę, bo niewinne baranki wyniosłyby z mieszkania wszystko, nie zostawiwszy właścicielce nawet „zgrzebnej, nędznej, poszarpanej siermięgi“, którąbyśmy mogli potem „zawiesić wśród naszych skarbów i pamiątek — i „oblewać łzami“ (Wybór Poezyi—Gebethner 1890 r.).

Niezmiernie zajmującym i przejmującym razem jest śledzenie tego, jak przeciwnicy wiary dają sobie radę bez dogmatów, które odrzucili i jak w czyn wprowadzają zasady, jakie natomiast sami wymyślili. Nie trzeba po-

wtarzać, że wszystkie owe próby wypadają bardzo niefortunnie, stąd ciągle zmiany, ciągle próby i nieustanne obietnice: — „teraz to się trochę nie udało, ale poczekajcie nieco, następny raz z pewnością będzie dobrze, byleście tylko nie wrócili do przebrzydłych zabobonów klerykalizmu i wstecznictwa“. I biedni ludziska czekają. Skoro pod innymi względami tak ciężko idzie, to w kwestyi cierpienia ludzkiego jest zupełne rozbitcie się. My, wierzący, wiemy i rozumiemy rolę i przeznaczenie cierpienia. Jest ono dla nas karą, jest próbą, środkiem oczyszczenia i udoskonalenia, ochroną od złego i naprawą, pracą i zarobkiem na szczęście wiekuiste bez miary bez końca i bez granic. Wierzący, jak każdy człowiek lęka się boleści, ale ją przyjmuje, ale nie rozpacza, bo wie, że ani jedna łza nie będzie nieotartą, ani jedna przykrość nie nagrodzoną jeżeli nie w tem życiu, to z pewnością tam gdzie nie będzie „ani śmierci, ani płaczu, ani wołania żadnego“.

To też pomni na to chrześcijanie, cierpią, ale idą mężnie naprzód, a im lepszymi stają się uczniami Chrystusa, tem lepiej pojmują znaczenie cierpienia w życiu ludzkim i zdołają wśród kolców dopatrzeć i ocenić miłość nieskończoną, o jakiej serce ludzkie marzyłoby nie śmiało. Dlatego ludzie heroiczni i święci tak niegdyś pragnęli cierpienia, jak my słabi i zwyczajni pragniemy uciec od niego. Chrześcija-nizm, i on jeden tylko, tłómaczy nam zagad-

kę cierpienia ludzkiego, ale jak je tłómaczą poganie bezwyznaniowcy? Jak rozwiązać zagadkę, że po śmierci niema nic, a za życia męka i boleść? Prawdziwe przerażenie i zgroza bez nazwy przejmuje serce chrześcijanina, gdy się na chwilę za pomocą wyobraźni w tem położeniu postawi—bo innego wyjścia nie widzi jeno kałuża lub rozpacz. P. Konopnicka rozwiązuje tę kwestyę w sposób prawdziwie kobiecy, (tak samo zwolenniczka L'Eenfantine'a), zwalając winę na Boga. Myśliciel, (jak się poetka wyrażać lubi), powiedziałby, że skoro się wierzy w Boga, to niema czego desperować—sprawiedliwości stanie się zadość, bo jeśli p. K. ma litość i miłosierdzie, to Stwórca jej i całego świata ma jej więcej, jako źródło tych uczuć. Ale p. K. pojmuje Boga zupełnie po pogańsku. Potrzebny On jest na to tylko, by budził róże ze snu, by dawał wzrost zbożu i trawom, by zsyłał deszcz i słońce, rozdzielał zdrowie, chleb i pieniądze; — nigdzie najmniejszej wzmianki czy śladu wiary, że On jest końcem, nagrodą i szczęściem ludzi.

To też ponieważ pani Konopnicka zapomniała w praktyce o życiu przyszłym i rzeczywistym celu człowieka, ponieważ pojmuje życie po pogańsku, więc też pod ciężarem cierpienia wije się, jak poganie wszystkich czasów, bluźni i rozpacza. Oto w jaki sposób pociesza strapionych:

„Nie płaczcie smutni! Ach czy wy myślicie
„Że tam wysoko w tym cichym błękitcie,
„Jęk wasz odbity od gwiazd złotych proga
„Zakłóci spokojność Boga?

.....
„Czy wy myślicie, że ust waszych skarga
„Jakieś marzenie wieczności potarga,
„I że rozdźwiękiem bic będzie w błękity
„Aż Bóg się zbudzi ukryty?

„Och, świat zbyt wielki! wy na nim zbyt mali!
„Choćbyście łzami krwawemi płakali
„Nic się nie wzruszy i nic się nie zmieni
„W wiecznej pogodnej przestrzeni!
(Wybór poezyj Gebethner — Warszawa 1890).

I znowu zapytam: więc to do takich rezultatów doszliście o tytany, orły, olbrzymy, coście potargali więzy myśli ludzkiej, coście ludzkość wyzwolili z przesądów, nieuctwa, zacofania, taką jest jasność przez was obiecywana, takie szczęście i taka pociecha? Och, nim w błocie używania utoniecie lub od tego szczęścia umkniecie przez drogę kuli czy stryczka, pomimo najnowszych zdobyczy nauki prawdy krytycznej i t. p. pięknych rzeczy, wy nie zdołacie rozwiązać pytania tak żywo obchodzącego wszystkich, wy nie potraficie nieść ciężaru życia, lecz wijecie się z bólu i niemęzkie skargi ślecie ku Niebu i wywijacie zaciśniętą pięścią ku temu Bogu, któregoście się przecie wyrzekli. Nie tak cierpią chrześcijanie. Przykła-

dów mógłbym znaleźć miliony w dziejach wielkich wyznawców wiary Chrystusowej, lecz wolę przytoczyć jeden wyjęty ze wspomnień o kobiecie, cichej pokornej i nieznannej. Babka autora wspomnień tych mieszkała nad Rabą, która 1813 roku tak wezbrała, że całą wieś zalała „Dwór na bocznem wzgórzu zbudowany, jeszcze nie był zalany, acz woda już do bramy podwórza dochodziła. Kto przeto mógł, do dworu się chronił. Oficjaliści, pragnąc jak najwięcej ludzi wyratować, sporządzili z drzewa tratwy, koryta poprzerabiali na łodzie... a uzbrojeni w osęki, puszczali się na to szerokie morze rwącej powodzi i dopływając do domów, zbierali pogrążonych już w rozpacz mieszkańców... Dom cały był już pełnym a do sali jadalnej zniesiono dzieci i tam troskliwie opatrywano. Poczciwa klucznica dowodziła tym oddziałem... Woda coraz się więcej piętrzyła i zajęła już oficynę, a do kuchni, pod przyciesią otwór wyrobiwszy weszła... Jeden z oficyalistów, z wyrazem rozpaczki wszedł do pani domu staruszki, prosząc ją, aby się schroniła na górę w kaplicy, gdzie on już, dla niej i dla kilku osób pomieścić się mogących, łoża i żywności przygotował... — Nie — rzecze babka — chcę podzielić z wami wszystkimi grożące niebezpieczeństwo i śmierć nawet, jeżeli ją Bóg na nas dopuści. Będąc waszą panią, mam też obowiązek być waszą matką, a matka dzieci

swoich w nieszczęściu nie opuszcza. Zostane przeto z wami, poddając się z pokorą Boskim rozporządzeniom. Służba przybiegłszy donosi, że woda jest już w ogrodzie, a klucznicza leżąc u nóg swej pani prosi, aby usłuchała rady życzliwej... Ksiądz, (kapelan domowy) modli się i siedzi w sali jadalnej, jakby się jego wcale ta scena nie tyczyła. Wpadł więc jeden z domowników do niego i zaklinał, aby z mocy powagi kapłańskiej, zmusił panią do przyjęcia ofiarowanego jej ratunku, lecz ksiądz odpowiedział, iż namawiać lekkomyślnie do poświęceń i czynów heroicznych nikogo nie chce, ale odradzać dzieł zasługę wieczną przysparzających nie może. Woda wciąż przybywa i już od strony Wisły dom był otoczony, a tylko część przednia na podmurowaniu i ganek był wolnym; w podwórzu zaś mały pozostał pagórek, na którym się jeszcze trawnik od powodzi nie zajęty zielenił. Babka wyszła z pokoju i przywoławszy księdza kapelana, uroczyscie mu oświadczyła, iż chce dzielić los wszystkich mieszkańców. Ksiądz kapelan skinieniem głowy potwierdził to postanowienie, dodawszy: „Bóg ci to, pani, policzy“. Wtenczas babka zapytała kapłana, czyliby nie był czas przyjąć ogólnego przynajmniej rozgrzeszenia i mówić litanie konających i psalmy pokutne? Ksiądz odrzekł, iż zapewne chwila stanowcza się zbliżyła, bo już podobno woda przerywa

świeżo usypany wałek i robotnicy z tego miejsca odbiegli.

— A więc dobrze, mój Ojczy, raczże wdzwonek kapliczny zadzwonić, aby się ludzie zgromadzili, abyśmy wszyscy na tym trawniku stanawszy, oczekiwali razem wyroków Opatrzności.

Ksiądz kapelan powyżej kostek brnął w wodzie, dostał się do kaplicy, zadzwonił. Wszyscy się zbiegli, a otoczywszy babkę moją, postępowali za nią na ostatni już wolny od wody trawnik. Uklękniono na ziemi, a gdy z kapłanem psalmy odmówili, zaczęła się litania za konających. Tę ostatnią modlitwę odmawiały kobiety ze łkaniem i przerażeniem, a niektóre z rozpaczą... Po chwili milczenia już ksiądz kapelan otwierał książkę dla odczytania formuły ostatniego rozgrzeszenia, kiedy woda przedarłszy się naraz i przerwawszy w kilku miejscach usypany wałek, pokryła za jednym fali podskokiem całą murawę, gdzie klęczano. Popłoch się robi, niewiasty krzyczą i chcą uciekać, ale że wszędzie głębiej niż na pagórku, przeto wracają, zanosząc się od płaczu. Woda była już blisko kolan i zwijała się kłębamii około ściśniętej w jeden węzeł gromadki. Babka i ksiądz kapelan w pośrodku, proszą i błagają o spokojność i poddanie się Bogu, ale ani cieszyć można, ani nadzieją ożywić dusz, które już rozpacz ogarnęła. Wtenczas ksiądz używa

jednego środka, mówiąc, że aplikować będzie rozgrzeszenie tym którzy nadzieję w Bogu pokładają. Słowa te przebiegły wszystkie serca świątobliwą trwogą sądu i pragnieniem uzyskania odpustu, więc odrazu wszyscy z pochyloną głową przyjęli rozgrzeszenie; potem zaintonowano pieśń do Matki Boskiej Bolesnej, a w końcu „Kto się w opiekę poda Panu swemu“. Woda już nie szła wyżej — po godzinie zaczęła szybko ustępować. Wtenczas wszelka ustaje wątpliwość, a ksiądz kapelan zaczął: „Ciebie Boga chwalimy“. Trzeba było słyszeć, jak ta pieśń zagrziała i z jaką ją wszyscy śpiewali ochotą. Zdawało się, że piersi chłopom pękają, a baby tak piskliwie nuty wyciągały, iż tylko miłosierdzie Boże ścierpieć może taką chwałę“.

Przepraszam moich czytelników za ten przydłuższy ustęp, ale po cikliwych i bluźnierczych jękach p. Konopnickiej, należało się im orzeźwienie; sądzę, że je znaleźli w postępku niewiasty, która do sławy pretensyi nie rościła, Pana Boga co do planów Jego, pytaniami nie molestowała o czynieniu Mu wyrzutów myśleć nawet nie śmiała, ale w godzinę śmierci okazała się mężną i wielką. Porównajcie te dwie kobiety i ich filozofię i osądźcie je. Z owoców ich poznajcie je“. Dodam tu jeszcze, że w krótko po powodzi ogień wieś tę samą nawiedził. Zapalił się browar dziedziczki. Chłopi zbiegli

się natychmiast, jak ómy leźli zapamiętali w ogień i wszystko na własnych barkach z płonącego budynku wynieśli. A nazajutrz kilku z nich obaczywszy swą panią na zgliszczach, zaczęli z nią rozmowę:

— Niech się tam bardzo jejmość tem nie frasuje, rzekł jeden, bo gromada to za swój dzień odbuduje i kmiecie drzewo zadarmo zwiozą na całą tę budowę.

— Dziękuję wam moje dzieci, rzekła babka, ale za cóż wy macie cierpieć i trudzić się, iż mnie Bóg szkodą dotknął?

— Ej, ktoby tam brał pieniądze od takiej pani, co jest jakby nasza matka i co nas w każdej przygodzie ratuje. A mało to się jejmość dla nas naszkodowała, jak to była ta duża woda.

— Co tam mówicie o szkodzie, rzeczce drugi, lepsze to, że jejmość tam była gdzie i wszyscy. Jaki taki byłby o sobie pamiętał, a nasza pani z kretesem się zamaczała po kolana, a stała w wodzie z nami.

Jaka szkoda, że nasza postępową poetką, zajęta zadawaniem Bogu niezliczonych pytań, a nawet udzielaniem Mu rad praktycznych, nie miała czasu zajrzeć do ksiązek, w których „stoi o tem“ jak postępowały kobiety chrześcijanki; możeby się wtenczas dowiedziała, że nie samym tylko „batogiem uczono chłopów zdejmować czapkę“ i t. d.

Dość już jednak tych uwag nad teoryjami, które najczęściej wystarcza wyraźnie wygłosić, żeby zarazem wykazać, czego są warte. Przechodzę teraz do zaznaczenia innej przyczyny niedowiarstwa, a z tego com w poprzedzającym rozdziale powiedział o warunkach wierzenia, domyślą się łatwo czytelnicy moi, że tą przyczyną jest wola, a raczej jej choroby w rozmaitych stopniach rozwoju. Wola, jak wiemy, skłania człowieka do zastanowienia się nad danym przedmiotem, ona przemaga trudy od takiej pracy nieodłączne, przewycięża walki, nieraz bardzo ciężkie, powstające w duszy na widok wyników badanej nauki. Jeżeli więc woli dobrej niema albo jest tak słabą, że nie zdołą się na wysiłki konieczne, wtenczas oczywiście nie będzie badania nie będzie znajomości wiary, a ta nieznajomość najfatalniej znowu na wolę oddziaływać będzie i z tego błędnego koła człowiek już najczęściej nie wychodzi do śmierci.

W obecnym ustroju większej części społeczeństw europejskich wszystko się składa na to, by wolę utrzymać w takim niedołęztwie względem wiary, i panuje tam jakby jakaś zarażona atmosfera moralna, trująca i obezwładniająca słabsze zwłaszcza charaktery. Nie wszyscy, niestety, mogą wiarę wynieść z domu, ale nawet ci co ją wyniosą, co z niezgalsłym poczuciem nadprzyrodzonego pierwiastku

wejdą w szranki życia, cóż w niem zastaną? Wprawdzie stoją kościoły i krzyże nad nimi w niebiosach strzelają, wprawdzie społeczeństwa zwą się chrześcijańskimi, ale w rzeczywistości są niemi bardzo niedoskonale. Klasy zwłaszcza wyższe, a najbardziej średnie, nie uznają w praktyce życiowej nadprzyrodzonego celu człowieka, za rzeczywisty cel jego. Wolno, jeśli się podoba, dążyć do niego, ale wszystko tak jest urządzone, jakby człowiek tylko dla ziemi istniał. Nauka? Najmodniejszą i najhałaśliwszą jest ta właśnie, która życie po śmierci uważa za największe głupstwo, a bezbożność za rzeczywistą mądrość. Ekonomia społeczna i urządzenia społeczne? Te najwyraźniej „dobrobyt i używanie“ stawiają za jedyne zadanie człowieka — zdobycie najwyższej sumy przyjemności w ciągu życia, to podług nich najwyższa mądrość. Sztuki? Ale te, zwłaszcza plastyczne, wprost człowieka prowadzą na bezdroża rozpusty. Prądy opinii publicznej? — zysk, przyjemność, używanie, sława a przynajmniej rozgłos, to podług niej najwyższe i jedyne dobro. Otóż jeżeli człowiek wpadnie w takie środowisko, jeżeli go przygniotą kłopoty osobiste, upoją uciechy, usidlą niezliczone pokusy, a nigdzie, od rodziny swej zacząwszy, na sprawach publicznych skończywszy, nie będzie widział myśli chrześcijańskiej prowadzonej w życie odważnie i śmiało; jeżeli ni-

gdzie wśród świata, nie spotka w praktyce rozkazu Zbawiciela: „jedno tylko potrzebne,“ — to i jego wola w końcu osłabnie i u niego to, co samo tylko potrzebne, pójdzie na ostatni plan, odkładane na ostatnią życia godzinę. Gdzież jemu tak zajętemu, tak rozbawionemu, mającemu tak modne i mądre znajomości, zająć się badaniem swego sumienia i wielkich prawd wiary?

Jak wszyscy obojętni, tak i on. „Jest to niezaprzeczoną i psychologicznie koniecznym faktem, powiada Hettinger, że im więcej człowiek oddaje się hałaśliwemu życiu światowemu i swoim przyjemnościom, czy to one będą grube czy też delikatne, zmysłowe czy estetyczne, tembardziej pustoszeje świat wewnętrzny i zamiera jedynie rzeczywiste, bo duchowe życie. A im dłużej żyje w tem rozproszeniu zajęć i prac, czy też rozrywek i przyjemności, tem głębszemi i trwalszemi stają się wrażenia, jakie na nim zostawia życie zewnętrzne, drobnostkowe i przemijające. Dusza jego upada i pogrąża się w nich, tonie w powodzi czasowych i ziemskich spraw i zapomina, że jest jeszcze inny świat i inne wyższe życie, aniżeli to, na jakie dziś patrzy własnymi oczyma i jakiego własnymi dotyka się rękoma. Jakże może on do niego dążyć, kiedy ledwo kiedy niekiedy o niem pomyśli?“

Ten właśnie duch obojętności i niedowie-

rzania, by po za dotykającym światem mógł istnieć jakiś inny świat rzeczywisty, obok powierzchni, jest drugim najgorszym wrogiem wiary. „Obyś był zimnym albo gorącym, ale iześ jest letni, pocznę cię wyrzucać z ust moich.“ Słowa pełne głębokiej mądrości. Nawet nienawidzący może prędzej przyjąć prawdę, niż obojętny sceptyk, bo chociaż dla walki i napaści zbliży się jednak do niej, więc często pozna i odmieni się, gdy drugi kroku jednego ku niej nie zrobi i przechodząc co dnia koło niej, ocierając się o nią ustawicznie, umrze, nie poznawszy jej.

Tak stworzenia mające ciągle głowę pochyloną ku ziemi, żyją w świetle słonecznym, a słońca nigdy nie widzą. To smutne usposobienie tłómaczy dziwny na pozór fakt, że tyłu ludzi uczonych, i w gruncie rzeczy uczciwych i dobrych, wiary jednak nie mają. Zatruta ich atmosfera sceptycyzmu, powiedzieli sobie z góry, że to są bajki, czy kwestye niedocieczone, więc się niemi nigdy poważnie nie zajmują, ani ich badają. Dochodzą wprawdzie wielu mądrych i potrzebnych rzeczy, ale jaką dadzą odpowiedź, gdy ich zapytają o tę jedną, która przedewszystkiem jest potrzebna?

Przysłowie powiada: „kto nie postępuje, ten się cofa“; tak jest rzeczywiście we wszystkim, tak w dobrem jak i w złym. Człowiek, który nie wzmacnia wiary i cnoty, lecz pod-

dał się zaraźliwej atmosferze, o jakiej mówiłem, przyzwyczajają się do niej i nawet powoli w niej zasmakuje. Podoba mu się to, że nie będzie się z każdym cudzym groszem rachował, że pofolguje w tem i owem, że przeróżnych uciech użyje, bez zbytecznego oglądania się na to, co będzie potem. I skończy się na tem, że myśl o „potem“ będzie mu przykrą i wstrętną, a namiętności, rozsiadając się coraz bardziej w sercu uczynią człowieka nieprzyjacielem wiary chrześcijańskiej dlatego, że ona jest nieprzyjaciółką miłych mu występków. Stanie się jednym z tych ludzi o których powiada Pismo Św. że prawdy nie przyjęli, bo uczynki ich były złe.

Niechęć taka z czasem rozwija się coraz bardziej i przechodzi w nienawiść. Nienawiść? Któż może nienawidzić wiary? Pytanie to było mi przez różnych ludzi zadawanem. Pytali mnie tak starzy optymiści i ci co robili to szczerze. Byli oni młodymi przed 50 laty, wtenczas kiedy to liberalizm wstawał jako jutrzzenka, obiecując wolność i raj na ziemi, nie zrywając wrzekomo z religią, tylko jej surowość mitygując i stosując do słabych sił ludzkich, prawiąc ciągle o braterstwie ludów i t. p. pięknych rzeczach. Młodzi temu wszystkiemu uwierzyli. Liberalizm okazał się serwilizmem, tolerancya religijna zamienita się na zajadły kulturkampf, braterstwo ludów zeszło na „wal-

kę o byt“, biały sztandar liberalizmu zamienił się w brudną i plugawą ścierkę, a oni ciągle wierzyli w dawne hasła, patrzyli na to, co się działo i nie widzieli, i szli przez życie z optymizmem dla naszego pokolenia poprostu niezrozumiałym.

Pytali mnie tak samo ludzie, którzy w nic nie wierzyli, którzy za zaszczyt poczytywali należenie do dzisiejszych ludzi — ci z pewnością ze złą wiarą pytali — kto nienawidzi religii? — Każdy, komu ona w wykonaniu jego ulubionych zamiarów na przeszkodzie stanie. Jużci rzadko kto do tego przyzna się otwarcie, bo nienawiść wśród ucywilizowanych ludzi brzmi jakoś nieszczególnie, ale pocóż się łudzić, kiedy fakta mówią? Nie chcę tu przytaczać historyi, ani zwracać uwagi na codzienne dzieje — kto ich nie widzi, chyba nie chce patrzeć; — więc tylko na zakończenie przytoczę przykład z życia prywatnego. Wyżej wspominałem o losach opactwa, oglądanego przez Veuillot'a w górach na granicy Szwajcaryi, a zrujnowanego przez rewolucję 93 roku. Oto dalszy ciąg opowiadania: „Niestety, niestety, kościół jest tu magazynem zbożowym, refektarz stajnią. Dwaj aniołowie wyrzeźbieni w formie karyatydy podtrzymują drabiny na siano, pokaleczone kapitele podpierają żłoby i koryta. W tym budynku, mówił nam gospodarz, poprzedził mnie człowiek, który miał przyjemność

w niszczeniu tego, co rewolucyjniści oszczędzili. Sam połamał całe jeszcze posągi i zburzył groby dotąd nienaruszone. W kościele urządził stajnię, chociaż to było mniej wygodnie, niż w innem miejscu. Zostawiał tam nawóz i miał upodobanie pokazują tę profanację, mawiać „oto nasze relikwie“, *De ore tuo te judico*, ¹⁾, przerwał kanonik... Pytano go dla czego sam sobie szkodzi, psując swoją własność. Śmiał się wtenczas w szczególniejszy sposób i odpowiadał: Bóg raczy błogosławić swego pokornego sługę; mogę uczynić ofiarę. I dodawał: niszczyć tę rudere, by nie mogła być łatwo naprawioną. Nie chcę by przyszło kiedykolwiek do głowy jakiemu fanatykowi przywrócić ją do dawnego stanu. Jan Maryan myśliwiec tamtejszy na gemzy, siedział na złomie kolumny i czyścił karabin. Tak, dodał, tak mówił ten łotr. Jeżeli pan przytacza, co on mówił, proszę nie zapomnieć o jego śmierci, o śmierci wisielca i zjadacza dobra biednych ludzi prawdziwej śmierci potępieńca. Byłem przy niej i rad z tego jestem. To mnie przstraszyło i wyszło mi na dobre. On umarł tutaj, w tym kościele, na gnoju swych bydląt, mniej bydlęcych jednak niż on. Był bogatym i zuchwałym; robił źle z przyjemnością, po-

¹⁾ Z ust twoich sądzą ciebie.

pełniał zle wszelkiego rodzaju i dobrze mu się działo, ale się ta pomyślność skończyła. Bankructwa i klęski popchnęły go w długi. Wystawił opactwo na sprzedaż. Ale zanadto je zniszczył, nikt mu nie dawał tyle ile było warte, gdy się do jego rąk dostało. Umówiono się, by cenę zmniejszać — sprytni ludzie z jego rodzaju czekali, by spaść jeszcze niżej. Wściekał się. Znajdowano przyjemność w stawianiu go na żarzących węglach. Mówiono mu: „Gdyby było to i jeszcze to i to wszystko, coś pan zniszczył, klasztor możnaby było doskonale sprzedać.“ Raz gdy stracił nabywcę, z powodu naprawy koniecznej a spowodowanej dawniejszą jego głupotą, widziałem go, gdy wchodził do kościoła jak szaleniec. Pienił się i bluźnił. Trzymał w ręku młot i rzucił go na tę figurkę uśmiechającego się anioła, która sama pozostała u początku żeber sklepienia. Młot trafił na szynę żelazną, odskoczył na niego i uderzył go w czoło. Krzyknął jak potępieniec, zachwiał się i upadł twarzą na nawóz. Przyznaję, że pierwszym mojem poruszeniem był śmiech. Gdy się jednak nie ruszał, podniosłem go i posadziłem, tam gdzie go znalazłem. Ludzie się zbiegli — żył jeszcze. Och, jak był obmierzły! Ktoś pobiegł po księdza proboszcza. Gdy oczy otworzył i zobaczył sutannę, krzyknął: „Nie, nie“, — wyrzygnął ostatnie bluźnierstwo — i umarł. Byliśmy przerażeni.

Proboszcz pomodlił się chwilę i ze wzrokiem sędziego zwracając się do nas powiedział: „Pamiętajcie o tem“. Wieczorem wszyscyśmy byli u spowiedzi, a ja na czele. Potrzebowałem tego. Tak umarł ten łotr, nawracając nas swoją śmiercią. Jest to jedyne dobro jakie w życiu zrobił, jak bydlę, które więcej warte po śmierci, niż za życia, a i tego jeszcze mu żal w piekle“. ¹⁾

Straszny za prawdę wypadek; wiek nasz, w Europie zwłaszcza zachodniej, widział bardziej jeszcze zaciekle nienawiści i straszliwszą sprawiedliwość Bożą, a wypadki groźniejszym niż proboszcz ów w opactwie głosem przemawiały „Pamiętajcie!“⁴. Ale nie wszyscy tak z tej przestrogi skorzystali, jak strzelec górski i jego sąsiedzi.

Ariosto w swym fantastycznym a długim poemacie, przerzucając się ciągle od dziejów jednego rycerza do drugiego, kilkakrotnie przyrównywa siebie do tkacza, który wciąż zmienia kolorowe nici w miarę potrzeby wykonywanego na tkaninie rysunku; w rozprawie kóńską kończę, nieraz musiałem przykład jego naśladować, zbaczając na pozór z prostej ścieżki rozumowania na tę i na ową stronę. Zdało mi się to potrzebnem dla urozmaicenia i wypeł-

¹⁾ Ça et là II. Ruine. Justice de Dieu

nienia zadania, jakie sobie zakresliłem, mianowicie wykazania, jak się na prawdę rzeczy mają z krytyką wrogą chrześcijaństwu i z naukową tegoż pewnością.

Stojąc u kresu mej rozprawy, widzę doskonale, że jest ona tylko słabym i niedokładnym szkicem, nietylko dla sił piszącego nie odpowiadających zadaniu, nietylko dla małych ram w jakie tak wielką treść zaciśnąć musiałem, ale właśnie dla ogromu oraz niezrównanej piękności przedmiotu, o którym pisałem. Poeta, kończąc pieśń o Aïdony losach, pragnął, by ją czuły słuchacz w sercu swem dopiewał; tak samo uważny czytelnik, powinienby i teraz postąpić — dopełnić w swym umyśle i własną pracą, co tylko wskazać lub ledwo pobieżnie wymienić mogłem. Im dalej w tym kierunku zajdzie, im bardziej w przedmiocie się zagłębi, tem dowodniej przekona się o prawdziwości trzech faktów: że rzeczwiŝta naukowa krytyka, ile razy zetknęła się z wiarą, tyle razy najcenniejsze i najwyraźniejsze przynosiła jej potwierdzenie; że krytyka wroga wierze Chrystusowej, a wygłaszana w imię rozumu ludzkiego, zawsze i bez wyjątku kończyła się najsromotniejszym odwrotem i świadczyła nie o jego potędze, lecz o nieudolności raczej i w końcu, że wiara prawdziwa jest we wszystkim z rozumem zgodną, rozumu tegoż koniecznem dopełnieniem i że

posiada liczne a najzupełniej naukowe dowody swojej prawdziwości i Boskiego początku.

Ostatecznie faktem jest, że wiara Chrystusowa stoi teraz jak stała przed wiekami, niby dom zbudowany na skale, niewzruszona. U stóp tej skały liczne zmieniają się tłumy. Jedni w ślepej nienawiści i zaciekłości kontynuują pracę swych poprzedników, chcąc ją podminować i w powietrze wysadzić. Przykłady i doświadczenia na nic się im nieprzydadzą — historia ludzkości nie jest dla nich *magistra vitae* (nauczycielką życia). Poznają oni w swoim czasie, że Chrystus jest kamieniem który odrzucili budownicy, ten się stał głową węgła; wszelki, który upadnie na ten kamień stłucze się, a na kogoby upadł, skruszy go¹⁾ ale może dla wielu z nich już będzie za późno. Dalej płasza luźna rzesza lekkoduchych i powierzchownych przeciwników, którym się zdaje, że od samego ich gadania o krytyce i nauce, mury warowni chrześcijańskiej upadną, jak niegdyś ściany Jerychońskie na odgłos trąb Izraela.

Niema w nich tej nienawiści ani tej złej woli co w poprzednich, ale jest jedna przywara — oto, że jak komary i muchy przed dymem, tak oni pierzchają przed propozycją poważnie zrobioną — *potrzeba się uczyć*, prze-

¹⁾ Łuk. XX. 18.

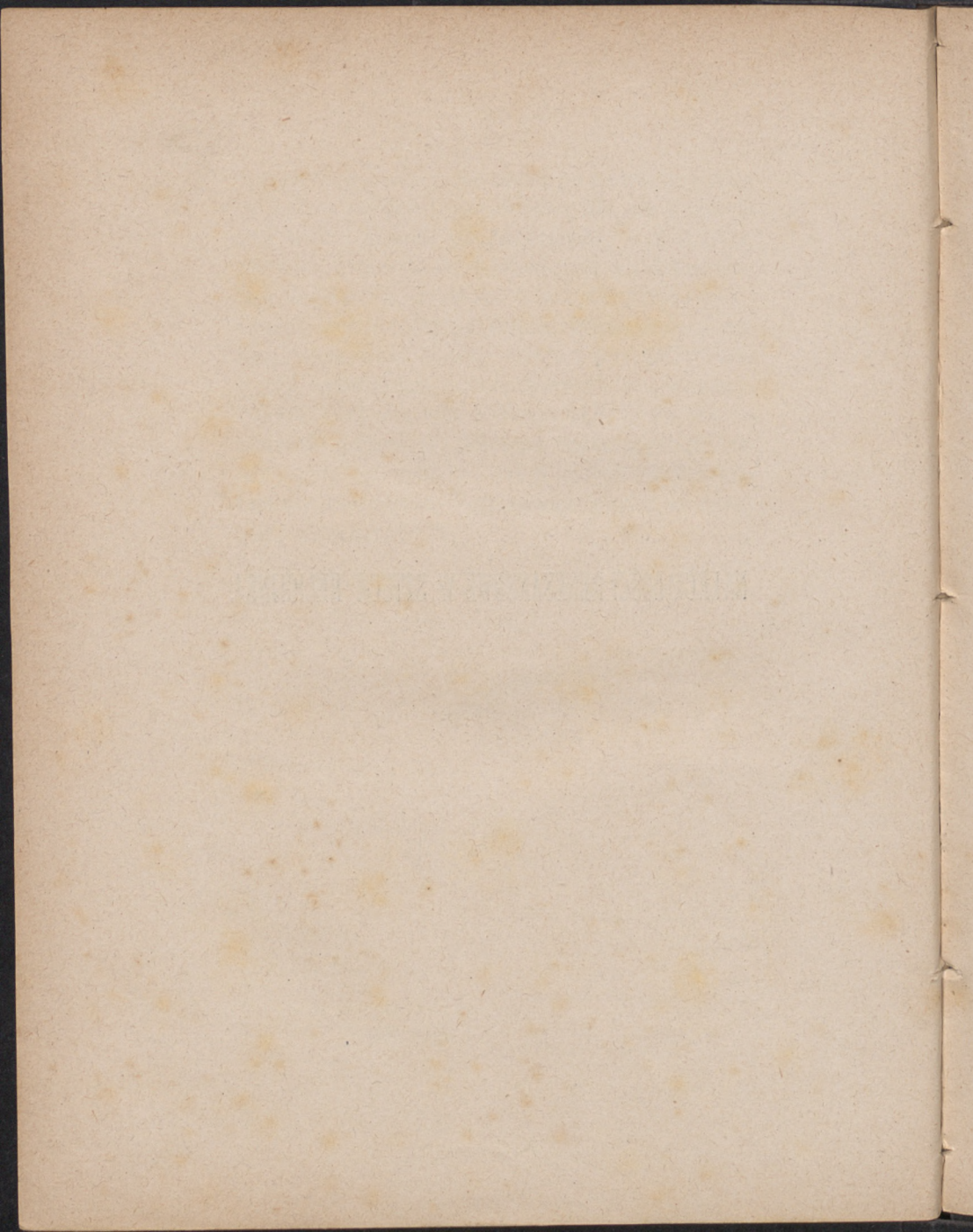
miął wiek złoty. Są także po za murami wiary ludzie zbłąkani, uprzedzeni, ale nie zupełnie złej woli i gotowi iść za prawdą; — ci gdy usłuchają głosu łaski, zdobędą się na dobrą wolę i zechcą się oświecić, wiara Chrystusowa otworzy przed nimi na ścieżaj bramy swoje, odkryje wszystkie skarby swoje i powita ich słowami najmilszego ucznia Zbawiciela: „doświadczajcie duchów, jeśli z Boga są,“ ¹⁾ bo jak za czasów Tertuliana, tak i za dni naszych, chrześcijanizm tego jednego pragnie, by nie był potępiony niepoznany — „*id unum gestit, ne ignorata damnetur*“ ²⁾.



¹⁾ I. Joan. IV. 2.

²⁾ Tertull. Apol. 1.

NALECIAŁOŚCI RENESANSOWE W SZTUCE RELIGIJNEJ.



Naleciałości renesansowe w sztuce religijnej.

I.

Słówko wstępne. — Nieco o architekturze renesansowej. — Ogólna charakterystyka epoki Odrodzenia. — Zwrot ku poganizmowi. — Uznanie wyższości pogan nad chrześcijanami. — Zdania dwóch uczonych niemieckich o czasach renesansu. — Zmieszanie się mitologii i nauki chrześcijańskiej. — Dwoje niebios. — Przykłady. — Resztki tych czasów w pomnikach i posągach.



ytuł jaki pracy niniejszej nadałem, obiecuje więcej, niż ona w sobie zawiera; czuję się więc zmuszonym uprzedzić o tem łaskawego czytelnika i wytłómaczyć się przed nim. Oddawna już zwróciłem był uwagę na różnicę między sposobem przedstawiania a rzeczywistością w dwóch rodzajach naszej sztuki religijnej i zamierzyłem o tem krótką napisać rozprawę. Wziąwszy się do rzeczy, spostrzegłem, że miałem przed sobą skutki wpływów renesansowych — naleciałości renesansowe — nie można więc było mówić

o nich, nie wspomniawszy o ogólnym kierunku Odrodzenia w sztuce religijnej, który znowu nie byłby zrozumiałym bez charakterystyki, bodaj najzwięźlejszej, tej historycznej epoki. Takim sposobem powstały trzy części niniejszej rozprawy, a to co miało treść jej główną stanowić, znalazło się wskutek tego na końcu: stąd także powstała pewna nieproporcjonalność. Po wstępie, dość stosunkowo obszernym, powinnyby następować jeszcze obszerniejsza treść główna t. j. przegląd wszystkich owych ogólnikowo zapowiedzianych w tytule naleciałości;—tymczasem jest ich zaledwo dwie. Czuję i widzę, że takby być niepowinno, wszakże braku dostrzeganego, dla różnych powodów, nie zapełniam. Jeżeli jednak spostrzeżenia moje nie zupełnie okażą się fałszywymi, a kierunek przezemnie wskazany niecałkowicie błędnym, to może kto ze specjalistów w ikonografii kościelnej, podejmie się pracy wyczerpującej, a mając więcej w tym względzie wiadomości odemnie, przygodnego lubownika, rzecz całą obszerniej, głębiej i dokładniej opracuje. Tytuł mówi dalej o naleciałościach w sztuce religijnej, należałoby więc mówić o całym jej obszarze: o poezyi, wymowie, muzyce, architekturze, rzeźbie i malarstwie. Rzeczywiście, przedmiot to byłby o tyle zajmujący, o ile obszerny i trudny, gdyby kto chciał i umiał wykazać, jakie w tych gałęziach sztuki kościelnej

renesans wprowadził zmiany i odstępstwa od ducha kościelnego. Nie podjąłem się tego zadania przewyższającego bardzo moje siły i poprzestałem tylko na kilku uwagach względem ostatnich trzech sztuk pięknych; a i tutaj wet nastąpiło jeszcze pewne ograniczenie w treści. Zamierzyłem mówić o naleciałościach powstałych w sztuce religijnej z epoki renesansu; polegają zaś one, jak to zobaczymy niżej, na niewłaściwym sposobie przedstawiania myśli chrześcijańskiej przez zeszczenie jej w większej lub mniejszej mierze zapatrywaniem pogańskimi. Należałoby więc wykazać względne spogalenie wszystkich trzech sztuk plastycznych, tymczasem na początku już staje pytanie, czy można pomówić o spogalenie architektury? Zdało mi się że nie. Architektura zbyt ogólnikowo uwydatnia myśl ludzką by można w niej tak łatwo dostrzedz zwroty tej ostatniej w takim kierunku. Dałby się jej zrobić powyższy zarzut, gdyby zawróciła do sposobu budowania dawnych świątyń pogańskich; tego jednak nie było. Wiadomo, że główną cechą pogańskiej świątyni była ciasna „cella“, dla bóstwa, i nieco miejsca dla kapłanów; lud stał za świątynią. Architektura renesansowa nie odstąpiła od przykładu swych poprzedniczek i budowała po dawnemu olbrzymie świątynie dla Boga, kapłanów i ludu, owszem, kościoły w tym stylu budowane należą do najobszer-

niejszych. Styl Odrodzenia nie gorzej od innych uwzględniał w rozkładzie wewnętrznym wszystkie potrzeby kultu, zdaje mi się więc, że niema sposobu ani racji oskarżać go o jakies niepożądane naleciałości pogańskie, boć przecie kolumn, filarów, sklepień używać musi jednako koiścioł nasz i świątynia Westy czy Minerwy, jak ubrania i obuwia jednako potrzebuje chrześcijanin czy poganin. Pozostają mi więc malarstwo i rzeźba, i onich też tylko mówić będę. Rozstając się zaraz na wstępie z architekturą renesansową, nie tylko nie chcę jej żadnej krzywdy czynić, lecz jeszcze uważam za potrzebne słówko w jej obronie powiedzieć; renesans bowiem w architekturze jak każda rzecz niezwykła, ma zapalonych zwolenników i niemniej żarliwych nieprzyjaciół. Do tych— rzecz doprawdy dziwna — należą przeważnie ludzie wierzący i w znacznej liczbie nasze duchowieństwo.

Po kilku wiekach wszechwładnego panowania renesansu w sztuce religijnej Kościoła katolickiego, nastąpiła reakcyja; wielu uważa styl Odrodzenia za niekościelny, niechrześcijański, poprostu za pogański, a swoją drogą odmawia mu nawet piękna. Jedynie i wyłącznie nie pięknym ma być styl gotycki, on też tylko jakoby jest chrześcijańskim, kościelnym i *par excellence* katolickim. Jeżeli się komu styl gotycki wydaje piękniejszym od innych, to upo-

dobanie takie, jako rzecz gustu i osobistego sposobu widzenia, jużci nie może żadnemu roztrząsaniu podlegać; jeśli jednak {kto twierdzi, że sam tylko gotycki styl jest pięknym, to mu słusznie można zarzucić ciasnotę poglądów i upodobań. Jak każda inna tak i ta wyłącznieść pochodzi albo z braku wrodzonego poczucia piękna, albo z niedostatecznego wykształcenia estetycznego. W ciasnej głowie, jak w ciasnym sercu, jak w ciasnym mieszkaniu, niewiele rzeczy pomieścić się może. „Ludzie tacy — powiada ks. Kleutgen — nie są wrażliwymi na (inne) piękno, bo się im nie przedstawia w takich formach, do jakich przywykli, i nie umieją go ocenić, bo ono wyraża inne idee, niż te które ich usposobieniu odpowiadają. Ale czyż sztuka tak uboga jest w formy, że piękno tylko w jednej przedstawić może? Albo Chrześcijaństwo jestże tak ubogim w myśli, że te tylko są prawdziwie chrześcijańskimi, które jedynie w pewnym szczególnym rodzaju form są wyrażone? Nie, piękna jedyne, absolutne, wobec którego żadne inne nie może się ostać, niema wśród stworzeń, jest niem tylko sam Stwórca, sam tylko Nieskończony, najwyższe Dobro. Dlatego nikt nie ma prawa, dla podniesienia jednej rzeczy pięknej, innym piękności odmawiać, jeden tylko gotyk za styl kościelny uznawać, a inny styl wielki i ważny w swych artystycznych

objawach, renesans, jako niekościelny potępiać.“¹⁾

Przekonanie kogoś, obstającego przy wyłącznej piękności stylu gotyckiego, jest rzeczą dość trudną, bo nie łatwo jest rozszerzyć czyjś horyzont umysłowy i estetyczny, natomiast zupełnie już dla mnie niezrozumiałem jest przypisywanie temu tylko stylowi kościelnego charakteru, z wyłączeniem innych — jest niezrozumiałem, powiadam, bo płytkość takiego twierdzenia leży na dłoni. Kościół oto, od szesnastu wieków, od kiedy wyszedł z katakumb, buduje i używa renesansu i stylów, z których on wyszedł: bazylikowego, bizatyńskiego i romańskiego; — w tym czasie gotyk żył tylko trzy wieki niecałe.

Dziwaczem więc co najmniej jest twierdzenie, że Kościół nie umiał wyrazić swego ducha, dobrać sobie odpowiedniej architektury, pokąd nie zjawił się gotycyzm. Co więcej, trzeba szczególnej lekkomyślności, by utrzymywać, że w sercu katolicyzmu, w Rzymie i w krajach tak rdzennie katolickich jak Hiszpania i Włochy, nie było nigdy świątyń prawdziwie chrześcijańskich, bo wiadomo, że styl gotycki mało tam miał powodzenia i nigdy się nie przy-

¹⁾ Graus: „*Die katolische Kirche und die Renaissance*“. Stąd też wyjęty powyższy ustęp Kleutgena.

jął, a to, co z niego zostało, uległo licznym zmianom. Jak można twierdzić, że tytu Papeży, Świętych, Biskupów, tyle zakonów całych, nie znało prawdziwie kościelnego stylu, bo nie znało gotyku? Twierdzenie takie żadnej nie wytrzymuje krytyki. Nie można odmawiać piękności stylowi gotyckiemu, bo je ma, i niepospolite, niezaprzecza mu nikt charakteru kościelnego, ale wyłączenie jego uwielbianie i pomiatanie innymi stylami, pochodzi, jak wyżej wspominałem, z niewiadomości. Szowiniści gotycyzmu (jeśli tu można użyć tego wyrazu) wielu rzeczy nie wiedzą. Nie domyślają się np., że broniąc jakoby wyłącznie katolickiego charakteru tego stylu, są bezwiednym echem niemieckiego patryotyzmu i protestanckiej dla Rzymu nienawiści. Na początku naszego wieku, gdy się rozbudził patryotyzm niemiecko-protestancki, zrodziła się też szczególna miłość dla gotyku, jako stylu przeważnie germańskiego i najczęściej używanego dla świątyń protestanckich. Odtąd przeciwstawiono go renesansowi, i wyłączenie posuwano nieraz do fanatyzmu. Nie domyślają się także amatorowie gotycyzmu, że prawiąc o pięciu się duszy po gotyckich filarach i strzałach do Nieba, o tęsknocie, półmrokach, tajemniczości i t. p. rzeczach, są najczęściej także spóźnionem i bezwiednym echem romantycznej sentymentalności pierwszej połowy naszego wieku. Kochali się ludzie tych

lat w gotyckich zamkach i ruinach, w których półcieniu i zmroku niewiasty o powłóczystem spojrzeniu lubiły melancholicznie wyplakiwać oczy; tam się czaili wieszczce o żarzącem oku, pozowali bajroniści, przemykały się tajemne postacie; — teraz to wszystko wydaje nam się dziwnym, ślamazarnym, i nie rozumiemy już tego pozowania, łudzenia siebie i drugich. Nie wiedzą także, że tak podnoszony przez nich styl gotycki, nieraz odstąpił od dawnych tradycyj kościelnych i wymagań kultu, — że nie wszystko w nim było tak bez zarzutu pięknem, jak się im niedoświadczonym zdaje. ¹⁾

W dawnych naprzykład tradycjach kościelnych było, że chrzcielnica (*baptisterium*) i dzwonnica stały osobno w pewnym od kościoła oddaleniu, styl gotycki połączył obie te budowy z głównym gmachem i zamienił na wieżę — to jeszcze mniejsza, bo w romańskim stylu, zwłaszcza na północy, tak się zdarzało — ale z czasem dał tym wieżom tak ogromne rozmiary, tylu ozdobami obarczył, że przestały one być częścią kościoła i stały się prawie samodzielnyimi budynkami, tak, że często wiadomo czy kościół jest przy wieżach, czy

¹⁾ Graus w pomienionej wyżej broszurze przytacza cały szereg urzędzeń, w których renesans jest bardziej kościelnym niż gotyk.

też wieże przy kościele. Podobnie dawny zwyczaj chciał, żeby kościół na zewnątrz raczej był skromny i poważny; ale wewnątrz, nietylko ze względu na wiernych, ile na mieszkanie Boga, roztańczano cały przepych i bogactwo tak sztuki jak materyałów; i to rzecz całkiem naturalna i zrozumiała; gotyk tymczasem zewnętrzną stronę kościoła niezmiernie rozwinął otoczył szkarpami, popodpierał łukami, poozdabiał kapliczkami, posągami, strzałami, różami; — wewnątrz zato stosunkowo jest ubogiem i monotonem, z powodu jednakowego wszędzie szarego tła kamiennego.

Nie może też być policzonym do zalet stylu, ani to, że prawie wykluczył ze świątyni jedną ze sztuk pięknych — malarstwo — które nie miało gdzie się rozpostrzeć dla braku ścian, — ani wiecznego mroku niedozwalającego nic widzieć należycie, ani owych okien olbrzymich, zamieniających kościół na niezmierną kolorową latarnię; samo nawet nadmierne mnóstwo posągów, jakkolwiek wpływało na rozwój rzeźby, to jednak nie pozwalało należycie ocenić artystycznej ich wartości, dlatego właśnie, że uwaga się rozrywała, że człowiek nie może rozpoznać dokładnie formy płatka śniegu, gdy on obficie pada, ani kształtu drzewa, gdy patrzy na las.

Powiedziałbym także, że często gotyckie kościoły sprawiają (na mnie przynajmniej) wra-

zenie, jakby czegoś niezupełnego—czuję w nich brak doskonałej harmonii między wysokością i długością z jednej a szerokością z drugiej strony. Długość a zwłaszcza wysokość zerwały w nich stanowczo równowagę na swoją korzyść. Czytałem też nieraz, że gotyckie sklepienia mniej są od innych wygodne dla śpiewu, bo gorszy dają rezonans.

Przytoczyłem kilka tych ujemnych stron gotyckiego stylu nie dlatego, bym go lekceważył, ale bym przypomniał, że i on nie bez ale. I dlaczegoby zresztą łuk lub rozczłonkowany filar gotycki miały bardziej odpowiadać idei religijnej, niż pełne sklepienie i filar zdobny pilastrami w renesansie? Wątpię bardzo, by kto ze zwolenników gotycyzmu zdołał na to pytanie zadawałajaco odpowiedzieć. Styl gotycki ma być więcej niż inne kościelnym, bo jego wysokie sklepienia, jedno nad drugimi piętrzące się strzały, mają wyobrażać porywy duszy ku Niebu, bo w mrocznych wnętrzach gotyckich świątyń człowiek czuje się usposobionym do wniknięcia we własne swe głębie, bo są one wyrazem modlitwy, tak nieodłącznej od naszego żywota, wieją z nich surowość i powaga, będące znamieniem naszej religii.

Nie chcę temu przeczyć, ale powaga, a nawet surowość bardzo dobrze może być zachowaną w każdym stylu, ale uczucia smutku, żalu i tęsknoty do Nieba, nie są jedynymi w na-

szej wierze; są i inne, bardzo różne, niemniej jednak uprawnione i dobre. Mamy przecież w wierze naszej prawdę, a z nią radość i nadzieję, mamy w niej harmonię doskonałą, mamy pociechę posiadania wśród nas Boga samego, korzystamy przecie z łask Jego i darów, mamy święta i obchody radośne, nie same dni zaduszne i popielcowe; a nadewszystko świątynie nasze, nietylko służą dla zebrania modlących się ludzi, ale są miejscem ciągłego przebywania Boga, ukrytego w N. Sakramencie, są więc przybytkami, które dźwi-gnęła Mu wiara, wdzięczność i miłość ludzk — dlatego zebrały w nich one wszelki przepych, wszelakie piękno, wszystkie skarby, na jakie tylko zdobyć się mogły.

Tych wszystkich uczuć doskonałym wyrazem jest właśnie styl Odrodzenia. Widzimy w nim najpierwej harmonię rozmiarów, a pysznie zaokrąglone sklepienia nadają im wyraz doskonałej całości i wykończenia. Tam sztuki plastyczne nie wykluczają się wzajemnie, bo jest miejsca dosyć dla obrazów, a posągi nie tak tłumnie umieszczone, jak w gotyku, pozwalają na lepsze im przypatrzenie się, ocenę i smakowanie. Tam grają wszystkie kolory farb i kamieni, jakie stworzył Pan Bóg, a wszystkie są użyte ku chwale Jego. To też kiedy się znajduję w pięknym renesansowym kościele, kiedy stojąc w skrzyżowaniu ramion, patrzę na

harmonijne łuki, tak pięknie obramowane naczyczkami, na pilastry i kolumny wiotkie i wdzięczne, zakończone zdobnymi głowicami, na sklepienie o złotych kasetonach, a choćby tylko gipsowej sztukateryi, tak lekkie, że zdają się nie ciężyc na filarach; kiedy w pełni dziennego światła, widzę spokojne, majestatyczne posągi w swych niszach i obrazy o żywym, prawdziwym kolorycie, to mi się zdaje, że ta świątynia, tak szeroko i potężnie rozsiadła na ziemi, a nakryta, niby tyarą, śmiałą i wyniosłą kopułą, jest namiotem zbudowanym dla arki Nowego Przymierza, jest obrazem Nieba, gdzie spokój i harmonia, potęga i pełnia jasności; to mi się zdaje, że promienie słoneczne, igrające po różnokolorowych kamieniach, po liściach akantu i białych marmurowych posągach, śpiewają hymn radosny: *Gloria in excelsis*, i wraz z ludźmi, co te wszystkie cuda na chwałę Boga wnieśli, wołają z weselem: *quoniam Tu solus sanctus, Tu solus Dominus, Tu solus Altissimus!* ¹⁾

Można zarzucać stylowi Odrodzenia późniejsze jego wypaczenie ale to były grzechy przeciwko smakowi i estetyce; twierdzenie jednak, jakoby on nie odpowiadał potrzebom

¹⁾ Albowiem Tyś sam święty, Tyś sam Pan, Tyś sam Najwyższy (wyjątek z hymnu: *Gloria in excelsis*).

kultu i duchowi wiary naszej, jest stanowczo bez żadnej podstawy. Najlepszą decyzję wydał pod tym względem sam Kościół, który przyjął wszystkie style, a w renesansowym chyba najwięcej budował i dotąd buduje.

To też mając mówić o niepożądanych naleciałościach epoki Odrodzenia w sztuce religijnej, wyłączam z ich liczby zupełnie architekturę, a zajmę się tylko rzeźbą i malarstwem; — tem ostatniem przeważnie. W dwóch tych sztukach renesans bezwątpienia zostawił ślady niezupełnie dobre, a nieraz bardzo wyraźnie do poganizmu zbliżone. Niektóre z nich dotąd pozostały we zwyczaju u artystów i w ogólnem u ludzi użyciu. Z góry jednak muszę zrobić jedno, nader ważne, zastrzeżenie i rozróżnienie. W epoce naszej pewien kierunek religijny usiłuje zawrócić sztukę do czasów przedrenesansowych, stara się naśladować owoczesne niedolne formy i naiwność. Uważam to za błąd zupełny. Zbyt jesteśmy dojrzałymi i doświadczonymi, żebyśmy naiwnymi być mogli. To co dobre było w połowie XV wieku, zupełnie nam niewystarcza. ¹⁾ Jestem także przeciwny

¹⁾ Tak naprzykład posiadam brewiarz, wydany w Tournai w 1884 roku przez Tow. Św. Jana Ewangelisty. Brewiarz jest opatrzony (nie mogę powiedzieć ozdobiony) rysunkami, które spotkałem w jakimś *Officium* z 1501 roku (jeśli mnie pamięć nie zwodzi). Oczywiście rysunki są

powrotowi do niedoskonałych form owocnych. Myśleć, że religijnym i kościelnym będzie tylko taki posąg lub obraz, w którym postaci będą długie a chude, szaty sztywne, fałdy konwencyonalne, kolory nienaturalne, a tło złote, jest to mojem zdaniem, myśleć, że sztuka tej religii, która jest prawdą samą, na pierwszym zaraz kroku musi się opierać na fałszu i konwencyonalności. Dlaczegożby w obrazie miało być wszystko niedołączone i sztuczne, jeśli w rzeczywistości Święci byli ludźmi prawidłowo zbudowanymi, często pięknymi bardzo, jeśli na ich ciele i szatach słońce odbijało się i łamało w sposób zupełnie naturalny, jeśli żyli nie tylko pod niebem północy, ale i wśród cudownej natury, pod czystym lazurem południa?

Rozumiem doskonale, że dla wielu względów, trzeba w sztuce każdej, a religijnej tembardziej, umieć manipulować danymi natury, jedno przytłumić, inne naprzód wysunąć, ale

szkaradne. W książce oryginalnej mają wielką cenę, skopiowane teraz, nieznośnie rażą zmysł estetyczny: Przytoczę jeden tylko przykład. Wniebowstąpienie Pańskie jest tak przedstawione. Na pagórku zebrali się Apostołowie i uczniowie i patrzą w górę, a tam od ogólnej ramy wygina się półkolem inna znowu ozdobna rama, a na niej stoją dwie chude, przebudzone gwoździemi nogi, po kolana — i nic więcej. Komu obecnie tak naiwne traktowanie przedmiotu wystarczyć może i po co rozszerzać podobne obrazki i obrazy, po za celami archeologicznymi?

ostatecznie u podstawy i w samym rdzeniu każdego dzieła sztuki powinna być prawda. Renesans wprowadził dużo tej prawdy w rysunku, znajomości natury ludzi i świata, kolorystyce; — to też trzeba być bardzo zacofanym i nieznającym się już ani trochę na istocie sztuki, żeby mieć coś do zarzucenia tym bardzo chwalebny i konieczny owoc Odrodzenia w sztuce. Umieli je zawsze cenić i papież i biskupi, i duchowni i ludzie świeccy, dla nich przebaczały nawet rzeczywistym wadom, które nam teraz, obytym z zaletami, wydają się bardzo rażącymi.

Wad tych i naleciałości niepotrzebnych, przynajmniej o ile sztuki religijnej się tyczą, szukać trzeba nie w zewnętrznej stronie, pięknej, świetnej, czasami doskonałej, ale w treści wewnętrznej, w pewnych zwyczajach, sposobach, kierunkach, w pojmowaniu i oddawaniu treści obrazów religijnych, słowem w zasadach i kierunku myśli artystów renesansu z chrześcijańskim pojmowaniem rzeczy często bardzo niezgodnym.

Żebyśmy mogli dokładnie wyłożyć, co przez to chcę powiedzieć, widzę się zmuszonym dać treściwy obraz pojęć i wyobrażeń tej epoki, a dlatego, przeprosiwszy czytelnika za zbyt może długie wywody, zacznę trochę zdaleka.

Pomiędzy wielkiem mnóstwem ludzi nadzwyczaj żywo interesujących się sprawami są-

siadów i znajomych, lub z biciem serca śledzących koleje bohaterów romansów, niewielka stosunkowo jest liczba takich, którzy ciekawość swą dla wyższych zachowują rzeczy, do szerszych stosują horyzontów. Mówię o miłośnikach historyi. Ci jednak nieliczni z pewnością nie pożałują pracy koniecznej przy tej nauce, którą Cycero nazwał nauczycielką życia — *magistra vitae* — nie dlatego, by w samej rzeczy ludzkość uczyła się z niej umiejętności życia, ale że mogłaby się nauczyć — gdyby chciała. Ciekawość ludzka do tego, co było dawniej, co robili inni ludzie, i to ciekawość w wysokiem a szlachetnem znaczeniu, znajduje w historyi jeżeli nie zawsze zupełne zaspokojenie, to pokarm bardzo obfity zawsze. Ile to tam ruchu w tych przejściach i walkach, jakie położenia pełne grozy i tragiczności, jakie wysiłki, jakie charaktery, a wszystko prawdziwe. Interes jednak wzmaga się i historia staje u celu swego, gdy czytelnik i badacz zdoła dopatrzeć w „zwikłanem pasmie ludzkiego życia“ przewodniej nici, gdy odgadnie myśl Bożą, odkryje fałd tajemniczej zasłony, pokrywającej ostateczne cele ludzkości.

Otóż kiedy się stanie na tych wyżynach, kiedy się patrzy na przeszłość z góry, bez uprzedzeń, nienawiści i teoryj stronnicych, dostrzeżę się, że dzieje ludzkości to walka dwóch prądów wrogich sobie i radykalnie przeciwnych.

Jeden z nich wie dzie ludzi do celu po za ziemią, do życia w przyszłości, do Boga, drugi uważa ziemię za cel ostateczny człowieka, o życiu zagrobowem nic wiedzieć nie chce, o Boga się nie troszczy, a nawet w ostatecznym rozwoju swej zasady, nienawidzi Go i zaprzecza. „Dzieje są ostatecznie jednym tylko — mierzeniem się humanizmu z chrystyanizmem“ — powiada jeden z naszych historyków zupełnie słusznie. Mając tak różne cele, każdy z tych kierunków ma i moralność inną. Więc pierwszy obiecuje ludziom Boga i szczęście w życiu przyszłym, za wypełnianie woli Jego na ziemi a poskramianie swej własnej — *abstine et sustine*, to jego hasło. Drugi zakłada szczęście na używaniu w tem życiu, więc, oczywiście o żądaniem „wstrzymuj się i czekaj“, słyszeć nie chce. — Używać iak najwięcej, jak najprędzej i jak najdłużej — to jego marzenie, a przed tą *suprema lex* ¹⁾ ustąpić muszą — i ustępują — wszelkie prawa i przykazania objawione czy przyrodzone, chyba że siła zewnętrzna utrzyma ich część pewną za pomocą kodeksu karnego. Zaraz na początku ludzkości zarysowują się te dwa prądy w „synach Boskich i ludzkich“ o których mówi Pismo Św., ²⁾ owszem, wcześniej jeszcze, bo w synach pierwszego człowieka, Ablu i Kainie. Jak te prądy z sobą walczyły, opowiada historia.

¹⁾ Najwyższe prawo.

²⁾ Genes VI.

Ostatecznie synowie ludzcy zwyciężyli, poganizm pokrył całą prawie ziemię, a w państwie rzymskiem otrzymał swe dotykalne i najdoskonalsze dotąd urzeczywistnienie. W chwili jednak najwyższego jego tryumfu powstał chrystyanizm i walka rozpoczęła się na nowo. Poganizm w Europie upadł, ale tak się wżarł w krew ludów, pozostałych po rzymskim olbrzymie, że nigdyby to ciało do pełni zdrowia powrócić nie mogło i wegetowałoby gnijąc, jak wschód niedołączny. Przyszli barbarzyńcy irozdęptali trupa kopytami swych rumaków — roznieśli rozkładające się ciało i zostało z niego tyle tylko, ile było potrzeba, by w najezdców wszczepić chrześcijańską naukę. I oto rozpoczęło się nowe życie. Barbarzyńcy bili się ciężko i przewalali po Europie, ale powoli uspokajali się i cywilizowali. Cywilizacya ta rozwijała się pod wpływem zasad chrześcijańskich, a na gruncie ich rodzinnym. Przyszło wreszcie do tego, uspokojono się o tyle, że sięgnęto myślą wstecz po za siebie i zaczęły wstawać z martwych zabytki i dzieje dawnych ludów i panów świata. Można sobie wyobrazić zapał, zachwyty i niepowstrzymaną niczem ciekawość tych ludów młodych, żądnych wiedzy, naiwnych, gdy przed ich zdumionym wzrokiem zaczęły się rozwijać dokumenta dawno minionych czasów w całym blasku ich piękności, w całej doskonałości ich form skończonych.

w całej ścisłości nieublaganej logiki! Ruch rozpoczął się od prawa. Wśród rzezi w Amalfi 1137 r. znaleziono Pandekta Justyniana. Zaczęto je badać, a ład, porządek i logiczność praw starego Rzymu, tak oczarowały współczesnych, taki obudził się zapał do nauk prawnych, że nawet zakonnicy opuszczali dla nich klasztory, duchowni beneficjacy, zaniedbując zupełnie Teologię i nauki duchowne. Papiież Alexander III pod karą ekskomuniki zabronić musiał (1180 r.) zakonnikom oddawania się tym naukom bez pozwolenia, a gdy to nie zupełnie skutkowało, Honoryusz III ponowił zakaz i rozciągnął go do wszystkich duchownych posiadających beneficjacy. (1225 r.).

Następnie wzięto się do literatury naprzód łacińskiej, potem greckiej i znowu ten sam czar i zachwyty. Wykwintny język, niby płynąca pełnem korytem rzeka, wykończone formy, niesłychanie zaimponowały literaturze wobec młodzieńcych, często dziecinnych jeszcze form rodzinnego języka. Powstał humanizm; mówiono i pisano tylko po łacinie i po grecku; kto nie umiał gładko w jednym przynajmniej z tych języków pisać, nie mógł należeć do inteligencji. Klasyczne utwory i formy zapanowały nad światem chrześcijańskim! Pomogły im sztuki piękne, które wszystkimi porami wciągały w siebie odkrywane coraz nowe zabytki

starożytnego piękna, a z nimi i starożytnego ducha.

Nastąpiła epoka renesansu to jest Odrodzenia. Tak więc w świecie chrześcijańskim do XVI-go wieku zamarły świat pogański zmartwychwstał powoli przez prawo (okres legistów) literaturę (humanizm) i sztuki piękne (renesans). Niestety, nie skończyło się na przywołaniu dawnych form i zdobyciu ducha ludzkiego, po to, by korzystając z wydoskonalonych narzędzi, dalej prowadzić dzieło budowy społecznej w duchu chrześcijańskim. „Nie podlega wątpliwości—mówi już wspomniany historyk — że każdy wielki kierunek, który działa na umysłowość ludzką, działa na całego człowieka, na jego rozum, uczucie, wolę, fantazję, na wszystko, co z człowiekiem w związku, od najwyższych jego aspiracji, aż do codziennych jego funkcji, od stosunku do najwyższych zagadnień jego natury, aż do stroju i sposobu życia“. To też wszystkie te kierunki z umysłu przeszły do woli i uczuć i objawiły się w życiu. Odrodzone prawo wskrzesiło znowu ów potwór, o którym powiada Kurth,¹⁾ że siedział u wrót poganizmu i był przyczyną wszystkich jego nieszczęść i nieprawości—ubóstwione państwo. Filip piękny ze swymi „ry-

¹⁾ Godfr. Kurth, „*Oczątki cywilizacji chrześcijańskiej*“. Warszawa 1888 2 t.

cerzami prawa“, pierwszy bodaj zaczął tę teorię w czyn wprowadzać z samowiedzą. Humanisci i mistrze Odrodzenia, także nie poprzestali na podziwianiu pięknych form języka i sztuki, ale przejęli myśli pod niemi ukryte, myśli i zasady pogańskie.

Wspomniałem, że celem poganizmu ziemia, używanie dóbr i przyjemności, jakich ona dostarczyć może i wypływająca stąd moralność łatwa, czyli, ściślej mówiąc, brak moralności,— używanie bez skrupułu. Zasady takie czerpane z dzieł pogańskich, trafiały do przekonania, bo uczucie i wola były już usposobione po pogańsku—dążyły do używania. Reakcja chrześcijańska XIII wieku osłabła, szerzyła się rozwiążność, chęć do zbytku i rozkoszy, pycha zarozumiałość i powierzchowność. Łatwa więc moralność pogańska podobała się bardzo i dla tego poganizm przy pomocy humanizmu i renesansu szerzył się gwałtownie „jako iskra między trzcina“¹⁾.

Takim sposobem, obok prądu chrześcijańskiego utworzył się inny radykalnie mu przeciwny, prąd pogański. Z początku juźci występuje on nieśmiało, przybywa mu jednak z czasem coraz więcej pewności siebie, samopoznania, organizacyi. Protestantyzm zerwie już o-

¹⁾ Mądr. III. 7.

twarcie z Kościołem, rewolucya 93 r. zaleje całą Europę krwią „w imię równości i braterstwa“, a zamiast Boga postawi na oltarzu nierządnicę, jako bóstwo rozumu, aż w naszym stuleciu dojdzie do doskonale zorganizowanej i świadomej siebie nienawiści Boga, którą tak dosadnie scharakteryzował cytowany wyżej historyk: „raczej od algi, byle nie od Ciebie, raczej do nirwany, byle nie do Ciebie“.

Dalsze jednak dzieje w tej chwili nas nie obchodzą, więc wracam do epoki renesansowej. Ogół czytających (bo o specjalistach historykach nie mówię) ma o niej bardzo jednostronne, a zatem niedokładne pojęcie. Wyobrażamy sobie Odrodzenie prawie wyłącznie w blasku piękna i poezyi. Bounarotti, Sanzio, Leon X, tłumy artystów i poetów, kopuła Św. Piotra, świetne dwory Medycyuszów i Franciszka I-go, wszystko to i wiele innych jeszcze pięknych rzeczy zdaje się jednoznacznie z Odrodzeniem, i bije od tego taka łuna piękna, przywykliśmy od młodości tak bezwarunkowo schylać głowę przed dźwiękiem tych głośnych imion, że zostają w cieniu inne objawy owych czasów, że na to wszystko, co o moralności i obyczajach owoczesnych opowiada taki np. Benvenuto Cellini, mniej się zwraca uwagi — ot tyle prawie co na figle swoich *enfants terribles*.

Tymczasem pod świetną zasłoną, działają się rzeczy arcy smutne, a ludzie obeznani z hi-

storią nie wahają się nazywać epoki Odrodzenia, potężnym zwrotem ku poganizmowi i wstępem do wszystkich okropności i błędów pseudo-reformacyi. Jednym z najbardziej może znaczących symptomatów tej epoki, było nietylko już rozkochanie się w poganizmie, ale uznanie swej niższości wobec niego. Tylko to, co pogańskie, było mądre, szczytne, piękne, szlachetne, I działały się dziwne, niepojęte dla nas rzeczy. Chrześcijanie, czczący na ołtarzach nie tysięcy już, ale miliony mężczyzn i niewiast, którzy poginęli w najstraszliwszych mękach dla ochrony swej czystości, liczący wśród siebie setki tysięcy czystych dziewic płci obojej, miliony uczciwych małżonków, zapominali o nich, a nie mogli znaleźć dość pochwał dla Scypiona, jedyne go może poganina, który uszanował narzeczoną pokonanego nieprzyjacielskiego wozdza. Męztwo własne, posunięte do najwyższego bohaterstwa, uważano za nic wobec rzymskiego — i najwyższą pochwałą było, gdy kogo nazwano rzymianinem, choć Godfryd de Bouillon, Ryszard Lwie Serce, Bayard, Duguesclin, Zawisza Czarny, Zriny i tylu innych nie potrzebowali wcale uczyć się męztwa od Temistoklesa lub Scypiona. Kato, tak z wielu względów niskiej moralności, był wzorem cnoty, Marek Aureliusz, sprawca jednej z najokrutniejszych rzezi chrześcijan, prawie za świętego był uważany — i tak we wszystkim.

Takie usposobienia i przekonania musiały wywołać liczne i ważne objawy i przewroty; — „skoro tylko renesans wszedł w modę, całe dotychczasowe pojmowanie historii, zupełnie zostało przemienionein, powiada Wolfgang Menzel. Dotąd wcielenie Chrystusa uważanem było za szczyt i zwrotny punkt w dziejach wszechświata... Wszystkie te prawdy, (o upadku w pogaństwie moralności i religii) które nawet w samej starożytności uznawano. ły ucywilizowanej Europie nieznanemi albo zgoła zaprzeczanemi. Przedtem nikt nie wątpił, że ludzkość za czasów poganizmu i przed przyjściem Chrystusa w coraz ciemniejszej pograżała się nocy i że dopiero jutrzeńka chrześcijanizmu przyniosła mu światło i pociechę — teraz wyrodziło się wprost przeciwne mniemanie, że wszelkie światło ludzkości pochodzi tylko od klasycznej kultury Greków i Rzymian, że ludzkość za czasów pogańskich była właśnie na prawdziwej drodze do coraz wyższego wykształcenia umysłu, wydoskonalenia państwa i praktycznego używania dóbr ziemskich. W tem niestety, — przyszedł chrześcijanizm, który świat ciemnościami otoczył, zamiast głębokiej i pięknej wiedzy starożytnych, wprowadził niedorzeczne i okrutne zabobony i ludzkość starał się pozbawić przyrodzonego jej prawa do przyjemności przez niemądre zakazy, posty, celibat, ascezę i t. p.

W tych ciemnościach poganizmu musiała Europa 15 przetrwać wieków, nim w końcu późnym potomkom Greków i Rzymian udało się wspomnienie zapomnianej jasności znowu rozbudzić. Zaczęto z największą stroniczością chwalić wszystko, co klasyczne. Ducha Helenów i cnotę rzymian nieskończenie wyżej ceniono niż wszystko chrześcijańskie, dla tego choćby, że je uważano za owoc wolności gdy chrześcijanizmowi ustawicznie wyrzucano, że krępuje swobodę ducha i ludzi w niewolników zamienia. O okrucieństwach niewoli, o uświęconej rozpuście afrodyzyjskiego kultu, o greckiej miłości i t. p. zamilczano, albo mimochodem tylko wspomniano; gdy wyższe i wykształcone klasy Grecyi przedstawiano w świetle idealnem, a nawet lud widziano tylko jak mieszkańców idyllicznej Arkadyi, szczęśliwej doliny Tempe, albo miłych pasterzy Theokryta“¹⁾.

Jeszcze bardziej kłamliwym był kult adwokatów i prawników dla starożytnej Romy..²⁾ Uczony niemiecki opowiada dalej, jak wskutek

¹⁾ Miłymi nazwał ich cytowany autor zapewne przez hiperbolę, bo kto czytał sielanki Theokryta, wie, że jego pasterze spokojnie popielniają najszkaradniejsze występki, których bez obrzydzenia wspomnieć nie można.

²⁾ W. Menzel. *Kritik des modernen Zeitbewusstseins. Kapit. von der Geschichts Verfälschung.*

takiego zapatrywania się powstało lekceważenie niemieckiej przeszłości, jak gdyby dawni Niemcy byli „Irokezami lub Huronami“, jak zapomniano dziejów własnych i na karb średnich wieków kładziono to, co renesans, idąc w ślady starożytnych, wprowadził — okrucieństwa procedury sądowej, procesy czarownic, kamery tortur; jak zapomnienie interesów narodowych niemieckich szło tak daleko, że pod niebiosa wynoszono największych wrogów Niemiec — „Husa, który ich chciał wytępić, i Gustawa Adolfa, który połowę Niemiec spustoszył“ — i kończy zdaniem: „słowem, fałszowanie historii od trzech wieków sprawiło nam (Niemcom) nieskończenie wiele szkody i spowodowało wstydu, a w dodatku nie można przewidzieć czy i kiedy to kłamstwo się skończy“.

Profesor Körting, uważa, że stało się, co mogło być najgorszego, t. j. że renesans najpierwej zapoznał się z zabytkami i przeszłością Rzymu. „Odrodzenie rzymskiej literatury z czasów cesarstwa sprowadziło odrodzenie obyczajów i zapatrywań późniejszego Rzymu.

„Odżyły znowu: gruby rzymski egoizm, rzymska zmysłowość, a wzmocnionem było to zło przez to, że wychowanie renesansowe było niereligijne. Często sprawdzona uwaga, że czasy nie religijne, są też czasami najgłębszych zabobonów, znajduje zupełne potwierdzenie i co do renesansu. Powrócił cały szalony zamęt

guse! ostatnich czasów rzymskich i kwiat ten jadowity rozwinął się w pełni. Wieszczybiarstwo, astrologia, mniemana sztuka wywoływania duchów, ¹⁾ i co tylko tyczyło się zabobonów, było wtenczas prawie za naukę uważane i naukowo traktowane. Fizyka, medycyna, chemia, używali magii do pomocy i oczywiście przez szarlatanów wyzyskiwane były. Plaga czarownic w XVII w. ściśle związana z renesansem. Może niema epoki bardziej niemoralnej, jak renesans... Spowodowane przezeń wyzwolenie człowieka z więzów etycznych, jakimi średniowieczna kultura krępowała, spowodowało konieczność wyuzdania wszystkich złych namiętności ludzkiej natury. Grzech, występki, złe nałogi, te demony ludzkiej istoty, chodziły teraz swobodnie w świetle słonecznym i przestały ludziom wstrętnymi się wydawać, owszem nauczyły się przywdziewać jasną i błyszczącą szatę estetycznego piękna i okrywać maską geniuszu. Nigdy polityka nie była bardziej egoistyczną i bez serca jak wtenczas, nigdy dobro narodów nie było bardziej igraszką samolubnych interesów, przedmiotem chłodnego obrachowania dla własnych interesów, nigdy i nigdzie prawa ludzkie nie były przez książąt

¹⁾ Przypominam scenę w Kolizeum z pamiętników Benvenuto Celliniego.

w sposób bardziej niesumienny podeptane nogami. Upadek obyczajów tej epoki, najwyraźniej okazuje się w kodeksie karnym. Pod tym względem dorównała ona w zupełności swemu wzorowi, okrutnym czasom rzymskiego cesarstwa, owszem przewyższyła je nawet z tego względu, że gdy w Rzymie przynajmniej teoretycznie osoba i życie obywatela rzymskiego było ochraniające, w czasie renesansu nawet w teorii wszyscy podlegali torturze i rusztowaniu. Nigdy sprawiedliwość bardziej barbarzyńską nie była, nigdy, nawet w „ciemnych“ wiekach średnich, nie mordowano i nie męczono w sposób bardziej wyrafinowany i szatański, jak w czasie humanizmu—w XIV-m, XV-m i XVI-m wiekach. Izby tortur i eszafot posiadały wtenczas prawo zupełnego obywatelstwa i były prawdziwymi laboratoriami nieludzkiej sztuki męczenia. Najstraszliwszem jednak było to, że okrucieństwo ułożone było w dobrze obmyślony systemat i skodyfikowane podług wszelkich reguł prawa i że sędzia, rozdający męki i tortury, zdawał się nie mieć najmniejszego pojęcia o tem, jak bardzo jego postępowanie gwałciło najprostsze zasady przyrodzonego prawa“. ¹⁾

¹⁾ Körting i Menzel przytaczani są podług dzieła Wilhelma Hohoff'a. *Die Revolution seit dem sechszehnten Jahrhundert*

Dalej, cytowany autor opowiada, jak renesans wytworzywszy sztuczną i obcą literaturę, rozdzielił wyższe klasy od niższych, jak literaturę rodzimą zepchnął w zapomnienie, rozwodzi się nad innymi również smutnymi skutkami, ale dalej za nim nie pójdziemy, bo i to co przytoczyłem, wystarcza do scharakteryzowania epoki, o której mówimy.

Trzeba jednak zachować sprawiedliwość. Choć późno, bo dopiero w naszych czasach, wydatniejsi historycy przyszli do przekonania, że grubym jest błędem przypisywać odszukanym zabytkom starożytności cały ruch umysłowy XV i XVI stuleci, równie jak zwałać winę na wieki średnie za zabobony, stosy, tortury, procesy czarownic. Te smutne objawy były właściwością wieków nowszych, a skutkiem właśnie owego odrodzenia pogaństwa, gdy przeciwnie ruch ku odkryciom w każdej dziedzinie powstał znacznie pierwej; odnalezienie zabytków klasycznych, jakkolwiek do wzmocnienia tego ruchu przyczyniło się, samo jednak było jego skutkiem. Podobną do powyższych niesprawiedliwością byłoby twierdzenie, że przyczyną wszelkiego złego, o jakim wyżej mówiliśmy, było prawo rzymskie, literatura klasyczna, zabytki sztuki greckiej — tak nie było. Pandekta były znakomicie skodyfikowane w literaturze klasycznej, również jak w greckich posągach, spotykały się areydziała formy, to

też prawo rzymskie nieraz weszło do prawa kanonicznego i uważa się za jedno ze źródeł jego; starożytna literatura była zawsze aż do dni naszych z zamiłowaniem uprawianą w Kościele, sztuka dawna przyczyniła się do znakomitego wzrostu sztuki nowej.

Wszystko to było pięknem i dobrem, smutnem było tylko, że ludzie wraz z dobrem przyswoili sobie wszystko złe, tkwiące w zabytkach pogaństwa, przyswoili zaś dlatego, że już byli sami złymi i zepsutymi. Jak więc ruch umysłowy i artystyczny rozpoczął się był przed humanizmem i renesansem, a zdobycze tych epok tylko go wzmocniły i wzbogaciły, tak chylenie się ku zepsuciu i spoganieniu rozpoczęło się także dawniej—duch pogański, mogący się znajdować w pandektach, literaturze i sztuce starożytnej, był tylko wodą na młyn owego prądu. Nie spowodował go wyłącznie ale już istniejący wzmocnił i przyspieszył.

Tak więc renesans, wskrzeszając bogate materiały starożytnej kultury, bezwątpienia nie małą oddał usługę ludzkości, która wskutek tego pod względem udoskonalenia formy, ogromny krok zrobiła naprzód; za to pod względem treści, ducha, skutkiem jego był bodaj większy krok wstecz i powrót do wyobrażeń, urządzeń i obyczajów pogańskich.

Odbiło się to na sztuce wogólności, na sztuce zaś religijnej w szczególności. Naj-

bardziej może dla nas, zdaleka na to patrzących, widoczną i rażącą jest sprzeczność między rzeczywistością a sztuką, która nie była wcale dokładnym (albo rzadko chyba) wyrazem życia współczesnego, ale obok świata rzeczywistego stworzyła inny wyimaginowany; ustawicznie te dwa światy mieszały się z sobą, plątały się najsprzeczniejsze pojęcia i rodziły się dzieła sztuki, przypominające potwory Böcklina.

Najszczególniejszym objawem takiego o-błądu, było utworzenie dwojga niebios; w jednym panował Bóg chrześcijański ze świętymi i aniołami, w drugim Jowisz z całym kahałem swoich bożków—a co za szczególne kombinacje powstawały w skutek tego! Już Dante w swej Boskiej komedyi, bierze za przewodnika po świecie dusz, pogańskiego poetę, z którym przechodzi przez piekło i czyściec. Piekło Dantejskie roi się od mitologicznych postaci. Dante jednak miał tyle geniuszu, a może raczej taktu, wypływającego z silnej wiary, że Wirgiliusza do nieba nie wprowadził, a mitologię w piekle zostawił, gdzie jej najwłaściwsze miejsce. Słyszymy wszakże, niestety, mitologiczne echa jeszcze w czyścu, gdzie psują najpiękniejsze ustępy rażącą sprzecznością, swego pogańskiego pochodzenia z czysto chrześcijańską ideą. Tak naprzykład niewstrzemięzliwi w jedzeniu płaczą i pokutują pod drzewem

pokrytem owocami, a z pomiędzy gałęzi jego odzywa się głos przypominający obzarstwo — centaurów, ¹⁾ albo gdy dwa hufce, idące drogą płomienną, spotykają się i pozdrawiają — jeden z nich przytacza grzech Pazifae. Przy obrazowaniu myśli nawskroś chrześcijańskiej czyśćca, nieprzyjemnie razi przypomnienie najohydniejszej może ze wszystkich pogańskich sprośności ²⁾.

Później było jeszcze gorzej. „Przed procesją urządzoną w Aix około 1462 r. przez króla René na Boże Ciało, szedł cały Olimp na koniu; pierwszym był bożek Momus, na końcu były trzy Parki, a historia Troi napisana 1464 r. przez kapelana księcia Burgundyi Filipa Dobrego, między innymi miniaturami ma zaślubiny Saturna i Cybelli, których błogosławi biskup w ornacie, takież ślub Jowisza i Junony w chrześcijańskim kościele z widokiem na górę Kalwaryę, gdy znowu pewien rękopis współczesny przedstawia pogrzeb Juliusza Cezara prowadzony przez kardynałów i biskupów z Krzyżem na czele“ ³⁾. Michał Anioł znowu w „Sądzie ostatecznym“ na jednym obrazie z Chrystusem i N. Panną pomieścił Charona.

1) Czyściec p. XXIV.

2) Tamże p. XXVI

3) Piper „die Mythologie der christ. Kunst“ cyt. Graus 11 str.

Możnaby takich niestosowności mnóstwo naliczyć, nie pomnę jednak, żeby mnie która bardziej uraziła i rozśmieszyła zarazem, jak ustęp z Luizyadów Kamoensa. Znakomity portugalczyk jest często w kłopotcie, jak pogodzić Boga chrześcijańskiego w którego wierzy, z Olimpem, który mu każe wprowadzić moda owoczesna.

Otóż jeden z bożków olimpijskich, Bachus, przewidując, że jego panowanie w Indyach upadnie, gdy chrześcijanie tam wejdą, stara się zgubić Vasco de Gama; żeby więc wciągnąć go w zasadzkę, chce kraj Mombazy udać przed nim za chrześcijański. Dlatego sam zjawia się w chatce, do której Vasco wchodzi, przyjmuje postać chrześcijanina i admirał portugalski zastaje Bachusa na klęczniku, modlącego się do... Najświętszej Panny. ¹⁾ Coś bardziej pocieszne trudno chyba wymyśleć. Albo te niezliczone fontanny i posągi po placach, ulicach i ogrodach, zdobne w trytony, nereidy, nimfy, Neptuny, Apolliny, co one wspólnego mieć mogły i mają z życiem ludów wśród których stały i stoją? Kto jest naprzykład w Wiedniu, to odrazu zrozumie, że stojące przed Burgiem konne posągi Eugeniusza Sabaudzkiego i Arcyksięcia Karola, albo naprzeciwko nich Maryi

¹⁾ Luizyady p. II.

Teresy są dla mieszkańców naddunajskiej stolicy zupełnie zrozumiałymi, ale nic wspólnego niema z ich obyczajami, historią, klimatem wreszcie, porwanie, nie wiem jakiej nimfy, przez jakiegoś mitologicznego napastnika, zdołające tuż obok sadzawkę w Volksgartenie. Zapewne, jest to bajka, ale lud niemiecki ma swoje bajki, bardziej dla niego zrozumiałe, więcej swoje.

Jeszcze więcej, mojem zdaniem, razi ta mitologiczna konwencyonalność w naszych stroinach, tak w niczem, ale to zupełnie w niczem, niepodobnych do Grecyi i Italii, gdzie się zrodziły. Przed laty zwiedziłem jeden z głośniejszych, a niezbyt od miejsca w którym mieszkam oddalony pałac. Było to wkrótce po jego pożarze. Przed sterczącymi smutnie murami, rozścielał się obszerny dość staw, za nim szumiął duży i stary park. Wszedłem do niego. Stare drzewa grały ponurą pieśń jakąś, dał dość chłodny wiatr, bo to był początek Maja, po zarosłej i zapuszczonej ścieżce szła młoda dziewczyna z wiadrami i właśnie przechodziła obok posągu... Wenus Callipiga. Stała tam ona wykuta z marmuru, w swej pozie bezwstydnjej, a na przeciwko niej, jako odpowiednik, Apollon czy Merkury również w olimpijskim stroju. Był to jakby ton obcy i fałszywy w swojskim minorowym akordzie. Pałac i ogród założone przez obywatela-magnata, który bardzo często do Sakramentów przystę-

pował, miał domową kaplicę i kapelana, a w miasteczku fundował dwa klasztory; co przeto robiły przed jego mieszkaniem te dwa usposobienia rozpusty pogańskiej? A jak te nagie ciała nie harmonizowały z naszym klimatem, z naszą surową zimą; jak owa wieśniaczka w świecie szarej była obcą zupełnie temu, co ten poczerniały marmur wyobrażał! Powróćmy jednak do naszego zadania i przystąpmy do określenia wpływu renesansu na sztukę.

II.

Charakter sztuki religijnej renesansowej podług Lübke'go.
— Źródło sztuki religijnej. — Na czym zależy religijność
dzieła sztuki. — Boskość i temat w obrazach religijnych.
— Rola w nich fantazyi. — Artyści odrodzenia przestają
należycie pojmować religijność, wracając do naturalizmu.
Pogańska pycha artystów. — Chęć popisywania się. —
„Sąd ostateczny“ Michała Anioła. — Cud św. Marka,
przez Tintoretta. — Nagość w sztuce religijnej.

Z tego, co się wyżej powiedziało, można
wnieść jakiego rodzaju był wpływ Odrodzenia
na treść i kierunek sztuki. Wilhelm Lübke tak go
streszcza: „Ten przewrót w całym życia za-
kresie wywrzeć musiał na sztukę wpływ prze-
ważny, owszem, z wielu względów zgoła de-
cydujący. We wszystkich jej kierunkach od-
tąd ogólną cechą będzie przewaga osobistej
fantazyi nad tradycją. W średniowieczu w za-
danym rodzaju twórczości sztuka nie mogła być
samodzielną; jej kształty były tylko symbola-
mi jednolitej myśli przez Kościół podawanej.
Zwyczaj wyznaczał materiał, sposób tworze-

nia i wykonania... Widzieliśmy, jak we Włoszech najpierwej obudziło się poczucie artystycznej indywidualności, jak swobodniejsze, bardziej samodzielne pojęcie sztuki, popchnęło i porwało ją na inne drogi, do szerszych horyzontów. Teraz dopiero okazały się skutki tego ruchu i wyciągnięto z niego ostateczne związki.

„Sztuka nie zrywa z religijną treścią, owszem, więcej może niż pierwiej rzeźbi się i maluje dla kościołów, ale artysta wobec tradycji czuje się swobodnym;—przerabia święte legendy, treść chrześcijańskich zasad na swój sposób, z własnej głębi czerpie ożywiającego ją ducha; — z miłośnego zagłębienia w badaniu natury i arcydzieł starożytności wynosi nowy sposób traktowania przedmiotu... Przyroda nie jest już dla artystów wrogą ani zagadkową; pojmują oni całą jej piękność i starają się wyczerpać za pomocą głębokich studyów, a postaciom swoim dać wyraz prawdy i rzeczywistości, o jakich wieki średnie marzyć nie śmiały... Symbolizujący idealizm średniowieczny przebrzmiał, realizm rozwinął swą chęć i rozpoczął pochód zwycięzki po świecie. Do tego przyłączyła okoliczność, że osobiste artysty usposobienie chciało mieć swój udział w przedstawianym przedmiocie, że tematy religijne opracowywano nie dla nich samych, ale dla ich wolnych artystycznych mo-

tywów, jakie oku lub sercu nastęrczyć mogły. Nie dla uczynienia zadość potrzebom Kościoła, ale raczej potrzebie własnej duszy artysty, będą teraz tworzone arcydzieła“... ¹⁾

W. Lübke, lubo nad zasługę głośny, jest jednakże bardzo powierzchownym; nie mówię tego o samej sztuce, bo nie jestem dość kompetentnym w tym względzie sędzią, ale ile razy zejdzie na pole historii powszechnej, powtarza utarte frazesy i poglądy wyjęte ze zwykłych protestanckich podręczników. Więc i w rozdziale podającym ogólną charakterystykę epoki Odrodzenia (z którego powyższy ustęp wyjęty) estetyk niemiecki pływa w ogólnikach i zachwytach dla dobrodziejstw humanizmu, renesansu i ma się rozumieć protestantyzmu (co zapewne nikogo nie zdziwi). Oczywiście więc nie mógł nie wspomnieć o krępującym wpływie na sztukę „tradycyi i teologii“.

Wyjąłem z tego rozdziału powyższych kilka wierszy tak dlatego, że dadzą mi sposobność słów kilka powiedzieć o owym wrzeczmo krępującym wpływie Kościoła (przekonanie bardzo rozpowszechnione) jakoteż dlatego, że podaje dość wiernie faktyczne cechy owoczesnej sztuki, tylko je powierzchownie

¹⁾ „*Grundriss der Kunstgeschichte*“ von W. Lübke. Stuttgart 2. B. 84.

pojmuje; — będę się starał dokładniej tę rzecz wytłumaczyć. W powyższym ustępie tkwią dwa błędne, a przynajmniej bardzo niedokładne pojęcia, tyżące się źródła sztuki religijnej i jej charakteru. O obydwóch nieco obszerniej pomówimy.

Co jest źródłem sztuki religijnej? Jeżeli wierzyć estetykom w rodzaju Lübke'go i Witkiewicza, to były niem dawniej potrzeby kultu chrześcijańskiego, a potem własna fantazyja artystów, wykształcona studyami natury. Estetycy niechrześcijańscy wyobrażają sobie, że sztuka religijna powstała na zapotrzebowanie Kościoła, który za to nałożył na nią pęta swoich wymagań i skrępował przepisami rytuału, że była ona wobec niego czemś w rodzaju „nadmownego poety jej królewskiej mości“ w Anglii, piszącego płatne ody w dniu urodzin królowej, czy też w rocznicę jej wstąpienia na tron. Nikomu nie tajno, że piszący dziś o chrześcijanizmie, zostają w szczególniejszem zaślepieniu, jakoby znali rzecz, której nie poznali i mogą pisać o tem, czego zupełnie nie rozumieją, więc też powyższe mniemanie „postępowych“ pisarzy o początku sztuki chrześcijańskiej bynajmniej mnie nie dziwi, jakkolwiek jest zupełnie fałszywem. Natomiast dziwnem by być mogło, że, o ile są artystami i estetykami, źródło takie wydaje się im dostatecznem, choć doskonale wiedzą, że na zażądanie i na

zamówienie nie przyjdzie natchnienie, którego śladów sztuka religijna przed renesansem ma niezliczone mnóstwo.

Podobnego mniemania są też ludzie stojący na przeciwnym biegunie, tak dalece prawdą jest, że *les extremes se touchent*. Ludzie wierzący, religijni, pobożni, bardzo często są zdania, że początek i cel sztuki religijnej, to potrzeba i chęć nauczania, wzruszania, pobudzania do cnoty i t. p.; — do takich można zastosować *mutatis mutandis* słowa Kmicica do ks. Kordeckiego: „Wielkie macie, ojcze, serce, bohaterskie i święte, ale się na armatach nie znacie“¹⁾. Ci którzy chcą by sztuka przede wszystkim nauczala, pobudzała do cnoty, wzruszała, łzy wyciskała, mogą być świętymi i bohaterami, ale na sztuce się nie znają. Kto choć w drobnej mierze posiada artystyczną naturę, kto płonął i wrzał na widok arcydzieła, komu pierś rozsadzała melodia, a poezya grała na wszystkich strunach serca, ten wie, że w podobnej chwili nie w głowie mądrość i nauka, ani nawet moralność i cnota, bo dusza odczuwa *piękno*, drga pod jego dotknięciem, pali się od jego płomienia.

Źródło i początek sztuki religijnej jest taki sam, jak każdej innej rzeczywistej sztuki—*piękno* zawarte w przedmiocie i zdolności odczuwania go i odtwarzania znajdująca się w podmiocie. Zamówienia i wymagania ze strony

¹⁾ Sienkiewicz „Potop“ Warszawa.

Kościół są tylko iskrą przytkniętą do prochu, łożyskiem wykopanem dla wody ze źródła bieżącej; mogły one dać początek malowidłom i rzeźbom, ale nie sztuce. Gdyby nie było prochu, nie nastąpiłby wybuch, choćby cały stos drzewa spalono, gdyby nie było źródła, na nic by się koryto nie przydało; tak też gdyby w chrześcijaństwie nie było piękna i gdyby nie było ludzi zdolnych odczuć je, przejąć się niem i oddać, nie byłoby sztuki religijnej, choćby za każdy jej okaz skarbami Potozy płacić chciało; byłoby to, co się teraz dzieje z konkursami na rozmaite pomniki i obrazy.

Wymagania rytuału i potrzeby kultu nie tylko w naszym są Kościele, mają je także mahometanie np., ale że ich wierze brak przedmiotowej piękności, więc choć i między nimi są ludzie artystycznej natury, a głęboko wierzący, sztuki religijnej u nich niema. Tak samo Żydzi jej nie posiadają, odkąd ich wiarę przygniotło i zgłuszyło jarzmo talmudu, a przedtem jeszcze poprzednik jego — faryzejskie tradycje, zagasła u nich poezja religijna wraz z duchem wiary prawdziwej.

Chociaż sztuka religijna ma za pierwsze i właściwe zadanie przedstawiać i wyrażać piękno religijne, nie przeszkadza to, żeby też pośrednio nie płynęła z niej nauka i zachęta do dobrego, jak się domagają mniej rzeczy świadomi a pobożni ludzie; jedno drugiemu nietylko

nie przeszkadza lecz owszem pomaga. Jak promień słoneczny choć wydaje się pojedynczym, jest jednak trojakim, bo łączy w sobie promień ciepły, barwny i chemiczny, ¹⁾ tak też prawda, dobro i piękno, lubo samodzielne i odrębne, mają jednak coś wspólnego, łączą się w jeden promień niebiańskiego światła, a gdzie jest jedno z nich, tam jest i reszta, tylko nie w jednakim stopniu.

Wiadomo, że promień barwny mieści w sobie trzy zasadnicze kolory: żółty, czerwony i błękitny, a rozmaite zabarwienie przedmiotów pochodzi stąd, że mają one rozmaitą właściwość, w większym stopniu przyjmować jeden, a od bijąc drugi z tych promieni. Podobnie dzieje się z ludźmi. Jedni są bardziej wrażliwymi na prawdę, inni na dobro, jeszcze inni na piękno, ale jeśli które z nich jest rzeczywistem, to i reszta dwoje w mniejszym zapewne stopniu i jakby ukryte, zawsze się tam znajdzie. Dlatego

¹⁾ Właściwie rzecz tak się ma. Cząstki ciała świecącego ulegają niesłychanie szybkiemu ruchowi, dokonywając w ciągu sekundy całe tryliony drgań. Dopóki ruch ten nie przechodzi 200–400 trylionów drgnięć na sekundę, ciało nie świeci, lecz wysyła promień ciepła; od 430 do 800 trylionów drgań na sekundę, powodują promień światła różnokolorowego. Dalej ciało już nie świeci, lecz promień ma tylko własności chemiczne St. Kramsztyk. „*Szkice przyrodnicze*“, 128 Warszawa 1893.

wszystko co jest rzeczywiście dobrem jest też i prawdziwym, a prawdziwe piękno niechybnie zawiera w sobie prawdę i dobro, które z niego same bez wysiłku wyływają.

O tem, niestety, bardzo wielu najzacniejszych ludzi nie wie; silą się oni zmusić sztukę do roli, która jej nie jest właściwą, a nawet jej naturze przeciwną; mogą w takim razie stworzyć coś pożytecznego dla „poglądowej metody nauczania“, rzecz dobrą i praktyczną dla codziennego użytku, ale pod względem piękna, będzie to zawsze płód poroniony, utwór powierzchowny, nudny i zgoła nie zdalny do osiągnięcia celu, właściwego pięknu. Wiara nasza posiada nieprzebrany skarb mądrości w swoich zasadach i dogmatach, a jako ich wyraz na zewnątrz ma nauczanie; posiada też moralność najdoskonalszą w świecie i jako jej objaw widomy świętość i cnoty swych członków; ma też rozlany w całej swej nauce i moralności, w instytucjach i obrzędach, w dziełach swoich i w osobach które w nich działały, niezmierny a świetny blask piękności, której wyrazem właśnie sztuka religijna. Nie jest ona podług mnie ani zastosowaniem froeblovskiej metody do nauczania religii, ani żadnym podniecającym środkiem do cnoty, ale prosto piękno tkwiące w religii odbiło się w czułej na nie duszy ludzkiej; ta zaś swoją drogą utrwaliła je w dziełach sztuki. Podobnie prze-

dmioty oświetlone promieniami słońca odbijają się na negatywie fotografa, który je potem na papier przenosi. Tak Ewangelia naucza nas, że Chrystus Pan wstępując do Ojca, pozostał z nami ukryty pod Sakramentalnemi postaciami chleba i wina; Św. Tomasz z Akwinu wyłożył i udowodnił tę naukę w swej Sumie teologicznej, ale serce artystyczne wielkiego i uczzonego świętego zadrgało poetycznem natchnieniem przy rozpamiętywaniu tego piękna, jakie tkwi w niezmiernej miłości Boga, kryjącego się pod postaciami chleba i wina, by pozostać zawsze dostępnym dla wygnańców synów Ewy, na tym tu ziemskim padole, zapłonęło świętym ogniem poezyi i urodziła się niezrównanej podniosłości i piękna pełna pieśń: „*Lauda Sion salvatorem, lauda ducem et pastorem in hymnis et canticis*“.

Pismo Św. opowiada nam wielkość poświęcenia i cierpień Zbawiciela w czasie Męki Jego, a moralne piękno tej niezmiernej miłości odbiło się w tysiącnych dziełach sztuki i utworach pełnych prawdziwej poezyi, jak na przykład nasze „Gorzkie żale“. Wiara uczy nas o zmartwychwstaniu i chwale Zbawiciela, ale piękno tej uroczej chwili zachwyciło poetę, który wybuchnął niezrównaną pieśnią: „Wesoły nam dziś dzień nastał“, a inna równie artystyczna dusza (a może ta sama) wyraziła swój zachwyt nutą powszechnie znaną, a pełną ta-

kiego majestatu i niezaprzeczonego tryumfu, że gdy w czasie Rezurekcyj, wśród tłumu ludzi, ze świecami i pochodniami, pieśń tę śpiewam, to mi się zdaje, że i tłumy sprawiedliwych, gdy wychodziły z otchłani, mogłyby, na tę samą nutę, wołać w zachwyceniu: „piekielne moce zwojował, nieprzyjaciele podeptał, nad nędznymi się zmiłował — Alleluja! Alleluja!“

Gdy chrześcijaństwo wyszedł z katakumb, potrzebom kultu zupełnie dobrze odpowiadały skromne bazyliki, t. j. gmachy sądowe i w nich też, albo na wzór ich stawianych budynkach, odbywały się z początku nabożeństwa; ale potem dusze wierzące, a szczerze artystyczne, pamiętając, że kościoły to domy Tego, którego „Niebiosa niebios objąć nie mogą“, poczęły i utworzyły te setki świątyń arcydzieł, które pokrywają całą Europę. Natchnienie ich było tak głębokiem, swoboda ze strony Kościoła tak wielką, że w czasach właśnie Jego przewagi powstały style, które są dotąd — i nie mają następców, pomimo nieograniczonej swobody, zerwania „pęt kościelnych przepisów“, pomimo konkursów i wszelkich możliwych zachęt i ułatwień.

Chrystus powiedział, że kto Go wyzna przed ludźmi, tego on wyzna przed Ojcem swoim niebieskim, powiedział, że lepiej bez oka i nogi wejść do Królestwa niebieskiego, niż mając wszystkie członki, pójść na zatracenie.

Tę prawdę przyjęły miliony męczenników i w czyn wcieliły — w ich męczeństwie prawda i dobro zjednoczyły się. Było tam jednak z konieczności i piękno i oto uderzyło ono malarza, który patrząc na przechodzące przed jego pamięcią i wyobraźnią szeregi męczenników, zatrzymał wzrok na jednej postaci dziewiczej. Odczuł on ile jest piękna w słabej niewieście, która zwyciężyła świat, ciało i siebie, wzgardziła mękami, śmiercią — w tej antytezie rażącej między słabością dziewicy, nie mającej nic prócz wiary, miłości i nadziei, a siepaczami, mającymi skarby i rozkosze, tortury i śmierć, w sprzeczności między unicestwieniem i zgubą w tem życiu, a rzeczywistem życiem i chwałą w zagrobowym żywocie. Z tego urodziła się znana wszystkim Utopiona męczennica Delaroché'a. Spokojna, cicha i czysta unosi się nad głębią wodną; fala z lekka porusza jej suknię i włosami; — z góry pada światło na jej twarz precudną, osrebrzając z lekka i wodę, i płynie ta postać ze związanymi rękoma, martwa ofiara przemocy, gdzieś w dal nieznaną, otoczona atmosferą najlepszych, najczystszych najszczytniejszych uczuć, najgłębszych prawd religijnych, filozoficznych, historycznych, które same na jej widok powstają w duszy umiejącej czuć piękno. Gdyby w chrześcijaństwie nie było prawdy, która podobne arcyrzeczywiste fakta spowodowała, gdyby nie było szlachetnej artystycznej

dustry, która piękno ich zrozumiała, żadne wymaganie nie stworzyłoby podobnej postaci. pełnej najszczerzej religijnej myśli i zarazem najwyższej poezji.

Ale oto drugi przykład: Każdy zna okrutne dzieje męczeństwa Świętego Wawrzyńca, upieczonego żywcem na kracie żelaznej. Nadludzkie bohaterstwo Świętego dyakona, dostarczyło tematu do wielu obrazów, i nic dziwnego; — myślę że nawet terażniejsza generacja malarzy, cała pogrążona w materializmie sztuki, na widok podobnego heroizmu odwróciła by na chwilę oczy od swych ważnych zajęć, by przyznać, że jest piękno w tym postępku i temat do obrazu niegorszy. Natchnął on też Grandie'go, którego trzy obrazy z życia świętego w jego kościele w Rzymie, zawsze są dla mnie źródłem najczystszych artystycznych rozkoszy—zwłaszcza ostatni, przedstawiający pogrzeb świętego. Długim szeregiem ciągną w podziemiu chrześcijanie, czcżą niewymowną otaczając ciało bohatera, które z delikatnością matki, niosącej chore dziecko, dźwigają młodzieniec i żołnierz. Ciało całe zawinięte w całun, odkryta tylko głowa jedno ramię i ręka—a w tej głowie koncentruje się interes całego obrazu, a zwłaszcza już na czole. Nie znam malarza tego obrazu, ale jestem przekonany, że jest wierzącym, albo był nim, gdy to małował, bo tylko człowiek ,wierzący może tak wyrazić,

na czole zamężonego dla wiary wyznawcy, wypisać niezatartemi zgłoskami: „nieśmiertelność i chwała“.

Dość jednak przykładów;—przechodzę do konkluzji. Rozmaite są stopnie i rodzaje piękna. Najłatwiejszem a zarazem najniższem jest piękno barw — uderza ono nawet dzieci i ludzi dzikich. Wyższem i trudniejszym zarazem do oceny, jest piękno natury, piękno form zwierzęcych i ludzkich. Miliony żyją i umierają, nic o niem nie wiedząc. Po nad pięknem ludzkiego ciała, góruje piękno ludzkiego rozumu, serca ludzkiego życia. Ono to sprawia, że np. głowa męczennicy Delaroche'a, jest tak nieśkończenie wyższą od najpiękniejszej Odaliski, choćby tak pięknej jak *Morgenländerinn* Richtera. Gdyby Pradilla namalował królowę hiszpańską, stojącą ze swym dworem na smutnej równinie starej Kastylii, bez wątpienia mógłby wiele pięknych wydobyć efektów, ale wszystkie one gasną wobec myśli, że tą królową jest biedna Joanna obłąkana. Smutną jest równina Kastylii, smutnym orszak niewieści, smutną trumna zmarłego króla, i ten dym ogniska, co jakby także smutkiem brzemienny, ściele się po ziemi, ale najsmutniejszą jest sama królowa. Z jej oczu i twarzy widać, że jeżeli myśli poplątały się bezładnie, to w jej sercu huczy jakby nieustanne rozpaczliwe andante z sonaty *quasi una fantasia* — i widz odczuwa w so-

bie echo tego bólu niezmiernego, i wciąż powraca do smutnego obrazu, choć go gdzieindziej nęca piękne suknie i lamy złote i woda przezroczysta i gaje cieniste.

Jest jeszcze piękno dziejów ludzkich, o tyle wyższe od piękna ludzkiej duszy, czy życia jednego indywiduum, o ile ludzkość wyższą jest od pojedynczego człowieka, o ile koniec Jerozolimy lub Kartaginy jest tragiczniejszym od losów Romea lub Makbeta, o ile np. tryumf Hiszpanów przy „las Navas de Tolosas“ jest szczytniejszym od zwycięstwa w pojedynku, lub w biegu do mety.

Trzeba ostatniego profana, żeby nie czuł różnicy między żołnierzem, który na mustrze wystrzelił ostatni swój nabój, a tem echem rozpaczliwej i upokarzającej dla francuzów wojny z roku 1870, jakim jest *La dernière cartouche* Neuville'a; między gromadą starców idących z kosami i siekierami na pole lub do lasu, a Defregger'a *das letzte Aufgebot*, choć zgadzam się zupełnie z p. Witkiewiczem, że cienie i światła i kolory jednakowo się łamią i rozkładają w obydwóch wypadkach.

Po nad tem jednak wszyskiem, jest piękno ostatecznych celów ludzkich, piękno prawd najwyższych i cnoty, słówek piękno religii, wypadków i osób z nią związanych—przedmiot sztuki religijnej. Słyszę już skierowany ku temu zarzut: „niech ono sobie będzie, to piękno religijne, ale mó-

wić o niem w sztuce nie warto, bo niemamy środków do odtworzenia jego — w naturze jest tylko piękno form widzialnych, dotykalnych“. Opinia ta bardzo rozpowszechniona, wydaje mi się jednak nadzwyczaj powierzchowną. Każdy przyzna, że inne jest piękno w tańcu zwyczajnym, lub piosnce ludowej, choćby najlepiej odśpiewanej, a inne w barkaroli Rubinsztejna, krakowiaku lub menuecie Padarewskiego, jeszcze inne w sonatach Beethovena, nokturnach Chopina, w śpiewach religijnych Hajdna — a jednak do wyrażenia tak bardzo różnych rodzajów piękna muzycznego, do wywołania tak rozmaitych uczuć, wrażeń i myśli, mistrze używali zawsze tych samych klawiszy, strun, trąb, czy bębnow. Umieli brać się do rzeczy—cała zagadka. I malarze umiejący czuć inne piękno, niż samych tylko form natury, potrafią je oddać; żeby jednak widzieć i odczuć, trzeba je pierwej poznać.

Lübke, Witkiewicz i cała generacja współczesnych artystów, tak zatracili pojęcie wyższego świata nad ten, który mają przed oczami ciągle, że dla nich bitwa pod Grunwaldem i bójka Bartka z Maćkiem o podarty siennik, to jedno; naturalnie więc wszyscy oni, o ile z pism i dzieł ich sądzić można, nietylko nie mają najmniejszego wyobrażenia o pięknie religii, ale nawet nie przypuszczają, że ono istnieć może. Dlatego Lübke (i Witkiewicz także) twierdzi, że skoro się artyści wyzwolili z pęt rytu-

ału i jarzma Kościoła, szukali piękna religijnego w naturze, w sobie samych, we własnej fantazyi — i sądzi, że to malarstwu religijnemu wyszło na zdrowie i pożytek. Czerpiąc z takich źródeł, mistrze Odrodzenia bezwątpienia znajdowali piękno, ale zwyczajne przyrodzone. Źródło rzeczywistej sztuki religijnej wysychało dla nich powoli, w miarę tego, jak piękno religii zacierało się w umysłach, jak przejmowali się coraz bardziej poganiejącym duchem czasu. I właśnie może wtenczas, gdy Lübke utrzymuje, że wyzwolili się z pęt rytuału i znaleźli inne źródło natchnienia dla sztuki religijnej, może właśnie wtenczas wymagania kultu były dla nich więcej źródłem obrazów religijnych, niż dawniej, bo je malowali nie z własnego natchnienia, ale na zamówienie, a bez uczestnictwa natchnienia prawdziwie religijnego.

Sztuka religijna ma za zadanie przedstawienie piękna znajdującego się w religii. Oczywiście charakter sztuki będzie taki, jakim jest charakter samej religii. Wspomniałem już wyżej, co stanowiło istotę religii pogańskiej; nie tajno nikomu, że olimpijscy bogowie byli po prostu ludźmi i to bardzo nędznymi duchowo, więc też sztuka religijna pogańska miała zadanie bardzo łatwe. Przedstawiała swych bogów jako pięknych, zdrowych, silnych ludzi — i nic więcej; była więc ona właściwie sztuką rodzajową, nim z czasem nie przeszła nawet w hu-

morystykę i karykaturę. Religia chrześcijańska ma za cel zgnieść i zwalczyć w człowieku wszystko co złe, co zaś uczciwe wzmocnić i uszlachetnić, a w końcu podnieść "go nawet nad wszystko ziemskie i zaprowadzić do końca nadprzyrodzonego — do Nieba i Boga. Taki też charakter powinna mieć i chrześcijańska sztuka religijna. Wszystko co złe, grzeszne, zmysłowe, stanowczo z niej ma być wykluczone; prawie to samo da się powiedzieć i o tem, co wprawdzie nie złe, ale tylko czysto ludzkie, ziemskie — więc motywy rodzajowe powinny być w niej sprowadzone do *minimum*.

W rzeczy samej, pieszczoty matki z dziećciem są rzeczą godziwą, dobrą i piękną, ale w obrazie N. Panny z Dzieciątkiem Jezus, wierzący chrześcijanin chce właściwie widzieć nie tylko piękną matkę, całującą piękne dziecko — tego można napatrzeć się wszędzie — ale przede wszystkim niewiastę, która będąc wolną od wszelkiej ziemskiej zmazy i słabości, stała się godną piastować wcielonego Boga. W postaci świętej męczennicy lub męczennika, chrześcijanin pragnie widzieć nie piękną panienkę lub dorodnego młodzieńca, opierającego się z wdziękiem na kole lub mieczu, ale uosobienie tego męstwa, które słabym ludziom dało moc nad katuszą; w anachorecie lub pustelniku nie tylko dobrotliwego staruszka, z piękną, długą brodą i doskonale wystudyowanemi mięśniami, ale

nadto człowieka, który duchem umiał wznieść się nad wszystko, co świat miłuje, ale surową piękność ascetyzmu, modlitwy, rozmyślenia. W jakimś wypadku wreszcie historycznym, związanym z religią, nietylko akcją dramatyczną, choćby najlepiej uchwyconą, nie tyle historyczne malowidło choćby najszczytniej pojęte, ile raczej tryumf czy przejawienie myśli i zasady chrześcijańskiej.

Jak więc w obrazie artysta wszystko kombinuje dla uwydatnienia przedmiotu, na który chce ściągnąć uwagę, tak w dziele sztuki religijnej wszystkie jej zasoby służyć powinny do uwydatniania jakiejś zasady lub prawdy chrześcijańskiej, uważanej ze strony piękna; — kierunek więc nadprzyrodzony, wznoszący człowieka z ziemi ku Niebu, to cecha konieczna sztuki religijnej, i bez niej rzecz najpiękniejsza może być arcydziełem w każdym innym względzie, ale nie będzie dziełem religijnem.

Lübke, a z nim tysiące innych robią z tego właśnie Kościołowi zarzut, nazywając to krępowaniem sztuki; zarzut ich całkowicie nielogiczny, a zatem niesłuszny. Nielogiczny, bo jak można wymagać, żeby obraz religijny był czem innym nie obrazem religijnym? Gdyby w nim malarz mógł przedstawić co mu fantazja podyktuje, byłby wszystkim, ale nie religijnym obrazem.

Nie jest to zresztą właściwością tylko sztuki religijnej, bo przecież każdy bez wyjątku przedmiot sztuki krępuje artystę i co do formy i co do treści. Muzyk np. jeśli zechce napisać polonez, nie może z niego robić galopady, zamiast opery, nie może podać sonety. Poeta jeśli zechce stworzyć epos, to mu nie nada formy ni treści komedyi, sonetu nie napisze w formie oktawy; architekt, sali balowej nie może zbudować nakształt gotyckiej kaplicy, a domu mieszkalnego w kształcie dzwonnicy przy katedrze florenckiej.

Tak samo malarz jest skrępowanym w każdym rodzaju i temacie swej sztuki; jeżeli np. maluje przedmiot mitologiczny, musi trzymać się treści mitologicznej, bo gdyby w obrazie „satyry i nimfy“ przedstawił damy z półświata i kilku nowoczesnych gogów, dałby scenę z *jardin Mabilie* albo Orpheonu, ale wcale nie mitologiczną. Kto maluje pieszczoty matki, musi umieścić małkę i dzieci; wojenna scena musi mieć bijących się żołnierzy; morski pejzaż — widok morza i t. d.

Wszędzie więc i zawsze artysta chcący przedstawić jakąś treść, jest nią skrępowany, bo gdyby się z tych więzów uwolnił, stworzyłby co innego niż to, co zamierzył. Wydaje mi się to rzeczą jasną jak dzień, nie mogę więc zrozumieć, dla czego Kościół, wymagając, by sztuka religijna chrześcijańska była rzeczywiście religijną i chrześcijańską, miałby sztukę krępować? Trudnoż przecie żądać, że-

by chrześcijaninowi (znającemu się na rzeczy) było rzeczą obojętną, widzieć w obrazie Boga Ojca, czy Jowisza, N. Pannę, czy Dyanę? Trudnoż wymagać, żeby krążek złoty dodany nad pierwszą lepszą postacią, zdołał wmówić w ludzi, że to Święty chrześcijański! Wiem, że takie arcynaiwne przekonanie jest podzielane przez wielu profanów, i co, dziwniejsza, przez wielu artystów, i tylko dziwić się mogę, jak „kapłani sztuki“, niezmiernie powierzchownie swe kapłaństwo pojmują i widocznie więcej pracują ręką niż głową.

Lubo artysta jest skrępowany treścią, a do pewnego stopnia, i formą swego przedmiotu, nie skarży się jednak na to jeżeli może wprowadzić do swego dzieła tyle osobistej fantazyi i gustu, ile przedmiot znieść^r może bez stracenia swego charakteru, więc układ osób, ich charakterystyka, stroje, oświetlenie, koloryt i t. p. dają malarzowi tyle swobody, ile jej ma na przykład muzyk piszący sonatę na fortepian, a ograniczony jej formą i siedmiu oktawami swego instrumentu. Sztuka religijna byłaby naprawdę skrępowaną, gdyby artysta nie mógł inaczej przedstawić osób i wypadków, tylko w pewnym z góry określonym porządku, kształcie, ruchu i podstawie ciała. Przepisy takie rzeczywiście obowiązywały, a może i teraz obowiązują na wschodzie, a i te podobno powstały później; przynajmniej odróżni zwie-

dzający półwysep Agios-Oros, utrzymują, że dzieła mistrza tej szkoły, Panselina, mają bardzo dużo swobody i indywidualności i utworzenie kanonu malarskiego odnoszą do czasów późniejszych. ¹⁾ Na zachodzie krępowało sztukę poprostu jej dzieciństwo. Brak techniki jest tak potężnym powijakiem, że Mickiewicz nie napisałby nic podobnego do „Pana Tadeusza“, gdyby go musiał pisać po hiszpańsku, ani Beethoven swoich sonat, gdyby nie znał kontrpunktu.

Na zachodzie, o ile wiem, nigdy nie istniało nic podobnego do kanonu greckiego, a duchowieństwo dawało tam tak wiele swobody artystom, że jej w końcu dało za wiele, i sztuka religijna stała się na poły (jeśli nie więcej) świecką. Lübke w przytoczonym wyżej ustępie, dość wiernie określa cechy tego ześwieczenia; taką rzeczywiście była w tej epoce sztuka religijna, i pod tym względem ma rację; że jednak nie pojmuje istotnych wymagań sztuki chrześcijańskiej, że nawet nie wie, na czym chrześcijaństwo zależy, że zdaje mu się, jakoby dla sztuki religijnej wystarczał religijny napis na obrazie, a nad głowami świę-

¹⁾ Zakonnik z klasztoru Furna w Tessalii i jego uczeń Cyryl z Chiosu ułożyli pierwsi taki kanon około r. 1650, pod tytułem: *Przewodnik malarstwa*. (A. Proust: Voyage au mont Athos.)

tych aureola, słusznie nazwałem go estetykiem powierzchownym.

W rzeczy samej, cóż znaczy w sztuce religijnej owa „przewaga indywidualnej fantazy nad tradycją? Nic innego, tylko to, że artyści przestali wierzyć, a przynajmniej kierować się wiarą, i w niej szukać natchnienia, że stracili powoli z oczu charakter i wymagania chrześcijanizmu, a natomiast powrócili do pogańskiego sposobu zapatrywania się na religię. Nie trzeba bowiem łudzić się szumnymi słowami. Owe „szerokie horyzonty“ mogły być szerokiemi ze względów technicznych, w poznawaniu i traktowaniu natury, ale nie pod względem myśli, a tembardziej sposobu pojmowania religii i jej piękna. Tutaj było wyraźne cofnięcie się wstecz do myśli i uczuć pogańskich, a pod ogólnikami o indywidualnej fantazy, o czerpaniu z własnej głębi i treści, o udziale własnego usposobienia artysty w dziele sztuki religijnej, trzeba poprostu rozumieć wkradający się do sztuki i rozpierający się w niej naturalizm ¹⁾, a to właśnie jest sprowadzeniem religijnej sztuki na ziemię i jej spoganieniem.

¹⁾ Przez naturalizm rozumiem tu nie badanie natury i zgodę z nią zupełną w odtwarzanych przedmiotach, ale kierunek myśli i przekonań, nie uznający nic po za naturą zmysłową i zaprzeczający świata nadziemskiego i życia nadprzyrodzonego. O ile pierwszy naturalizm jest rzeczą dobrą, o tyle drugi jest fałszywy i zły.

Sztuka religijna przestała odpowiadać dokładnie wymaganiom kultu, z drugiej zaś strony przestała być wyrazem szczerze wierzącego ducha — stała się dekoracją. O niektórych ogólnych objawach takiego spoganienia religijnej sztuki renesansowej, powiem teraz słów kilka.

Powiedziałem wyżej, że sztuka religijna chrześcijańska czerpie temata swoje z dziejów i zasad religii chrześcijańskiej, na co chyba wszyscy się zgodzą; ale w jaki sposób ma treść taką przedstawić, żeby dzieło jej było dziełem sztuki rzeczywiście religijnej? Mamy pod tym względem dwie bardzo rozpowszechnione a obydwie fałszywe opinie — jedna domaga się od sztuki religijnej boskości, druga tematu tylko. „Obrazy, których temata ilustrują wierzenia religijne, powiada p. Witkiewicz z racyi obrazu Munkaczego, wywołują zawsze pytanie: czy przedstawiają rzeczywiście boskość, nadziemskość, nadzmysłowość — pytanie to wydaje się w ogóle ludziom tak prostem, że się rozstrzyga bez wielkich wysiłków umysłu. Zarzut braku boskości — lub też pochwały podkreślające obecność tego pierwiastku, są zwykle wygłoszane bez żadnych motywów i dowodów. “¹⁾ Potem malarz krytyk wykazuje, że boskości nie

¹⁾ „Sztuka i krytyka u nas“, str. 300 Warszawa 1891 r.

sposób wyrazić ludzkimi środkami. „Lecz jeżeli jeszcze bezprzedmiotowe (?) pojęcie bóstwa, może się silić na całkowite oderwanie od świata zmysłowego, to z chwilą kiedy bóstwo staje się czemś, formą, ciałem, a w szczególności przedmiotem artystycznej twórczości w sztuce plastycznej, nie może przedstawić się inaczej jak w kształtach wziętych ze świata rzeczywistego... A skoro żył, czuł i cierpiał po ludzku (Chrystus) twarz Jego musiała wyrażać te uczucia, które twarz człowieka wyrażać jest w stanie“, i t. d.

Jest w tem wiele prawdy. Boskości człowiek nie jest w stanie oddać, nietylko dla racyj, jakie p. Witkiewicz, w dalszym ciągu przytacza, ale i dla tej, bardzo prostej, że co jest nieskończone, nie może być objętem, a tembardziej odtworzonym przez istotę skończoną. To rzecz bardzo jasna — i z tego względu p. W... miałby słuszność; myli się jednak, bo, że tak powiem, czepia się, łapie za słowo, nie wnikając w treść jego. Ogół chrześcijański wymaga od obrazu boskości, i ma rację co do istoty rzeczy; myli się tylko co do wyrazu, a raczej nie umie należycie określić tego, czego instynktownie, a z zupełną słusznością domaga się od dzieła sztuki religijnej. Tak dziecię, nie umiejące jeszcze nazwać rzeczy, której pragnie, daje często zupełnie niewłaściwe nazwy arcy rzeczywistemu i uprawnionemu za-

daniu. Co chrześcijanie właściwie przez boskość w obrazie rozumieć powinni, wyjaśni się z tego, co powiem niżej; — teraz słów parę o drugiej opinii, która widzi w sztuce religijnej tylko temata. Do czego redukuje się takie jej pojmowanie? Do pewnej liczby wypadków i sytuacji historycznych, które artyści tego kierunku, przedstawiają zupełnie tak samo, jak i inne wypadki z dziejów ludzkich; zdarzenia nadprzyrodzone są dla nich pretekstem tylko do wprowadzenia pewnych efektów, skądinąd niespotykanych, jak np. ludzi w powietrzu, otoczonych obłokami, wydających światłość z siebie i t. p.

Wszystko tutaj ogranicza się do względów czysto malarskich, ale Święci z obrazu są szczerymi ludźmi ziemskimi, z ich ułomnościami, właściwościami i t. d. Dlaczego więc takie przedstawienia mają uchodzić za sztukę religijną? Mają one pretensję do przedstawiania postaci z historyi religijnej, otaczają je aureolą, strojem i innymi akcesoryami umówionymi, noszą zresztą podpisy religijne, ot i wszystkie ich prawa i tytuły do religijności.

Na to odpowiem w zgodzie zupełnej z p. W..., że jak *cuculus monachum non facit*¹⁾, tak podpis, etykieta czy jakiś umówiony em-

¹⁾ Kaptur nie czyni mnicha.

blemat jeszcze nie stanowi rzeczy. Nie dość trzymać w ręku książkę do nabożeństwa, żeby być pobożnym, nie dość namalować z nią człowieka, żeby wyobrazić Świętego. Czegóż więc trzeba, żeby obraz naprawdę należał do sfery sztuki religijnej? Odpowiedź bardzo prosta. Trzeba tego samego, czego trzeba w każdej innej treści — trzeba prawdy.

W obrazie religijnym powinna być nie tylko suknia i firma religijna, powinien w niej być najpierwej duch religijny, t. j. ten pierwiastek, który stanowi istotę religii chrześcijańskiej, a jest nim, jak wspomniałem, pierwiastek nadprzyrodzony.

W tem miejscu jednak przestrzedz muszę, że znaczenie tego wyrazu bywa niedokładnie pojmowanem; nie mówię tu o zjawiskach zwanych pospolicie nadprzyrodzonymi, jak np. cuda, objawienia, zjawienia się aniołów i t. p. Nadprzyrodzonym, w języku teologicznym, nazywa się to, co od Boga pochodzi; to też charakterem religii chrześcijańskiej jest właśnie to, że od Niego wyszła i do Niego prowadzi. Tego charakteru, promyka tego rodzaju światła domaga się chrześcijański wierzący ogół, gdy szuka w obrazach „boskości“. Niestłusznie za to bywa wyśmiewanym przez malarzy, nie troszczących się o wszystko, co nie jest kolorem i linią; — jeżeli kto śmieszny jest, to właśnie oni ze swą krótkowzroczną zarozumiałością;

ogół nie umie się wyrazić, ale ma zupełną rację. Najpiękniejsze kobiety, najbardziej brodaczy mężczyźni, najidealniejsze dzieci, nie będą Madonnami, apostołami, aniołami, jeżeli ich artysta nie potrafi oświecić i podnieść owym promieniem rzeczywiście religijnego światła, o jakim mówię.

Naprawdę, dziwić się można i należy, jak przez długie lata tak prosta i dotykalna prawda mogła być przeoczana przez ludzi bardzo świątłych, pobożnych nawet; jak obręcz złocista nad głową, złożone ręce i zapewnienie malarza wystarczały do uznania za religijny obrazu, który oprócz tytułu, nic religijnego nie miał.

Trzebaby bardzo się rozszerzyć, żeby wyjaśnić w jaki sposób ów nadprzyrodzony pierwiastek religii chrześcijańskiej może się w dziełach sztuki objawiać; nie należy to do mego przedmiotu, więc poprzestanę na krótkiej wzmiance, że obraz rzeczywiście religijny, nie powinien mieć nic, coby religijnemu charakterowi jego było przeciwnem, a z drugiej strony powinien posiadać tyle dodatnich cech swego charakteru, ile zdolności artysty i środki sztuki znieść ich mogą.

Przepisów szczegółowych juźci dawać tu nie można, wspomnę tylko o jednym, ale może najpierwszym i najważniejszym warunku, t. j. że dzieło artysty będzie religijnem, gdy

artysta sam będzie miał religię. P. Witkiewicz, pisząc o fantastycznych utworach Böcklina, powiada: „zdaje się, że ten świat fantastyczny jest w rzeczywistości, bo też dla wyobraźni Böcklina jest on rzeczywistym. Böcklin jest szczerze fantastycznym, nie udaje na zimno, nie nicuje form greckiej sztuki z erudycją pedantycznego niemieckiego profesora“. Jeżeli iwięc szczerości, przejęcia się zupełnego trzeba nawet dla treści fantastycznej, by widz miał złudzenie prawdy, tembardziej dzieło religijne powinno pochodzić z głębi duszy człowieka, dla którego religia jest prawdą znaną, przyjętą całkowicie i umiłowaną; — wtenczas odbije się ona na płótnie, w marmurze i metalu.

Artysta, który jak p. Witkiewicz, może powiedzieć lub napisać: „człowiek, który dziś jeszcze naprawdę wierzy“ — artysta, który jak on, Lübke i tysiąc innych powtarza stereotypowe: „...z chwilą, kiedy się sztuka wyzwoliła z pęt symbolów kościelnego kanonu i rytuału“ ¹⁾, taki artysta nigdy dzieła religijnego nie stworzy, bo nie jest zdolnym do tego; a te nędzne produkcyje swego pędzla, które religijnymi ozdobi tytułami, zasłużą tylko na wzruszenie ramionami, albo nawet niesmask i wstręt w człowieku wierzącym obudzą.

Objaśnijmy to przykładem. Znany jest wszystkim, przynajmniej z rysunków, obraz Mun-

¹⁾ „Sztuka i krytyka u nas“ 298.

kaczego: „Chrystus przed Piłatem“. P. Witkiewicz ocenie jego poświęca cały artykuł. Nic nie mam do zarzucenia uwagom tyczącym się faktury, bo to nie moja rzecz zresztą, ale w tem, co pisze o sztuce religijnej i religii, p. W... wygłasza co krok prawie rzeczy tak osobliwe, że wytłómaczyć je, (lecz nie usprawiedliwić), może tylko tak gruntowna nieznamość religii i rzeczy z nią połączonych, jaka jest właściwą naszemu oświeconemu społeczeństwu w ogólności, a artystom w szczególności. Otóż p. W. niema nic do zarzucenia temu obrazowi ze względu na jego treść, i powiada: „nie wiemy co myśli oskarżony w białej szacie, ale wiemy, że myśli czuje. Jakąkolwiek jest jego idea, obecność jej widać w tem czole myślącym, jak widać w niej energię, upór, siłę charakteru, która się nie cofnie przed żadną groźbą“.

Otóż mamy próbkę tego, co nie powinno było być w obrazie, jeśli on miał być religijnym. Ewangelia przedstawia nam Chrystusa Pana i cały świat chrześcijański, tak go pojmuje, jako niewinną i dobrowolną Ofiarę za grzechy ludzkości, jako łagodnego i słodkiego, „który lnu tlejącego nie zgasił, trzciny nadłamanej nie złamał“, jako „Baranka“. Żaden już ci malarz nie może wyrazić w rysach Jego „boskości“, ale w mniejszej lub większej mierze oddać powinien łagodność i cichość Baran-

ka, poświęcenie dobrowolnej ofiary, miłość Odkupiciela, spokój Istoty wyższej, która nawet w mękach przedśmiertnych zachowała spokój, miłość, przebaczenie. Tymczasem Munkaczy dał nam „energię“ — rzecz to bardzo piękna i dobra, ale właśnie czysto ludzka. Chrystus Pan i męczennicy zwyciężali śmierć i męki nie ludzką energią. Daje nadto myśl, rozumowanie, filozofię — rzeczy także bardzo piękne, ale znowu czysto ludzkie.

Chrystus ewangeliczny, a nawet jego uczniowie, nie są filozofami — jest On Mądrością samą, ale nie tą która nabywa się kosztem zmarszczek i łysiny. W końcu Munkaczy daje nam jeszcze „upór“ — rzecz nietylko ludzką, ale złą nawet, bo upór to syn błędu i głupoty — upór dobry dla Hussa przed sądem, nie dla Chrystusa przed Piłatem. To też, ponieważ mniemany Chrystus Munkaczego nietylko nie ma cech, jakie prawdziwy Chrystus miał, ale ma jeszcze takie jakich On nie miał, a nawet mieć nie mógł, więc główna postać tego obrazu, nie jest wcale Chrystusem, jeno jakimś „oskarżonym w białej szacie“. Ponieważ tedy obraz ten nie ma nadprzyrodzonego pierwiastku, o jakim mówiłem, tylko zupełnie przyrodzony, ziemski, więc nie jest religijnym, ponieważ nadto ma przyczepiony religijny napis, więc jest zupełnie fałszywym.

Sąd swój o postaci Chrystusa Pana na

obrazie Munkaczego p. Witkiewicz tak konkluduje: „Cokolwiekbaż można powiedzieć o takim pojęciu postaci Chrystusa — jest to Chrystus nowy — Chrystus, który myśli, i ma samowiedzę swych czynów“. Przytaczając na początku swej książki, jakieś zdanie M. Sokołowskiego, p. Witkiewicz rzuca mu w nawiasie pełen wyrzutu wykrzyknik: „PanieSokołowski??!!“ ja podobnie, tylko z większą może jeszcze słusznością, zawołam: Panie Witkiewicz??!! Znamy obrazek Bakałowicza, „Henryk III w Wenecyi“. Młody król ubrany kuso, w jedwabiach, aksamitach i złotym łańcuchu, robi tam jakąś figurę taneczną z pięknymi kobietami; otóż gdyby jaki inny malarz przystroił tak, dajmy na to, Ludwika IX, gdyby kazał świętemu królowi płaszać z kobietami, czy p. Witkiewicz przyjąłby jego tłumaczenie, iż cokolwiek można powiedzieć o takim pojmowaniu króla Ludwika IX, jest to Ludwik nowy? Nie byłby to wcale nowy, lecz fałszywy Ludwik; raczej nie byłby to on wcale, bo król ten występuje w historii w zupełnie innym charakterze niż Henryk III. I Chrystus Munkaczego, nie jest wcale nowym Chrystusem, bo takiego Chrystusa nie było — jest to postać własnego wynalazku artysty, w której niema prawdy historycznej, a którą niewiadomo dlaczego podobało się mu nazwać Chrystusem.

Dodam w końcu, że wszystko, co p. Wi-

tkewicz o tej postaci dalej pisze, nie jest wcale nowem—wszystko to jest właściwością czy-sto ludzką, a okresy p. Witkiewicza przetłómaczone na język zwyczajny, znaczą tylko, że Munkaczy z Chrystusa Boga, zrobił człowieka i nic więcej — już zaś nigdy nie brakło mają-cych Zbawiciela tylko za człowieka — dawne to dzieje.

Nic zwyczajniejszego, jak spotkać stereo-typowy frazes o wyzwoleniu się artystów re-nesansu „z pęt religii i przepisów rytuału“. — Zdawałoby się, że sztuka religijna z natury rze-czy musi zostawać w powijkach, że żadnej w niej niema swobody, że fantazyja i indywi-dualność artysty mają tam poobcinane skrzy-dła, że horyzont jej niesłychanie zacieśniony, albo raczej niema go wcale, że sztuka religijna nie może być inną, tylko taką, jak w mozai-kach św. Marka w Wenecyi, albo obrazach staroniemieckiej szkoły, o postaciach kościstych i draperyach kanciastych. „Malarze współcześni, powiada pewien malarz francuzki, rzeczywiście wcale nieszczególnie traktują malarstwo religij-ne, z punktu widzenia liturgicznego, to prawda, ale dlaczego? Bo natchnienie jest ruchem, a do-gmat jest nieruchomy“ ¹⁾.

¹⁾ A. Proust. „*Voyage au mont Athos*“. Zwracam uwagę czytelnika na płytkość ostatniego zdania — które jednak gotów powtórzyć niejeden postępowy artysta — *in fide magistri*.

Taka rzeczywiście opinia panuje wśród rzeszy współczesnych artystów i estetyków; jest ona wprawdzie zupełnie błędną, ale czy może być inne pojęcie o ludziach, rzeczach i miejscach, których się nigdy w życiu nie widziało, a tylko podanie o nich przechodzi z pokolenia w pokolenie, w każdym coś ujmując i coś swego dodając? Znałem ludzi którzy obawiali się, że wkrótce muzykom nie stanie nowych tematów, bo wszystkie możliwe kombinacye wyczerpią się niebawem, wobec małej liczby tonów. Inni znowu nie umiejący czytać, nie mogą pojąć, jak 24 znaków mogą oddać wszelkie możliwe odcienie myśli ludzkiej,—a podobnych błędów, wynikających z nieznajomości przedmiotu, możnaby mnóstwo naliczyć. Powyższa opinia o „pętach rytuału“ jest jednym z nich i to nie najmniejszym. Każdy malarz wie doskonale jak wielką rozmaitość w przedstawianiu może nastęrczyć jeden, jedyny przedmiot i to nie fantazyjny, nie historyczny, nie dowolnie wybierany i komponowany, ale kopiowany z natury, choćby naprzykład drzewo, stojące samotnie na łące. Można je malować z tej, owej, dziesiątej strony, z blizka i z daleka, na wiosnę, w lecie, jesieni, zimową porą, w dniu jasnym i chmurnym, zrana, w południe nad wieczorem, o zmroku, przy dziennym brasku, w nocy nawet, w czasie pogody lub burzy, w pełni słonecznego oświetlenia, zamro-

czone deszczem, śniegiem lub oparami jesieni; — będzie ono wciąż inne, a jednak zawsze to samo i prawdziwe. Jeżeli dodamy do tego właściwość wykonania każdego artysty, pojmujemy łatwo, że można zrobić mnóstwo rozmaitych wizerunków, poprostu kopiując z natury jeden jakiś przedmiot.

Otóż przedmiotów czy tematów religijnych jest mnóstwo nieprzebrane; każdy z nich może być uważanym z innej strony, w każdym osobistość artysty może się i powinna zaznaczyć, a jednak każdy z nich będzie religijnym rzeczywiście obrazem, jeśli w nim będzie prawda, to jest oprócz prawdy rzeczywistej, ogólnie ludzkiej, jeszcze ów pierwiastek nadprzyrodzony, bez którego religijny obraz chrześcijański jest zgoła niemożliwym. Niema więc najmniejszej racji do narzekania na „pęta rytualne“, ani obawy o wyczerpanie przedmiotu. Owszem, choć to się może dziwnem wydać, nawet fantazya może mieć swój udział w wyborze tematu do obrazu, który jednak będzie religijnym, byle w głębi jego tkwił ów prawdziwy i konieczny warunek chrześcijaństwa.

Przed lat dziesiątkiem, jadąc do Karlsbadu a zwiedzając „Złotą Pragę“, z kolei wstąpiłem tam i do kościoła Kapucynów. Uwagę moją wkrótce przykuł obraz wielkiego ołtarza, jak mi się zdało, z epoki wczesnego renesansu, przedstawiający N. Pannę w adoracyi przed

Dzieciątkiem Jezus. Towarzyszący mi zakrytyan, najzabawniejszy typ Niemca pedanta, usilnie zwracał moją uwagę, na piękne ręce Madonny i śliczne jasne włosy, spływające po niebieskiej szacie, ale ja utonąłem w przepięknym obliczu, które nie było tylko twarzą pięknej matki klęczącej przed swoim dziecięciem, jak bywa najczęściej w obrazach tej treści, lecz z niego biła głęboka wiara Matki Dziewicy, wierzącej i wiedzącej, że jej dziecię w ubożnych pieluchach, to Bóg, Stwórca i Pan świata całego.

Wyszedszy z kościoła, zacząłem zwiedzać krużganek i jego kaplicę. Pierwsza na prawo „kaplica krzyżowa“, ma w ołtarzu niewielki obraz, na który ledwom okiem rzucił, poczułem prawdziwy *Stoss ins Herz* i musiałem przygryść wargi, które mi drgać zaczęły z gwałtownego wzruszenia. Taki obraz widziałem pierwszy raz w życiu. Przedstawiał umęczonego Pana Jezusa. Siedział On, trzymając na kolanach parę pęków okrwawionych różeg, tors, dość zresztą wadliwie narysowany, okryty sińcami i krwawymi pręgami; cała jednak potęga tego obrazu była ześrodkowana do rąk i głowy. Ręce przebite i zda się drgające z bólu podniósł Zbawiciel ku widzowi z tym ruchem naiwnym, z jakim dziecię, gdy się skaleczy, podnosi rączkę, by ją owinąć i pocałować, a boleć przestanie, z głowy zaś pa-

trzała para oczu żywych poprostu i pełnych tak niewymownej skargi, że zda się słycać było słowa wielkopiątkowych „improperyów“: *Popule meus, quid feci tibi?* ¹⁾ Nic już potem nie widziałem, choć na wiele jeszcze patrzyłem. Gdym zstępował po kamiennych schodach królewskiego Hradcu, przesuwały się przedemną długim szeregiem wyblakłe, jak stare gobeliny, madonny Rafaela i del Sarto, które dotąd w dobrej wierze miałem za bardzo religijne obrazy; z pomiędzy pamiątek pałacu Wallensteinowskiego wyciągały się ku mnie te drgające, przebudzone ręce i sen odpędziły odemnie te oczy nabrzmiałe łzami, a pełne skargi i wyrzutu. Wtenczas dopiero pojąłem, jakim być powinien obraz religijny.

Nie ulega wątpliwości, że obydwie te sytuacje nie są historycznie prawdziwe; Ewangelie nie wspominają o tem, by N. Panna klęczała w adoracyi przed swem Boskiem Dziecięciem, ani o tem by Chrystus Pan umęczony i żywy, więc zmartwychwstały, okazywał się ludziom w takiej postaci, jak na obrazie w Pradze, a jednak obrazy te są prawdziwie religijnemi, bo mają w sobie prawdę religijną. Pierwszy przedstawia rzeczywisty stosunek Matki kobiety do dziecięcia Boga, drugi Boga czło-

¹⁾ Ludu mój, cóżem ci uczynił?

wieka dobrowolnie za ludzi umęczonego i czyniącego im miłośny wyrzut, że dla tyłu z nich Męka Jego była daremną.

Lübkę, Witkiewicz *et consortes* utrzymują, że gdy sztuka religijna wyzwoliła się z pęt kościelno-rytuałowej niewoli, rozwinęły się przed nią szerokie horyzonty, zbliżyła się do natury, rozwinęła się fantazyja artystyczna i t. d. i t. d. Jest w tem wszystkim prawda, w dziwny sposób pomieszana ze czczymi frazesami i z zupełną nawet nieprawdą. Rzeczywiście, sztuka w epoce renesansu olbrzymi krok zrobiła naprzód, szerokie przed nią odkryły się horyzonty ze względu na odkrycia w rysunku, światłocieniu, kolorycie, kompozycyi, a nawet stronie czysto technicznej. Nic to jednak nie mogło przeszkadzać dawnemu religijnemu kierunkowi w sztuce; owszem im w dziele sztuki mniej byłoby dyssonansów, im myśl artysty dokładniej mogłaby zostać wykonaną, tem wrażenie religijne byłoby potężniejszym. Gdyby dwa wyżej wspomniane obrazy były niedołącznie wykonane, nie wywarłyby na mnie żadnego, albo bardzo małego wrażenia. Nie o tę więc zewnętrzną stronę sztuki, tak znakomicie udoskonaloną, chodzić może tym, którzy prawią o „zerwaniu pęt kościelnej niewoli“, oczywiście i jedynie idzie tu o pojmowanie sztuki. Artyści Odrodzenia przestali pojmować sztukę religijną, tak jak ich poprzednicy wierzący, i to miało po-

dnieść ich artystyczną fantazyę, wprowadzić do sztuki religijnej pierwiastek osobisty. Sławioną tu jest wolność, jaką sobie zdobyli artyści, i która im odkryła jakoby nowe a szerokie horyzonty pod względem pojmowania i zapatrywania się na sztukę religijną. Tu właśnie tkwi błąd zupełny. Wolność nigdy i nigdzie nie jest wyzwoleniem się ze wszelkich praw, — to jest zgoła rzeczą niemożliwą; jest ona właśnie wyzwoleniem się z przeszkód niedozwalających ulegać prawom odpowiednim naturze danej istoty. Taką przeszkodą było niedołęztwo i dzieciństwo sztuki pod względem technicznym, co zaś tyczy się religijnego jej pojmowania, to już wspomniałem, że natura sztuki religijnej wymaga, by była religijną; — pojęta inaczej, może być wszystkiem innem, lecz przestanie być religijną.

Tak też się stało w epoce renesansu. Kto przestanie wstępować na górę, ten może chwilę postać na miejscu, chwilę pobłąkać się z tej i owej strony, ale ostatecznie musi na dół zstąpić. Tak samo kto przestał zapatrywać się na sztukę religijną z punktu widzenia chrześcijańskiego, t. j. nadprzyrodzonego, nic innego zrobić nie może, tylko patrzeć na nią z punktu czysto ludzkiego, przyrodzonego. Artyści renesansu, poprostu przestali rozumieć sztukę po chrześcijańsku, bo i sami w praktyce prawie zawsze byli poganami, a natomiast wpro-

wadzili do niej pierwiastek czysto ludzki ze wszelkimi jego właściwościami.

Do tego sprowadzają się wszystkie szumne pochwały o wyzwoleniu, swobodzie, fantazyi i rozwiniętym indywidualizmie artystów. Sztuka religijna powoli przestawała być religijną, pomimo tego, że więcej może niż przedtem malowano i rzeźbiono do kościołów. Nazywają to „rozszerzeniem horyzontu artystycznego“; — zapewne, jeśli ten kto patrzył dawniej na dół i w górę, a teraz tylko w dół, jeśli ten kto miał dawniej dwoje oczu, a teraz tylko jedno, rozszerzył swój horyzont widzenia, to rozszerzyli go i malarze renesansowi, postradawszy owo oko duchowe, jakie mieli przedrenesansowi artyści religijni.

Nie chcę przez to, com wyżej powiedział, twierdzić, że w epoce Odrodzenia, sztuka religijna wzięła rozbrat zupełny z należytem swego zadania pojmowaniem; owszem, zdarzały się dość częste nawet przykłady, że zdobyte nowe środki i pojęcia artystyczne, połączone ze zrozumieniem myśli chrześcijańskiej, wydawały prawdziwe arcydzieła, jak Ostatnia Wieczerza Leonarda da Vinci, jak widzenie Ezechiela, albo Św. Cecylia Rafaela. Ten ostatni obraz może służyć za nowy dowód tego, com wyżej powiedział, że charakter religijny wcale nie krępuje artysty, ani jego fantazyi. Historycznie jest on anachronizmem, bo osoby na nim obok siebie sto-

jące, nie żyły jednocześnie, a jednak jest on nietylko arcydziełem wykonania, nietylko wieje z niego najwznioślejsza poezya, ale też jest zupełnie religijnym, nie dla samych tylko świętych, a tak pięknych postaci, ale że tkwi w nim arcychrześcijańska myśl, iż wszystkie piękności tego świata ustąpić muszą wobec słabego nawet echa sfer niebiańskich, że więc jest inne, lepsze i szczęśliwsze życie, niż to ziemskie i doczesne.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że zgoda artystów z pojęciem chrześcijańskim stawała się coraz rzadszą i że zstępowali oni ku dołowi, jedni prędkiej, drudzy powolniej. Tak np. w licznych Św. Rodzinach Rafaela, z pewnością niema jeszcze nic z powszedniego, ludzkiego żywota zwyczajnej rodziny, ale też, podług mego zdania, i religijnej prawdziwie treści bardzo tam niewiele. Są to posiedzenia niezwykle pięknej, pełnej poezyi rodziny, odbywające się w jakiejś poetycznej krainie; ślicznie tam, poetycznie, pocziwie i zacnie, lecz jest to świat legend z Dzieciątka Jezus ks. Hołowińskiego, ale nie Ewangelii. To śliczne nagie dziecko, które wypadło z kołyski, rzuca się w objęcia matki, albo bawi się ptaszkiem, rybą czy czemś innem podobnem, w niczem nie przypomina wcielonego Boga, a za to sama Matka bardzo przypomina typ kobiet włoskich, dotąd dość zwyczajnych. (Spotykałem we Wło-

szech kobiety, jakby chodzące Madonny włoskich mistrzów).

Giulio Romano i pod tym, jak pod innymi względami, nie dorównał swemu mistrzowi. Powszechnie znana Święta Rodzina jego pędzla w galeryi drezdeńskiej, przedstawia właściwie figle dwóch bardzo ładnych chłopczyków, z których jeden oblewa drugiego wodą, a ten ucieka na łono matki. Piękne to ani słowa, tylko że już ztamtąd zupełnie uleciał charakter religijny. Inna znowu Święta Rodzina tegoż malarza, której rysunek posiadam, niczem się nie różni od zwyczajnego zgromadzenia modeli udających rodzinę. Madonna jest już najwykleszą kobietą, Św. Józef znużonym modelem. Pamiętny na zachwyty Kremiera nad Tycyana Ofiarowaniem N. Panny do kościoła, przypatrywałem się mu pilnie, gdy byłem w Wenecyi. U stóp ogromnych schodów stanęła grupa patrycyuszów, widocznie krewnych i znajomych małej dziewczynki, która z wielkiem skupieniem po tych schodach podąża ku czekającemu na nią w górze starcowi w rogatej arcykapłańskiej czapce. Przychylił się on ku dziewczeczce, uśmiecha się błogo, a rozstawiwszy ramiona zda się czekać rychłoli ją będzie mógł pochwycić i uściskać. W całym obrazie niema nic coby mogło usprawiedliwić tytuł jego i pretensyę do treści religijnej — chyba aureola około głowy dziewczynki i ro-

gata czapka arcykapłana. Na mnie obraz ten zrobił wrażenie, jak gdyby przedstawiał próbę, czy dziewczynka maleńka potrafi już wejść na ogromne schody; na dole z uśmiechem na ten „eksperyment“ patrzy grono krewniaków, na górze czeka dziadunio, by ją za to do piersi przytulić:—przed schodami, na pierwszym planie siedzi przekupka, nie zwracająca na to wszystko żadnej uwagi, i słusznie, bo cóż tam nadzwyczajnego, że dziewczynka podrosła i chodzić już może po schodach.

Albo gody w Kanie Galilejskiej Weroneza, Madonna Corregia z galeryi drezdeńskiej, śmierć Św. Bartłomieja Ribeiry! Pierwsze, to uczta arystokracji weneckiej, wśród której postaci Chrystusa Pana i Matki Boskiej, nietylko niewłaściwe ze względów religijnych, lecz niepotrzebne ze względów czysto artystycznych; — można było takie uczyty malować bez niewczesnego anachronizmu, a tylko zyskałyby na prawdzie. Kobieta z nagim dziecięciem wśród dzieci jadących okrakiem na chmurze, to oddających się ćwiczeniom gimnastycznym, wśród kilku rzekomo świętych, z których jeden w pozie zgoła nieprzyzwoitej, którą Corregio nazwał Madonną, jest jedynym z nieprzeliczonych okazów modnego wówczas sposobu grupowania pewnej liczby osób pod pretekstem adorowania N. Panny.

W rzeczywistości trudno tam dopatrzyć się ducha religijnego. Zkądby się on zresztą wziął

u wybornego malarza rozpustnych scen mitologicznych? Św. Barłomieję Ribery, prędyj przypomina kaźń Marcyasza, albo raczej jest wizerunkiem nadużycia, jakie dwa szkaradne draby popełniają nad równie prawie brzydkiem starcem, obdzierając go ze skóry.

Nie na tem jednak skończyły się wpływy renesansu na sztukę religijną. Podstawą cnót chrześcijańskich moralnych jest pokora, którą jeden z Ojców Kościoła określa jako prawdę i sprawiedliwość. Chrześcijanin posiada prawdziwe pojęcie o swoim znaczeniu i stanowisku we wszechświecie, a gdy zechce stosownie do tego postępować i być względem siebie sprawiedliwym w czynie, zostaje pokornym. Wie on wtenczas, że jest istotą przypadkową, pełną błędów i ułomności; dlatego źródła prawdy i dobra szuka po za sobą, i gdy trzeba, umie się zaprzecć samego siebie.

Takie pojęcie i postępowanie jest często przykrem i trudnem, ale ma tę nagrodę, że człowiek, idąc po drodze dobrej, dochodzi do celu, tworzy dzieła prawdziwe, piękne i trwałe. Poganizm jest antytezą chrześcijaństwa, jak to już wspomniałem; dla niego człowiek jest centrem, celem, słońcem dla samego siebie;—jego *ja* jest dla niego pierwszym prawem, do tego *ja* chce on nagiąć wszystko: prawa przyrody, prawa moralne, estetyczne, socyalne, prawdy naukowe, historyczne, filozoficzne, nawet prawdy odwie-

czne. Łatwo domyśleć się, jaka olbrzymia pycha, a zarazem jaki fałsz niezmierny leży w podstawie i w całej budowie takiego zapatrywania się na rzeczy. Renesans był ogromnym krokiem wstecz ku pogańskiemu pogładowi na świat i człowieka, więc też utwierdził w nim coraz bardziej rozrastającą się pychę i stawianie siebie, swoich zachceń i zapatrywań na pierwszym planie. Artyści przeniknęli się taką przyjemną dla miłości własnej metodą bardzo łatwo. Nie poprzestali na pozbyciu się tego, co ich w samej rzeczy krępowało, ale jak to często bywa, przerzucili się w drugą ostateczność.

Niekępowanie się niczem, a poddawanie wszystkiego własnemu sposobowi widzenia, stało się dla nich prawem— i za to są dotąd chwaleni. „Kiedy Papież Paweł IV, powiada p. Witkiewicz, zaproponował nieśmiało (?) Michałowi Aniołowi przykrycie nagości figur w „Sądzie Ostatecznym“, Michał Anioł odpowiedział: „Powiedzcie Papieżowi, niechaj zajmuje się doskonaleniem ludzi, jest to trudniej, ale pożyteczniej, niż poprawiać obrazy“ — i malował dalej tak jak sam chciał“. ¹⁾ I to mówi z widocznym zadowoleniem ten sam p. Witkiewicz, który tak surowo, często nawet złośliwie, karci dzisiejszych malarzy za to, że chcą malować „tak, jak sami chcą“. Jeżeli nie wolno dać jednej kreski, położyć jednego tonu wbrew

¹⁾ *Sztuka i kryt.* 451.

prawdzie natury, a dla dogodzenia własnej fantazyi czy uprzedzeniom, to czemuż nie zastosować tej arcy słusznej, choć arcy trudnej zasady do całości sztuki? Czyż tylko w naturze materialnej prawda powinna być szanowaną? Nie, w sztuce prawda powinna być wszędzie: w materyi, w historyi, w naturze i charakterze ludzi, czy zwierząt, a zatem także i równie koniecznie w naturze moralnej, umysłowej, duchowej człowieka. Dziwna doprawdy stronniczość, czy ślepotą gdy się wymaga prawdy w każdym innym względzie, oprócz ostatniego.

Jeżeli odpowiedź Michała Anioła jest prawdziwą, może służyć za doskonały okaz pychy i zarozumiałości artystów, którym się zdaje... no, wiemy, jak wiele się zdaje, a zgoła niestusznie. I w tym razie genialny malarz omylił się bardzo. Wszystkie pola i działy ludzkich czynów są z sobą mniej lub więcej związane; sztuki nie stanowią wcale świata odrębnego ani niezależnego od prawdy i moralności. Papież miał zupełną rację domagać się, by obraz nie obrażał wstydu, zwłaszcza taki, który miał być religijnym. Wtenczas tylko mógłby malarz dać odpowiedź w rodzaju powyższej (choć zawsze mniej zuchwałą i pyszną) gdyby Paweł IV mieszał się do rysunku, kolorytu i t. p. czysto już artystycznej natury rzeczy. „I malował dalej tak, jak sam chciał“ — a czy dobrze zrobił? Nie, bo należało ma-

lować tak „jak było potrzeba“, a Michał Anioł nie namalował Sądu Ostatecznego, jak było potrzeba, jak chrześcijaństwo go przepowiada, chrześcijanie pojmują, spodziewają się i wyobrażają sobie.

W podobny sposób postępowali i inni artyści. „Artysta wobec tradycji czuje się swobodnym, powiada Lübke, przerabia święte legendy, treść chrześcijańskich zasad, na swój sposób, z własnej głębi czerpie ducha, ożywiającego tę treść“... Wspomniałem już wyżej, że nic w tej głębi nowego ani wyższego nie znalazł, tylko zawrócił wstecz i zstąpił na dół. P. Witkiewicz powiada gdzieś bardzo trafnie: „rzeźbiarz czy malarz, każdy powinien jednakowo dobrze zachować zasadniczy kształt ręki, nogi lub głowy... ale charakter tej ręki, tej głowy, jest to jego indywidualność“. Otóż są rzeczy w sztuce, których pomimo największej fantazyi, artyście zmieniać nie wolno pod karą zepsucia swego dzieła; takimi są wszystkie rzeczy zasadnicze i istotne. Niewolno zmieniać zasadniczych kształtów ludzkich członków, bo człowiek zamieni się w coś innego; niewolno zmieniać zasadniczych faktów historycznych, bo będą to już nie te fakta; niewolno zmieniać charakterystycznych cech danej osoby, bo się ona w tym razie w innego przemieni człowieka; niewolno zmieniać istotnej treści nawet mitologicznych bajek, nawet podań i legend, bo się one w proch rozwieją; tembardziej niewo-

Ino odmieniać dowolnie treści zasad chrześcijańskich, bo są one bezwzględna prawda, a korszalwając je, artysta stworzy dzieło tem brzydsze, im do wyższej rzeczy się zabrał, i im więcej „czerpał z własnej treści i własnego ducha“.

Było to jednym z fatalnych znamion renesansu, że artyści przywłaszczyli sobie prawo malowania i rzeźbienia „jak się im samym chciało“. Skutki tego były tak samo fatalne dla religijności obrazów niby religijnych, jakby była dla ich kolorytu swoboda malowania ciał ludzkich zielonych, nieba fioletowego i drzew szafirowych.

Skoro się raz popuści wodze egoizmowi, i udzieli zupełnej swobody ludzkiemu *ja*, wtenczas ono nietylko chce siebie środkiem całego świata uczynić, lecz jeszcze oczy wszystkich na siebie ściągnąć, odbierać hołdy i upajać się dymem pochwał, podziwu, zachwytów; — kadzenie jest koniecznym warunkiem uczczenia bóstwa. Otóż ta chęć ściągnięcia wzroku, a zyskania oklasków, objawia się namiętnością popisywania się. Całe życie próżnego człowieka schodzi mu na pozowaniu, popisach, mówieniu o sobie, przypominaniu nieustannem swej wielkości. Pamiętają może czytelnicy moi ustęp z „Listów z podróży“ Odyńca o autorze tablicy mnemoniczej Jaźwińskim, który nawet Papiężowi Piusowi VIII nie darował, i na audyent-

cyi u niego ze swą tablicą wyjechał, ku zgromadzeniu i przerażeniu obecnych towarzyszy.

Duch renesansu z natury rzeczy rozwinął w artystach tę nieznośną wadę do wysokiego stopnia, a przez to samo odrazu złożył w głębi sztuki jedno z ziarn i przyczyn przyszłego jej wypaczenia i upadku. Poeci i mówcy współczesni zaczęli chorować na erudycję i w celu popisania się wciągali do swych dzieł cytaty niezliczone, które w końcu to sprawiły, że czytanie ich było podobnem do chodzenia po polu usianem bryłami kamieni.

Architektura, chcąc gwałtem ściągnąć na siebie uwagę, powykręcała i wypaczyła wszystkie architektoniczne i ornamentacyjne części budynków, aż przeszła w dziwactwa barokowe i rokokowe; rzeźba poszła w teź ślady, i zostawiła nam legiony świętych w konwulsjach, spazmach, z pokręconymi członkami, dokazujących na swych postumentach takich sztuk łamanych, do jakich nie każdy linoskok byłby zdolny.

Ten sam kierunek objawił się i w malarstwie zaraz na początku renesansu. Wiadomo, że najwyższą sztuką jest takie pokonanie technicznych trudności, żeby wysiłku widać nie było. Ogół profanów zwykle w takich razach sądzi, że nic łatwiejszego, jak „wziąć i zagrać, albo wziąć i namalować“ — znawcy tylko wiedzą, ile ten spokój kosztuje i czego jest

wart. Człowiek próżny i pyszny nie poprzestaje na uznaniu znawców, jemu potrzeba podziwu tłumów, dlatego puszcza się na sztuczki poniżające sztukę kaleczące dzieło jego, co więcej, zmieniające zupełnie jego charakter.

Artysta taki maluje lub rzeźbi nie dlatego by w zewnętrzzną szatę ubrać piękno, które w sercu nosi, lecz dla tego jedynie, żeby się pochwalić; do tego jednego celu kieruje wszystko. Otóż kiedy artysta wybrał sobie temat religijny, ale pojął go po ludzku, zastosował do swego widzimisie i upodobania, często arcydziomego; kiedy nadto postawił sobie za cel główny popisanie się, zwyciężenie przeciwników, ściągnięcie uwagi i zyskanie oklasków ogółu, to już łatwo domyśleć się, co pozostało w dziele jego z piękna religijnego, jakie w danej postaci lub wypadku miał przedstawić. Zwykle nic, albo bardzo mało zostawało. Owszem, zwykle szwankowało dzieło sztuki i pod względem piękna, bo jak nie wolno obrazu tworzyć z celem wyłącznym uczenia, moralizowania, propagandy pewnych pojęć, gdyż na tem zaraz ucierpi artystyczna jego strona, tak samo nie można stworzyć dzieł sztuki dla popisu, bo często przestanie ono mieć cokolwiek z nią wspólnego, a zawsze mniej lub więcej szwankować będzie.

Przykładów mógłbym mnóstwo przytoczyć, — poprzestanę na kilku, a zacznę od jednego

z najgłośniejszych arcydzieł renesansu — od „Sądu Ostatecznego“ Michała Anioła Buonarrotiego. „Krytykować Michała Anioła! woła ze zgrozą francuzki historyk sztuki i dodaje ironicznie: zapewne nie jest to rzeczą trudną, lecz żeby mieć tę odwagę, trzeba nie mieć przed sobą tego obrazu, napełniającego osłupieniem z podziwu każdą duszę artystyczną“. ¹⁾ Jest szczególną właściwością naszego wieku, że mając sobie za zaszczyt krańcowy krytycyzm i zuchwałość względem Boga i wiary, bałwochwalczą i niewolniczą część boską oddaje ludziom. Wolno na nice przewracać Ewangelię, niewolno krytykować Buonarotti'ego, Goethe'go, Wiktora Hugo — dlaczego? — Można wszystkich krytykować, byle mieć do tego potrzebne kwalifikacje.

Muszę wszakże uspokoić czytelnika, że nie myślę wcale porywać się z motyką na słońce, ani z mojemu skromnymi estetycznymi wiadomościami na krytykę Michała Anioła *artystyczną*. Jakkolwiek jestem przekonany, że nawet z tego względu omawiany obraz wiele utracił, nie z czysto religijnych wypłynawszy pobudek, że gdyby stwórca jego chciał oddać piękno tej rodzaju ludzkiego dziejowej chwili

¹⁾ Charle Blanc *Hist. des peintres de toutes les écoles*. Ecole florent. *Mich. Ange*.

nie zaś piękno tylko ludzkiego ciała, byłby stworzył niezrównane arcydzieło, schowam wszakże te uwagi dla siebie — „nic to albowiem do rzeczy nie nada“ — i zajmę się tylko śledzeniem, o ile Buonarotti odstąpił od myśli religijnej, mając wyłącznie artystyczną stronę, a raczej chęć popisu na celu.

Niema z pewnością tematu bardziej wspa-
niałego i wdzięcznego dla chrześcijańskiego ar-
tysty nad sąd ostateczny; owszem jest to prze-
dmiot tak ogromny, że tylko pierwszorzędnym
geniusz mógłby mu należycie podołać. W wy-
obrażeniach ogółu, sąd ostateczny zawsze się
przedstawia, jako dzień straszliwy, dzień kaźni
i potępienia, a zatem przekonaniem poszli ma-
larze; wszystkie, bez wyjątku, tej treści obrazy
i rysunki jakie widziałem, przeważną, jeśli nie
wyłączną uwagę, zwracają na ukaranie odrzu-
conych. Zapewne, będąc grzesznymi, wszyscy
aż nadto mamy racji do obawiania się sądu
ostatecznego i przedstawiania go sobie jako
„*dies irae, calamitatis et miseriae*“, ale osta-
tecznie takie wyobrażenie jest podmiotowem
tylko; w rzeczywistości będzie i to, ale i coś
więcej, jeszcze. Sąd ostateczny to dzień spra-
wiedliwości, a sprawiedliwość nietylko karze
złych, ale i wynagradza dobrych; będzie więc
ten dzień wielką chwilą ostatecznego zwycięż-
stwa prawdy i sprawiedliwości, dniem miłości
i szczęścia, i dla tego jeżeli ze względu na na-

sze grzechy mamy rację obawiać się go, to znowu każde serce sprawiedliwe może i powinno z autorem Apokalipsy pragnąć go i pożądać, i jak on wołać — „przyjdź Panie Jezu“ — przyjdź rychło — przyjdź zaraz.

Otóż chwila wymierzenia sprawiedliwości, dzień rozrachunku z ludzkością całą i zamknięcie jej smutnych dziejów jest dramatem tak przejmującej treści, że wyższej nad nią z pewnością nie będzie nigdy, a zarazem motywem do obrazu religijnego najwdzięczniejszym. Patrzymy tylko. Oto u góry w chwale wielkiej i majestacie zasiadł „Syn człowieczy“ — piękny, jaśniejący, potężny — nad Nim krwawo świeci „znak Syna człowieczego“ — Krzyż, miłość jednych nienawiść drugich. Obok Niego N. Panna, Apostołowie i Święci, którzy wraz z Nim świat sądzić będą, a u góry tłumy duchów skrzydlatych w milczeniu i skupieniu przypatrują się temu, co się dzieć będzie. Przed Zbawicielem rozwinęło się „mnóstwo którego nikt nie mógł porachować“, cała ludzkość zbawiona. Oto stoją w purpurze męczeńskiej tłumy pici obojej; narzędzia męki przy nich, a „palmy w ręku ich“; — przy nich blaskiem lilij świecą dziewice i wszystkie serca czyste; tam widać zahartowane w pracy koło winnicy Bożej postaci żarliwych biskupów i kapłanów, tam surowi z siwemi brodami pustelnicy, tam poważne i wstrzemięźliwe wdowy, umartwieni

i rozmodleni zakonnicy, tam miliony milionów prostaczków, ubogich duchem a prawych i pokornych sercem. I oto zwrócił się do nich wszystkich Bóg ich i Oblubieniec ze słodkimi słowami: „pójdźcie wybrani Ojca mojego, posiadźcie Królestwo, które wam jest zgotowane od wieków“. I wyciągnął ku nim miłosne ramiona, a oni wybiegli ku Niemu sercem i duszą całą i u warg Jego zawisli. „Pójdźcie“ powiada, — więc ruszyli, i idą, i końca niema tego pochodu. Idą i nucą pieśń tryumfu i szczęścia. — Idą i śpiewają: „Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał“ — a pieśń ich wezbrała jako szum wód mnogich, i grzmi, nad nimi potężniej od gromu i od huku fal oceanowych i rozradował się od niej świat cały i zadrżał w podstawach swoich, a słońce, księżyc i gwiazdy wszystkie odpowiadają niby echo radośne—Alleluja! Alleluja! A kiedy pierwsze szeregi nikną w przezroczu, bliższe ze czcią i miłością schylają się przed mówiącym do nich Chrystusem, najbliżsi zaś ziemi patrzą w przechodzie z rozmaitem w twarzy uczuciem na inne tłumy, które zapadają w noc ciemną i przepaść bezdenną. Spadają oni w „ogień zgotowany dyabłu i aniołom jego“—w twarzach wstyd, ból, rozpacz i nienawiść, a karą ich największą nie pioruny, co nad nimi w czarnych chmurach migocą, nie krwawe języki piekielnego ognia, które już ich z dołu sięgają,

ale to, że Ten w górze „najpiękniejszy z synów ludzkich“ nie patrzy na nich, że miłość się od nich odwróciła i słońce zagasło na wieki.

Taką jest treść, a każdy malarz, gdy się w nią dobrze w myśli, pozna, że bez żadnych ubocznych względów, bez żadnych zamiarów popisania się, na każdym calu olbrzymiego płótna artysta ma takie zadanie, że wszystkie bez wyjątku zasoby jego geniuszu i wiedzy, nietylko mają pole niezrównane do pokazania się, ale możeby nawet nie wystarczyły. W rzeczy samej w tym temacie można rozsypywać wszystkie perły malarstwa, wszystkie jego środki mogą tu być zużytkowane — rysunek, koloryt, perspektywa światłocien, kompozycya — w nieskończonej prawie różnorożności.

Weźmy dla przykładu samo tło tylko. Światło u góry, chmury w najrozmaitszem oświetleniu, od jasnych w górze do piorunowych, krwawym piekielnym ogniem oblanych u spodu w oddaleniu błękit w rozmaitem natężeniu do ciemnego lazuru. Jeżeli Chrystus Pan jaśnieje majestatem, pięknnością i potęgą, to N. Panna, apostołowie i święci i cały tłum zbawiony dają możność oddania nieskończonej różnorożnej gamy twarzy pięknych, szlachetnych, dobrych, a przytem najrozmaitszemi przejętych uczuciami—niewinności, szczęścia, miłości, tryumfu, spokoju, powagi, pewnego przestachu

i zdziwienia w patrzących u dołu na strąconych potępieńców.

Przeciwnie, potępieni nie tylko dają możliwość przedstawienia przeróżnych uczuć negatywnych, ale i całej brzydoty moralnej. Artysty zwykle o tem zapominają i malują tylko w kontorsjach rozmaite, czysto piękne nawet, ciała. Powinniby pamiętać, że potępieni, to przede wszystkim nie są ludzie cierpiący, ale źli: są to zbóje, złodzieje, rozpustnicy, pyszni, nienawidzący egoiści — ten więc ich charakter należałoby najbardziej napiętnować. Jeśli do nieba idzie piękno i cnota, to do piekła pójdzie brzydota i grzech. Cała owa zapadająca się do otchłani tłuszczą wraz z szatanami, powinna robić wrażenie, że zło i grzech idzie tam, dokąd mu właśnie iść trzeba. Rozmaitość szat, a w skutek tego i kolorów, nieskończona. Białe suknie dziewic, togi rzymskie dawnych świętych, palmowe płaszcze i kozie skóry pustelników, habity zakonników, pontyfikalne stroje biskupów, szare świty ubogich, pancerze i hełmy, chorągwie, wience, kwiaty, narzędzia męki, — możnaby nawet do pewnego stopnia uwzględnić i nagość u potępionych, boć ona w sensie kościelnym właśnie przystoi, byle bez obrażenia przyzwoitości, nędzy, cierpieniu i łotróstwu — co tu efektów kolorystycznych! Ile zaś pola dla rysunku, perspektywy światłocie-

nia, to już każdy malarz z łatwością sobie wyobrazi.

Tak więc artysta przedstawiający Sąd ostateczny ma do wyboru niezmierną moc wszelkich piękności artystycznych, ale żeby ten obraz był rzeczywiście religijnym, powinna z niego widnieć idea religijna, której dzień ten będzie spełnieniem, to jest ostateczny tryumf sprawiedliwości Bożej w nagrodzeniu dobrych i ukaraniu złych; — dla tego jednak by idea ta, jak światło od świecy, biła z obrazu, trzeba żeby była pierwaj w duszy artysty, żeby on sam ją poznał, rozważył, rozmyślał się w niej i rozgorzał dla niej. Inaczej obraz będzie tylko zimną kombinacją, będzie służył ubocznym celem, nie idei religijnej, bo to darmo — co nie płonie, nie zapali, co nie świeci — nie oświeci, Trzeba, żeby pierwszą pobudką i pierwszym celem artysty w danym razie było oddanie tej myśli — reszta sama przyjdzie. ¹⁾

Michał Anioł namalował swój Sąd Ostateczny nie dla pobudek religijnych. Bardzo być może, a nawet pewny jestem. że genialny ar-

¹⁾ Może mi kto zarzuci, że daleko łatwiej opisać. niż namalować, że natura malarstwa inną jest, niż słowa i nie można tak wszystkiego namalować, jak się opisuje. To prawda. Nie sposób odmalować pieśni, ruchu — ale zato jest forma kolor, przestrzeń, czego słowo nie posiada. Więc jedno wynagradza się drugim.

tysta wierzył po chrześcijańsku; z ogłoszonej jego korespondencji widać, że myślał o śmierci i bał się sądu Bożego, a jednak wielkie jego dzieło nie wypłynęło mu z duszy przyjętej na wskroś wielkością tej ostatniej chwili w dziejach ziemi; on utworzył, je w celach rywalizacji, chciał się popisać, pokazać co umie, zaciąć rywalów i w tym obrazie, jak zapewnia Vasari, zamierzył wykazać swe rysunkowe i anatomiczne wiadomości, przedstawiając ciało ludzkie we wszelkich możliwych pozycjach. ¹⁾ Prawda, że z zadania swego, jak znawcy utrzymują, wywiązał się po mistrzowsku, że wszyscy artyści współcześni patrzyli na jego obraz *con stupore e maraviglia*, był to jednak w rzeczywistości genialny „majstersztyk“, ale nie obraz religijny. Niewiem czy religijnego ducha zgoliła już tam niema, ale czysto ludzkie, światowe a nawet pogańskie naleciałości tak zaciemniają i zakrywają pierwiastki religijne, że papież, pozostawiając ten obraz od trzech wieków na miejscu, pomimo radykalnie zmienionych pojęć o sztuce religijnej, dają bez wątpienia przykład niezwyklej tolerancji i poszanowania dla artystycznego geniuszu i cennej dawnych czasów pamiątki.

¹⁾ „L'intenzione di questo uomo singulare non ha voluto entrare in dipignere altro, che la perfetta e proportionalissima compositione del corpo umano ed in diversissime attitudini. (Vite—Michelang. Buonarotti).“

Bounarotti wybrał sobie drugą surową stronę sądu ostatecznego, t. j. ukaranie grzesznych. Nic przeciwko temu mieć nie można, bo ten przyszły wypadek jest dogmatem wiary, ale sposobowi w jaki to skutecznił, ze strony chrześcijańskiego pojmowania rzeczy, nie jedno można zarzucić. Więc najpierw Chrystus Pan przedstawiony tam jest w akcie rzucania piorunów na grzeszników. On podniósł się, jakby ich przeklinał i wypędział osobiście, pełen gniewu i grozy. Nieraz zdarzało mi się spotykać ze zdaniem lepszych znawców odemnie, że ten Chrystus to nie Bóg — człowiek chrześcijański, ale raczej *Jupiter tonans*. Piszę się na to zupełnie. To nie jest Sędzia ludzkości jak go Ewangelia maluje—pocóż On sam miał rzucać się, piorunować, miotać jak egzekutor sprawiedliwości i jej sługa, On wszechpotężny, On Bóg? Dla Niego dosyć, że wyrok wyda na potępieńców i odwróci się od nich; wymiatanie i pasowanie się osobiste nie licują ani z powagą, ani z potęgą Jego.

Tak też tę scenę opowiada Ewangelia: „Tedy rzecze i tym którzy po lewicy będą: Idźcie odemnie przekłęci w ogień wieczny, który zgotowany jest dyabłom i aniołom jego... I pójdą ci na mękę wieczną, a sprawiedliwi do żywota wiecznego.“¹⁾ Jakże daleko bardziej po chrześcijańsku zrozumieli Chrystusa Sędzie-

¹⁾ Mat. XXV. 41. 46

go niektórzy z poetów w utworach swoich! Zwycięzkiemu np. wodzowi przewrotu socjalistycznego ukazuje się Chrystus oparty na Krzyżu, w cierniowej koronie i patrzy na niego, a Pankracy wzroku tego znieść nie może i od niego ginie. Połóż mi dłonie na oczach, krzyczy przerażony, zadław mi pięściami źrenice, oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch... widzę wciąż, daj mi choć odrobinę ciemności!“

Kiedy tak na obrazie Michała Anioła, Chrystus gniewa się i piorunuje, całe otoczenie, wszyscy święci, sama nawet N. Panna są przerażeni i drżą ze strachu. Według mnie jest to zupełnie mylne i niechrześcijańskie pojmowanie sądu straszego. Że my ludzie śmiertelni i grzeszni, teraz ze strachem o tem myślimy, to rzecz naturalna, ale czegoż mają bać się i drżeć święci i zbawieni w dniu onym? Słowa kościelnego hymnu: *quantus tremor est futurus, quando judex est venturus* ¹⁾ nie do nich się stosują. Oni tylko co usłyszeli zapewnienie szczęścia wiekuistego, tylko co im powiedziano: „Pójdźcie błogostawieni Ojca mego, otrzymajcie Królestwo wam zgotowane od założenia świata“, więc są spokojni i szczęśliwi.

Ależ widok tylu ludzi, potępionych na mę-

¹⁾ Jaki to strach będzie gdy przyjdzie sędzia...

ki straszliwe bez ratunku, czyż nie może i nie powinien przerazić sprawiedliwych nawet? Stanowczo nie — i tu właśnie najbardziej może widoczną jest różnica, między ludzkim a chrześcijańskim pojmowaniem rzeczy. My grzeszni sami obciążeni ciałem, podlegli wrażeniom nerwowym, a co najwięcej niezdolni do utrzymania przed oczyma ciągle i w całej rozciągłości ohydy grzechu i zupełnej słusności kary, my możemy się przerażać, i nawet widząc cierpienie, a nie widząc jego powodu, współczuć cierpiącym, choć winnym. Wtenczas będzie inaczej. Wówczas wszyscy będą mieli przed oczyma dokładny stan duszy każdego i zupełną odpowiedzialność nagrody lub kary, wtenczas w całej wspaniałości ujawni się sprawiedliwość Boża, a ta sprawiedliwość jest równie świętą, doskonałą i pożądaną, jak każdy inny przymiot Boży, — dobroć, opatrność, miłość, zatem jak, wszystko co Bóg robi, napęłnić ona może dusze świętych tylko radością, uznaniem, szczęściem. Owszem, Bóg nie karzący grzesznych nie byłby Bogiem, a za to że ich karze, sprawiedliwi kochać Go będą coraz więcej, dlatego zaś że złych potępi, cieszyć się będą i tryumfować. Przyznaję, że zawsze mnie oburzało to pełne uprzejmości usposobienie dla złego i złych, jakie obecnie w sercach chrześcijańskich nawet panuje, którym się zdaje, że to jest właśnie chrześcijańska miłość bliźniego.

Wiek nasz szczególną troskliwością oto-

czył grzeszników i to nie pokutujących i nie-
 żałujących, a poczucie sprawiedliwości, różnica
 między złem a dobrem tak się zatarła, iż
 wielu wierzących nawet oburza się na samą
 myśl, że obok świętych i cnotliwych, nie za-
 siądą do godów Baranka rozpustnicy, krzywo-
 przysięzcy, krzywdziciele, którzy nigdy nie my-
 śleli przed śmiercią o pokucie i żalu. Nie, tak
 nie będzie. Dzień sądu będzie dniem sprawie-
 dliwości obustronnej i gdy cnotliwi zobaczą, że
 nareszcie długie ich czekanie skończyło się, że
 wszelkie łotrstwa zostaną odkryte i ukarane,
 doznają uczucia zadowolenia i radości, bez któ-
 rej szczęście ich nie byłoby może zupełnem.
 W Apokalipsię czytamy, że kiedy trzeci anioł
 wylał swoje czasy gniewu Pańskiego na rzeki
 i źródła, zamieniły się one w krew. „I sły-
 szałem anioła wód mówiącego: Sprawiedliwyś
 jest Panie, któryś jest i któryś był. Święty,
 któryś to osądził, iż krew świętych proroków
 wylali i dałeś im krew pić, bo godni są. I sły-
 szałem drugiego od ołtarza mówiącego: tak Pa-
 nie Boże wszechmogący, prawdziwe i sprawie-
 dliwe sądy Twoje“.

Gdy potem zginął i zapalił się „Babylon
 wielka nierządnicą“ pijana krwią świętych,
 gdy na niej spełnił się wyrok: „Oddajmy jej,
 jako ona wam oddawała, a wdwójnasób dwo-
 jako oddajcie wedle uczynków jej“, gdy aż do
 nieba podniósł się „dym mąk jej na wieki wie-

ków“, płakali nad nią kupcy i książęta ziemscy i popiołem głowy swoje posypywali, ale Księga święta powiada: „Rozraduj się nad niem Niebo i święci apostołowie i prorocy, iż Bóg osądził sąd wasz z niego (z miasta) — i autor jej dodaje: „potemem słyszał jakoby głos rzeszy wielkich na Ciebie mówiących: Alleluja, zbawienie i chwała i moc Bogu naszemu jest, iż prawdziwe i sprawiedliwe sądy Jego, który osądził wszetecznicę wielką, która popsowała ziemię wszeteczeństwem swem i pomścił się krwie sług swoich z rąk jej. A powtóre rzekli Alleluja“.

Tak, sprawiedliwi cieszyć się i tryumfować powinni, widząc potępienie grzesznych; a ile wspaniałych scen nastęrczy się z tego powodu wyobraźni artyści! Tu męczennicy okazują Sędziemu swoje rany, a wskazując na prześladowców mówią do Niego słowami Apokalipsy: „Pomścij, Panie, krew naszą na nich“; tam święte dziewice odwracają przeczyste oblicza i skrzętnie zgartują białe szaty swoje by się nie skalały dotknięciem szpetnych, w kale występku uwalanych rozpustników. Obok wstrzemięźliwi pustelnicy ze wstrętem patrzą na opasłych i obrzmiałych żarłoków i opojów; dalej apostołowie i ich naśladowcy, świadczą przeciwko fałszywym nauczycielom i samozwańczym prorokom; pokorni i cisi wnoszą się wysoko nad zarozumiałych a pysznych głupców, wszyscy

zaś grzesznicy stoją zmieszani, zawstydzeni, przerażeni, zrozpaczeni, wściekli, bluźniący i zapadający się w ciemności wieczne; a miłujący sprawiedliwość człowiek patrzy na taki obraz z ulgą w sercu i powtarza słowa Św. Jana: „przyjdź Panie Jezu!”

U Michała Anioła zupełnie inaczej; tam sprawiedliwi w strachu, a potępieni lecą jak liście z drzewa, w najrozmaitszych pozycjach, krzycząc i wrzeszcząc i cała ta scena wygląda tak, jakby *Jupiter tonans* wpadł w gniew na pewnych ludzi i rzucał na nich pioruny, a cały Olimp drżał ze strachu, patrząc na jego furię.

Przechodzę teraz do stron tego obrazu zupełnie już pogańskich w tak wysokim stopniu, że dla każdego są widocznymi; są niemi nagość i mitologiczne postacie. Nagość w religijnym zwłaszcza obrazie i to tak zupełna i bezwzględna jak u Bounorottiego, jest rzeczą tak zupełnie przeciwną chrześcijańskim pojęciom, tak niezgodną z duchem i tradycjami sztuki religijnej, że chyba tylko mała liczba zapalonych malarzy, którym anatomia i skurcze świat cały zastąpiły, mogłyby mieć jakieś dla omawianego błędu tłumaczenie. Dlatego nie rozszerzam się nad tem, również jak nad niewłaściwością wprowadzenia do Sądu ostatecznego Charona i Styksu, zaznaczam tylko powyższe rzeczy, jako dowód i przykład, do jakiego stopnia w owe

czasy, chrześcijańskie pojmowanie sztuki religijnej osłabło, a wzmogły się wpływy pogańskie, kiedy podobne usterki znaleźć się mogły w obrazie zdobiącym domową kaplicę papieżką.

Powiedziałem wyżej, że skrzywienie myśli religijnej odbiło się zawsze nawet na stronie czysto artystycznej obrazu i tutaj to samo się stało. Gdyby Michał Anioł zamiast nieszczęsnej myśli popisania się i zgnębienia przeciwników, malował swój Sąd Ostateczny przejęty wszystkimi jego pięknościami i całą grozą dnia tego, niechybnie zamiast podziwu i uniesień nad doskonałością rysunku (co na religijny obraz za mało) stworzyłby arcydzieło 'pod każdym względem, oprócz chyba kolorytu, którego nie posiadał. Żałować tylko trzeba, że nie głęboka, piękna i wieczna myśl Ewangelii, ale liche ziarno czasowych rywalizacyj padło na tę glebę genialną.

Wdałem się w zbyt długą analizę dzieła Michała Anioła, więc by nie być zbyt rozwlekłym, poprzestanę już na wzmiance o dwóch tylko przykładach. Kto był w akademii sztuk pięknych w Wenecyi, z pewnością zauważył obok Assunty arcydzieła Tycyana, po prawej stronie obraz Tintoretta, któryby mógł być także arcydziełem bez zarzutu, gdyby nie ta nieszczęśliwa chętko popisywania się. Mówię „o Cudzie św. Marka“. Chrześcijański niewolnik, leżący w śmieciem skróceniu, bo głową do wi-

dza, nogami wgląb obrazu, jest męczony za wiarę gdzieś między muzułmanami (co prawda zupełnie po wenecku wyglądającymi). Na wzniesieniu siedzą sędziowie, a oprawca z najwyższym zdumieniem pokazuje im pokruszone przez niewidzialną potęgę narzędzia męki. Nie można dość napatrzeć się tej scenie, takie tam wszystko piękne, tyle ruchu i życia, taki koloryt, taki rysunek! Cóż kiedy cały efekt psuje sprawca cudu; — ten który skruszył młoty i żelaza, sam św. Marek. Artysta przedstawił go spadającego z góry, a chcąc wykazać swą biegłość w rysunku, namalował go w powietrzu nad niewolnikiem i zupełnie prawie do niego równolegle, tylko w odwrotnym kierunku. Widz spostrzeża na pierwszym planie dwie nogi, dalej masę owiniętą w zielone szaty, niezmiernej wielkości księgę pod pachą, rozwianą brodę, czerwone nozdrza, jakieś plamy cielisto-czerwone i włosy. I cały obraz zepsuty, bo jakie można odnieść, nie powiem religijne, ale nawet estetyczne wrażenie, wobec tej dziwacznej postaci spadającej gdzieś z ramy? To też odchodzi się od obrazu, ruszając ramionami i znowu żałując, że zamiast uczucia religijnego, padały na serca artystów blahostki i małostki podrażnionej a wybujałej miłości własnej.

Drugim przykładem, który przytoczyć chciałem, jest fresk Michała Anioła w kaplicy Sykstyńskiej: „Pan Bóg oddzielający światło od

ciemności“. Przedstawił w niej malarz Boga, jak zwykle w postaci Starca, unoszącego się w przestrzeni, a narysowanego w bardzo śmiałym skurczu. Żeby się jednak popisać, na tym samym obrazie, też samą postać przedstawił ze strony odwrotnej. Rzeczywiście figura ta zadziwia doskonałym rysukiem, trudniejszym jeszcze niż pierwszej postaci, ale za to, kto nie wie, co to ma być, nie może sobie zdać sprawy, co znaczy ta postać uciekająca w głąb. Kto zaś wie, może mieć dowód naoczny do jakich niemożliwych dziwactw prowadzi w sztuce religijnej zerwanie z tradycją, a puszczenie wodzów własnej samowoli i chęci popisu.

Kiedy mowa o chęci popisu, tak rozwiniętej u malarzy Odrodzenia, oczywiście nie można pominąć pola na którym ona najczęściej lubiła się rozwijać t. j. nagości. Jak teraz malarze nie mogą nacieszyć się „plain air'em“ a dla uwydatnienia dostrzeżonego gdzieś szczególnego refleksu, gotowi cały obraz namalować, o nic w nim więcej nie dbając, tylko o ten refleks, ¹⁾ tak owocnie nie mogli na-

¹⁾ P. Witkiewicz w książce swej „Sztuka i krytyka u nas“, opowiada, że miłośnicy sztuki w Paryżu byli bardzo wzburzeni dwoma obrazami, przedstawiającymi nagie kobiety, dla tego, że były w otoczeniu, które nigdyby w rzeczywistości na to nie pozwoliło. Jeden z nich przedstawiał taką właśnie osobę, stojącą na przodzie pły-

sycić się malowaniem nagości. Rzeczą to zresztą dość rozumiałą. Kiedy sztuka zwróciła się do studyów antyków a przede wszystkim natury, kiedy niby z pieluch i powijaków krępujących, otrząsnęła się z niedołęznego i wadliwego rysunku epoki przedrenesansowej, kiedy poznała się bliżej z pięknnością ciała ludzkiego,

nącej środkiem Sekwany łodzi i to wśród terazniejszego Paryża. Krzyżano — „to niemożliwe, nieprawdziwe“. Pan Witkiewicz, litując się nad „nędznym stanem wykształcenia artystycznego“ nawet paryżkiej publiczności, utrzymuje, że właśnie obraz był prawdziwy, bo malarz chciał uwydatnić jakiś refleks czy ton na tem ciele w takiej pozycji i otoczeniu — i uwydatnił go. Zastanowił mnie ów ustęp, jako *signum temporis*. Jak jednak malarze zeszli nizko w pojęciu swej sztuki i jednocześnie wysoko o sobie trzymają! Zeszli nizko, bo zrzekli się i drwią nawet ze wszystkiego, co prawdziwie w ich sztuce wzniosłe, piękne, ludzkie — uznają prawdę tylko fizyczną, a z dziwną nielogicznością depcą każdą inną. Ciekawa rzecz dlaczego prawda obowiązuje co do siły i koloru jakiegoś refleksu, a nie obowiązuje co do historii, moralności i t. p. Gdy patrzę na takie dzieła, albo czytam o nich, coraz natrętniej następuje mi się porównanie do linośneków: — umieją zachować środek ciężkości na sznurze i sądzą, że świat u stóp ich leżeć powinien, Tak też malarze niektórzy, dlatego że umieją narysować nogę lub rękę i położyć kolor należyty, myślą, że mają prawo do sztydzenia z wszelkich innych prawd ze sztuką związanych. Zapewne każde *tour de force* ma dla wielu urok i wzbudza podziw, ale to sztuczka, nie sztuka.

nic dziwnego, że się w niem rozkochała i że z próżnością młodzieńczą, na każdym miejscu, potrzeba czy nie, — popisywała się ze swoją anatomiczną znajomością.

Dlatego widzimy w owej epoce nagość wszędzie, nawet w sztuce religijnej, i dla ludzi nieobeznanych z dziejami sztuki, jest rzeczą zupełnie niezrozumiałą, dlaczego ten apostoł (w Assuncie np.) bez żadnej potrzeby ma jedną nogę całkiem prawie naga; dlaczego ci wyznawcy chodzą rozchełstani, jak pijane włóczęgi, aniołowie porozbierani jak do kąpiel, święte wygorsowane niby florenckie lub weneckie panny z XVI wieku. Wszystko to robiło się dla pokazania, że się umie narysować nogę w trudnym bardzo skurczu, że podskórną anatomię posiada się doskonale.

Jako przykłady z setek tysięcy, przytoczę bardzo zresztą piękny obraz Giulio Romano: Ścięcie św. Cecylii, a drugi przesławną Komunię św. Hieronima, przez Dominichina. Święta Cecylia, pełna niewinności dziwnego uroku i piękności, klęczy i modli się, rozłożywszy ręce, za nią stoi olbrzymi kat z mieczem podniesionym do ścięcia. Kat ten oprócz przepaski na biodrach, nic więcej niema na sobie. Nagie jego ciało, pokryte pagórkami muskułów, których dokładnością mistrz widocznie chciał się popisać. I znowu ta chętką popisu popsuła piękne dzieło sztuki. Otóż naj-

pierw ten nagi i ogromny mężczyzna, wobec tej pięknej, czystej postaci dziewczęcej, bardzo razi zmysł chrześcijański. Mybyśmy nigdy nie pozwolili, by wobec kobiety uczciwej, szanowanej, czystej, stanął mężczyzna tak brutalnie nagi, a cóż dopiero wobec świętej i to tak anielsko czystej i wzniosłej, jak św. Cecylia. Niechby stał koło niej tygrys, lew, niechby ją otaczały koła i stopy, ale nie nadzy mężczyźni. Gdyby nawet było tak w rzeczywistości, należałoby malarzowi w obrazie rachować się z tem uczuciem i z tym względem. Zdaje mi się także (choć to może moje osobiste wrażenie) że to ciało przedstawiające powierzchnię bardzo niespokojną, niby morze wiatrem wzburzone, źle licuje z pogodną twarzą świętej i spokojnymi liniami fałdów i płaszczyzn jej sukni.

W Komunii Św. Hieronima, Święty ten jest przedstawiony całkiem nagi, klęczący u stóp ołtarza i przyjmujący z rąk kapłana świętą Hostyę. Byłem zawsze gorącym wielbicielem — ze względów artystycznych — tego prześlicznego obrazu, ale od pierwszego spojrzenia postać nieubrana świętego, była dla mnie tonem fałszywym i kamieniem obrażenia. Bo i doprawdy, czy jest choć jeden, nie powiem katolik, ale jakikolwiek ucywilizowany człowiek, który mógłby na chwilę przypuścić, by ktoś tak stary, tak umartwiony, tak surowy, jednym słowem taki święty kapłan jak Hieronim, miał od

wagę wejść nagi do kościoła wśród kapłanów i kobiet, i tak klęknąć do Komunii? Myśl podobna byłaby tak dziką i wstrętną zarazem, że nikt jej z pewnością na chwilę do głowy nie przypuści; a jednak moda i chęć popisu kazała zacnemu Dominichinowi popełnić taką potworną niedorzeczność, deptać tak szkaradnie prawdę historyczną. I znowu trzeba żałować, że złe ziarno padło na dobrą glebę i zły owoc przyniosło. Nie dla samego jednak tylko popisu nagość rozgościła się w obrazach za czasu Odrodzenia i później — wprowadziła ją jeszcze zmystowość. Jako ulubiony przedmiot pastwienia się w ten sposób nad pamięcią nawróconej grzesznicy, była św. Maryja Magdalena. Malarze uwzięli się, żeby w jednej osobie uwidocznili terażniejszą czystość i pokutę wraz z dawniejszą rozwiązłością. Myśl to arcygłupia, ale dlatego właśnie „*elle a parfaitement pris dans les demicervelles*“ (Veuillot) i powstały tysiące wizerunków rozebranej kobiety z napisem: „Magdalena“. Autorom ich do głowy nigdy nie przyszło, że człowiek żałujący szczerze za jakieś wybryki, unika nawet ich cienia, brzydzi się ich wspomnieniem — i malowali pokutującą Magdalenę tak, jak ona nawet w czasie grzesznego swego życia nie chodziła.

Brak odzienia przedstawiał w wyobraźni tych panów dawne grzechy, dyscyplina, grota,

książka i trupia głowa wyobrażały pokutę. Zapomnieli zupełnie, że wyobrażenie czegoś w dziele sztuki za pomocą tylko podpisu, symbolu, znaku umówionego, jest przyznaniem się do bezsilności — to też nie było w tych obrazach pokuty ani nawrócenia, były piękne damy w takim stroju, w jakim „nie bywają nigdy przez mężczyzn widziane“.

Jeszcze zresztą było pół biedy, kiedy Magdalenę malował taki Corregio, Battoni, Furini. U pierwszych dwóch widzimy bardzo piękne kobiety, które zapewne chowając się od gorąca, pokładły się w cieniu drzew lub grotty, rozłożyły się bardzo wygodnie i czytają — co? Coś niezbyt smutnego, bo twarze pięknych czytelniczek pogodne (zwłaszcza u Corregia), a że tam przy nich leży trupia głowa i dyscyplina, to już tylko dla ekscentryczności, bo nie widać żeby na pierwszą szczególną zwracały uwagę, lub używały drugiej. Furiniego Magdalena jest śliczną młodą panią, którą jakieś gbury obdarły do nitki i wrzuciły do ciemnej pieczary, więc jęczy tam i lamentuje biedaczka — i ma rację; pozycya rzeczywiście szpeta, wyjść trudno, a choćby i można było, to jak się tu ludziom pokazać!

Jeszcze jednak, powtarzam, takie Magdaleny, pół biedy, cała bieda to te ladacznice obnażone, które wprawdzie klęczą i ręce składają, ale twarz ich obmierzła i oczy bestyal-

skie, choć nad niemi malarz równie jak one zezwierzęcony, napisał „Magdelene“. Takie malowania, logiczny skutek dawniejszego kierunku, tylko obrzydzenie i wzdęę obudzić mogą w duszy chrześcijanina; to też „*non ragioniam di loro*“, powiem jak Dante, tembardziej, że gdzieindziej szerzej rozpisalem się o znaczeniu nagości w sztuce.

III.

Charakter aniołów w Piśmie Św. — Artyści przedre-
nesansowi przedstawiają ich zgodnie z nauką wiary. — Rene-
sans zapomina o ich rzeczywistej naturze. — Przerabia na
ludzi, wprowadza nagość. — Aniołowie jako dzieci — ja-
ko karykatura — kilka przykładów. — Charakter śmierci
i pomników grobowych u pogan i u chrześcijan. — Nie-
zmierna między nimi różnica. — Przykłady. — Zakończe-
nie.

Bezwarunkowi zwolennicy Odrodzenia jak
naprzykład Graus ¹⁾ utrzymują, że wszelkie
skargi na spoganienie sztuki tej epoki, z wła-
szcza religijnej, nie mają żadnej podstawy; o-
wszem, ta ostatnia z nową siłą i niewidzianym
dotąd przepychem rozwinęła się, a pomawianie
sztuki pogańskiej o jakikolwiek wpływ i wkra-
danie się do chrześcijańskiej jest zupełną ka-
lumnią.

¹⁾ *Die Katholische Kirche und die Renaissance.*

Dowodziłem, i jak mi się zdaje, dowiodłem, że było inaczej, że spoganienie sztuki zaczęło się rzeczywiście w epoce renesansu i kilka kierunków, w jakich się ono odbywało, wskazałem. Prawda, że przyczyną tego nie były wyłącznie zabytki sztuki pogańskiej; owszem, przeważnie tu działały pojęcia i zasady, jakie się wówczas coraz bardziej rozszerzały, nie da się jednak zaprzeczyć, że i sztuka pogańska bezpośrednio przyczyniła się do takiego obniżenia poziomu sztuki religijnej. Żeby się o tem przekonać, najlepiej będzie przypatrzeć się niektórym szczegółom; — właśnie o dwóch takich obszerniej nieco wspomnieć zamierzam, a najpierwej o sposobie przedstawiania aniołów.

Rozum nic mieć nie może przeciwko temu, żeby łańcuch istot coraz doskonalszych, zaczęty na ziemi, kontynuował się dalej i kończył gdzieś u stóp tronu Bożego; owszem wszystko przemawia za tem, że człowiek, złożony z materji i ducha, stoi pośrodku stworzenia: na końcu materji a napoczątku ducha, który po za ziemią coraz doskonalszy wznosi się coraz wyżej i wyżej. O istnieniu jednak istot duchowych, doskonalszych od człowieka, za pomocą samego rozumu nic pewnego dowiedzieć się nie możemy. Objawienie tylko upewnia nas, że w samej rzeczy są aniołowie i ono też podaje rozmaite dane o ich naturze i stosunku do człowieka. Oczywiście, chrześcijanin przyjmujący Objawie-

nie, jako prawdę od Boga pochodzącą, wierzy w istnienie aniołów i powinien ich przedstawiać sobie tak, jak o nich Księgi święte mówią.

Otóż w Piśmie Św. duchy te występują bardzo często, ale zawsze w charakterze jednokowym, bez względu na różnicę autorów a także czasu i miejsc, w jakich Księgi jego powstały. Nigdy nie spotykamy w nich rozmaitych bredni, zgoła z naturą duchową niezgodnych, które się wkraśli do poezji europejskich narodów z podań muzułmańskich czy też pogańskich. Nigdzie tam niema naprzykład ckliwych a tak niedorzecznych romansów między aniołami i córkami ziemi, owszem zawsze i wszędzie w Biblii są oni duchami dobrymi, w naturze swej doskonałymi, od ludzi niezmiernie wyższymi naturą, wolą, rozumem, świętością. Zawsze im towarzyszy wielka powaga, czystość doskonała, wielka piękność, mądrość i moc.

To też wywierają potężne wrażenie na tych, którym się okazują. Daniel gdy ujrzał Anioła, upadł na twarz, a gdy go ten podniósł, stał „drżąc“; tak samo Św. Jan w Apokalipsie. I nic dziwnego. Jeżeli ziemską piękność w taki zachwyty ludzi wprowadza, jeżeli geniusz Aleksandra Macedońskiego lub Napoleona tak porывał, że miliony szły za nimi, a tysiące ginęły dla nich, to cóż człowiek czuć może i jak się znajdować wobec tych istot doskonałych,

patrzących ustawicznie na Boga, otaczających tron Jego, rozpromienionych wiecznym szczęściem, jaśniejących olbrzymim rozumem i niezmierną wiedzą!

Gdzie jest piękno, mądrość, szczęście, tam jest poezya; to też aniołowie są poetyczni i pełno miejsc w Piśmie Św. tak wysoce artystycznych, że aż proszą o pędzel albo rymy.

Oto przykładów para. Św. Jan w Apokalipsie widzi Niebo otwarte, stolicę Bożą i Baranka, a przed nimi „rzeszę wielką, której nie mógł nikt przeliczyć, ze wszech narodów i pokoleń i ludzi i języków... przyobleczeni w szatę białą a palmy w rękę ich i wołali głosem wielkim mówiąc: Zbawienie Bogu naszemu, który siedzi na stolicy i Barankowi. A wszyscy Aniołowie stali około stolice... i pokłon czynili Bogu mówiąc: amen. Błogosławienie i chwwała i mądrość i dziękowanie, cześć i moc i siła Bogu naszemu na wieki wieków. Amen“.

Kto słyszał wzbierające coraz silniej głosy liczego chóru, grzmiące coraz potężniej trąby, kotły i instrumenta orkiestry, wstrząsające ścianami i filarami kościoła gromy kontrabasu i bombardu w organach, gdy w górze unosiły się i rwały gdzieś za obłoki, za gwiazdy i błękity soprany i tenory, oboje, flety i waltornie, niech sobie wyobrazi ten Majestat Niezrównany nieba napełnionego świętymi i duchami, śpiewającymi Bogu: „błogosławienie i chwwała

*

i mądrość — dziękowanie, cześć i moc“ — a jednocześnie, jak kłosa niezmiernego łanu pod tchnieniem wiatru, te wszystkie jasne postaci chyłą się i kłaniają przed Siedzącym na tronie i Barankiem — przed słońcem prawdy i dobra, przed Najwyższą Miłością. I oto po tym hymnie wspaniałym, po tem olbrzymiem unisono, anioł otworzył siódmą pieczęć i stało się milczenie na Niebie, jakoby pół godziny“. Wśród uroczystego milczenia, występuje anioł jeden i „stanął przed ołtarzem mając kadzielnicę złotą i dano mu wiele kadzenia, aby oddał z modlitw wszech świętych na ołtarz złoty, który jest przed stolicą Bożą. I wstał dym kadzenia z modlitw świętych z ręki anioła przed Boga. I wziął anioł kadzielnicę i napełnił ją ogniem z ołtarza i rzucił na ziemię i stały się gromy i błyskawice i trzęsienie ziemi wielkie“. ¹⁾.

Albo jaki jest wspaniały ten znowu opis anioła: „I widziałem drugiego anioła mocnego zstępującego z Nieba, w obłok obleczonego, a na głowie jego tęcza, a oblicze jego było jako słońce, a nogi jako słupy ogniowe... i postawił nogę swoją prawą na morzu, a lewą na ziemi, i zawołał głosem wielkim jako, gdy lew

¹⁾ Apocal. VII i VIII.

ryczy. A gdy zawołał, wymówiły siedm gromów głosy swoje. A anioł, którego widział stojącego na morzu i na ziemi, podniósł rękę swoją do Nieba i przysiągł przez żywiącego na wieki wieków... że czasu nie będzie więcej.“

W innem znowu widzeniu św. Jan widział Baranka stojącego na górze Sion, a koło niego tłumy tych, którzy „dziewicami są,—a w usciech ich nie znalazło się kłamstwo i śpiewali jakoby pieśń nową“ której żaden inny oprócz nich śpiewać nie mógł, a głos ich wydał się apostołowi, „jako głos wiewiór i jako głos gromu wielkiego i jako cytrzystów, grających na cytrach swoich“ — a gdy tak oni śpiewali wiecznie nową pieśń miłości zbliżyła się godzina kary nad Babilonią wielką — „i widziałem drugiego anioła lecącego przez pośrodek Nieba, mającego Ewangelią wieczną, aby ją opowiadał siedzącym na ziemi i wszelkiemu narodowi i pokoleniu i językowi i ludowi, mówiąc głosem wielkim: bójcie się Pana i cześć Mu dajcie, iż przyszła godzina sądu Jego,“ — godzinę tę co raz bliższą, zwiastując coraz inni aniołowie, aż się w końcu wypełniła przepowiednia.

Nietylko w widzeniach proroczych i objawieniach wszystkie ważniejsze sprawy ludzkie stają się pod przewodnictwem aniołów, bo i w rzeczywistości, o ile ją znać możemy z Pisma Św. i podania, aniołowie byli sługami i na-

rzędziami Boga w sprawowaniu rządów nad światem. „Izali wszyscy nie są, zapytuje Paweł św., duchowie usługujący, na posługę postani dla tych, którzy dziedzictwo zbawienia wziąć mogą“. Więc widzimy anioła strzegącego wrót utraconego raju, anioł zabija pierworodne Egipcyan, by umożliwić wyjście uciśnionego Izraela, później niszczy wojsko Senacheryba rozłożone pod murami Jerozolimy, anioł przepowiada Danielowi czas przyjścia Mesyasza, pociesza Agarę ginącą z pragnienia na pustyni, przeprowadza młodego Tobiasza i staremu wzrok przywraca, anioł zwiastuje N. Pannie, że zostanie Matką słowa Bożego, umacnia Zbawiciela w Ogrójcu, wyprowadza Piotra z więzienia słowem widzimy ich wszędzie występujących w roli szczytnej i szlachetnej jako wykonawców ważniejszych zamiarów Bożych względem ludzi i ziemi; z drugiej strony w stosunku do ludzi, jako istoty wyższe, potężniejsze, a opiekuńcze, otaczające ludzkość tą troskliwością, jaką mocniejsi i lepsi darzą słabych i biednych.

Sztuka przedrenesansowa pojmowała i przedstawiała aniołów w sposób zupełnie zgodny z pojęciami, jakie o nich dawała wiara. Ogólnym charakterem tych reprezentacji była godność, szlachetność w postaciach anielskich, wielkie poszanowanie dla nich ze strony artystów. Nigdy postać anioła nie była używaną

do jakiejś posługi nieodpowiedniej, nie znajdowała się w położeniu niestosownem, nie przyjmowała pozycji nieodpowiedniej wysokiej doskonałości i godności tych duchów szczęśliwych. Jeżeli anioł klęczał to tylko przed Bogiem, albo przed N. Panną. Wyjąwszy rzadkie i specjalne wypadki, jak np. widzenie Ezechiela, aniołowie zawsze byli przedstawiani pod postacią ludzką, jako piękni młodzieńcy. „Piękność w swoim kwiecie widnieje w postaci aniołów, powiada Józef de Maistre, jednoczą się w nich wdzięk bez miękkości i moc bez szorstkości. Wieczna młodość świeci na tych twarzach niebiańskich, nigdy oni nie byli dziećmi i starcami nigdy nie będą. Przedstawiano ich jako młodzieńców w początku swej młodości, gdy na ich twarzach przeważa już męskość, ale nie zaginęło jeszcze zupełnie podobieństwo niejaki do kobiety, tak że jednoczo- no w nich piękność obojga płci. Taki sposób zdawał się najwłaściwszym dla przedstawienia bezcielesnych duchów, wiecznie młodych, pięknych i szczęśliwych“. I to był pierwszy warunek konieczny; drugi wypływał z niego—że aniołowie powinni być zawsze odziani całkowicie, oprócz stóp, które zostawiano bose, bo obuwie jest oznaką chodzenia pracowitego po ziemi, nogi bose a nie spracowane, były jedną z oznak nadziemskiej natury aniołów.

Wzgląd ten nakazywało najpierwej uczucie skromności, ale i to także, że odkrywając ciało aniołów, z konieczności już silniej zaznaczałyby się ich płeć, a zatem osłabiałoby się pojęcie o ich bezcielesności i bezpłciowości. W miarę coraz większego obnażania aniołów, coraz mniej odpowiadali oni pojęciu chrześcijańskiemu o ich naturze, a coraz więcej stawali się ludźmi. I tutaj jak wszędzie, uwidocznił się ten, wspomniony wyżej, prąd i kierunek zniżania wszystkiego i wszystkich do poziomu człowieka, przerabiania Boga, świętych i aniołów na czystych i szczerych ludzi, Nieba na naszą ziemię. Tak samo robili poganie.

W końcu, trzecim koniecznym warunkiem postaci anielskiej były skrzydła, jako oznaka ich natury nieziemskiej, zdolności przenoszenia się łatwego z miejsca na miejsce, jako symbol ich ciągłej gotowości do rychłego spełniania rozkazów Bożych. Istoty mające skrzydła, są na ziemi najlżejszemi, więc też przez analogię obdarzono niemi aniołów. Zachowywano przytem ten zwyczaj, że skrzydła były duże, tak żeby mogły naprawdę unieść człowieka, gdyby je posiadał. Było to piękniej i logiczniej, niż owe maluskie skrzydełka, jakie później weszły w modę, a na których najwyżej chyba gołąb mógłby się utrzymać.

Nie wchodzę w dalsze, bardzo liczne szczegóły ikonografii aniołów, bo mi szło o zazna-

czenie tylko powyższych cech, potrzebnych do wykazania zmian, jakie zaszły pod tym względem w czasie Odrodzenia i potem. Otóż artyści renesansowi rozmiłowani w nagości i wiecznie się z nią popisujący, zaczęli bez najmniejszej racy i potrzeby skracać odzienie aniołom i ich samych przerabiać na zwyczajnych młodzieńców z kości i ciała. Zaczęto odkrywać pierś, ręce, nogi, a że przytem trzeba było gwałt zadawać logice, draperye układać w sposób niemożliwy, łamać tradycye i zmieniać zupełnie znaczenie tych postaci, o to się nikt nie troszczył i głowa o to nikogo nie bolała.

Oto np. w znanej nocy Bożego Narodzenia Corregia, widzimy na dolę ogromnego pastusza z obnażonemi nogami, o co mniejsza jeszcze; ale u samej góry przewraca się w dziwnych susach kilku prawie nagich młodzieńców, których gołe ciała, a zwłaszcza już nogi tembardziej zwracają uwagę, że są oświetlone, a naokoło noc. Co możebyć wspólnego w tych rozhukanych chłopcach z aniołami takimi, w jakich wierzy chrześcijanin? Sąd ostateczny Michała Anioła, przedstawia coś jeszcze gorszego — to kilku wrzekomych aniołów, poniewierających Krzyżem Chrystusowym. Wszyscy oni zupełnie nadzy (a ta odrobina draperyj, jaka jest na nich, dodana z rozkazu Piusa IV czy V). Skrzydeł zupełnie nie mają, za to posiadają silnie rozwinięte muskuły i są po prostu

chłopcami około lat 20 mającymi. Więc jeden, ten co najwyżej, włożył sobie górną część Krzyża na plecy, a przytrzymuje go bez żadnej ceremonii założonemi w tył rękoma, niby worek z piaskiem, czy deskę jaką. Drugi niżej uchwycił się jedną ręką za Krzyż, a prawą nogę całą na niego założył, trzeci z furją przypadł do stóp Krzyża i głowę pod niego podłożył, trzej inni kręcą się po bokach, wrzekomo pomagając.

Patrząc na tę scenę, dziwi się człowiek, po co aż sześciu takich zuchów, tak się wysila na podniesienie Krzyża z cienkiej dość deski, kiedy jedenby wystarczył, dziwi się, jaki to duch zły ich opętał, że się z taką furją miotają, że tak bez żadnego uszanowania obchodzą się ze znakiem zbawienia. Z prawej strony obrazu kilku podobnych chłopców pora się z kolumną biczowania, a że ciężka, więc urządzili koło niej tak wściekłą sarabandę, że opisać jej nie sposób. Czasami podobne sceny przedstawiają w kąpielu źle wychowani chłopcy, ale i ci nigdy do nich Krzyża, ani narzędzi męki Pańskiej nie używają.

Tak to daleko i geniusz nawet zająć może, jeżeli treść „religijnych legend“ jak powiada Lübke, będzie czerpał z własnej duszy i dowolnie je będzie przerabiał.

Albo to nowy przykład, co prawda znacznie późniejszy— Boże Narodzenie Jozuego Rey-

nolds. Na dole obrazu tłuste, przynajmniej roczne dziecko bawi się z członkami otaczającej je angielskiej rodziny, a stojący obok rozczochrany angielski węglarz (trzeba się domyśleć że to ma być Św. Józef) wskazuje na nią palcem kilku również angielskim pastuszkom. Na górze chmury, a na nich rozłożył się bardzo wygodnie, doskonale zbudowany dwudziestoletni młodzieniec, zupełnie bez ubrania. Temu ani w głowie co tuż pod nim się dzieje, ale podparł brodę ręką i wpatrzył się głęboko zadumany w lewy kąt obrazu u góry, gdzie wśród jasności widnieje gwiazda. Dlaczego ten piękny nieubrany młodzieniec siedzi tak na mgle nad angielską rodziną, odgadnąć niepodobna, bo choć podpis głosi „Narodzenie Pańskie“ to jednak z Ewangelii wiadomo, że odbywało się ono jakoś inaczej.

Przykładów możnaby tysiące przytoczyć, ale mi pilno do innego nadużycia, wprowadzonego przez renesans, które mi się jeszcze bardziej niż poprzedzające rażącym i krzyżującym wydaje t. j. do przedstawiania aniołów w postaci dzieci. Czy można ich tak przedstawiać? Na pytanie to, Grimouard de Saint Laurent odpowiada, że czasami można, lubo bardzo rzadko, mianowicie gdy się pod tą postacią objawiali jak np. Św. Franciszce Rzymianie, albo gdy tego wymagają pewne względy, np. przyzwoitości. Tak Ghiberti na drzwiach chrzciel-

nicy florenckiej przedstawił tylko co stworzoną Ewę, podnoszoną przez aniołów — dzieci; uczynił zaś to dlatego, by nie dać powodu ludziom zmysłowym do szyderstw, gdyby ją był otoczył młodzieńcami.

Co do pierwszego wypadku, to jeśli anioł objawił się w postaci dziecięcej Św. Franciszce, albo, jak chce legenda, Św. Augustynowi, rozmyślajacemu o Trójcy Ś-tej nad brzegiem morza, to oczywiście tak go i przedstawić trzeba; co do drugiego, pozwolę sobie zupełnie odstąpić od zdania francuzkiego estetyka. Niedołęztwo postaci dziecięcej, brak w niej tych cech charakterystycznych, jakie w aniołach uznajemy t. j. rozumu, woli, świadomości swego szczęścia i swej wyższości, tak stanowczo sprzeciwiają się pojęciu, jakie wiara daje nam o aniołach, że mojem zdaniem lepiej zaniechać przedmiotu, który jak wyżej wymieniony, inaczej przedstawionym być nie może. Prezentacya Ewy przez aniołów jest fantazyą — lepiej więc ją poświęcić dla prawdy, a tej zato nie nadwierać.

Rzeczywiście trudno zrozumieć, jak każdemu chrześcijaninowi nie rzuca się odrazu w oczy niestosowność podobnych wyobrażeń. Dziecko mieć może twarzyczkę piękną, ale ani myśl, ani uczucie, ani wola, ani żadna z wyższych władz duszy na niej piętna swego wybić jeszcze czasu nie miała; dziecko zachwyca nas

pulchnymi kształtami ciała, pięknym jego kolorytem, naiwnością niewinnością zresztą swego oblicza, ale niewinnością nieświadomą jeszcze siebie: wszystko to bardzo piękne i dobre, ale nic nie ma wspólnego z tą doskonałością i wyższą nad ludzi naturą, jaką przyznajemy aniołom.

Trudnoby też było zrozumieć, skąd arty-
stom Odrodzenia przyszedł niefortunny kon-
cept przerobienia aniołów na dzieci, gdyby nie
pogańskie zabytki i wspomnienia. Pogańska
sztuka miała swoich „genii“, a przedewszyst-
kiem swoich Erosów, Kupidynów, albo Amo-
rów. Wiadomo, że ten bóg miłości prze-
szedł pod koniec godaństwa w poniewierkę;
namnożyło się ich mnóstwo i doszło do tego,
że na obrazach kobiety trzymały ich w koj-
cach i sprzedawały jak kurczęta. (Sceny z ma-
lowideł pompejańskich). Malarze przypomnieli
to sobie i wprowadzili tę niedorzeczną mitolo-
gię do sztuki religijnej. Już Rafael w Madon-
nie Sykstyńskiej pozwolił sobie na to, umie-
ściwszy u dołu dwoje dzieci skrzydlatych. Pra-
wda że te pachołeta są cudownie piękne, że
są potrzebne dla dopełnienia ugrupowania osób,
niemniej jednak jest prawdą, że to nie są anio-
łowie, lecz dwa Erosy, a w najlepszym razie
jakieś fantastyczne geniuszki.

Odtąd nadużycie to przyjmuje prawdziwie
przerażające rozmiary i trudno się z niem roz-
minąć; przytem aniołowie przyjmują nietylko

postać amorków, ale i charakter ich błazeński. W Madonnie ze św. Sebastyanem Correggia (w Dreźnie), mały dzieciak taki siadł okrakiem na chmurze i paradyje, w Madonnie ze szkoły Rubensa (tamże) krzywonogi, prawie nagi młodzieniec z skrzydłami, podtrzymuje kosz z owocami, który, całkiem już nagi, a skrzywiony jak nieszczęście, dwuletni może chłopaczek popodaje Madonnie, po pniu zaś stojącego tuż drzewa, drapie się jak kociątko, mały już całkiem, skrzydlaty geniuszek.

Czy może dalej zająć poniewieranie tak świętymi postaciami, jak aniołowie, do których się modlimy i przed którymi prorocy i apostołowie drżąc, padali na twarze? W Luwrskiej Madonnie Murilla, taki dzieciak—aniołek schował się w chmurę i tylko z niej widać mu nóżki i brzuszki, u innych znowu stronę przeciwną. Tycyan swoją Assuntę otoczył całą chmurą nagich dzieci w pozach najbardziej nieprzyzwoitych, śmiesznych, rozwydrzonych. Jaką styczność Wniebowzięcie N. Panny, fakt tak pocieszający, piękny, a nadewszystko tak bardzo poważny, mieć może z tłumami tłustych bębnow, nie mogących mieć najmniejszego wyobrażenia o tem, co się około nich dzieje?

Gdy chrześcijanin wierzący, o tej tajemnicy rozmyśla, dusza mu się w błogości rozplywa, Kościół otacza ją wielką uroczystością, a w officyum dnia tego powiada: „Wniebo-

więta jest Marya, radują się Aniołowie i weseli błogosławią Pana“; a gdy się rzuci okiem na obraz, spostrzega się obok bardzo nieraz pięknej i natchnionej postaci Matki Boskiej, kilkadziesiątnagich chłopczyków, magających w chmurach koziołki, bawiących się w chowanego i przyjmujących takie pozy, za jakie niechybnie od matki dostaliby kilka „gorących placków“.

Podług Objawienia, aniołowie są posłami Bożymi, wykonawcami Jego zamiarów; względem ludzi zaś są ich przewodnikami i opiekunami; tak też ich sztuka rzeczywiście chrześcijańska przedstawia. Jeżeli zaś wprowadza ich do obrazu fantazyja (chrześcijańska) tylko, to występują mniej więcej w roli chórów w greckich tragediach, są tłumaczami uczuć artysty albo widza; więc płaczą przy Chrystusie ukrzyżowanym, weselą się przy Wniebowzięciu N. Panny, pełni pokory i świętego zdumienia patrzą na chrzest Pana Jezusa, dodają męstwa męczennikom, rozpościerają skrzydła opiekuńcze nad sierotą.

Odrodzenie wszystko to zmieniło i dało mniemanym swoim aniołom rolę wprost przeciwną, bo sług, a często trefnisiów ludzkich. Na baldachimie naprzykład ambony, na kilku białych drewnianych plackach, mających wyobrażać chmury, siedzi parotygodniowe „bobo“ ze skrzydłami wróbelka i dmie co siły w zło-

coną trąbkę; przed Św. Janem z Nepomuku, fruwa nagi elfek, trzymając w dwóch paluszkach — czerwony język, albo też kładąc palec na buzi; przed Św. Katarzyną usługujące aniołki zbierają połamane koło męczeńskie; nad ś. Franciszkiem Salezym kilku takich psotników unosi książki wykradzione z jego biblioteki, a przez niego napisane; na dole dobijają męczennika, a z góry spada na złamanie karku dwumiesięczny, nagi jak dłoń dzieciak, wywijając nóżkami i niosąc w jednym ręku palmę, a w drugim koronę — jak gdyby w Niebie nie było już kogo lepszego dla przyjęcia Świętego; w kościele oni podtrzymują kropielnicę, wykrzywiają się, siedząc na końcach gzemśów, na przeróżnych grobowych pomnikach; oni tam rzewnie płaczą, że umarła pani X., lub pełne nadziei dziecko Y. Słowem, z chrześcijańskiego pojęcia o aniołach nie zostało nic, absolutnie nic, owszem wkradły się natomiast rzeczy, na które bez oburzenia i obrzydzenia patrzeć nie sposób.

Wielka powaga właściwa i konieczna u istot tak bliskich Boga, ustąpiła miejsca szarlataneryi, galanteryi, komizmowi, błazeństwu. Mniemani aniołowie drapią się po drzewach, papilonują“ wśród kwiatów, przyjmują w powietrzu pozy tak nieszlachetne i nieprzyzwoite, że nie zawsze clown w cyrku na takie sobie pozwoli; rzucanie się, szarpanie, jakaś opętana

furya i bezcelowe szamotanie zastąpiły dawny spokój i powagę. Anioł, duch bezpłciowy, uosobienie wstydu i skromności, stał się zwyczajnym młodzieńcem dobrze zbudowanym, a bardzo źle wychowanym. Odzienie na nim, jeżeli jest, to zwykle w największym nieładzie, wiecznie rozchetstany, suknie z niego opadają, a tak porozpinane, że cudem prawdziwym trzymają się jeszcze trochę. Najczęściej sukni nie ma, tylko jakiś szmat kolorowy powiewa koło bioder, bardzo często nie ma i tego. Potężne skrzydła, znak duchowości, zamieniono na skrzydła wrobla; w końcu z wiecznie młodego, potężnego, rozumnego i pięknego ducha, zrobiono bezmyślne, pyzate dziecko, które, jeżeli na czworaku przejść się potrafi, wielkiej już sztuki dokaże.

Mamy więc tu próbę i dowód prawdziwości tego, com wyżej powiedział, że sztuka, gdy przestanie być chrześcijańską, gdy zacznie z człowieka czerpać treść religijnych obrazów, gdy dowolnie zacznie przerabiać dogmaty i fakta religijne, to się stacza w dół i staje czysto ludzką, pogańską, to się przed nią żadne szerokie horyzonty nie roztaczają; owszem, widzi coraz mniej i nędzniej i skończy zawsze no tem, że z rzeczy wzniosłej i rozumnej, zrobi nędzną i niemądra karykaturę. Skoszlawienie rzeczy świętej, wydaje mi się tu tak widocznem, że tylko kilkowiekowe przyzwyczajenie i wmawianie w siebie od dzieciństwa, może

pozwolić nam wierzącym, widzieć aniołów w najprawdziwszych geniuszkach, albo elfach.

Nieraz zdarzało mi się sprawdzać wrażenie, jakie podobne niby religijne malowidła wywierały na widzów nieuprzedzonych, albo na razie zapominających o tem, czem to wyobrażenie być ma, a czujących tylko, czem jest. Niekatolicy i niechrześcijanie nazywają takie skrzydlate istoty kupidynkami, amorkami, i mają najzupełniejszą słusność; kobiety zobaczywszy Niepokalane Poczęci. lub Wniebowzięcie w rodzaju Muryllowskich (bo i ten tak bardzo religijny malarz nie ustrzegł się w tym razie wpływu swego wieku) rzucają się do obrazu z okrzykami radości: ach, co za śliczne dziecko, ten leżący na chmurze — nie, ten drugi ładniejszy, patrz jaka minka figlarna — a ten znowu jaką ma buzię rumianą; i te także mają rację, bo widzą dzieci i nic więcej, gdyż nic więcej tam niema. Siła uprzedzenia i przyzwyczajenia jest tak wielką, pojęcia religijne tak u nas osłabły, że wymienione wyżej usterki i niedorzeczności nietylko ludzi nie rażą, ale jeszcze im nieraz wyperswadować trudno, że powinno być inaczej; więc wymyślili sobie nawet termin osobny i takie skrzydlate figurki nazywają „aniołkami“.

Słusznie trzeba zapytać, co to są aniołki, skąd one. co zacz? Pismo Św. o żadnych *aniołkach* słowa jednego nie mówi, ono zna

tylko *Aniołów*, a ci, jak słusznie powiedział de Maistre, nie byli nigdy dziećmi i starcami nigdy nie będą.

W obrazach fantastycznych, legendowych, mitologicznych, można sobie tworzyć (i to nie zawsze) rozmaite niebywałe istoty; w sztuce religijnej tego robić nie wolno, bo religia nie jest bajką, lecz prawdą bezwarunkową, w najdrobniejszym swym szczególe.

Inni znową widzą w dzieciach skrzydlatych dusze zmarłych w niewinności. Nie wchodzę w to jak je malować należy i czy w obrazach religijnych mogą być przedstawione (o czem mocno wątpię): powiem tylko, że należą one zawsze do ludzi, że aniołami nie są i nie będą, że choćby ich malowano w postaci dzieci skrzydlatych, to należałoby i na nich wycisnąć pieczęć Nieba, a nie siłarność ziemskich chłopaków i że w końcu nigdy nie możnaby dusz dzieci-ludzi umieszczać tam, gdzie powinni być duchy-aniołowie.

W końcu są i tacy którzy rozkoszują się takimi obrazami, bo dzieciaki te są bardzo ładne i doskonale malowane, dużo w nich ruchu, prawdy; — to znowu inna zupełnie kategoria. Przyjemnie bezwątpienia patrzeć na dobrze malowane dziecko i jest ono dziełem sztuki, może nawet bardzo cennem, ale niechże sobie będzie w odpowiednim otoczeniu i miejscu. Albano, Rubens i wielu innych malowali dzieci

ex professo, ale na osobnych obrazach, nigdy zaś one nie powinny udawać Aniołów, dla tej prostej, choć tak często dziś zapomnianej racyi, że w obrazie powinna być nietylko prawda w rysunku, światłocieniu, perspektywie, kolorycie, ale także, a może przedewszystkiem nawet, prawda wewnętrzna, prawda w treści, logice, etyce, historyi. Bez pierwszych warunków utwór nie będzie dziełem sztuki, bez drugich nie będzie dziełem ludzkim; — będzie podobnem do pięknego człowieka pozbawionego zdrowych zmysłów. Dopóki milczy i dopóki patrzą na niego tylko oczy, zajmuje i pociąga; gdy usta otworzy i pocznie bredzić, gdy go zacznie nasz rozum poznawać, obudzi się wnet przykre uczucie tembardziej przykre, im większa będzie różnica między pięknością jego ciała, a ubóstwem jego myśli, albo nędzą jego charakteru.

Od Aniołów, mieszkających wysoko w sferach niebieskich, przejdźmy teraz na naszą ziemię, do jednego z najsmutniejszych na niej zjawisk, do śmierci, i chwilkę uwagi poświęćmy dziełom sztuki, jakimi jej ślady znaczymy. Chcę mówić o pomnikach grobowych i ich charakterze przed renesansem i po nim.

Zdarzało mi się bardzo często spotykać narzekania na wstrętny i straszny symbol przyjęty u nas dla wyobrażenia śmierci t. j. szkielet, a zachwyty i uznanie dla Greków i Rzymian,

którzy śmierć przedstawiają w postaci pięknego młodzieńca, gaszącego przewróconą pochodnię życia. Jeżeli mowa tylko o znaku zewnętrznym, to najmniejszej nie ulega wątpliwości, że pogański geniusz śmierci jest piękniejszym od śmierci—szkieletu. Niestety, nie o samą stronę estetyczną chodzi, kiedy mowa o śmierci; — jest w niej inna strona niezmiernie ważna, kwestya pierwszorzędna: gdzie jest prawdziwe pojęcie o śmierci, kto jej naturę przeniknął i poznał pod tym względem prawdę.

Jeśli ze strony praktycznej, życiowej będziemy na to patrzyli, to będziemy zmuszeni przyznać, że piękny symbol grecki kryje rozpacz, czarną otchłań i fałsz, gdy symbol chrześcijański zawiera prawdę, nadzieję i światło.

Czem była śmierć dla pogan? Dawniej, w pierwszych znanych historycznie czasach pogaństwa, śmierć zawsze straszna, miała jednak niejaki błyski nadziei życia przyszłego, mniej więcej szczęśliwego. Z czasem jednak, w miarę zbliżania się do ery chrześcijańskiej, poganizm coraz się bardziej rozkładał; ulatniały się z niego ostatnie pewniki pierwotnego Objawienia i pod każdym względem nastąpiła zupełna ciemność, nierozplątana gmatwanina niorozręczności, albo zupełny sceptycyzm. Przesztano wierzyć w życie zagrobowe, przestano czegokolwiek spodziewać się od śmierci i stała

się ona dla poganina bezdenna, czarną przepaścią unicestwienia, stała się końcem życia. Gdy ona przyjdzie, pożegnać trzeba słońce jasne i niebo pogodne, rodzinę i przyjaciół i ruszać gdzieś w noc bez gwiazd i światła ze wstrętem nieprzewyciężonym do nicstwa, z sumieniem obciążonem grzechami, z cnotami nie nagrodzonem, krzywdami nie pomszczonemi; — a gdy umierający wodził z rozpaczą oczami do koła, szukając jakiejś pociechy, jakiegoś promyka nadziei, cóż innego mogli mu powiedzieć obecni jeśli nie szydercze a tak rozpaczliwie smutne zapewnienie Juwenalisa: *Cinis et manes et fabula eris.* ¹⁾

I to była okrutna ale zupełnie logiczna konkluzja z pogańskich wyciągnięta przesłanek. Poganizm, który horyzont myśli, serca i przeznaczeń ludzkich zacieśnił do ziemi i kilkudziesięciu lat życia na niej, nic dać nie mógł, gdy się ono kończyło. Otóż jak prowadzonych na śmierć, przez resztkę ludzkości, odurzano, by im ułatwić ostatnie chwile przed śmiercią, tak samo zakrywano przed żyjącymi przepaść śmierci — sztucznymi kwiatami. Wyobrażano śmierć w postaci pięknego, smutnego młodzieńca, stawiano na grobach przepyszne mauzolea i ozdabiano je przeróżnymi posągami, pogrzebowe

¹⁾ Będziesz popiołem i marą i baśnią.

uroczystości rozweselano ucztami, trupa osypywano kwiatami i wieńcami. Umarilemu nie to oczywiście nie pomagało, a żywym chyba bardzo niewiele. Co wieńce, posągi i geniusze z pochodniami pomódz mogą kochającemu sercu, gdy sobie powiedzieć musi, że owo drugie serce, co bić przestało, znikło na zawsze, bez nadziei, bez powrotu, że twarzy kochanej nie zobaczy już nigdy — nigdy.

W tem jednym strasznym słowie „nigdy“ zawierają się chyba wszystkie męki i goryczy śmierci. Bez pewności innego życia, zrodzić ono może tylko rozpacz. To też jeśli kiedy uczucie prawdziwe wystąpi w pomnikach pogańskich, musi ono nosić piętno smutku bez pociechy i bez nadziei żadnej. Któż nie zna przepięknej a tak bardzo smutnej rozmowy Hektora z Andromachą, gdy obrońca Troi przeczuwa, że darmo walczy, że „przyjdzie dzień, w którym upadną święty Ilion i Pryam i lud wojowniczego Pryama... ale te wszystkie klęski, dodaje w końcu, nie tyle mnie obchodzą, co twój własny los, gdy który z Greków uprowadzi cię łzami zalaną i pozbawi wolności. Wtenczas w Argosie tkać będziesz płótno dla cudzoziemki; z sercem pełnem goryczy czerpać będziesz wodę u źródła Messeidy albo Hyperei... i kończy swe przewidywania okrzykiem boleści: Ach, obym był raczej pochowany w gro-

bie, niżbym miał s'yszeć twe krzyki, gdy będziesz w rękach napastników“¹⁾).

Uczucie bardzo naturalne; ale gdy Hektor już spoczął w grobie, a żona bohatera tkala płótno i nosiła wodę dla najeźdźców, jakież już ona mogła wydać jęk bólu: gdy sobie przypomniała tego „który najlepiej walczył wśród Trojanów, gdy około Ilionu toczyły się krwawe boje“, który był jej mężem i ojcem jej dziecięcia, był pierwszym w kraju, był kochanym, walecznym, który zginął i był haniebnie wleczony po ziemi przez dzikiego zwycięzcę i za tyle cnoty i cierpienia jest teraz — *cinis et manes et fabula* — a w najlepszym razie smutnym cieniem w podziemnym państwie Hadesu.

Rozmyślając nad podobną pozycją, czujesz, zdaje się, jak serce, ujęte w zimne kleszcze żelazne, ginie w nich z rozpaczny, rzucając tylko ostatni wyrzut temu fatum ślepemu, które stworzyło człowieka na męki bez końca, bez ratunku i bez nadziei.

W chrześcijaństwie jest zupełnie inaczej. Nie będę się sprzeczał o to, że nie można było wynaleść lepszego niż szkielet znaku śmierci; w każdym razie, okoliczność, że go dotąd nie wynaleziono i że stary symbol ciągle się utrzy-

¹⁾ Iliada p. VI.

muje, wskazuje, że jest w nim to, co daje długi żywot; w samej rzeczy jest w nim prawda. Chrześcijaństwo, będąc sam bezwarunkowo prawdziwym, nie chce ludzi zwodzić i łudzić; wyobraża śmierć, jaką jest. Jaki bo można wymyśleć obraz piękny, a zarazem prawdziwy, dla rzeczy brzydkiej i strasznej? A śmierć jest taką właśnie. Jakto, ten zgon wśród mąk i boleści, to zerwanie ze wszystkim i wszystkimi, to pasowanie się ze strachem i nadzieją, to oczekiwanie nieznannej przyszłości, ten w końcu ciała rozkład ze wszystkimi jego smutnymi okolicznościami, to wszystko ma być piękne? Nie grecki symbol był fałszem, jak był nim poganiizm cały, nie dlatego tylko, że żadnego geniuszu śmierci nigdy nie było, ale że, uważany nawet jako abstrakcja, wyobrażał on w formie pięknej, rzecz brzydką i wstrętną.

Chrześcijaństwo, jak powiedziałem, postępuje inaczej. On śmierci nie upiększa, on jej okropności kwiatami nie otula; owszem, każe o niej myśleć bez żadnych osłon, każe wyznawcom swoim jak najczęściej zaglądać do grobu i powtarzać *memento mori*. Nie dość na tem on im przypomina, że po śmierci czeka ich sąd, że potem może być źle a nawet źle bardzo i bez ratunku, dlatego trzeba o tem ciągle pamiętać. Tak, to wszystko prawda, chrześcijaństwo po śmierci przepowiada rzecz gorszą niż *„civis et manes et fabula“*, bo piekło wieczne — ale

dla złych tylko. Ludzie dobrej woli widzą w prawie u bram drugiego życia, stojący straszny szkielet śmierci, ale nad wrotami temi jaśnieje siedmiobarwna tęcza nadziei, ale z po za nich wyrývają się takie promienie jasności, że mruży się przed niemi śmiertelna źrenica. a serce rozszerza się jak bezmiar, bo „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło, co Bóg nagotował tym którzy Go mitują“, zapewnia Św. Paweł.

Tak więc w chrześcijańskim pojęciu śmierci, przeważa a raczej niepodzielnie panuje pewność, że jest ona przejściem do innego, lepszego życia. z tem pojęciem połączone już inne: nadzieja, modlitwy, dobre uczynki, pokuta dla ulżenia czyscowym cierpieniom, pewność zobaczenia się po śmierci, wieczne życie i wieczna szczęśliwość i t. d. Jeśli do tych nadprzyrodzonych uczuć przyłączą się kiedy inne naturalne, jak smutek z rozstania, tęsknota za kochanymi, to nie będą one tak straszliwie smutne jak u pogan, chrześcijanie „nie płaczą jak ci, którzy nadziei nie mają“.

Taki jest charakter śmierci w pojęciu chrześcijańskim i taki też powinien być w dziełach sztuki nadgrobkowej.

„Jak u nas w kraju, jak dziś na świecie całym, powiada Kremer z racyi cmentarza neapolitańskiego, tak podobnie i na Campo Santo w Neapolu, często nie widać owego taktu, instynktu, co umie dobierać form odpowiednich

dla wewnętrznej treści... kształt architektoniczny nagrobku często nie odpowiada wcale swojemu wewnętrznemu znaczeniu. Bo uważamy — grobowiec jest dziełem sztuki nadobnej, postawiony na cześć a pamięć chrześcijanina zmarłego w Bogu; w takowym pomniku tedy słubi się skon z religią, śmierć ze zmartwychwstaniem człowieka i boleść pozostałych z wiarą, miłością i nadzieją. Tę właśnie treść winien wypowiedzieć pomnik grobowy i on jako dzieło architektury niechaj ją wyraża symbolicznie stylem a liniami swojemi, niechaj formy jego brzmią jako pogrobowa muzyka. Jeżeli zaś i rzeźba wezwana jest do wykonania jego, niechaj uosobia ową wzniosłą osnowę trybem znacnym. Słusznie twierdzi Selvatico, że nam o wzory pod tym względem wcale nie trudno, bo dość nam się nieco rozpatrzyć w pomnikach pośmiertnych dawnych epok, w których duszy żyło głębokie, religijne i artystyczne poczucie. Jakoż świat starochrześcijański zostawił nam grobowce męczenników i wiernych w Chrystusie. Epoka średniowiekowa w pierwszej połowie swojej budowała grobowce wysokiej piękności i rzeźbiła poważnie z romańska, a w drugiej stworzyła ów cudowny styl gotycki, niebotyczny, ku eterom się wznoszący, tęskniący za nadziemskim światem.

„Okres gotycki był dzielnym mistrzem, a wiedział i czuł, co Bogu, co ludziom, co

umarłym, co żywym należy, zatem stawiaj grobowe pomniki, które dotychczas są, jakoby owych wieków żywym uczuciem, przetłómaczonem na architekturę i dzieła rzeźbione. Patrzmyż np. na grobowiec, na którym leży Kazimierz W. w katedrze krakowskiej. Tu powaga a świetność, uroczystość bez pychy, tutaj majestat a człowiek, rzeczy Boże a ziemskie, spokój wieczności a cześć żywych, znalazły głęboki wyraz swój. W tym pomniku technic misterność artystycznej pracy bez drobiazgowej malizny, w nim widzisz bogactwo sute, a przecież dalekie od wszelkiej przesady. Wszak nawet nastający po epoce gotyckiej renesans czuł i zrozumiał głęboko zadanie swoje, gdy się zabierał stawiać pomniki lub kaplice grobowe. Myślę, że wystarczy gdy wspomnę o kaplicy Zygmuntońskiej lub o pomnikach w kościele krakowskim P. Maryi. Wiemy zaś, co się działo po wszystkich krajach, gdy po renesansie (wczesnym) pojawił się styl właściwego Odrodzenia w sztuce, któremu o to chodziło, aby formy starożytności klasycznej — bo greckiej, rzymskiej — zastosować do potrzeb, obyczajów, a do uczuć nowożytnych, aby treść chrześcijańską nowoczesną wcisnąć w formy dawno umarłego i dawno w dziejach pogrzebanego świata. Gorzej jednak jeszcze bywało, gdy później rozhulał i rozswawolił się we Włoszech barocco, a rococo we Francji, skąd już,

jakby zaraźliwa choroba, rozbiegł się modą po wszystkich krajach¹⁾.

Dla uwydatnienia w przykładach, tego co tu znany estetyk powiedział ogólnikowo, pozwolę sobie przytoczyć przydłuższy ustęp z listu mego, pisanego przed laty do jednego z przyjaciół, w czasie wycieczki kuracyjnej:

...„I tak ciągle, to król, to rycerz, to biskup (mowa tu o nagrobkach w jednej ze świątyń krakowskich) wszystkie te postacie rzeźbione w bronzie, marmurze albo i pośledniejszym kamieniu. Jedne stoją ze złożonymi rękoma, inne leżą, jak we śnie, tu władca podniósł się na łokciu i senną głowę oparł o ścianę, tam biskup jedną rękę podłożył pod głowę a druga mu na Ewangelii zastygła, ówdzie rycerz trzyma rękę na mieczu. Może się zanadto rozpisuję o grobowcach, ale dla mnie mają one swój język, który doskonale rozumiem. Przed kilku laty miałem w swej bibliotece *in folio* z XVII wieku, opisujące świeżo wtenczas odkrytą część katakumb rzymskich; było też w niem mnóstwo rysunków i napisów grobowych ztamtąd pochodzących.²⁾ Któregoś wie-

¹⁾ Podróż do Włoch, t. IV. 318 - 320. Wilno, nakład Zawadzkiego.

²⁾ Było to cenne dzieło Bosio „*Roma sotteranea*“ wydane w 1632 roku przez oratoriana Severano.

czora otwarłem ten foliał — i cały wieczór nad nim przesiedziałem, a chyba nie prędko zapomnę to słodkie i rzewne wzruszenie i zadumę, w jakich czas ten przepędziłem. Na zwykłej płycie kamiennej, napisy na pozór najprostsze np. *Sabina filia carissima — in pace*, a przy tym napisie niezgrabnie wyrzeźbiony kociołek, z którego płomienie buchają. Inny napis — *Evaristus — anima dulcis — pro X to*, a obok palma albo miecz. Czasem tylko samo imię, a do niego dodano — *in pace*. Profan możeby rzucił okiem i przeszedł — we mnie te napisy duszę poruszyły do głębi. Widzę w nich najszczytniejsze połączenie miłości przyrodzonej, ludzkiej, z wiarą nadprzyrodzoną. Jak boleśnie brzmi ten krótki napis na grobie „*filia carissima*“ — i nic więcej. Kto bardzo cierpiał, ten wie doskonale, że ból prawdziwy nie układa się w rymy i długie peryody, że serce nie płacze sztucznie; im większą boleść, tem treściwiej się wyraża.

Długie rymy i patetyczne egzorty przechodzą bez śladu. Obojętnie mijam sążniste napisy, rzadko miałem cierpliwość doczytać pięknie stylizowane łacińskie wiersze na grobach różnych czasowych znakomitości, ale dziwne rozrzewnienie mnie przejmuję ilekroć spotkam coś w rodzaju owej „*filia carissima*“ lub „*anima dulcis*“. Jak bo ten biedny ojciec cierpieć musiał, nim ów napis położył, boć ten kocio-

tek niezgrabny oznacza, że córkę jego najdroższą — żywcem spalono w smole — a po ilu jeszcze mękach poprzednich! Ta palma przy „*anima dulcis*“ znaczy, że słodki młodzieniec zginął wśród mąk okrutnych; a czy może być większa kombinacya bolu, jak wiedzieć, że to co słodkie, co najdroższe, kona w torturach wśród wzgardy i obelg, umiera bez winy, owszem za to, że dobre, słodkie i cnotliwe? Ale ten żal i próbę łagodzi napis *in pace* — *pro X-to*. Ojciec czy brat zamęczo nej ofiary wie, że jego *filia carissima*, że *anima dulcis* żyje, bo umarła *pro Christo*, że wtenczas, gdy on płacząc, kładł ten krótki napis na jej grobie, ona już chodziła w chwale za Barankiem, śpiewając pieśń wiecznie nową — oni wiedzieli, że ona jest *in pace* — na wieki, że ich poprzedziła na wybrzeże, do którego lada dzień ich łódka także przybije, a gdy na niem staną — powita ich w szczęściu, chwale i radości — i nie opuści już nigdy.

Ten wyraz „nigdy“, o ile straszny dla umierających pogan, zastosowany do śmierci chrześcijańskiej, posiada taki bezmiar szczęścia, że serce ludzkie w tem życiu objąć go i pomieścić w sobie nie zdoła. Dla mnie z tych nieforemnych rysunków i niegramatycznych napisów, tryska w całej pełni myśl chrześcijańska, że życie ziemskie, to czas próby, a śmierć w Chrystusie, to dopiero życie — i wobec ta-

kich grobowców stają pełen rozrzewnienia i pokory i odchodzę pokrzepiony na duchu.

Późniejsze pomniki, aż do epoki renesansowej, nie są już grobami świętych, ale zawsze jeszcze z nich bije myśl chrześcijańska. Król w majestacie, kapłan w ornacie, niewiasta z różańcem, rycerz w zbroi pokładli się na tych pomnikach, ale oni nie umarli, lecz śpią, jak dziewczeczka wskrzeszona przez zbawiciela. Ci, którzy im pomniki stawiali, nie powodowali się rozpaczą bez nadziei, śmierć dla nich nie była końcem bytu, jak u pogan starych i nowych, dlatego, jeżeli przy głównej postaci stawiano na pomniku i inne jeszcze to one nie rozpaczają, nie płaczą nawet — lecz modlą się. Patrząc na takie grobowce, chce się z poetą powtórzyć:

„I oni kiedyś na ziemi tu żyli,
„Po falach życia przemknęli pocichu,
„Brzmiały ich głosy chwilę — a po chwili
„Smutno i cicho, ni śladu, ni slychu.
„Gdzież się podzieli? Kto powiedzieć może?
„Szczęśni, co zmarli w łasce Twej, o Boże! ¹⁾

Patrząc na takie grobowce, myślę — wszystko marność, życie przejdzie, troski przejdą, łzy przejdą i człowiek smutny dzisiaj, także się

¹⁾ Zaleski „Umarli“.

kiedyś położy do snu nieprzespanego (oby tylko *in Christo!*) — bo życie to sen.

Takie wrażenie pozostaje po dawnych pomnikach. Od kiedy z Odrodzeniem poganizm zaczął wsiąkać w sztukę chrześcijańską, oczywiście odbił i na grobach zasadniczą poganizmu ideę, że po za ziemią niema więcej życia. Dla poganina śmierć to otchłań ciemna, bezdena — więc też po niej na ziemi pozostaje tylko płacz nieutulony, tylko smutek bez nadziei, tylko rozpacz. W skutek tego na grobowcach rzeźbiarze starają się uwydatnić już nie myśl chrześcijańską, ale boleść pozostałych, a jest ona tem większą i bardziej niepocieszoną, im bliżej naszych czasów, im bardziej społeczeństwo i artyści poganieją.

Z drugiej strony znowu, tracą oni z oczu znaczenie śmierci chrześcijańskie i albo starają się ją zamaskować dziełami sztuki nic, lub bardzo mało mającemi ze śmiercią wspólnego, albo też używają i tego smutnego pola śmierci do popisu i zwrócenia oczu na siebie, uwydatnienia własnych uczuć, przekonań i fantazyj, bez względu na umarłego.

Pierwowzorem takich pogańskich pomników w chrześcijaństwie są dla mnie grobowce Wawrzyńca i Juliana Medyceuszów, przez Michała Anioła. Prześlicznej postaci „Pensieroso“ (Wawrzyńca) nie mam nic do zarzucenia. Owszem ten tak głęboko zadumany człowiek bar-

dzo na miejscu, na wierzchołku 'grobowca; — on się zamyślił nad wielką życia zagadką i tytuł innemi z nią połączonemi. Natomiast cztery postacie leżące na sarkofagach w zupełnej nagości i pozach niemożliwych, o ile je będziemy uważali w połączeniu z grobowcem chrześcijanina stojącym w kościele, poprostu wołają o pomstę do Nieba. A niech mi nie zarzucają, że nie rozumiem wielkiego mistrzostwa, artyzmu tych postaci; niech nie mówią, że przed pięknem wszystko ustępuje. Odpowiem, że doskonale rozumiem i czuję piękno, ale moi oponenti widać nie rozumieją, że nagość, zwłaszcza tak bez żadnej ceremonii, w kościele jest absolutnie rzeczą gorsząca i nie na miejscu, — że zupełnie nie odpowiada myśli nagrobka chrześcijańskiego, że nie można zrozumieć, dlaczego te cztery osoby mają przedstawiać dzień i noc, poranek i zmierzch, i że w końcu alegorye te najmniejszego nie mają logicznego związku z grobowcem. Nie mówię jużci, żeby wszystkie pomniki epoki renesansowej i późniejsze, były do nich podobne, bo zawsze były i są grobowce prawdziwie chrześcijańskie. Z mnóstwa takich wspomnę na przykład o pięknym nagrobku, w jednej ze świątyń krakowskich. Spytka Jordana, zmarłego w 1568 roku, to jest w czasie zupełnego panowania renesansu. Na ogół jednak biorąc, nie tylko smak estetyczny staje się coraz bardziej

wątpliwym, ale i zmysł chrześcijański coraz mniej widocznym, zato uczucie przyrodzone czy to smutku bez nadziei chrześcijańskiej, czy częściej jeszcze pychy rodowej lub osobistej, coraz wyraźniej panuje. Na pomniku np. biskupa Trzebieckiego siedzi kilka białych niby aniołków na czarnych marmurowych figlaskach naokoło popiersia i wykrzywiają się do niego, udając, że chcą płakać. Gdyby artysta posadził tam był tych wszystkich krewnych, którym zmarły był drogim lub dobrze uczynił, byłaby jeszcze racja do płaczu, ale czego aniołowie mają płakać, przypuściwszy nawet, że te tłuste nagie chłopaki są aniołami? Jeżeli biskup był tak cnotliwym i kochanym, jak wyrazić chciano, to właśnie oni cieszyć się powinni z jego śmierci, bo doskonale wiedzą, że śmierć dobrego chrześcijanina to właśnie początek dla niego prawdziwego życia. Albo ta np. piękna kobieta, co zastoniwszy głowę siedła na grobie Ankwicza (czy Skotnickiego — nie pamiętam), ona śliczna jest (Thorwaldsena dłuta) ale zasmuciła się bez nadziei, jak gdyby nie słyszała słów Zbawiciela: „jam jest zmartwychwstanie i żywot—kto pożywa mego ciała, żyć będzie na wieki“.

Albo te sławne pomniki Canovy dla arcyksiężniczki Krystyny w Wiedniu i jego własny w Wenecyi — jako dzieło sztuki znakomite, jako pomnik grobowy — pogańskie naj-

zupełniej. Co np. dla chrześcijanina znaczyć może ten nagi młodzieniec, co się na schodach rozłożył ze zgaszoną pochodnią? To niby geniusz śmierci—pojęcie zupełnie pogańskie. Podobna figura dobra gdzieś na rysunku, w ogrodzie, w muzeum, ale wobec straszliwej grozy śmierci, z sądem i alternatywą piekła lub nieba, pogańska bajka to istne urągowisko. Albo ten korowód starca, niewiast i dziewcząt, tak pięknych i pięknie udrapowanych, które pogańskim obyczajem niosą popioły w urnie, a tak są smutne, że aż się ku ziemi pochylily — toż to także usposobienie pogańskie smutku bez nadziei, pociechy i zmartwychwstania. One niosą do ciemnej piramidy garstkę popiołów — ostatnie po kimś, kto był piękny, sławny i kochany, a dziś z niego nic niema i nie będzie nic nigdy. Takie pomniki można podziwiać jako dzieła sztuki, ale widz odchodzi od nich całkiem zimny albo nawet zniechęcony.

Natem jednak nie koniec. Poganizm, wciśnawszy się do tej gałęzi sztuki, jak wszędzie tak i tutaj, rozwijał się logicznie i wyparł zupełnie chrześcijańską ideę, zastąpiwszy ją w zupełności pogańską. Zamiast chrześcijanina „śniącego“ snem śmierci i oczekującego zmartwychwstania, zamiast człowieka proszącego o modlitwę, uznającego się choć po śmierci za grzesznika, ufającego miłosierdziu Bożemu, wystę-

puje jednostka ludzka poniesiona, chwalona, ubóstwiona nieledwie, występuje egoizm i pycha pozostałych i grobowce chrześcijańskie powoli zamieniają się na pomniki jakie sławnym ludziom stawiają na placach publicznych; — tylko że tu każdy, kto ma pieniądze na pomnik, chce być sławnego człowieka krewnym.

Na pomnikach śmierci zamiast pokory tak będącej tam na miejscu, rozsiadła się mniej lub więcej zamaskowana pycha i miłość własna pozostałych, a często zamaskowana w sposób dziwaczny bardzo. Tak naprzykład Thorwaldsen postawił na grobowcu jednego z Potockich nagiego młodzieńca, ledwo mu biodra zasłoniwszy kawałkiem draperyi. Młodzieniec ten, piękny jak Antinous, wziął się w boki jedną ręką i patrzy przed siebie, na ziemi koło niego leży hełm i zbroja grecka. Niech kto będzie mądry i zgadnie (gdyby nie było podpisu) że to nie zaden grek z wojny trojańskiej i nie zaden Apollo ani Achilles syn Nereidy, ale rzymski katolik.

Albo inny znowu przykład — pomnik hr. M. P., stojący w jednym z kościołów krakowskich. Usiadł on sobie na pagórku pod Krzyżem do którego plecami się odwrócił i nie troszczy oń wcale, nie czyta nawet książki leżącej mu na kolanach, bo ma co innego do roboty. Koło niego leży snop, sierp, chleba kawał i ptaszki — kury czy kuropatwy—i nie-

mi to on zajęty, bo je karmi (czy tylko patrzy na nie — już dobrze nie pamiętam). Wszystko to zrobione przez Brodzkiego bardzo wytwornie. Hr. P. ma być bardzo podobny, surduty i reszta ubrania wykonana bardzo dobrze, a nawet z pod surduta wyglądają chustka misternie wyrzeźbiona, cóż jednak z tego, kiedy w tym całym pomniku niema myśli chrześcijańskiej; — gdyby ona była, to zmarły raczej klęczałby przed Krzyżem a karmienie kuropatw zostawiłby komu innemu. Widziałem gdzieś rysunek grobowca Komorowskiego. Na podstawie Krzyża wyrzeźbiony ów Jasio, co to „fujarkę kręcił z wiezbiny“ i grywał na niej „długo żałownie, gdzie nad strumykiem kalina rośnie“ — co za sens mieć może choćby najlepszy obraz i najpiękniej skomponowana piosenka wobec śmierci, po której pytać nas będą nie jak malowaliśmy i śpiewali i po francuzku mówili, ale jak postępowaliśmy, wierzyli, kochali Boga i bliźniego.

Gdyby na grobowcach sławnych ludzi wypadało umieszczać treść ich dzieł, to na grobowcu Moniuszki wypadałoby z jednej strony wyrzeźbić Halkę skaczącą do wody a z drugiej Stefana śpiewającego w oknie aryę z kurentem, a Krasickiemu, jako bajkopisowi, chyba psy, małpy, lisy i wilki umieścić na grobie zamiast *requiescat in pace*. Prawdziwie powtórzyć trzeba słowa kardynała, który niedawno

z powodu zasypywania trumny kwiatami i wieńcami, z westchnieniem powiedział: *heu sensum Christi amisimus*". ¹⁾

Tymczasem właśnie ludziom naszej epoki najmniej wypadaloby mylić się w tym względzie. Inne epoki tak budowały, jak umiały, posługiwały się stylem który wydały. „Lecz my dziś, kontynuje przytoczony wyżej estetyk, którzy żadnego właśnie stylu nie mamy, bo nas na żaden nie stać—my, którzyśmy się wszystkich stylów przeszłości nauczyli na pamięć, a przez zimne badanie i naukę rozumiemy znaczenie każdego z nich, my winniśmy przecie mieć tyle taktu, byśmy umieli zastosować każdy z nich do treści mu odpowiedniej. Budujmy sobie, jeśli o to chodzi, dla żartu owe świątniczki ogrodowe lub teatry nasze, bo one są przecież dziedzictwem po świecie klasycznym. Cóż atoli znaczy ta pogańszczyzna, gdy sprawa z Bogiem chrześcijan, gdy stawiamy na cześć Jego kościoły, gdy braciom zgasłym w Chrystusie dźwigamy grobowce? Dziwacznie spoglądają na nas te sarkofagi, te urny a niszki, należące do innego świata, do innych obyczajów! Cóż znaczą na grobie chrześcijańskim te zimne abstrakcyjne figury, lub czego po gro-

¹⁾ Niestety, zmysł (poczucie) Chrystusa straciłmy.

bowcach wykrzywają się i dziwaczą te formy rokoko, co są istną swawolą architektoniczną, choćby wdzięczną, wesołą a elegancką swawolą?“¹⁾.

Na początku obecnej pracy mojej zastrzegłem się, że należę do stanowczych zwolenników renesansu we wszystkim, co on dobrego wniósł do sztuki (a wniósł bardzo dużo); pomimo tego z żalem zawsze patrzyłem na to, że właśnie w tym samym czasie, gdy tak świetnie rozkwitał kwiat formy, więdnąć i niknąć zaczął duch i sok ożywiający te kwiaty (mówię tu przeważnie o sztuce religijnej). Co było błędnego w pojęciach i kierunkach owoczesnych, starałem się wyżej zaznaczyć i parą szczegółowych przykładów objaśnić. Złe nasiona, rzucone do roli, wyrosły i plon wydały. Artyści tak długo treść do obrazów religijnych czerpali z własnego wnętrza, dotąd je zasilali własną fantazją, nadprzyrodzone i nadnaturalne rzeczy zbliżali do natury, aż je zupełnie przerobili na „obraz i podobieństwo swoje“. Jak grecki Olimp był tylko wiernym odbiciem zupsutej Greków natury, ich rozpusty, prze-

¹⁾ Kremer Podróż do Włoch, jak wyżej, 320,

wrotności, okrucieństwa, chciwości, tak obecne niby religijne obrazy odwzorowują to, co jest w duszach ich twórców — zupełny brak religii, a przynajmniej doskonałą jej nieznaną.

Właściwie niema Europa sztuki religijnej, w obecnej dobie. W połowie naszego wieku powstała była szlachetna reakcja przeciwko jej poniżeniu, ale przeszła i nie utrzymała się. Nie masz już Overbecka, Delaroche'a, Schadowa, Schnorra, Füttricha; natomiast mamy takie obrazy religijne jak Chrystus przed Piłatem Munkaczego, jak wrzekomo religijne obrazy Siemiradzkiego, jak Chrystus w grobie, Wyczółkowskiego, Zwiastowanie, Piątkowskiego i mnóstwo innych, które z religii wzięły tylko... podpis do obrazu. I nie mogło być inaczej. Po chwili szlachetniejszych porywów, marzeń i łudzeń się, słońce znowu się skryło, a na świat runęły jak wody potopu, szpetne i brudne fale naturalizmu, pozytywizmu, radykalizmu i tych wszystkich pięknych rzeczy, które pokrywają dziś całą Europę. Pod ich nawałą znikła czysta sztuka religijna, bo lilie białe w ryns zrosną. Dzień dzisiejszy nie jest wcale sprzyjającym ich rozkwitowi. Dziś, kiedy p. Witkiewicz (u nas) złorzeczy estetykom niemieckim, że nie zaniechali dotąd niemądrego zwyczaju dzielenia utworów sztuki podług treści na religijne, historyczne i t. d., kiedy ten sam mała wypowiada zawziętą wojnę myśli w sztuce i wy-

świeca ją przy oklaskach swych zwolenników z obrazów i posągów, przy takim usposobieniu artystów, skądże ich może być stać na dzieło sztuki rzeczywiście religijne?

Prąd niereligijny, właściwie antychrześcijański, ma to do siebie, że pod każdym względem zacieśnia horyzont ludzki, nim w końcu człowieka zupełnie ze zwierzęciem nie zrówna. Tak samo dzieje się w sztuce. Epigonowie nowych niby postępowych w niej prądów, nie tylko oddawna wyrzucili z niej religię, nie tylko podeptali resztkę etyki i wstydu ale w logicznym rozwoju wyzbyli się tego, co jest ludzkim par excellence t. j. myśli. Teraz wystarczy, żeby zmysły były zadowolone (właściwie wzrok) przez harmonię koloru, rysunku i t. p.; żeby podobieństwo do natury było najbardziej ludzającym, tak żeby ptaki rzuciły się do winogron, a widz chciał podnieść namalowaną zastonę — w dzieciństwie sztuki u Greków. A nie tylko ta przyjemność bądź co bądź ludzka jeszcze, jest na pierwszym miejscu; — ma obok siebie inną, już zupełnie zwierzęcą — drażnienia instynktów najniższych i może jej wkrótce zupełnie miejsca ustąpić będzie musiała. Otóż od artystów na tym poziomie stojących, jest poprostu rzeczą niemożliwą domagać się dzieł religijnych, które wymagają najpierwej myśli, potem nauki, dalej wiary i życia co najmniej uczciwego i moralnego.

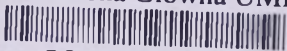
Trzeba jednak i można spodziewać się, że tak zawsze nie będzie. W tym samym czasie, gdy Draper zaczynał swój pamflet przeciw religii od zapewnienia, że nikt teraz z rozumnych w Europie ludzi nie wierzy, prąd wiary wznośli się i rósł ciągle, — tylko że zaciętrzewiony chemik, przedzierzgnięty w historyozofa, dopatrzyć go nie umiał i nie chciał. Dziś już nie jest dla nikogo tajemnicą, że chrześcijaństwo domaga się należnego miejsca w społeczeństwie i często je zwyczajko napowrót zajmuje. Zbyt wiele on jeszcze ma przed sobą i zbyt trudnych zadań, by mógł już teraz do artystów przeniknąć i w sztukę prawdziwie chrześcijańską wykwitnąć. Gdy słońce wiosenne walczy ze śniegiem i lodami, zjawiają się tylko małe kwiatki, pierwiosnki, krokusy; cały przepych kwiatowy zawita dopiero gdy słońce stanowczo zwycięży. Pierwiosnki sztuki religijnej odrodzonej dają się już często widzieć, chociaż zagłuszają je jeszcze produkcyje współczesnego ducha.

Gdy jednak, jak się na to zanosi, duch religijny znowu zwycięży, gdy się na dłużej utrwali i ciepłem swoim przejmie społeczeństwa, wtenczas zakwitnie nowa era sztuki religijnej, która może zdoła połączyć zdobycze renesansowe i porenasansowe z wiarą dawniejszych artystów, z tą tylko różnicą, że gdy dawniej była ona często naiwną i bezwiedną

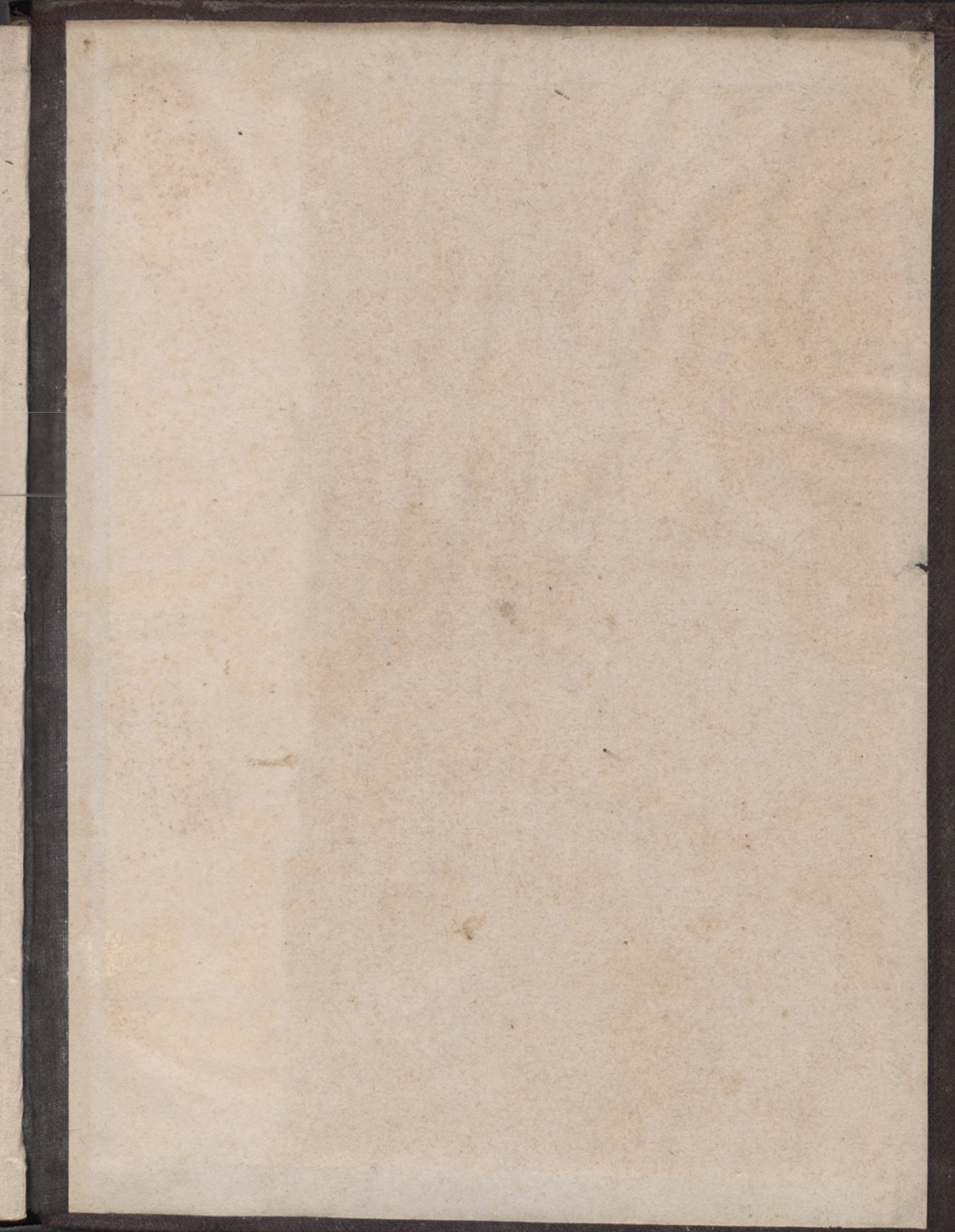
wiarą młodzieńca, teraz będzie trwałem i niezachwianem przekonaniem męża, zdobytem długą walką, rozważaniem i doświadczeniem. Pozostaje życzyć by ta szczęśliwa era, jeżeli ma kiedy nastąpić, przyszła jak najrychlej i jak najdłużej trwała.



307
Biblioteka Główna UMK



300049396208



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1263931

Biblioteka Główna UMK



300049396208